

BOŻENA MAZALIK

KRYMINALNE PRZYPADKI

Matyldy

Plik jest zabezpieczony Twoim wewnętrznym identyfikatorem transakcji



BOŻENA MAZALIK

KRYMINALNE PRZYPADKI

Matyldy



ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Bożena Mazalik
Kryminalne przypadki Matyldy

ISBN 978-83-8116-616-4

Copyright © by Bożena Mazalik, 2019
All rights reserved

Redakcja
Hanna Kossak-Nowocień

Projekt okładki i stron tytułowych
Joanna Wasilewska

Opracowanie graficzne i techniczne
Dymitr Miłowanow

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67
faks 61 852 63 26
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Mojemu mężowi — z uśmiechem

Rozdział 1

Z garnęłam sztywną krynolinę i ruszyłam do drzwi. Gorąca fala zażenowania i wściekłości zebrała się w żołądku i uniosła do głowy. Czułam to każdą jedną komórką. Pierwszym, być może stosunkowo najmniej istotnym, ale w tym momencie najważniejszym moim zmartwieniem było, by nikt nie zauważył purpury, która zalewała mi policzki.

Woalka nieco ją maskowała. Wytresowany przez matkę i ciotki umysł upominał: nie pozwól się upokorzyć. Zatem szłam z uniesioną głową, wzbierającą zaś energię poświęciłam na to, by z klasą opuścić prezbiterium. Pomogła również wizja, jak przed ołtarzem na oczach stu osiemdziesięciu trzech osób strzelam mu w środek czoła i dostaję za to brawa.

— Dupek — wymsknęło mi się w połowie nawy głównej.

Do głowy przychodziły mi bardziej wyrafinowane przekleństwa, ale nie chciałam obrażać matki niedoszłego męża, która prawdopodobnie niczemu nie była winna. Szłam wprawdzie szybciej niż godzinę temu w przeciwną stronę, jednak robiłam wszystko, by moje wyjście nie wyglądało na ucieczkę. Czerwony dywan nie miał końca. Wreszcie dotarłam do wielkich dwuskrzydłowych drzwi, przekroczyłam próg i wzdrygnęłam się, kiedy zamknęły się za mną z głośnym trzaskiem.

Gdy mijałam na schodach wysokiego blondyna, poruszony wiatrem welon zakrył mi twarz. Może dlatego nie rozpoznałam mężczyzny od razu. Zresztą i tak mało co widziałam, i wcale nie z powodu woalu, z którym walczyłam. Raczej dlatego, że mało co mnie obchodziło. Miałam tylko jedno pragnienie.

Znaleźć kluczyki. Odjechać!

Rozejrzałam się, szukając auta. Jednocześnie mój umysł produkował kryminalną fabułę. Chciałam, by mój narzeczony umierał w cierpieniu, i jak

na pisarkę przystało, wpadłam na kilka niezłych pomysłów, jeszcze zanim zeszłam z szerokich kościelnych schodów. W tej chwili mogłabym bez wahania strzelić mu w głowę z broni dowolnego kalibru. Na widok mercedesa jęknęłam. Kretańskie wstążki zdobiły białego okularnika, którym przyjechaliśmy, a kierowca nadal był w kościele. Zastanawiałam się, czy nie ukraść któregoś z aut stojących wzdłuż krawężnika, gdy poczułam, że ktoś łapie mnie za łokieć.

Szarpnęłam się, gotowa do walki.

— Uderzę!

— Spokojnie, Mati. To ja, normalnie. — Usłyszałam męski głos, ku mojej uldze nie należący do Seweryna i „normalnie” na końcu zdania, słowo, które również do niego nie należało. Jednak pamiętałam doskonale, jak wiele lat temu mocno mnie wkurzało. Zastygłam, wyęzając pamięć. W ten sposób kończył, a czasem zaczynał zdania... Odwróciłam szybko głowę. Władek Zbieracki. No jasne, przecież był zaproszony. Ostatnio widziałam go jakieś dziesięć lat temu. Dziwnie wyglądał w garniturze. Inaczej. Tylko włosy miał tak samo długie jak kiedyś. Uśmiechał się niepewnie i machał kluczykami do samochodu tuż przed moim nosem.

Szarpnęłam woalkę, którą wiatr z uporem przykrywał mi twarz. W tym samym podmuchu zbyt długie blond włosy Władka uniosły się i odkryły paskudną bliznę na karku, ciągnącą się od ucha w dół. Kiedyś jej nie miał. Przypominała wielkiego robala przyklejonego do skóry. Zapatrzyłam się na nią z kompletnym brakiem wyczucia i ledwo usłyszałam słowa, które w tej chwili ratowały mi życie.

— Dokąd cię zawieźć? — Ton głosu Zbierackiego był tak lekki, jakby umówił się ze mną wcześniej na przejazdżkę.

Byłam mu za to wdzięczna, nie odezwałam się jednak, z płuc wydostało mi się tylko drżące i przerywane westchnienie. Uda się. Zniknę stąd niezauważona przez większość gości. Niemal wszyscy są jeszcze w środku, bo te trzy osoby przed kościołem się nie liczą. Matka z dzieckiem w wózku

i starszy pan w garniturze w prążki, który palił papierosa. Nie znałam go, podobnie jak nastolatki przyglądającej mi się z otwartymi ustami. Patrz, dziewczę, patrz, może i ciebie to spotka, uśmiechnęłam się, dając sygnał, że to właściwie nic takiego. Na Zbierackiego zaś spojrzałam jak na kogoś bliskiego i nie przeszkadzało mi zbytnio, że nie pamiętałam, jak układały się nasze stosunki w szkole. Teraz spadł mi z nieba.

— Byłeś świadkiem tej farsy, którą zafundował mi Seweryn? — zapytałam dla formalności, ale domyśliłam się, że musiał wszystko słyszeć, inaczej nie oferowałby pomocy.

Władek skinął głową i wskazał ręką wielkiego SUV-a stojącego w cieniu pod drzewem. Bez wahania ruszyłam w tamtą stronę, a on potruchtał za mną, nieskory do przerywania milczenia, za co byłam mu niewymownie wdzięczna. Żwir pod nogami chrzęścił, przesuwane się kamyki wzbijały miejski kurz. Zadarłam suknię z nadzieją, że jej nie zniszczę i odsprzedam.

— To co, masz jakiś pomysł, normalnie? — zapytał, kiedy zdołał wcisnąć mnie razem z krynoliną na fotel.

— Owszem, nawet kilka. — Rozważałam na szybko werwerynę, przedawkowanie lub broń palną. Oczywiście nie powiedziałam tego głośno, jednak Władek musiał znać mnie lepiej, niż sądziłam, gdyż pokręcił sceptycznie głową.

— Zanim go zaciukasz, może najpierw mnie posłuchaj.

Wysłuchałam. Nie zdawałam sobie sprawy, że klucze do walącego się zamku i pracowni malarskiej, które mi zaoferował, przyjmuję z czymś więcej niż z dobrodziejstwem inwentarza.

Rozdział 2

Na widok cudu architektonicznego poczułam się jak w świecie, w którym nie obowiązują żadne reguły. Wysokie okna, wielkie drzwi z klamką na wysokości twarzy i wyblakły gotycki napis „Rehhof” nad nimi. Do głównej bryły budynku dobudowano wieżę z niewielkimi drzwiczkami, zarośniętymi pokrzywami, ostami i łopianem, oraz kilka małych wieżyczek na dachu. Tam miałam nie wchodzić. Władek wraz z kluczami udzielił mi kilku informacji. Między innymi ostrzegął przed walącymi się schodami w wieży. Nie było czego żałować. Zachęcająco nie wyglądała. W północnym rogu dużego, byle jak wybrukowanego dziedzińca znajdowała się brama do części gospodarczej. Wszędzie błoto i kałuże. Wzdrygnęłam się. Klucze w dłoni ziębiły nieprzyjemnie, a przecież nie było tak zimno. W końcu odważyłam się wejść.

Sarni Dwór również w środku przypominał siedzibę rodu Addamsów. Grube, ponure mury, głębokie parapety i wnęki okienne, potężny kominek, wielka kuchnia. Na ścianach obrazy. Cholera, bardzo dobre obrazy. Na razie nie byłam w stanie stwierdzić, czy to kopie, czy oryginały. Jednak dodawały wnętrzu dostojności. Budynek był wpisany na listę zabytków i mimo że z zewnątrz wyglądał jak koszmarne sen architekta, wewnątrz urządziła ręką artysty. Musiałam przyznać, że Władek się postarał. Jednak czas zrobił swoje i całość wymagała gruntownego remontu. Zbieracki, z którym zdążyłam już wymienić korespondencję mailową po jego wyjeździe zarobkowym do Irlandii, chwalił się, że ma wykonawcę i projekt, a kiedy wróci, co może nastąpić dopiero za rok, będzie miał również pieniądze. Roku tutaj z pewnością nie wytrzymam, ale do grudnia może mi się uda. Potem się zastanowię. Może ściągnę tę jego wszędobyłską kuzynkę, przed którą się bronił; to ona miała zamieszkać na zamku, zanim zobaczył mnie przed kościołem. Ta myśl mnie rozbawiła.

Kiedy Zbieracki odwoził mnie spod kościoła do swojego domu, rozmawialiśmy nie tylko o jego kuzynce. Gdy trochę ochłonęłam, opowiedziałam mu o tym, że nie tylko piszę, ale również maluję. Właśnie przygotowywałam się do wernisażu i brakowało mi jedynie pięciu płócien, by moja agentka była w pełni szczęśliwa, mogąc wypełnić nimi ściany galerii. Zbieracki wspomniał mimochodem, że nadal maluje, nigdy nie przestał i jak chcę, to mogę korzystać z jego pracowni. Wtedy w samochodzie nie doceniłam propozycji, teraz sobie przypomniałam. Kiedy byliśmy w szkole, pracownia malarska Władka była czymś, czego wszyscy mu zazdrościli. Pokazywał ją niektórym, ale nie każdego tam wpuszczał. Ja nigdy jej nie widziałam, zresztą Władek Zbieracki nie należał wtedy do chłopaków, którzy mnie kręcili. Stał raczej po stronie tych nieznośnych, którzy zgniatają muchy pomiędzy stronami książki do historii sztuki, nadgryzają jabłko, które masz w torbie, albo podrzucają pinezkę na twoje krzesło. Irytował mnie, a jego „normalnie” doprowadzało mnie do szału. Blizna, której się dorobił — nie pytałam jak — bardzo do niego pasowała. Władek nadal był niegrzecznym chłopcem. Tym bardziej doceniłam jego gest.

Pognałam na górę. Pracownia usytuowana na ostatnim piętrze zajmowała połowę powierzchni całego poziomu. Drugą część stanowił zwykły strych — graciarnia pokryta kurzem i pajęczynami, chyba nigdy niesprzątana. Atelier zabawnie kontrastowało z lamusem. Było jasne, doskonale zaprojektowane i uporządkowane. Władek kogoś do tego zatrudnił, a może sam je urządził? Wątpiłam, by wpuścił do swojej świątyni kogokolwiek. Prócz mnie. Hm. Postanowiłam zbyt wiele na ten temat nie myśleć, nie spodziewał się chyba, że zastąpi Seweryna.

Stałam nadal w drzwiach, jakbym bała się wkroczyć do środka. Światło padało z dwóch okien dachowych i dwóch wykuszy, doskonale oświetlając miejsce pracy. We wszystkich otworach okiennych zamontowano rolety. Zrobiłam pierwszy ostrożny krok, wchodząc jak do sanktuarium, oczekując nieznanego, jakiegoś zaklęcia, pułapki, czegokolwiek, z czym słowo „sanktuarium” mi się kojarzyło, jednak nic się nie stało. Nic na mnie nie

spadło, nie złamałam nogi, a atmosfera po chwili okazała się przyjemna, lekka. Już czułam, jak biorę do ręki pędzel i zanurzam go w farbie. Pachniało olejem lnianym, terpentyną oraz świeżym werniksem. Zaciągnęłam się jak nałogowiec. Na północnej ścianie Wladek ustawił cztery sztalugi, a na każdej z nich umieścił ramę przykrytą płótnem. Umyte pędzle czekały w dużym słoju obok pudełka z węglem, kredą i sepiowymi sztyftami na ogromnym starym biurku, którego blat przykryty był szklaną, miejscami niedomytą płytą — jedynym śladem świadczącym o tym, że z pracowni ktoś korzystał. U siebie miałam zdecydowanie większy bałagan.

Urzekło mnie światło padające z czterech stron i zauważyłam, że w tym niemal uświęconym miejscu zaczęłam myśleć o Zbierackim po imieniu. Patrzenie na jego obrazy i miejsce pracy było tak intymne, jakbym grzebała mu w bieliźnie albo czytała tajemny dziennik. Ponieważ stałam obok jednej ze sztalug, zwalczyłam opory i uniosłam odrobinę płótno. Malowidło było ponure jak nora Minotaura. Kolejne obrazy przedstawiały to samo ciemne miejsce, jednak w różnych ujęciach. Na czwartym dostrzegłam stalaktyty, co wskazywało na jaskinię. Dziwne, bo od czasu ślubu śniły mi się głębokie nory. Jakbym podświadomie szukała gawry, by się w niej schować. Podeszłam do wnęki wykuszowej i otworzyłam okno. Nuta lanoliny w świeżym powietrzu sugerująca obecność żywych stworzeń trochę mnie zaniepokoiła, zaraz jednak o tym zapomniałam.

Tydzień później przewiozłam część akcesoriów malarskich oraz trochę rzeczy osobistych. Wladek miał rację. Zmiana dobrze mi robiła, wprawdzie jeszcze budziłam się z poczuciem klęski, czasem szarpała mną złość, ale zaczynałam częściej myśleć o obrazach niż o Sewerynie i zbrodni doskonałej.

Zadomowiłam się w zamkowej kuchni z ceglana ścianą i w niewielkiej romantycznej sypialni na piętrze. Termin „styl eklektyczny” na określenie wystroju wnętrza wydawał się tutaj nadmiernym eufemizmem. W jednym pomieszczeniu średniowiecze, w innym niemal renesansowe freski. Aż dziw, że przy takich grubych kamiennych murach nie czuło się stęchlizny. Na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Już wiedziałam, że to kopie, bo

sprawdziłam w internecie, że przedstawiały zaginione dzieła. Ściany były wręcz nimi zapchane. Ujęło mnie to, że w domu było posprzątane. W sypialni wystarczyło zetrzeć kurz. Narzuta na łóżku pachniała drzewem sandałowym, a nad wezglowiem wisiał pastisz *Szału uniesień*. Koń był wierną kopią, natomiast w miejscu rozczochranej ryżawej blondynki szalała na końskim grzbiecie chuda brunetka w kowbojkach. Parsknęłam śmiechem. Ech, Władek.

Gdy zeszłam na dół, odkryłam, że kaloryfery podłączone są do kominka, wystarczy opuścić czerwoną wajchę, by się rozgrzały. Drewno znalazłam w pakamerze wyglądającej jak kantorek dla służby.

Wieczorem, gdy usiadłam przy kominku, po raz pierwszy zaniepokoiły mnie odgłosy. Coś trzeszczało i stukało. Nie dziwiłabym się, gdyby to był budynek drewniany: drewno pracuje, żyje. Jednak zamkowe ściany były grube, stare, kamienne i nie miały prawa trzeszczeć. A to, co słyszałam w kolejne noce, przypominało poruszanie się człowieka: ciche zamykanie drzwi, ulotne, ledwo słyszalne zgrzytanie. Tłumaczyłam sobie, że to belki wiązania dachowego, że pewnie schody skrzypią, póki nie zorientowałam się, że one również wykonane są z kamienia. Starłam się nie zwracać na to wszystko uwagi. Pewnie duchy. A tych się nie bałam. Rzeczy niewidzialne wzbudzały we mnie ambiwalentne odczucia — czasem odzywała się ciekawość, częściej jednak obojętność. Coś, czego nie można zobaczyć, nie istnieje. A z pewnością nie może mi zagrozić. Nie byłam nawet pewna, czy w to wierzę. Przecież Władek tutaj mieszkał, trzeba się tylko przyzwyczaić. Sprawdziłam wszelkie zakamarki i niczego niepokojącego nie znalazłam prócz kota, który na mój widok czmychnął i gdzieś się schował. Mając winowajcę, postanowiłam wszelkie odgłosy ignorować. Gdy byłam dziewczynką i przyjeżdżałam do dziadków na wieś, w ich domu też stale coś stukało.

W pracowni znalazłam wolną sztalugę i mnóstwo czystych blejtramów. Mimo to nie od razu zaczęłam malować. Snułam się po zamku jak zjawa. Oglądałam puste pokoje, wachałam popękane ściany, wyczuwając mysy

feterek, a czasem zasuszoną mysz. Kot się pokazywał, częściej jednak znikał. A we mnie załagał się jakiś niepokój, wcale niezwiązany z duchami. Coś ostrzegało, wołało, aby wiać jak najdalej z taką samą siłą, z jaką kusiło, by zostać. Ostatecznie postanowiłam, że jeśli w ciągu trzech najbliższych dni się nie przyzwyczaję albo nie znajdę przyczyny owego irracjonalnego niepokoju, to wyjeżdżam na Mazury. Pomyślałam o terminie wystawy i skorygowałam plany: w porządku, wrócę do Katowic i po prostu skończę robotę. Dość niańczenia się. Postawiłam wodę na herbatę, jakby gorący napar pu-erh mógł mi pomóc podjąć decyzję.

Ogień na kominku również zdradzał zachowania chimeryczne. Z przyległego do zamku gospodarstwa dobiegła barwna wiązanka faceta od koni, Arka Zaruby. Nie jestem sama. Przecież mogę do niego pójść, porozmawiać.

Nie byłam twarda jak skała, na jaką chciały mnie wychować mama i jej siostry, ale wstyd mi było, że chciało mi się płakać po idiocie. Wstałam, wylałam zimną herbatę i zaparzyłam świeżą. Proza życia. Banał. Podobnie jak dezercja sprzed ołtarza. Przynajmniej nie oddał pola walkowerem. Tyle że zamiast powiedzieć „tak”, stwierdził, że musi się zastanowić.

Skrzywiłam się na dźwięk skrzypiących gdzieś w głębi domu drzwi. Na pewno nie będę ryczeć. Przełknęłam ślinę i wytarłam twarz rękawem.

Minęły dwa dni. Przywykałam do tajemniczego życia kamiennego domu, do przeciągów, odgłosy już mnie tak nie niepokoiły. Przypominałam sobie, jak w domu dziadków szalała kuna, robiąc hałas niczym banda goniących się dzieci. Postanowiłam dobrze wycierać stoły i blaty kuchenne, w razie gdyby coś jeszcze mi po nich deptało, bo kot robił to z pewnością.

Wczesnym rankiem w środę, gdy słońce niemrawo przedzierało się pomiędzy wielką stodołą a stajnią i zaglądało przez szparę między zasłonami, usłyszałam znajomy głos:

— Matylda!

— Nie. — Przykryłam głowę kołdrą.

— Matylda! Jesteś tam? Matyldo Dominik!

Wywołana z nazwiska z ociąganiem wyszłam z łóżka i wyjrzałam zza firanki. W końcu uchyliłam okno. Za bramą stała Ilka Sierocińska. Wyglądała bojowo, jakby szykowała się do szturmu. Miała na sobie popielaty krótki płaszcz i szafirowy szal, nad którym unosiło się rude afro sięgające do ramion. Była cholernie wyspana.

— Matylda, wyjdź z wyra i mnie wpuść! Jest zimno! — wołała, przytupując.

Odeszłam od okna i usiadłam na łóżku. Przeczesalam palcami włosy, potarłam policzki i zjadłam suszoną morelę z torebki leżącej na szafce nocnej.

— Halo, Mati! Jeśli nie wyjdiesz, to sforsuję ogrodzenie.

Spojrzałam zza firanki na wąską spódnicę przed kolana oraz schowane w trawie i błocie szpilki, bez których Ildefonsa nie ruszała się z domu. Prośba, by nie przyjeżdżała, tylko ją zachęciła.

Zerknęłam w lustro zamontowane w drzwiach starej skrzypiącej szafy. Uszczypnęłam się kilka razy w policzki, pewna, że Ilka zlustruje mnie od stóp do głów. Czułam się wewnątrz trochę pomięta, ale szczęśliwie na twarzy nie było tego widać. Chociaż kto wie, co ona jako lekarz z mojego oblicza wyczyta. Z głębokim westchnieniem wrzuciłam ledwo napoczęte opakowanie moreli do szufladki i przekręciłam kluczyk. Przeleciało mi przez myśl pytanie, co morele robiły na wierzchu. Trudno uwierzyć, by kot karmił się morelami, może duchy, albo po prostu musiałam zapomnieć je schować. Stres? Byłam w stresie? O Sewerynie starałam się nie myśleć i jak na razie szło mi nieźle. Byle Ilka nie roztrząsała.

Otwarłam szerzej okno. Wiało.

— Poczekaj! Już idę — krzyknęłam.

To była zaleta podłej samotni. Wrzaski mogły zaniepokoić tylko dziki, które buchtowały w krzakach wokół ogrodzenia, i jeże kryjące się pod cisem.

Nie miało większego sensu zastanawiać się, co kryło się za przyjazdem Ildefonsy. Pani doktor psychiatrii przyjechała uratować mnie przede mną. Ilka miała misję.

Nie spakowałam szlafroka, zatem na krótką koszulkę nocną narzuciłam granatową pikowaną kurtkę i wyszłam na zewnątrz. Dął zimny wiatr. Otuliłam się szczelniej. Stojąc na kamiennym progu, odniosłam wrażenie, że jest jak dawniej, jak wtedy, gdy nie myślałam jeszcze o ślubie z Sewerynem Kruczyńskim. Poczułam coś podobnego do szczęścia. A może to była wolność. Nawet moje germańskie imię kojarzyło mi się z odwagą i pasowało do tego miejsca. Ilka za bramą tupiała. Podeszłam do niej, lawirując pomiędzy kałużami. Włożyłam kluczyk do kłódki, ale nie pasował.

— Czekaj — powiedziałam, drepcząc w rozmiękłym podłożu i konstatuując, że zamiast kluczyka do kłódki wzięłam klucz do szufladki z morelami. — Zapomniałam, że to cholerstwo czasem się zatraskuje. A może Zaruba zamknął. — Naciągnęłam koszulę na kolana.

— Jaki Zaruba? I po co to w ogóle zamykać, skoro tu jest takie odludzie?
— Ilka przyglądała się z zainteresowaniem moim nogom. — Gdzie może być bezpieczniej?

— Zaruba to ktoś w rodzaju parobka, brama zaś, o ile pamiętam, powinna być otwarta na oścież — powiedziałam. A morele miały leżeć w szufladce. Tkwiłam w stresie pourazowym, którego skutkiem mogła być utrata pamięci? Spojrzałam ze strachem na Ilkę. Ona o tym wiedziała. Swym profesjonalnym wzrokiem potrafiła mi zajrzeć głęboko w umysł. Nie musiałam nawet otwierać ust. — Poczekaj, zaraz wracam.

— Nigdzie się nie wybieram — zapewniła. Miała w oczach upór, który był sławny już w szkole podstawowej.

— Szkoda — mruknęłam, przeskakując między kałużami, bo jej obecność kojarzyła się z kacem gigantem i pijaństwem, jakie urządziłyśmy następnego dnia po ślubie. Jeśli sytuacja się powtórzy, to raczej nie skończę pięciu płócien. Oficjalnie tak sobie samej wytłumaczyłam rejteradę na zamek:

domalować pięć obrazów brakujących do pełnej kolekcji na wernisaż zaplanowany w grudniu. Karina Skornia, moja agentka, była jak cerber i co chwila dopytywała się, jak mi idzie. Zajmowała się organizacją wystawy, zaproszeniem gości, plakatami i wszystkimi tymi duperelami, do których nie miałam głowy. Zostało trochę ponad dwa miesiące. Czasem to dość, niekiedy strasznie mało. Wszystko zależy od tego, w jakim stopniu mogę się zamknąć i skoncentrować na pracy. W domu miałam pracownię wcale nie gorszą niż u Władka, ale obawiałam się, że będą mnie nachodzili znajomi, dopytywali, jak się czuję, a ja będę myśleć tylko o tym, jak się ich pozbyć. Rehnhof był doskonałym wyjściem z niekomfortowej sytuacji i byłam Władkowi niezmiernie wdzięczna. Obecność Ilki mój pobyt tutaj komplikowała.

Jak na środek jesieni pogoda była łaskawa, temperatura sięgała dziesięciu stopni i jedyne, co mogło denerwować, to wiatr i wilgoć. Trwająca dwa dni mżawka z trawnika zrobiła poduchę; dobrze, że większa część placu była wybrukowana. Dzisiaj był pierwszy ranek bez deszczu. Wzięłam z domu klucze i wróciłam do bramy porządnie już zmarznięta.

— Będziesz musiała zmienić swoje szpilki na gumowce. — Otworzyłam dwuskrzydłowe wrota. — Witaj w Sarnim Dworze.

— Ciekawe, kto i komu na złość zbudował ten dom. Nie wiem, czy przyjazd tutaj to dobry pomysł. Dostaniesz tu jeszcze głębszej depresji, niż miałas do tej pory.

Pokazałam jej pokój dla gości i zrobiłam śniadanie. Ilka siedziała przy kominku, dopijając kawę i kończąc drugą grzankę z żółtym serem.

— Czarny pies uwielbia takie warunki. Zamkniesz się w sobie i będziesz karmić bestię — powiedziała jak psychiatra, którym była.

— Nigdy nie miałam żadnej depresji — odparłam, krojąc w plasterki jajko na twardo. — Ty mi ją wymyśliłaś! Poza tym to nie jest środek jesieni. Dzisiaj dopiero jedenasty października. Jutro będzie dwunasty, a pojutrze trzynastego i piątek, mój szczęśliwy dzień — dodałam złośliwie.

Na te słowa Ilka jakby się skurczyła i osunęła w fotelu. Wszystkie jej

znajome wiedziały, że jest przesadna do granic możliwości. Trzynastego potrafiła nie wychodzić z domu, a trzynastego w piątek nie ruszała się z łóżka. Tylko ważne okoliczności mogły ją do tego skłonić. Przypomniałam jej słowa, że na odludziu jest bezpiecznie, i obiecałam, że zaraz po śniadaniu oprowadzę ją po domu i gospodarstwie. Spojrzała na mnie nieufnie i zaczęła obierać trzecie jajko.

— Nie martw się — pokrzepiłam. — Mówią, że dom ukryty w leśnym gąszczu przyciąga dobre dusze.

— Tu nie ma gąszczu, a las jest co najmniej dwieście metrów dalej. Co do wyjątkowego charakteru budowli to się nie wypowiadam.

— Iluś, a gdzie twoja dusza romantyczki? Kiedyś ją miałaś. Stało się coś? Bez powodu nie przyjechałaś.

Ilka oparła się wygodniej, wyciągnęła nogi, kaptcie Władka odrzuciła niedbale pod stół i pomasowała palce u stóp.

— To ta praca — oświadczyła ze zmęczeniem w głosie. — Mam dość. Wzięłam miesięczny urlop, bo poczułam, że grozi mi wypalenie.

— To wspaniale! — odparłam, starając się wykrzesać z siebie odrobinę radości. — Oczywiście zostaniesz ze mną?

— Oczywiście. I nie udawaj, że się cieszysz. Nie potrafisz kłamać.

Po śniadaniu ubrałyśmy się w ciepłe i nieprzemakalne kurtki. Zastanawiałam się, od czego zacząć. Władek trzymał dziewięć koni, jednego kuca, ponad setkę owiec, jedną krowę, drób, którego nie liczyłam, i cztery świnie. Zwierzętami zajmował się dochodzący ze wsi Arek Zaruba i ta część gospodarstwa nie obchodziła mnie zupełnie. Zaraz po przybyciu postanowiłam

nie zwracać na żywiec uwagi. Nie tęskniłam za trzodą chlewną ani oborową, dość jej miałam we wszystkie wakacje, które musiałam spędzać u dziadków. Zupełnym przeciwieństwem była Ilka zakochana we wszystkim, co żyje. Już

jako dwuletnie dziecko ku rozpaczyci rodziców przygarniała wyrzucone koty, wałęsające się psy, a kiedyś nawet przyprowadziła kozę.

Na zewnątrz padało i wiało. Ilka parła przed siebie, potrząsając rudymi lokami. Głaskała świnię, cmokała koniom, dotykała cuchnącej lanoliną wełny merynosów.

Duży narożny zegar uderzył dźwięcznie dwanaście razy, gdy zasiadłyśmy w końcu zmoczone i śmierdzące przed kominkiem, każda z kieliszkiem wytrawnego pinot noir, i patrzyłyśmy w płomienie. Gdy wycierałam ręcznikiem włosy, Ilka wniosła zapas drewna i ułożyła je obok kamiennej obudowy. Sterta, którą ułożyła, sięgała półtora metra i powinna nam wystarczyć co najmniej na tydzień. Żywności miałyśmy pod dostatkiem. Napoje alkoholowe zajmowały większą część piwniczki. Nie wyobrażałam sobie, bym podczas jej obecności wzięła do ręki pędzel.

Miesiąc? Dałam jej w myślach tydzień. Przez kolejny będę leczyć kaca. Tyle mogłam jej poświęcić. W końcu byłyśmy przyjaciółkami. Nagle w ścianie odezwało się skrobanie. Ilka spojrzała najpierw na mnie, potem w kierunku, z którego dochodził szmer.

— Co to?

— Myszy. Chyba. Bo szczury mocniej skrobią.

— Szczury też tu są? — Podkuliła nogi pod siebie.

— Nie widziałam żywego, ale ich odchody leżą tu i ówdzie. Poza tym to też zwierzątko. Lubisz je przecież.

— Przecież nic nie mówię. A ty co? Znasz się na tym? — Zrobiła zniesmaczoną minę.

— Na gówiekach? Jasne. Można sprawdzić w internecie. Różnią się od kupy kuny. Kun są dwa rodzaje i na zamku występują prawdopodobnie obydwa, leśna i domowa. Leśna wpada i znika, a domowa zostawia ślady, zostaje bowiem na dłużej. Gdybyś w nocy słyszała coś z góry, nad tobą, to ta domowa. Biega po strychu. Szczury są w piwnicy. Radzę wkładać

na noc stopery. Tylko wtedy ich nie słycać. Mogę ci dać komplet. Mam dobre, silikonowe, które świetnie dopasowują się do ucha.

Ilka wypła resztkę wina z lampki, następnie dolała i sobie, i mnie. Sobie więcej.

Piętnaście po drugiej za oknem brzdąknął dzwonek od roweru.

— Miało być bezludnie — powiedziała, wyciągając szyję.

— To listonoszka. Nie wierzy w pocztę elektroniczną — wytłumaczyłam i poszłam otworzyć.

Małgosia Kowolik, którą zdążyłam poznać zaraz pierwszego dnia pobytu, matka czwórki dzieci, chuda i silna kobieta, uśmiechnęła się, pokazując mnóstwo dużych, białych zębów. Nie rozumiałam, jak można mieć gromadkę dzieci, zarabiać grosze, wozic na rowerze nędzne renty, zbierać jeszcze nędzniejsze napiwki i śmiać się na co dzień.

— Napisała pani jakiś list miłosny? Albo choć pozew sądowy, którego nie da się wysłać elektronicznie? — zapytała dziewczęcym głosem.

— Niestety, pani Małgosiu. Marnuję się.

— Ciągle sama? Jakies stosunki towarzyskie?

— Stosunki przyjechały — przyznałam. — Wejdzie pani na kawę?

Pani Małgosia wzbudzała we mnie szacunek większy niż przedstawiciele zawodów powszechnie szanowanych. Lubiłam ludzi emanujących osobistą siłą wewnętrzną, niepopartą urzędem, tytułem czy znajomościami. Pani Małgosia tę swoją siłę rozdawała jak listy. Robiła mi świetnie na samopoczucie.

— Dobra, wejdę, ale na krótko. Mam jeszcze do rozwiezienia kilka przesyłek i na sam koniec muszę jechać do Zawilskiej, bo polecony dostała, a wie pani, to cztery i pół kilometra. Trochę mi zajmie — powiedziała, otrzepując z deszczu pelerynę.

Zrzuciła różowe gumki i ustawiła je w sieni na szmacie, sprawdzając, czy

z nich nie kapie. Zostawiłam obydwie kobiety przy kominku, a sama poszłam do kuchni zaparzyć dzbanek kawy. Gdy wróciłam z tacą, herbatnikami z serem i drożdżowymi paluszkami, listonoszka przekonywała Ilkę o dobrodziejstwach głodówek. Nie współczułam jej, ponieważ kilka dni temu sama przez to przechodziłam.

Kawę podałam w filiżankach z miśnieńskiej porcelany.

— Te cuda to Władka? — zapytała Ilka, unosząc spodeczek i zaglądając pod spód.

— Tutejsze — powiedziałam. — Znalazłam je przez przypadek na najwyższej półce w tym starym kredensie w kuchni.

— Przez przypadek grzebałaś na najwyższej półce?

— Nie kupiłam kawy i miałam nadzieję, że coś znajdę w zapasach Władka. Znalazłam to. — Uniosłam filiżankę.

— Aż się boję, że mi zaraz upadnie — powiedziała Ilka, mocząc usta.

Pani Małgosia, niewzruszona, jakby na co dzień używała rosenthala, ujęła filiżankę w obydwie dłonie i grzała je równomiernie. Ilka wydawała się zadowolona, że przerwałam im dyskusję.

Wprawdzie rozumiałam wysiłki listonoszki mające na celu nawrócenie Ilki na zdrowe odżywianie, jednak wiedziałam również, że sprawić mojej przyjaciółce przyjemność to postawić przed nią talerz. To, w jaki sposób godziła obżarstwo ze swoją profesją, pozostawało tajemnicą. Nie była nalana ani tłusta, nie, po prostu duża. Rysy twarzy miała regularne, szlachetne, włosy zadbane, mimo ich rozwichrzenia, doskonale zdrowe, w kolorze minii zmieszanej z rosyjskim złotem, lśniące i poskręcane w mnóstwo loków. Ilka była swoistą pięknnością, jednak w rozmiarze XXL. Jej wzrost w połączeniu z mocnym kośćcem, silnymi mięśniami i okrywającą je warstwą miękkiego sadełka czynił z niej boginię wojny. W szkole pchała kulą i rzucała oszczepem. Obecnie regularnie uczęszczała na siłownię. Przy tym wszystkim wykazywała duże wyczucie stylu, jednak budowę i umiłowanie dobrego

jedzenia miała zakodowane w genach i Małgosia Kowolik, choćby pękła, nimfy z niej nie zrobi. Chyba że Ilka zechce się katować.

Poszłam do kuchni zagrzać gęstą zupę fasolową z jarzynami i kiełbasą. Kiedy była gorąca, dodałam dużą łyżkę śmietany, posypałam zieloną pietruszką i zaniiosłam w miseczkach. Pani Małgosia właśnie tłumaczyła Ilce drugi etap diety Dąbrowskiej i rozpływała się nad korzyściami, jakie wynikają z jej stosowania — oczyszczeniem ścian tętnic, zredukowaniem poziomu cholesterolu i zmniejszeniem ryzyka cukrzycy.

— Wspaniale — powiedziała Ilka, sięgając po miskę. — Matylda, zostaję na sześć tygodni. Tyle trwa dieta. Zresztą tobie też się przyda oczyścić organizm. Pozbędziesz się kwasów, bo z pewnością ci się porobiły przez to niedoszące wesele.

Pani Małgosia zrobiła duże oczy, ale o nic nie spytała. Uśmiechnęła się tylko pod nosem.

— Dzięki za zupę, pani Matyldo. Jadę, bo zanim dotrę do Zawilskiej i z powrotem, będzie wieczór. Na urlop idę od jutra. Do zobaczenia za miesiąc, a może za dwa tygodnie, bo nie wiem, ile wytrzymam. — Pożegnała się z Ilką. Wstała i wyjrzała przez okno na padający bez ustanku deszcz: — Co za syf! — rzuciła i wsiadła na rower.

— Ile ona ma lat? — zapytała Ilka.

— Nie mam pojęcia, ale chyba jest od nas starsza. W końcu ma już czwórkę dzieci.

— Wyszła za mąż, gdy miała dwadzieścia lat albo mniej. Przy niej awansujemy na stare panny.

— Nie przesadzaj — odparłam. — Ja mam małżeństwo za sobą. Nawet dwa.

Ilka westchnęła.

— W zeszłym tygodniu, tuż po twoim ślubie, rozstaliśmy się z Andrzejem.

— Znowu?

— Teraz ostatecznie. I na ten temat nie rozmawiamy.

— Na temat mojego ślubu również.

— To co będziemy robić? — Ilka zaczęła rozgrzebywać haczykiem popiół w kominku.

— Andrzej był wredny, nie lubiłam go.

— Seweryn również — dodała Ilka z ponurym uśmiechem. — Też go nie lubiłam.

Zgodziłam się. Milczałyśmy. W końcu, żeby trochę rozładować atmosferę, nawiązałam do gospodarstwa i wyraziłam swoją niechęć do wszystkiego, co żyje za płotem, tymczasem ona chciała wszystkie stworzenia przytulić do piersi. Im bardziej wybrzydzałam i starałam się ją zniechęcić, tym bardziej się zacietrzewiała i przybierała pozę Świętego Franciszka. W efekcie rozgorzała całkiem przyzwoita dyskusja.

— Wszystkich to może bym nie przygarnęła, bo to byłoby niehigieniczne, ale jakiegoś psa albo kota... — rozmarzyła się.

Kota od kilku dni nie widziałam. Nie wspominałam o nim, bo zaraz kazałaby mi go szukać, a drań nie zbliżył się od momentu, gdy wsadził łapę do mysiej pułapki i zdrowo go przytrzasnęło. Od tej pory na mój widok czmychał szybciej niż przy pierwszym spotkaniu.

Wieczorem, już w łóżku, nasłuchiwałam różnych trzasków, odgłosów zamykania drzwi (pewnie była to Ilka) i skrzypienia na schodach, które jednak nie powinny skrzypieć. Tuż przed snem uświadomiłam sobie, że jeśli nie namaluję obrazów, to Karina mnie zabije, jednak w nocy nie ona mi się śniła, ale Seweryn z nożem w piersi.

Rozdział 3

W czwartek pogoda się poprawiła i wyjrzało słońce. Było zimno, jak to jesienią, ale dzień wstał jasny i tchnęło świeżą energią. Ilka nie przeszła na dietę i oznajmiła, że w niedzielę będzie się zbierać, bo ktoś z kliniki ma problem, któremu może zaradzić tylko ona. We mnie odezwała się wena. Z radości zaczęłam robić plany i zastanawiać się nad szkicami. Notatnik towarzyszył mi od rana. Kreśliłam Ilkę, notowałam pomysły, zapisywałam kolory.

Około południa poczułam się twórczo wyczerpana, więc przestawiłam się na czynności gospodarcze. Gotowałam ziemniaki i dusiłam mięso z barana znalezione w wielkiej zamrażarce. Było opisane na żółtej karteczce wetkniętej do nylonowego woreczka. Ciekawe, że Władek opisywał mięso. Baranina czy nie, doprawiłam ją kiszoną kapustą, nadając potrawie elegancką nazwę gulaszu po węgiersku.

W tym momencie coś dziwnie zastukało w drzwi.

Ilka siedząca w kuchni przy stole uniosła głowę. Poza listonoszką nikt tu nie bywał. Miałyśmy prawo czuć się zaskoczone. Poza tym to nie było zwykłe pukanie. Ilka spojrzała na mnie. Stuknęło. Odgłos był głuchy, miękki i niezdecydowany.

Chwyciłam kłamkę i ostrożnie uchyliłam jedno skrzydło. Na wysokości mojej twarzy niczego nie było. Jednakże pół metra niżej sterczał, przedstawiony mi wcześniej przez Zarubę, Napoleon. Rozsiewał, delikatnie mówiąc, zapach stajni. Zbaraniałam. Kuc parsknął, szturchnął mnie łbem, wszedł do środka i zniknął w kuchni. Na kamiennej zabytkowej posadzce zostały mokre, kleiste, brązowe ślady.

Złapałam miotłę i ruszyłam za nim.

— Mati, nie goń go, bo się poślizgnie.

— Chyba zgłupiałaś!

— Sama zgłupiałaś! Nogę złamie! Na tych kamieniach jest ślisko.

— Wynocha! — Wskazałam ręką drzwi, ale Napoleon miał to gdzieś. Z pyska na stół kapłała mu ślina. Po chwili szturchnął gorący garnek z gulaszem. Parsknął, odsunął się gwałtownie od pieca i niespokojnie stuknął nogą.

— Może jest głodny. — Ilka podeszła do niego ostrożnie, wyciągając rękę.

Kuc jakby jej nie widział, zakręcił się w kółko i położył na podłodze. W tym momencie daleka byłam od wszelkich egzystencjalnych problemów, Seweryna, obrazów, diety Ilki i jej Andrzeja. Dźgnęłam zwierza na próbę. Łypnął na mnie i położył łeb na boku, szykując się do spania.

— To wygląda na strajk okupacyjny — zezłościłam się, bo nie wyobrażałam sobie, jak go wygonimy z kuchni. — Czka się Orwellem.

— Udaje. Musi wiedzieć, że szlag cię trafia. — Ilka przyglądała się zwierzęciu z profesjonalnym zainteresowaniem.

— No! Już! Wynoś się! — Ponownie pacnęłam miotłą w tłusty tyłek. Nawet nie drgnął.

— Zostaw go i zamknij drzwi. Może zmarzył? — Ilka pochyliła się, żeby go pogłaskać. Napoleon otworzył paszczę i pokazał zęby. Nierówne i żółte. Górna warga odchyliła się ostrzegawczo.

Ilka odskoczyła.

— Oż ty! On się jakoś nazywa? — Zrobiła jeszcze dwa kroki do tyłu.

— No przecież wczoraj ci go Zaruba przedstawiał. Napoleon. Zapomniałaś? A tak w ogóle gdzie jest Zaruba? Do tej pory nie zauważyłam, by pił. Możliwe, że reszta folwarku również gania wolno.

— To całkiem jak u nas na oddziale. Mamy dwóch Napoleonów. Prócz tego trzech Jezusów.

— Ilka, pilnuj go, ja zobaczę, co się tam dzieje.

Ilka została pod ścianą, niezrażona zachowaniem kuca. Miała na sobie długą spódnicę i bluzkę z dekoltem, nadające się jedynie do siedzenia przy kominku, nie do ujarzmiania złośliwego szetlanda.

Wybiegłam w kapciach, które ślizgały się na gliniastym podłożu. Rozejrzałam się między zabudowaniami. Zaruby ani śladu. Nie potrafiłam zdecydować, jak go wołać: „Panie Arku? Panie Zaruba? Ej, proszę pana?”. W efekcie milczałam. W stajni dziewięć koni stało przy pustych żłobach. Wszystkie zarżały na mój widok. Wyglądały, jakby nie jadły od wczoraj. Kary szarpnął uwiązem i odwrócił do mnie zgrabny łeb araba.

W drugim baraku, stanowiącym dobudowany chlew, kwiczały cztery świnię. Do stodoły zajrzałam już pro forma, by się przekonać, że owce za chwilę sforsują zbitą z żerdzi zagrodę. Pozostałych zabudowań nie sprawdzałam. Jasne, że Zaruby od wczoraj nie było. Mogłam szybko dojechać do wsi, ale nie znałam tam ludzi i nie wiedziałam, czy Władek będzie sobie życzył zmiany parobka. Wyjęłam komórkę. Wybrałam numer. Po trzecim sygnale połączenie zostało przerwane. Spróbowałam jeszcze raz. Usłyszałam komunikat, że abonent jest poza zasięgiem. Wróciłam do domu. Zrzuciłam z nóg przemoczone kapcie i ustawiłam je przy ogniu.

— Zaruby nie ma — oznajmiłam Ilce, rozglądając się za jakimś obuwiem nadającym się do chodzenia po błocie. — Zbieracki nie odbiera. Kochasz zwierzątka, więc pójdiesz ze mną — zdecydowałam. — Tylko zdejmij tę spódnicę. Wszystko jest głodne i nerwowe.

Ilka otworzyła usta, ale nie protestowała. Pięć minut później czekała na mnie przy drzwiach w spodniach od dresu, za dużych gumiakach i kurtce, którą znalazła w komórce. Na głowie zawiązała brązowy wełniany szalik, spod którego sterczały rude kosmyki.

Wzięłam z kominka skórzane rękawice, w których zwykle wносиłam drewno, i zajrzałam do kuchni. Koń pochrapywał.

— Kurde, nie rozumiem, jak Zbieracki mógł zatrudnić tak

nieodpowiedzialnego faceta! Przecież gdyby ten kuc nie przyszedł... Gdybym ja się nie wprowadziła...

— No właśnie! A może Władek specjalnie cię tu wkrecił? Wiedział, że Zaruba jest niesolidny, i potrzebował kogoś do roboty.

Zatrzymałam się w miejscu. Mogła mieć rację. Zbieracki z pewnością wykorzystał okazję. Pomachał mi marchewką, a ja naiwna się zgodziłam.

— Dobra, wiem, jak się go pozbyć. — Odwróciłam się do kuca.

Obudził się i patrzył na nas zrelaksowanym wzrokiem. Obeszłam go, wyjęłam z lodówki dorodną marchew i pomachałam mu przed nosem. Kuc poderwał pysk i po chwili wstał z potężnym pierdnięciem. Niczego nie przewrócił, ale wychodząc, zatrzymał się na moment. Skupiona postawa zwierzęcia była jednoznaczna. Nie pomogło machanie i prośby. Nie reagował ani na wrzaski, ani na błagania. Zadarł ogon.

— Zabiję go — powiedziałam, patrząc z rozpaczą na podłogę.

Kuc złapał marchew i wyszedł z godnością przez drzwi, które Ilka, machając przy twarzy dłonią jak wachlarzem, szybko mu otworzyła. Potem podzieliłyśmy się pracą.

Ilka poszła wyrzucić obornik, a ja, klnąc i złorzecząc Zbierackiemu, zaczęłam rozglądać się za owsem. Gdy skończyłyśmy z końmi, zajęłyśmy się świniami, owcami, potem wypuściłam kury i kaczki, sprawdziłam poidła i automaty z ziarnem. Ilka była niezłomna i wydawała się zadowolona. Została nam dziwna okrągła obórka, w której pierwszego dnia widziałam czarno-białą jałówkę. Żalodne ryczenie potwierdzało, że krowa jest głodna.

Pchnęłam drzwi. Nie drgnęły. Spróbowałam jeszcze raz. Ustąpiły na tyle, że wsadziłam do środka rękę. Przejechałam nią z góry na dół. Na dole pod drzwiami coś było. Zaparłam się biodrem.

— Jałówka położyła się pod drzwiami — uświadomiłam Ilkę. — Pomóż mi.

Naparłyśmy razem. Coś miękkiego przesunęło się z oporem. Wsadziłam do

środką głowę. Krowa stała półtora metra dalej przy ścianie. Pod drzwiami zaś dojrzałam najpierw kawałek szmaty wystającej z obornika, potem ciemny kształt przysypany niedbale słomą. Powiedzenie, że zrobiło mi się nieprzyjemnie, było wielkim eufemizmem.

Mięśnie na karku się spięły, a adrenalina buchnęła w żyłach. Pchnęłam mocniej. Ciężki kształt przesunął się o kolejne centymetry. Przekraczając go ostrożnie, weszłam wreszcie do środka. Na zarzuconej słomą posadzce leżał człowiek.

— Zaruba? — powiedziałam ni to do siebie, ni to do Ilki. — Chyba nie żyje. Chodź tutaj.

Mężczyzna leżał w głębokim cieniu, w obórce było mało światła, ale i tak widziałam, że patrzył na mnie z jakimś zdziwieniem, a jednocześnie z okropną nieruchomością. Palcem wskazującym dotknęłam jego twarzy. Była zimna i zastygła.

— Chyba nie żyje — powtórzyłam zdrętwiałymi ustami i spojrzałam na Ilkę, która z głową w szparze zasłaniała mi nędzne światło.

— O kurwa! Pokaż! — Przepchnęła się przez szparę w drzwiach. Dotknęła nieogolonego policzka, lekko poklepała, w końcu zamknęła mu oczy. — O kurwa! — Wyprostowała się. — Dziwne. Jakby chciał coś powiedzieć.

— Chyba nie żyje. — Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Nagle miałam w niej czarną dziurę i kompletnie nie wiedziałam, co robić.

Wyszłam na zewnątrz. Wygrzebałam z kieszeni zapomnianego pogniecionego papierosa i zapalniczkę. Zaciągnęłam się. Dym przyjemnie wypełniał płuca. Nikotyna docierała do mózgu, uaktywniała synapsy i karmiła je substancjami smolistymi. To było wspaniałe. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to normalna reakcja. Ale skąd miałam wiedzieć, jaka reakcja jest normalna, gdy znajdzie się nieboszczyka w komórce u jałówki.

— Jadę do wsi po fajki — znalazłam rozwiązanie.

— Może wezwiesz policję? — Ilka postukała palcem w moją komórkę,

a jednocześnie zaniepokojona przyglądała się krowie, przytulonej ze strachu do ściany. — Cały czas ryczy. Może ona się boi?

Przetałam czoło, które mimo zimna miałam spocone.

— No i co teraz zrobimy?

— Wyciągniemy go na zewnątrz?

W tym momencie dotarło do mnie, że za drzwiami komórki mamy prawdziwego nieboszczyka, a co za tym idzie — problem. Na wszelki wypadek spróbowałam zbadać puls na szyi Zaruby, ale niczego nie wyczułam. Zrobiłam to samo na swojej szyi. Również niczego nie wyczułam. Ilka przyglądała mi się z uwagą.

— Trzeba mieć wprawę w badaniu puls — poinformowała. — To nie film ani żaden twój kryminał.

— Może on żyje — wyraziłam nadzieję, którą Ilka skomentowała pełnym wątpliwości chrząknięciem.

Wyobraziłam sobie kręcącą się po obejściu policję. Szlag trafi moje pięć obrazów, chyba że nauczę się malować w warunkach permanentnego stresu. Mało tego, nawet gdybym zdecydowała się wyjechać, to policja pewnie i tak mi nie pozwoli.

— I kto to wszystko będzie karmił? Przecież to żre i sra! — krzyknęłam, kopiąc pustą beczkę po ropy. — Irlandczyk jeden! Gównno go to wszystko obchodzi.

Ilka przyglądała mi się z dziwnym wyrazem twarzy.

— Co?

— Mati! Ty nie masz żadnej depresji. To wspaniale! — zdiagnozowała i wyjęła mi z ręki komórkę.

Najpierw przyjechała karetka. Policjanci, z komisarzem Markiem Mleczo na czele, pojawili się po godzinie, w dwóch radiowozach. Zrobili sesję

zdjęciową. Pobrali odciski palców, wykonali odcisk krowiego kopyta. Oczywiście niczego nam nie tłumaczono. Kazano pójść do mieszkania i nie przeszkadzać. Godzinę i dwadzieścia minut później przyszedł komisarz.

Był przystojnym i postawnym mężczyzną, włosy miał ścięte na jeża. Wyraźnie widoczne pod kurtką bary świadczyły o wieczorach pracowicie spędzanych na siłowni. Ilka szturchnęła mnie zafascynowana, gdy mężczyzna wyjął notatnik i usiadł za stołem w kuchni.

— Napije się pan czegoś? — zapytałam.

Włączyłam czajnik. Duże, szare oczy komisarza skanowały moją twarz, brudne spodnie i śmierdzącą obornikiem kurtkę. Usta rozciągnęły się w uśmiechu.

— Ten strój do pani nie pasuje — uznał.

Spojrzałam na niego w milczeniu. Facet widział mnie pierwszy raz w życiu. Co mógł na mój temat wiedzieć? Owszem, miałam znajomości w katowickiej policji, niektórzy funkcjonariusze czytali kryminały, wierzyłam, że również moje. Ale tutaj, na wsi zabitej dechami, zwykły wiejski policjant nie miał prawa mnie kojarzyć.

— Do kościoła się nie wybieram. Zwierząt doglądałam. — Wyjęłam z kieszeni skórzane rękawice i rzuciłam je na podłogę. — Ilka, zrób coś do picia. Dla mnie kawa — dodałam tonem pani na zamku.

Przeprosiłam komisarza i poszłam do łazienki. Zamknęłam drzwi, spojrzałam w lustro i podsumowałam głośno:

— Dupek!

W sypialni przebrałam się w zimowe grube legginsy i długi obcisły czarny sweter z mocno wyciętym dekoltem. Byłam szczupłą, ale nie chuda, więc mogłam sobie pozwolić. Dyskretnie pociągnęłam rzęsy tuszem i przygryzłam usta. W obliczu śmierci należy... Teraz do mnie dotarło.

— Cholerny Władek! — ulżyłam sobie, ale bardziej byłam chyba wściekła na Zarubę. Dać się tak głupio zabić. Zabić? Przecież on mógł dostać zawału,

po prostu. Ostatnio wszędzie widziałam kryminał. Zrobiło mi się głupio. Poznałam Zarubę, wprawdzie rozmawiałam z nim tylko dwa razy, ale jakoś go jednak znałam. Nie da się ukryć, że jego śmierć mną wstrząsnęła. Co innego o tym pisać. Przez całe ciało co chwila przewalała mi się nieprzyjemna fala energii i gdyby nie przyzwyczajenie, by wszelkie niezwykle sytuacje obserwować niemal pod mikroskopem, sądziłabym, że zachorowałam na febrę i malarię jednocześnie. Uczucia podobnie, zmieniały się falami. Złość wyprzedzała współczucie i odwrotnie. Powinnam to zneutralizować. Weszłam do kuchni. Komisarz pił kawę i coś pisał. Na mnie nie spojrzał.

Najbardziej nie lubiłam tej otoczki władzy i arogancji. Ciągnęła się za policjantami niczym smuga kondensacyjna za samolotem. Ręce mi się trzęsły. Miałam ochotę kląć, a najlepiej rozładować się fizycznie. Długi spacer w błocie odpadał, nie miałam zamiaru wlec się w gumowcach, ale gdzieś w pobliżu powinien być jakiś klub fitness. Gdyby Ilka wiedziała, o czym myślę, zamknęłaby mnie na oddziale. A może nie, może by zaleciła? Jej to nie ruszyło? Przyjrzałam się, jak unosi kubek do ust. Ręce jej się nie trzęsły, ale była blada. Powinniśmy pojechać razem i poszukać jakiejś siłowni. Teraz nawet na wsiach je robią, choćby w remizach strażackich. Sprawa będzie się ciągnąć... Dotarło do mnie, że jest w ogóle jakaś sprawa. Przecież to się nie skończy na jednorazowej wizycie glin.

— Gdzie pan chodzi na siłownię?

Komisarz otworzył usta i przez chwilę trwał jak zawieszony.

— A co to ma do tego tam? — Pokazał głową w kierunku zabudowań gospodarczych. — Jestem silny, ale nie będę tego oporządzał.

— Nie, nie o to mi chodziło. Potrzebuję... wysiłku fizycznego. W ramach ucieczki przed stresem.

— A... — Kiwnął ponownie w stronę obory. — Tamto pani nie wystarczy? To ciężka fizyczna praca.

Spojrzałam na niego.

— Nie rozumiem. W jakim sensie to ma mi wystarczyć? I jakie to?

— Zamiast siłowni. — Twarz rozjaśnił mu chłopięcy uśmiech. — Ktoś powinien zadbać o zwierzynę. Pan Zaruba raczej nie może. Gospodarza nie ma, a pani pilnuje jego domu. To pani słowa.

Święta Tereso, miał rację. Ze znalezieniem kogoś może być problem. Ujrzałam siebie koczującą pod sklepem i namawiającą stałych bywalców, by się oderwali od butelki i chwycili za widły. Wolałam już areszt.

— Może nas zamkniecie? — Zaryzykowałam kontakt wzrokowy. — Wtedy policja będzie musiała kogoś tu zatrudnić.

— Musiałaby się pani przyznać do zamordowania Arkadiusza Zaruby. — Komisarz przysłonił oczy długimi rzęsami i przycisnął kartki w notesie, żeby się nie zamykał. — Słucham wobec tego.

Nie miałam bladego pojęcia, jak facet zginął. Było widać jakiś wyrzut w oczach denata, chęć podzielenia się wiedzą, ale żadnej rany, dziury po kuli, noża na widoku ani pętli na szyi. Co prawda nie przyglądałam się dokładnie.

— Yyy — odparłam.

Komisarz wyduł mocno zarysowane wargi.

— A może pani wie, jak koleżanka go zabiła? Pani się nazywa? — Zwrócił swój niedogolony profil ku Ilce, ale zaraz zerknął do notesu. — A, przepraszam, pani Ildefonsa Sierocińska. Pani Ildefon...

— Ilko, Ilko — jęknęła moja przyjaciółka.

Komisarz Mleczek spojrzał jeszcze raz w notatki z naszymi danymi spisanyymi z dowodów osobistych.

— Czym się pani zajmuje, pani Sierocińska?

Ilka się przygarbiła.

— Jestem psychiatrą — wyznała, czerwieniąc się.

Nie lubiła mówić o sobie. Peszyła się jednak tylko wśród laików. Była

kimś, ważną personą, lecz czuła się tak jedynie w gronie kolegów po fachu. Odsunięta od obowiązków zawodowych zachowywała się jak szara mysz i moim zdaniem potrzebowała pomocy specjalisty. Komisarz Mleczko na moment zastygł w namyśle, zaraz jednak się ocknął.

— A pani? Pani Dominik? Jaki zawód pozwala pani planować tutaj roczny pobyt? Ktoś panią utrzymuje? — zapytał z ironicznym uśmiechem.

Kretyn i seksista.

— Jestem pisarką, a... teraz malarką — odpowiedziałam, a rumieniec załał mi twarz.

Komisarz odchylił się na krześle. Wyciągnął przed siebie długie nogi. W standardowej kuchni pewnie by się nie zmieścił, ale to była izba zamkowa. Oparł się zatem wygodnie i błędził wzrokiem od Ilki do mnie. Usta mu drgnęły, ale nic nie powiedział. Patrzył na mnie jak entomolog i milczał. Po minucie uśmiechnął się z politowaniem.

— Już panie widzę przy pracy — powiedział. — Okej. Załatwię kogoś do tego obroczenia czy jak to się nazywa.

— Będziemy wdzięczne — rzekłam, hamując rozdrażnienie.

Gdy wsiadał do samochodu, stałyśmy w oknie, patrząc, jak odjeżdża.

— Dupek.

— Owszem, ale ładny — uzupełniła Ilka.

Przez chwilę przyglądałyśmy się sobie bez słowa.

— Mamy problem — zawyrokowała przyjaciółka.

— Obiecał, że kogoś załatwi.

— Ja nie o tym. Ty też byłaś czerwona jak piwonia.

Machnęłam ręką. Wiedziałam, o czym mówi. Byłam dumna z tego, co robię. Mogłam sobie pozwolić na malowanie sennych wizji, tym bardziej że ludzie przychodzili je oglądać, a niektórzy nawet kupowali. Stać mnie było

na pisanie kryminałów, wierszy, na budowanie zamków z piasku. Te również jakimś cudem znikają jak świeże bułeczki. Stać mnie było, cholera, nawet na łapanie motyli czy zakładanie pchlego cyrku. Przecież nie musiałam pracować. Szlag by go trafił! Pomimo że mogłam wszystko, czułam się głupio.

— To ten jego parszywy uśmieszek! — Kopnęłam krzesło, na którym siedział parę minut wcześniej. — Manipuluje nami. Wyzwała w nas brak pewności siebie, umniejszenie wartości, a tym samym większą uległość. Sądzę, że trenuje na nas techniki przesłuchań. Dla psychiatry powinien mieć jednak szacunek.

— Udało mu się to zrobić kilkoma zdaniem i jednym uśmiechem. Dobry jest.

Zastanowiłam się.

— À propos, jakim cudem masz taki długi urlop? — zapytałam, świadoma tego, że nigdy nie miała czasu. Nie wyjeżdżała na egzotyczne wczasy, nie licząc jednej wycieczki do Egiptu. Zakopana w pracy zawodowej leczyła chore głowy, większość czasu jednakże spędzała na uczelni. Nie miałam pojęcia, co wykładała. W tej dziedzinie byłam niedoinformowana, ale to były szczegóły jej zawodu, ona też nie przepytowała mnie, co akurat maluję albo piszę. Wiedziała jednak, że do Egiptu zamiast z Andrzejem leciała z czterema koleżankami, z czego dwie były mężatkami, a dwie starymi pannami po czterdziestce. To był jedyny jej wyjazd rekreacyjny, sympozjów nie liczyłam. — Ty o tym miesiącu czy też sześciu tygodniach tak poważnie mówisz? Nie obraż się, Ilka, ale jak można dostać sześć tygodni urlopu? I nie myśl, że jestem niegościnna. Ciekawi mnie tylko... Poważnie mówiłaś? Jesteś chora!

— Nic mi nie jest, dawno szukałam pretekstu, by zrobić coś takiego, co ty zrobiłaś. Jak cię wkurzam, to powiedz, wyjadę.

Poszła do kuchni. Słyszałam, że znowu nastawia wodę.

— Chcesz kawy?

— Nie. Cała się trzęsę. Napiję się białej herbaty. W szklanej szafce stoi — krzyknęłam za nią. — Sobie też zrób. Jest fantastyczna.

Minął kwadrans, potem jeszcze dziesięć minut. Nie wiedziałam, jak zareagować. W końcu Ilka wkroczyła z tacą, na której stały parujące filiżanki, a obok nęcąco dymiły dwa duże omlety polane syropem klonowym.

— O!

— Głodna byłam. — Spojrzała na mnie z poczuciem winy. — Już siódma. Zauważ, że porę obiadową spędziłyśmy, deliberując nad trupem.

— Sądysz, że mają wobec nas podejrzenia? — zapytałam z nadzieją, że Ilka zna się na rzeczy lepiej niż ja. To ona wpuszczała przez kilka lat do łóżka policyjnego profiler. Liczyłam na pewne korzyści z tej znajomości. Poza tym była psychiatrą, więc powinna być zainteresowana dziwnym zejściem.

— Alibi nie mamy, ponieważ dajemy je sobie wzajemnie. To się nie liczy.

— Zastanawiam się, czy u komisarza inteligencja jest wprost proporcjonalna do urody.

— Sądząc po tym, jak nas zmanipulował i ocenił, to chyba wprost.

Znałyśmy się jak łyse konie. Żadna nie potrafiła ukryć przed drugą najmniejszego sekretu, tym samym i kompleksy widziałyśmy jak w zwierciadle. Ilka pracowała w zawodzie od dziesięciu lat, zdążyła zrobić dwa stopnie naukowe, świetnie czuła się w dziedzinie, która ją fascynowała od czasu, gdy swoje rubinowe loki nosiła spięte w kucyki. To było coś, co sprawiało jej przyjemność, jednakże odnajdywała się tylko wśród swoich. Z laikami nie miała o czym rozmawiać. I chociaż znała mechanizm, wyobcowana — nie radziła sobie z kompleksami.

Ze mną było podobnie. Nie traktowałam siebie poważnie. Uważałam, że nie pracuję, tylko dobrze się bawię i w dodatku dostaję za to pieniądze. Tłumaczyłam sobie, że tancerka, piosenkarka czy malarka mają podobny problem. Wstydziałam się, że zajmuję się czymś tak trywialnym jak wymyślanie bajek dla dorosłych, tym bardziej że moje powieści to było

mroczne fantasy albo zwykłe kryminały, a obrazy przedstawiały w większości skrzydlate smoki.

— Nie da się ukryć, kochana, jesteśmy nadal małymi dziewczynkami — powiedziałam z rezygnacją.

— Mów o sobie. Ja jestem poważnym pracownikiem naukowym. W moim świecie personą.

Spojrzałam na nią, mrużąc oko.

— W twoim świecie! Powiedz to tatusiowi. Zapomniałaś, jak nadawał ci od czubków?

Ilka przygryzła wargę.

— Jeśli nas nie zamkną, to zostanę tutaj te sześć tygodni, o ile mi pozwolisz. Pojadę w niedzielę do Katowic, ale wrócę. Powinam odpocząć — powiedziała cicho, a ja bezwolnie skinęłam głową. Wyraźnie coś ją uwierało.

Ogień w kominku trzaskał, podnosząc temperaturę w pomieszczeniu. Wracałam do równowagi. Zeszłam do podziemi, wciągnęłam w płuca zapach pleśni i wilgoci, rozgarnęłam trzy pajęczyny i wyłowiłam z drewnianej, zapchanej butelkami półki czerwone wino z zamazaną naklejką. Wszystko pokrywała klejąca się warstwa kurzu.

— Cóż to za skarb? — Ilka uważnie oglądała czarną butelkę w świetle ognia.

— Nie chciało mi się czytać. Musisz wiedzieć?

Z witryny jednego z wielu antyków stojących w salonie wyjęłam dwa kryształowe kieliszki. Butelkę umyłam pod kranem i wytarłam papierowym ręcznikiem.

Ilka podstawiała swój kieliszek.

— Nie muszę wiedzieć — roześmiała się trochę smutno. — Mati, z twoich rąk wypiję wszystko. — Umościła się w fotelu i uniosła nogi, kładąc je

na starym skórzanym podnóżku. Powąchała trunek. — Pachnie zachęcająco.

Zrobiłam to samo. Oczywiście wyobraźni ujrzałam winnicę, poczułam zapach włoskiej kantyny i czerwień zachodzącego słońca.

— Dobrze, bardzo dobrze. Ale, wiesz, mam opory, nie wiem, czy możemy tak sobie korzystać.

— Należy się nam. Myślisz, że ktoś go zabił? Że to nie krowa? Może jednak dostał zawału?

Te pytania zawisły nad nami niczym chmura gradowa. Nie umiałyśmy na nie odpowiedzieć i przynajmniej ja postanowiłam odpuścić. Na razie.

Wino okazało się wytrawne, bogate, niemal gęste. Udało mi się nawet nie myśleć o minionym dniu. Grzałyśmy nogi, wystawiając je do ognia. Napięcie nas opuściło. Czasem tylko przypominało mi się, że znalazłyśmy martwego człowieka. Jednak zmęczenie zwyciężyło. Odpłynęłam.

Gdy rozległ się łomot, byłyśmy podobnie rozedrgane i półprzytomne. Hałas trwał dłuższą chwilę. Serce poderwało mi się do biegu.

— Spałam? — Zdziwiona Ilka o mało nie spadła z fotela.

Szukałam kapci. Ilka ruszyła do drzwi, ja do okna.

W świetle jednej lampy umocowanej nad drzwiami i drugiej, większej, wiszącej na środku dziedzińca na betonowym słupie, nie było widać niczego niepokojącego. Zdjęłam z wieszaka kurtkę i włożyłam stojące przy drzwiach buciory.

— Latarka jest w kuchni w górnej szufladzie komody! — zawołałam.

— Jeśli to drugi nieboszczyk, to chyba mnie szlag trafi — ostrzegła, ubierając się, Ilka. — Idę z tobą.

— To weź komórkę, gdyby trzeba było dzwonić. I drugą latarkę.

Numer do komisarza wklepałyśmy obydwie. Taki nawyk.

Sprawdziłyśmy plac i ogrodzenie. Poświeciłam po dachu. Wszystko wydawało się na swoim miejscu. Niczego nie przybyło, na przykład sterty kamieni, mimo że słyszany odgłos przypominał rozładunek tira. Dzięki interwencji komisarza zwierzyna miała być uporządkowana przez litościwego policjanta, który mieszkał we wsi i potrafił to zrobić, a to, że się zgodził, było zasługą Mleczki. Niczego o facecie nie wiedziałam, lecz skoro naraił go stróż prawa, nie było powodu wybrzydzać. Mężczyzna podobno znał Władka. Obiecał zająć się wieczornym karmieniem. Niestety tylko raz. Całodobowo nie miał zamiaru pracować.

Zatrzymałam się.

— Ilka! Ostatecznie mogłyśmy niczego nie słyszeć. Mogło nas nie być w domu. Może wróćmy. Cholera wie, od czego ten rumor.

— Jednak podejrzewasz coś złego! — Chwyciła mnie za rękę.

Zatrzymałyśmy się. Niebo ciemne jak przepuszczająca dziurawa płachta wisiało nad nami, zsyłając strugi deszczu. Do tego nieprzyjemnie wiało.

— A jeśli znajdziemy tam policjanta?

— U jałówki? — Ilka zaświeciła mi w oczy. — Tym bardziej muszę wiedzieć, nie zasnąłabym. — Poszła, rozchlapując błoto i szurając zbyt dużymi gumofilcami.

Ruszyłam za nią, omijając kałuże o oleistej, brązowej barwie. Metaliczna woń deszczu wypełniała nozdrza. W części gospodarczej panował spokój. Posłuchałam pod stajnią. Cisza. Z chlewika dochodziło świńskie ciamkanie. Poza tym nic się nie działo prócz tego, że wiało coraz mocniej. Zapaliłam papierosa, osłaniając się od deszczu i chowając za murem.

— Ja tam zajrzę — zdecydowała Ilka i skierowała się do obórki.

Chwilę za nią patrzyłam, nasłuchując. Nie wrzeszczała. Uspokojona ruszyłam do owiec. W powietrzu unosił się zapach amoniaku i baraniego potu, ale tutaj również panowała cisza. Ogrodzenie z desek, którym oddzielono owczarnię od reszty służącej jako magazyn, sterczało

w kawałkach połamane. Wielkie przesuwne wrota od stodoły leżały na ziemi upstrzone czarnymi bobkami. Ślady wiodły w kierunku lasu. Gdy zgasilałam latarkę, zapanowała absolutna ciemność. I co teraz? Dlaczego zostawiłam ciepłe i wychuchane mieszkanie w Katowicach, bez zwierząt, bez obornika, bezpieczne i pachnące? Wiedziałam dlaczego. Odstraszyła mnie moja suknia ślubna wciśnięta do plastikowego kosza na brudną bieliznę.

Nie zauważyłam, kiedy podeszła do mnie Ilka. Omiotła latarką obsrane wrota i pusty boks.

— Uciekły — powiedziała z radością. — A trupa nie znalazłam.

— Nie masz przypadkiem telefonu do tego policjanta? Do rana wilki je zeżrą.

Ilka złapała mnie za rękaw.

— Tutaj są wilki?

— Nie mam pojęcia.

— Może ich poszukamy? — W jej głosie słychać było obrzydliwy entuzjazm.

— Wilków?

— Owiec, idiotko!

— Ciemno tam — szepnęłam wymijająco. — Wolałabym wrócić i zatelefonować w parę miejsc.

Moja towarzyszka nie ruszała się z miejsca.

— Zadzwoń do Mleczki stąd — powiedziała po długiej chwili.

Zadzwoiłam. Nie odbierał.

— Tak tego nie zostawimy — postanowiła.

— Ja zostawię. — Ruszyłam do domu.

— Matyldo Dominik!

Szłam przekonana, że musimy wezwać pomoc. Same nie damy rady.

— Może ktoś specjalnie wypuścił te barany? — krzyknęłam, oddalając się.
— Parobek nie żyje. Co, jeśli ten policjant leży gdzie indziej?

Nagle z daleka doleciało słabe pojedyncze „meeee”.

Ilka pobiegła, przyświecając sobie latarką. Zakląłam pod nosem. Jeszcze chwila, to i jej będę szukać.

— Czekaj, wariatko! Chcesz je zaganiać jak collie? — Wróciłam do stajni, wzięłam dwa metalowe wiadra i nasypałam do każdego z nich po szufelce ziarna. — Będziemy tym potrząsać. One są chciwe.

— Dużo o nich wiesz.

— Woląabym nie.

Poruszyłam wiadrem. Zagrzechotało. Drugie wręczyłam Ilce.

Na horyzoncie, wysycona lśniąca czernią, majaczyła ściana lasu. Potrząsając wiadrem, zastanawiałam się, jak trafimy z powrotem.

— Zaczekaj na mnie, Mati. — Ilka wróciła do stodoły i po chwili oślepiło mnie jaskrawe światło z wielkiej żarówki dyndającej na kablu pod sufitem. — Będziemy miały latarnię morską — wydyszała. — Oświetli nam drogę powrotną jak marynarzom na morzu. Idziesz?

— Idę, idę. — Wcale nie czułam się jak marynarz, mimo że ziemia pod nogami wyrastała w zaskakujących miejscach tylko po to, by za chwilę obniżyć się niespodziewanie.

Ilka szła trzy kroki przede mną. Wyprzedzał ją owalny świetlny krąg z latarki. Spod lasu znowu dobiegło pojedyncze beknięcie. Dalekie i niewyraźne. Machnęłam latarką w tamtym kierunku, przestałam patrzeć pod nogi i poślizgnęłam się, podpierając się rękoma. Czułam, że za chwilę zacznę płakać.

Ilka postawiła wiadro i wytarła czoło.

— Nie świeć mi w oczy i wstań w końcu.

Rękawem przejechałam po twarzy. Owce milczały. Oświetlone wrota stodoły były coraz dalej. Po kwadransie potykania się Ilka stanęła jak wyżeł. Wyraźnie dostrzegłam, jak porusza nozdrzami.

— Ciii... — Położyła palec na ustach, nabrała głęboko powietrza i wydała z siebie rozpaczliwy, przejmujący bek, jakby stara owca wołała swoje dzieci.

Czułam, że za chwilę wpadnę w histerię. Nagle spod lasu odezwało się nieśmiałe i przytłumione „meee”.

— Mee... — zaśpiewała Ilka.

— Meeeee! — wyrwało mi się i zatkałam usta dłonią.

Od strony lasu narastał odgłos pędzącego stada.

— Biegiem! — ryknęłam, słysząc, jak z ogólnego meczenia wyodrębnił się głos mocniejszy, grubszy, z nieznaczną chrypką i nasiąkłym testosteronem vibrato. — Pospiesz się! — Splunęłam gliną.

Zatrzymałam się pod stodołą przed wysoką na półtora metra kupą buraczanej kiszonki. Rozlazłe, miękkie parujące świństwo. Śmierdziało strasznie. Gdy zwiedzałam z Zarubą gospodarstwo, z pewnością tego nie było. Kwaśne, wkręcające się w nozdrza ciepłe opary unosiły się w powietrzu, roztaczając zapach enzymów trawiennych. Zacerpnęłam powietrza przez usta. Na szczęście pierwsze owce wskakiwały już kopytami do koryt. Uniósł się odór amoniaku. Część stada biegła prosto na Ilkę.

— Uważaj! — wydarłam się, aż zabolowało mnie gardło.

Na szczęście Ilka zdążyła się przykleić do ściany. Ostatnie owce wpadły do środka i odetchnęłam z ulgą. W tym momencie poczułam pchnięcie w tyłek i wzbiłam się w powietrze. Wylądowałam w czymś ciepłym, dusznym i cuchnącym, zanurzona po ramiona.

Minęła wieczność, zanim poczułam, że ktoś ciągnie mnie za stopy.

Wydmuchałam nos, przetałam palcami oczy i wsłuchałam się, jak wewnątrz mnie narasta głuche wycie. Mogłam zadać śmierć. Tak, mogłam

to zrobić bez trudu.

Tryk sterczał z opuszczonym łbem i łypał na mnie bardziej z ciekawością niż złowrogo. Rozejrzałam się.

— Zostaw te widły! — krzyknęła Ilka nadal przyklejona do ściany. — Zwariowałaś?

— Jeszcze nie, ale tekst dobry. — Zważyłam widły w rękach. — Potem mnie wyleczysz, a Władkowi powiem, że to wilki.

— Matyldo, natychmiast odłóż te widły. Odnoszę wrażenie, że ty nie lubisz zwierząt.

Zerknęłam z nienawiścią w baranie ślepia i zaczęłam liczyć oddechy.

Dwadzieścia pięć minut później miałyśmy gotową prowizorkę ogrodzenia.

— Miejmy nadzieję, że nie sforsują — westchnęłam, wycierając twarz nie tylko z potu. Zastanawiałam się nad dodaniem do kąpieli domestosu, nad tym, co tutaj robię i jak daleko zaszłam od momentu, gdy Seweryn zostawił mnie przed ołtarzem.

Przed drzwiami rozebrałam się do bielizny. Śmierdzące ubrania zostawiłam na zewnątrz, odkopując je z obrzydzeniem pod ścianę. Ilka w środku dokładała już do kominka. Udawała, że nie widzi.

Gdy wyszłam z łazienki, siedziała zapatrzona w ogień i rozmawiała przez telefon. Zrobiłam herbatę. Mycie zębów niewiele pomogło. Kiszonkę buraczaną czułam nawet w gardle. Gdy usiadłam przy kominku z filiżanką, pani psychiatra postawiła przede mną pękaty kieliszek koniaku.

— Pij! — Kąciki ust jej drgały.

— Słowo honoru, zabiję, jeśli wydasz z siebie najmniejszy dźwięk.

— Pij. Ludzie zdecydowanie przesadzają z lekami uspokajającymi.

Lekarstwo miało całkiem przyjemny smak, więc kurowaliśmy się jeszcze

kilka razy. Może dlatego żadna z nas nie usłyszała pukania do drzwi. A może żadnego pukania nie było? Po prostu w pewnej chwili komisarz Mleczek stanął nad nami, a zegar wybijał północ.

— Wszelki duch! — jęknęła Ilka.

— Przepraszam. Drzwi były otwarte.

Wskazałam wolny fotel i butelkę.

— Przyszedł pan nas aresztować? — Zerknęłam na stół. Moja koniakówka stała pusta, Ilki podobnie. Butelka zaś opróżniona była w ponad połowie.

— Jeszcze nie. Wracam z Pyskowic — powiedział Mleczek. — Po drodze spotkałem dworskiego barana. À propos, to dziwadło powinno się nazywać Barani Dwór, a nie Sarni. Przywiązałem go do słupa telefonicznego. Możecie go sobie panie zabrać. To trzy kilometry stąd.

Popatrzyłam w górę, bo Mleczek stał nad nami jak wyrzut sumienia. Miał kapitalną budowę, coś, co rzadko się zdarza u normalnych mężczyzn zamieszkujących zwykle miejscowości i zajmujących się przeciętnymi sprawami. Widać było, że ćwiczył, ale nie nadmiernie. Udało mu się nie zepsuć naturalnych atrybutów.

— Niech pan sobie klapnie. — Machnęłam ręką. — Nie ma pośpiechu z tym trykiem. Przy okazji chciałam prosić o telefon do młodego policjanta, który oporządzał to zoo. Muszę z nim poważnie porozmawiać.

— Teraz będzie pani dzwonić?

— A czemu nie? Skoro pan o tej porze wpadł z wizytą...

— Przepraszam najmocniej. Przyjechałem, ponieważ z daleka widać pełne oświetlenie. W pierwszej chwili pomyślałem, że coś się stało. — Wzrok mu spoczął na butelce z koniakiem.

— Spodziewał się pan morderstwa? Nie jestem pewna, czy ten policjant, który karmił tutejsze zwierzęta, nie leży gdzieś poturbowany, ale u jałówki go

nie ma. A tryk uciekł przede mną. Przez chwilę pomyślałam o zrobieniu z niego kielbasy jałowcowej. Krzyż mu na drogę.

— Ona go nie lubi — odezwała się Ilka, zaglądając do pustego kieliszka.

Poprzestałam na spojrzeniu. Wszyscy dzisiaj bazowaliśmy na spojrzeniach. Jeszcze trochę, a w ogóle nie będzie trzeba używać języka. Przyniosłam kieliszek i nalałam komisarzowi.

— Ja samochodem.

— Zadzwoń pan po radiowóz, a po drodze mogą zabrać tryka, o ile to nasz. A co, jeśli cudzy?

— No właśnie — odezwała się Ilka niewyraźnie, podstawiając mi kieliszek. — Wtedy to będzie kradzież.

Posłałam jej uśmiech. Miałam ochotę sobie również dolać, bo czułam się coraz fajniej, ale się zawahałam. Zapach kiszonki osiadły w zatokach z wolna się ulatniał i zaczynały do mnie docierać normalne wonie. Komisarz pachniał Lalique. Pociągnęłam kilka razy nosem.

— Czujesz coś? — zatroskała się Ilka.

— Bardziej śmierdziało przed drzwiami — doprecyzował Mleczek.

W towarzystwie tylko ja miałam szlafrok i wilgotne włosy. Nie trzeba było być geniuszem, by wydedukować, kto się rozbierał.

— Macie mordercę parobka? — zapytałam.

— Arkadiusz Zaruba nie jest parobkiem.

— Nie jest? Zaruba żyje?

— Owszem. Popadł w katatonię.

— To wspaniała wiadomość! — Ilka poliała sobie i zatrzymała się nad moim kieliszkiem.

Komisarz się skrzywił.

— Nie powiedziałbym, że katatonia jest wspaniałą wiadomością.

Pani doktor machnęła ręką.

— Zażywał jakieś leki? Może miał parkinsona? Zresztą wszystko jedno, ja mam urlop, a wiadomość jest wspaniała, gdyż nikt nie będzie się czepiał naszego alibi albo raczej jego braku. Poza tym żyje, człowiek żyje!

— Zdrowie Arka Zaruby! — wzniosłam toast.

— No dobrze, w takim razie wezwę ten radiowóz. — Mleczko uniósł swój kieliszek. — Przed drzwiami leżą jakieś ubrania... Co się stało, pani Matyldo?

— Może jeszcze w szczegółach? — starając się nie warczeć, wyszłam.

Zamknęłam drzwi od łazienki, przed lustrem obwąchałam przedramiona i włosy. Te ostatnie zwisały w strąkach i nadal cuchnęły. Mogłam wiele znieść, ale nie insynuacje, że śmierdzę. Puściłam wodę do wanny i wsypałam cały słoik soli z Morza Martwego. Dolałam do tego żelu o zapachu drzewa sandałowego i zanurzyłam się po szyję. Po godzinie, gdy woda już stygła, usłyszałam nieśmiałe stukanie.

Ilka by weszła, pomyślałam.

Zadarłam gwałtownie nogi, usiłując usiąść.

— Pani Matyldo! Żyje pani?

Ponieważ nie byłam pewna, czy zamykałam drzwi na klucz, złapałam ręcznik i odruchowo się zasłoniłam.

To było bardzo chłonne prześcieradło ze specjalnego frotté, które kupiłam w Egipcie. Gdy z trudem je uniosłam, wody w wannie wyraźnie ubyło.

— Coś się stało? — zawołałam.

— Sprawdzam, czy pani żyje. Zniknęła tu pani przed godziną. — Głos Mleczki był niewyraźny.

Zawinęłam się w błękitny ręcznik Ilki i kuląc palce na zimnej podłodze, otworzyłam drzwi łazienki.

Komisarz stał w nonszalanckiej pozie, oparty jedną ręką o ścianę. Dopiero teraz dostrzegłam, że miał na sobie jasnobezowy pulower w szpic z miękkiej wełny, prawdopodobnie wielbłądziej. Moja mama miała kiedyś coś takiego. Potwornie drogie. Obcisłe dzinsy podkreślały wszystkie mięśnie na udach i ładnie rozwinięte łydki. Obcięte przy skórze włosy nadawały jego twarzy wygląd luksusowego goryla. Z przyjemnością pomyślałam, że byłoby mnie stać na takiego.

— Proszę dołożyć do kominka — rzuciłam przez ramię i ruszyłam do sypialni. Komisarz nie drgnął, jednak jego wzrok snuł się za mną, co czułam nie tylko na plecach, ale moje biodra doskonale znały tę grę.

W sypialni długo zastanawiałam się nad tym, co włożyć. Nie patrzyłam na zegarek, ale trochę mi to zajęło. W końcu wybrałam cienkie czarne legginsy i taką samą koszulkę na ramiączkach, bardzo obcisłą. Na wierzch zarzuciłam długi do ziemi sweter z kaszmiru zrobiony ręcznie przez mamę. Był tak luźno tkany, że niemal przezroczysty, i mógł udawać szlafrok, jednocześnie podkreślając to, co trzeba.

Spojrzałam w lustro umieszczone w szafie i z przyjemnością stwierdziłam, że dzisiejsze wydarzenia nie odcisnęły na mojej twarzy żadnych trwałych śladów. Mało tego, wyglądałam jak po liftingu.

Ogień w kominku płonął, przyjemnie trzaskając. Ilka spała w fotelu, mniej więcej co minutę wydając z krtani delikatne chrapanie. Komisarz zniknął. Sprawdziłam w kuchni.

Robił kawę.

— Uśpił ją pan.

— Pani doktor sama się uśpiła. — Spojrzał na mnie w tak przeciągły sposób, aż zrobiło mi się przyjemnie. — Ale nie dziwię się, bo to był ciężki dzień. Pani nie czuje się zmęczona po tym... incydencie z owcami w silosie?

— Ilka zdążyła panu powiedzieć?

— Broń Boże. Sam dedukuję.

— Kiszonki działają odmładzająco i przeciwreumatycznie. —
Uśmiechnęłam się, poklepując policzki.

Mleczek rozdał nieufnie nozdrza, obszedł mnie wkoło i pociągnął nosem.

— Dobrze. Zrozumiałem. Ale dlaczego chciała pani robić kiełbasę z tryka?

Westchnęłam.

— Jeśli to się rozniesie, jeśli skomentuje pan to przed kimkolwiek, to zabi...

— To jest groźba karalna.

— To ten tryk... — wyznałam tak cicho, jakbym przyznawała się do kradzieży w supermarkecie.

Komisarz potarł palcami brodę. A potem odchylił się na dużym kuchennym krześle i ryknął śmiechem. Uniosłam wzrok, starając się nie gapić na jego uda.

— Po jaką cholere pan tutaj przyjechał? Ale tak naprawdę — zapytałam.

— Przez te pani ciuchy na dworze zapomniałem. Kasperczak, który zrobił wieczorny obchód, powiedział, że nikogo nie załatwił do obroczenia.

— A kiedy pan z nim rozmawiał?

— Tuż przed przyjazdem tutaj.

— To znaczy, że żyje. Ale jak to? To co my zrobimy?

— Przecież rano dała pani sobie radę. Może potem ktoś da się namówić.

— Matko kochana! — wybuchłam. — Podobno jest bezrobocie. Czy ci ludzie nie potrzebują zarobić? Mają za dużo pieniędzy?

Nagle zza okna dobiegło natarczywe beczenie. Stłumiłam przekleństwo.

— I proszę, zguba sama przyszła — powiedział Mleczek, zerkając zza firanki. — Ciekawe, kto go odwiązał.

Odwróciłam się od okna, zakładając ramiona na piersi na znak protestu

i niechęci.

— Mogę pani pomóc. — Uśmiechnął się uprzejmie.

Usiadłam, krzyżując nogi.

— Nigdzie nie idę, ale jeśli jest pan taki skory do pomocy, to mogę coś poradzić. — Spojrzałam na jego spodnie i sweter. — Ma pan broń?

Mleczko parsknął.

— Dam sobie radę, nie przesadzajmy. — Wyszedł, uśmiechając się z politowaniem.

— I dobrze — mruknęłam.

Poszłam sprawdzić, co z Ilką. Wlałam sobie resztkę złocistego, aromatycznego płynu do kieliszka, dorzuciłam bukową szczapę do ognia i zatopiłam się w fotelu. Pierwszy raz od momentu, gdy tutaj zamieszkałam, poczułam się dobrze. Doszłam do wniosku, że mniej więcej od dwudziestej czwartej to była piękna noc. Jeśli jeszcze uda się policji aresztować barana, to będę spała jak dziecko. Postanowiłam nawet nie przejmować się brakiem rąk do pracy, tylko z samego rana ruszyć do PUP-u. Na pewno nie zamierzałam robić niczego więcej w obejściu. Najwyżej ściągnę Władka.

W pewnej chwili usłyszałam ciche złorzeczenie. Klątwa siarczysta i piękna zbliżała się, oddalała i znowu rozbrzmiewała wyraźniej tuż za murem. Przecudna policyjna wiązanka, której nie tłumili nawet grube drzwi. Uwielbiałam krwiste inwektywy wypowiedane z uczuciem i potrafiłam docenić fantazję. Przekleństwa Mleczki były jak niedosmażony gruby befsztyk, konkretne i kawalerskie. Siedziałam rozkosznie wtulona w fotel. W kominku migotały pomarańczowe płomienie. Trzeszczało wesoło nadpalone drewno. Czasem jakaś iskra wyskoczyła i znikła, rozpadając się w powietrzu. Ogień miał niezwykłą odprężającą moc. Mniej więcej pół godziny później podwójne drzwi otwarły się z rozmachem.

Stało w nich coś w rodzaju zombi ze sztywnymi rękoma odsuniętymi od siebie. Wraz z zimnym powietrzem wewnątrz salonu wypełnił obrzydliwy

smród kiszonki.

— Kto to jest? — zapytała Ilka zaspanym głosem i wskazała palcem drzwi.

— Przypuszczam, że pan komisarz.

— Aha. — Wzięła do ręki butelkę, uniosła ją do światła i obejrzała. — To znaczy, że wrócił twój tryk.

— Odczep się.

Wstałam i nie patrząc w stronę drzwi, wyjęłam z ozdobnej starej szafy czerwone wino, które przyniosłam wcześniej i ukryłam, żeby nie stało na widoku.

— Koniak się skończył — powiedziałam, konstatując, że mam problem z artykulacją. — To jest czerwone, wytrawne. Dokładnie... takie... jak lubisz.

Ilka rozlała trunek do dwóch kieliszków po koniaku.

— Jemu też nalać? — zapytała, kiwnięciem głowy wskazując na drzwi.

— Pod warunkiem, że nie zrobi ani kroku dalej. — Odwróciłam się przez ramię. Mój żołądek buntował się z powodu zapachu i wypitego alkoholu. — Słyszał pan?

— Czy mogę skorzystać z łazienki?

— Oczywiście, ale garderobę proszę zostawić przed drzwiami i radziłabym się pospieszyć.

— Mam wejść nago? — Drogi sweter utyłany miał w kiszonce, a na obcisłych niebieskich džinsach widniały brunatnozielone plamy. Wygrał tylko z tą fryzurą goryla: nie będzie musiał świństwa wyczesywać.

— Skoro ja mogłam... — Powstrzymując odruch wymiotny, gestem ręki zachęciłam komisarza do striptizu. — Śmiało. Trochę zimno w nogi. Przebiegnie pan, tylko proszę najpierw strząsnąć wszystko na dworze, żeby się odpływ nie zapchał.

Mleczko wyjechał bez słowa godzinę później w nieco za dużym ubraniu

Władka. Spodnie podwinął dwa razy, rękawy również. Ani trochę go nie żałowałam. Tej nocy moja twardość wzrosła do pięciu w skali Mohsa, a w pamięci pozostał obraz komisarza w bokserkach w żółte kaczki, z których każda była przepasana dmuchanym kółkiem.

Rozdział 4

W piątek na śniadanie zrobiłam płatki owsiane z rodzynkami, cynamonem i niewielką ilością mleka. Jadłyśmy, poziewując, siedząc w szlafrokach i wspominając komisarski striptiz. Ilka na widok owsianki jeszcze się krzywiła, ale byłam pewna, że się przyzwyczai. Mniej więcej przy trzeciej łyżce przypomniałam sobie najgorsze.

— Dzisiaj trzynasty, a my nie mamy parobka. Kuc gotów ponownie przyjść z petycją.

— Przyjmiemy. Narobił wprawdzie na podłogę, ale i tak jest słodki. — Ilka opierała bosc stopy na gzymsie kominka. Paznokcie miała pomalowane na jaskrawy pomarańcz.

— Po cholere ci drogi pedikiur, skoro i tak łazisz w gumiakach?

— Niech to diabli. — Potarła stopą o stopę, nachyliła się i obejrzała dokładnie każdy paznokieć. Zmarszczyła brwi. — To co robimy?

Nie miałam pojęcia. Żeby odwlec nieprzyjemne zajęcia gospodarskie, zaczęłam sprzątać kuchnię. Ilka porzuciła kominek i stanęła w drzwiach.

— Po raz trzeci wycierasz stół. Jedź już do tego PUP-u, a ja zabawię się w parobka.

— Że co? Naprawdę? — Cmoknęłam ją w policzek. Wszelkie wątpliwości typu „przecież ona nie da sobie rady” i „nie ma prawa się na tym znać” odsunęłam na bok.

W urzędzie pracy dowiedziałam się, że na dzisiaj nie ma nikogo odpowiedniego, a ja najwyżej mogę zostawić ogłoszenie, zgłoszenie czy zapotrzebowanie. Zwał jak zwał, ważne, że sprawa karmienia zwierząt była nadal nierozwiązana. Jakby do wyrzucania gówna potrzebny był fachowiec. Cholerny kraj. Ściągać Władka? A jeśli nie zechce albo nie będzie mógł

przylecieć? Wróciłam o trzeciej po południu, po drodze robiąc niezbędne zakupy i zastanawiając się, czy doktorat z psychiatrii jest wystarczający, żeby podać świniom karmę.

Powinłam była pomyśleć o tym przed wyjazdem. Wielkie podwójne drzwi były zamknięte, ale tylko na klamkę, a przecież w tym cholernym zamku klamka nie stanowiła przeszkody nawet dla kuca. Irytacja zdominowała rodzący się niepokój.

— Ilka! — krzyknęłam i przez chwilę nasłuchiwałam. Cisza. Zakłócana jedynie świszczącymi odgłosami wiatru. — Ilkaaaa!!! — wydarłam się, aż poczułam pieczenie w gardle.

Włożyłam gumki. Zdjęłam płaszcz, bo zbyt go lubiłam, by zasmrodzić zapachem obory, i narzuciłam wygrzebaną wśród Władkowych rzeczy kolejną kurtkę, tym razem musztardowo-buraczkową. Zakładając, że nie będę tarzać się w gnoju, zostawiłam wełniane spodnie w pepitkę i biały pulower. Wyglądałam jak angielski farmer.

Drzwi do stajni otwierałam nawet z przyjemnością. Konie stały spokojnie, zatem już je nakarmiłam. Pomyślałam, że ktoś na nich powinien jeździć. Ilki w środku nie było, zajrzałam na wszelki wypadek do każdego boksu. Wysłałam i rozejrzałam się po placu. Może poszła na spacer.

— Ilka!

Woda kisiła się w kałużach, mimo że od dwóch dni nie padało. Zachodzące słońce niemrawo przedzierało się przez grubą warstwę chmur przypominającą na południowym zachodzie niedomytą, popękaną w kilku miejscach, brudną szarą paletę. Wzdrygnęłam się nieprzyjemnie. Wiatr ucichł, ale temperatura spadła, zbliżając się do zera. Przeszłam obok chlewika, minęłam kurnik. Instynkt ciągnął mnie do obórki.

— Ilka! Wróciłam!

Pchnęłam drzwi. W tym momencie zaczął się dzień świstaka. Nie mogłam ich szerzej otworzyć. Wsadziłam głowę do środka. Ilka leżała podobnie jak

wcześniej Arek Zaruba, jednak z drobną różnicą. Nie patrzyła na mnie ani z wyrzutem, ani z nadzieją. Oczy miała zamknięte. Ponieważ jej rude loki były blisko drzwi, dotknęłam delikatnie policzka. Był ciepły. Tętno pod szyją było słabo wyczuwalne, ale miarowe. Wypuściłam długo wstrzymywane powietrze. Ręce mi się trzęsły jak pijakowi.

Wyszarpnęłam z kieszeni telefon, a czekając na połączenie, usiłowałam sobie przypomnieć jakąś modlitwę. Kwadrans później przyjechało pogotowie i niemal jednocześnie komisarz Mleczeko.

Obgryzłam trzy paznokcie, wypaliłam trzy papierosy, przez cały czas tłumacząc sobie, że Ilka sama chciała zostać. Ktoś ten PUP i tak musiał załatwić. Łzy ciekły mi po policzkach wbrew wszelkim skalom twardości. Nagle przypomniało mi się, że dzisiaj jest trzynasty! Jak mogłam o tym zapomnieć?

Dwóch osobników w czerwonych uniformach załadowało nieprzytomną Ilkę na nosze i przypięło ją pasami. Wypełniono stosowne papiery, które podpisał komisarz, i Ilka, okryta ciepłym kocem, odjechała w karetce pogotowia. Za bramą na zakręcie błysnęły po raz ostatni tylne światła. Chciałam jechać za nimi, ale Mleczeko mnie zatrzymał.

— Niech pani idzie do domu i pozbiera się do kupy.

Właściwie mało mnie interesowało, co robią ludzie Mleczki. Ktoś fotografował obórkę, ktoś się schylał i grzebał w ściółce. Jeden z policjantów wkładał właśnie jakiś drobiazg do plastikowego woreczka. Mogło się wydawać, że jestem na planie filmowym, gdyby nie fakt, że moja przyjaciółka przed chwilą odjechała erką.

Mleczeko gapił się na mnie wyczekująco, ekipa techniczna wykonywała niezbędne czynności. Czułam, jak całe moje ciało i wolę ogarnia odrętwienie. Przestało mi przeszkadzać, że ktoś mną dyrygował. Należało z pewnością podjąć decyzje logistyczne, nie miałam pojęcia jakie.

— Przecież nie można dzień w dzień w tym samym miejscu znajdować leżącego człowieka! — poskarżyłam się Mleczce, który szedł za mną. —

Chyba mnie trafi coś większego niż szlag!

— Napije się pani czegoś? — Komisarz minął mnie w drzwiach i wszedł do kuchni jak do własnej.

— Koniaku.

— Zrobię kawę — oznajmił zimno.

Wzruszyłam ramionami. Po co pytał? Nalałam sobie sama. Kucnęłam przed kominkiem, rozgrzebując popiół. Dmuchnęłam kilka razy, ale trudno się było doszukać rozżarzonych kawałków drewna. Rano porządnie dołożyłyśmy, a przecież wypalenie tych wszystkich klocków musiało zająć co najmniej cztery, pięć godzin.

— Nie było jej w domu — próbowałam ustalić przebieg zdarzeń. — Przypuszczam, że wyszła z domu zaraz po moim wyjeździe. — Sprawdziłam, czy komunikat dotarł do kuchni i uszu komisarza. — Wyjechałam kwadrans po jedenastej. Od tej pory minęło... — Spojrzałam na zegarek. Była szesnasta dwadzieścia cztery. — ...pięć godzin. Przecież to niemożliwe, by była tak długo nieprzytomna. Zaraz jadę do szpitala. — Odstawiłam kieliszek.

Komisarz przyglądał mi się podobnie jak wczoraj, jakby badał owada.

— Najpierw porozmawiamy. — Usiadł, przesunął kubek z kawą w moim kierunku i wyjął notatnik. — Co pani robiła dzisiaj od rana? Tylko dokładnie.

— Jestem podejrzana? — Roześmiałam się na siłę, ale mężczyzna miał poważną minę. Przełknęłam głośno ślinę. — Wstałyśmy o dziewiątej, może parę minut przed. Zrobiłam śniadanie. Zorientowałam się, że w trybie pilnym trzeba załatwić dwie rzeczy: znaleźć człowieka do roboty i nakarmić ten cholerny folwark; podzieliłam się przemyśleniami z Ilką. Zaproponowała, że pójdzie do tego zoo. Byłabym idiotką, gdybym protestowała. Jeśli o mnie chodzi, to przydupasy Władka mogą sobie stworzyć samorząd i zorganizować wybory, nieistotne. Mogą się zrzeszyć, założyć związki zawodowe, cokolwiek — wyrzuciłam jednym tchem. — Byle dalej ode mnie.

Komisarz notował w małym zeszytiku, potem zerknął na mnie, jakby był

ciekaw, czy będę ruszać skrzydełkami, czy odwłokiem. Mnie z kolei interesowało, czy będzie mi wyrywał skrzydełka, czy nóżki. Opowiedziałam, jak wróciłam do domu i jak znalazłam Ilkę. W milczeniu to odnotował. Chciałam zerknąć, co tam napisał, ale zasłonił notatki ręką jak uczeń na klasówce.

— W stajni u koni jej nie było. Szukałam wszędzie. Znalazłam ją u jałówki. Leżała podobnie jak wczoraj Arek Zaruba. Zresztą sam pan widział.

Mleczek drgnął, ale się nie odezwał. Coś ukrywał, to było oczywiste. Nie wypadało mi pytać, o czym pan śledczy nagle pomyślał. Liczył godziny? Doskonale się orientowałam, że Ilka mogła leżeć w oborze od momentu, jak tylko wyjechałam. Czyli... Matko święta! Mogłam ją stuknąć i pojechać do urzędu po dokonaniu morderstwa.

— Mogłam to zrobić! — krzyknęłam zdumiona. — Ale w jakim celu? — Tego nawet pisarska wyobraźnia mi nie podpowiadała.

— No właśnie. Też jestem ciekaw. Dlaczego pani to zrobiła?

— Człowieku, gdybym miała tutaj kogokolwiek zabijać albo uszkadzać na zdrowiu, byłby to ten cholerny tryk, a nie osoba, która wyręczyła mnie w czarnej robocie. Weź się puknij w ten swój policyjny łeb i pomyśl. Po cholere miałabym przysparzać sobie więcej problemów? Inni zazwyczaj o to dbają.

Mleczek wstał gwałtownie.

— Zawiozę panią do szpitala. — Na widok mojej miny dodał: — Odwiozę również.

Włożyłam kozaki i płaszcz. Torebka wisiała nad komodą obok wejścia. Tam również trzymałyśmy klucze. Sięgnęłam ręką i pomacałam pusty haczyk. Podeszłam do drzwi, otwierałam je i sprawdziłam na zewnątrz. Nie było ich w zamku. Przetrzęsłam torebkę i sprawdziłam kieszenie płaszcza.

Mleczek śledził moje poczynania.

— Co się stało?

— Klucze. Nie ma ich.

Wyjął telefon.

— Zadzwońię do szpitala. Gdyby pani mogła... Zresztą nie, proszę poczekać — powiedział i trzymając słuchawkę przy uchu, ruszył ze mną sprawdzić całe obejście.

— Mogły wypaść Ilce, ale po cholere by je brała, skoro nie zamknęła domu.

Ekipa techniczna jeszcze pracowała. Zatrzymałam się przed obórką i zapaliłam papierosa. Mleczek podszedł do wysokiego blondyna i chwilę z nim rozmawiał. Tamten skinął głową i odszedł przegrzebywać słomę wokół miejsca, gdzie leżała Ilka.

Kwadrans później komisarz wyszedł, stanął pod ścianą obok mnie i zadzwonił do szpitala. Niemal na nim wisiałam. Słyszałam sygnał. Po długim oczekiwaniu ktoś w końcu się odezwał. Miałam nadzieję, że zapyta nie tylko o klucze. Chciałam wiedzieć przede wszystkim, co z Ilką. Próbowałam mu pokazać na migi, o co mi chodzi, ale pokręcił głową i odwrócił się do mnie tyłem.

— Komisarzu... — zaczęłam.

Mleczek odszedł w kierunku stodoły, dużym krokiem przestępując kałużę. Chciałam ruszyć za nim, przez chwilę się wahałam, aż w końcu przebyłam dzielący nas dystans w trzech susach i pociągnęłam go za rękaw. Spojrzał na mnie, jakbym dopuściła się napaści na funkcjonariusza.

— Ilka! Niech pan zapyta. Co, do jasnej cholery, z Ilką?

Mleczek przeszedł za kopiec z kiszonką, mówiąc coraz ciszej. Cofnęłam się, bo zapach wiercił mnie w nosie. Wreszcie komisarz zawrócił.

— Żadnych kluczy przy pani Sierocińskiej nie ma. W karetce też nie znaleźli — oznajmił beznamiętnym głosem i ruszył do kolegów pracujących

w pobliżu kurnika. Pobiełam za nim.

— Dlaczego nie zapytał pan, co z nią?

— Nie rozmawiałem z lekarzem, tylko z jakąś niewyspaną recepcjonistką. Teraz interesują mnie klucze. Tylko one.

— A ofiara?! — krzyknęłam.

Mleczko uniósł brwi.

— Pani Sierocińska ma opiekę i nic więcej nie możemy zrobić.

— Nic nie możemy zrobić!? — Przestałam krzyczeć, starając się miną i wzrokiem wyrazić całą pogardę dla policji i jej metod postępowania. — To wygodne, prawda? Człowiek dla was się nie liczy. I co ja teraz pocznę z tym całym zwierzyńcem? Zbieracki się nie odzywa. A krowa? Będzie tak stała w stodole? Jasne, mogę to wszystko zostawić i pojechać do domu. W mieście człowiek nie jest narażony na takie stresy.

— Zawsze się pani tak emocjonuje? — Z miny Mleczki wnioskowałam, że zaczyna się dobrze bawić. A to było już kompletnie nieprofesjonalne. Prychnęłam ze złością.

— Gdyby Ilka wzięła klucze ze sobą, to najpierw zamknęłyby dom. Na to pan nie wpadł? Czy ja za panem wczoraj w nocy zamykałam na klucz? Może chociaż to pan pamięta. Bo jeśli klucza już wtedy nie było... — Przypomniałam sobie te wszystkie nocne odgłosy, skrzypienie schodów... kamiennych. Niewiele brakowało, a powiedziałabym to głośno. Ciekawe, co by o mnie pomyślał. — Jasne jest, że ktoś wziął cholerny klucz wcześniej. Niech pan przestanie nas podejrzewać i zabierze się za konkretną robotę. Tu ludzie giną. A wczoraj oprócz pana nikogo u nas nie było. Nawet listonoszki. Zresztą ta poszła na urlop. Pan był jedynym gościem. — Wsadziłam ręce do kieszeni spodni, gdyż miałam ochotę złapać go za poły tej jego oldskulowej skórzanej kurtki i zdrowo nim potrząsnąć. Twarz paliła mnie jak zawsze, gdy wściekłość brała górę nad rozsądkiem.

Mleczko gapił się na mnie, jakbym weszła na scenę z zamiarem

zaśpiewania arii. Milczał, a jego spojrzenie sprawiło, że poczułam się naga. Wreszcie chrząknął.

— Klucze były w drzwiach od środka. Tak mi się wydaje.

— Teraz nie ma ich ani w środku, ani na zewnątrz. Jest otwarte. Co to znaczy?

— Wiem, co to znaczy — powiedział, zatrzymując się obok obórki otoczonej przez techników grzebiących w sianie i w oborniku. Mężczyźni mieli rozbawione miny i dogryzali sobie mało wybrednie. Na nasz widok umilkli.

— Znajdźcie mi te klucze i zabezpieczcie je. Młody, ty za to odpowiadasz. I zamknijcie jakoś ten cud architektury — rozkazał. — Jedziemy. — Ruszył do passata takim tempem, że ledwo nadążałam.

Najbliższy szpital był w Tarnowskich Górach. Miasto, jak na powiatowe przystało, miało cztery szpitale, ale całodobowa pomoc doraźna znajdowała się na „trójce” przy ulicy Opolskiej, jeszcze przed obwodnicą i wjazdem do miasta. Bramka wjazdowa na parking przed szpitalem była zamknięta. Na widok Mleczki parkingowy, stary cieć z elektronicznym notesem w rękę, po prostu otwarł szlaban. Wskoczyłam z auta, zostawiając komisarzowi czas na zaparkowanie na zapewnionym parkingu. Kilka szerokich schodów, nad którymi wisiał neon „Oddział opieki doraźnej”, pokonałam jednym susem i nie czekając na komisarza, rzuciłam się do rejestracji znajdującej się przy długiej ladzie.

Spośród siedzących za kontuarem kobiet wybrałam wymiętą rudą czterdziestkę grzebiącą w komputerze.

— Ildefonsa Sierocińska — rzuciłam na wstrzymanym oddechu. — Niedawno przyjechała.

Rejestratorka spojrzała na mnie niechętnie i wróciła do studiowania monitora.

— Ildefonsa Sierocińska. Natychmiast, proszę. — Usłyszałam władczy

baryton i poczułam na plecach guziki kurtki komisarza, gdy pokazywał paniusi odznakę. — Pogotowie przywiozło ją pół godziny temu.

Kobieta uniosła głowę, spojrzała na blachę i nie szukając w komputerze ani nie pytając nikogo, powiedziała:

— Za szklanymi drzwiami. Proszę poczekać, aż ktoś otworzy.

— Słucham? — zapytał komisarz takim tonem, jakby rejestratorka przemawiała do niego po chińsku.

— Otworzę państwu.

Ruszyliśmy za nią. Mleczko ze służbowo uniesioną głową i wzrokiem skierowanym przed siebie, ja, nerwowo rozglądając się na boki. Pielęgniarka zatrzymała się przed podwójnymi szklanymi drzwiami, wystukała na panelu szyfrowym dwie szóstki, siódemkę, czwórkę i ósemkę. Drzwi się otworzyły.

— Tam jest lekarz — powiedziała, wskazując na niewielką poczekalnię z trojgiem drzwi.

Weszliśmy. Z lewej strony znajdowała się pusta sala, w której stały trzy łóżka na kółkach z podnoszeniem na pilota i jedna zwykła leżanka do macania brzucha. Otwarłam kolejne. W gabinecie stało biurko, ale również był pusty. Potem natknęliśmy się na schowek ze szczotkami, z którego właśnie wyszła kobieta ubrana na biało, pchając przed sobą wózek obwieszony workami na śmieci i czterema mopami do mycia podłóg sterczącymi niczym anteny.

— Widziała pani lekarza?

— Wszyscy są tam. — Wskazała boczny korytarz. — Państwo poczekają, aż ktoś podejdzie, bo tu nie wolno chodzić.

Spojrzeliliśmy na siebie. Zaczynałam się denerwować. Nie cierpiałam czekać. Wtedy zaczynało się myśleć, a moja wyobraźnia...

— Niechże pani przestanie stukać tymi obcasami. Tam jest krzesło. Może powinna pani iść do toalety?

— Panie komisarzu, do licha, czy ten facet z pogotowia powiedział panu więcej niż mnie? Widziałam, że pan z nim rozmawiał na boku.

Mleczko pokręcił głową.

W tym momencie zadzwoniła moja komórka. Chwyciłam ją i by przerwać natrętą melodię, odebrałam na ślepo, byle szybciej. Może Ilka? Niemożliwe. Najprawdopodobniej mama. Wszędzie wisiały ostrzeżenia o zakazie używania telefonów. Wyszłam na zewnątrz. Szklane drzwi na oddział pomocy doraźnej zamknęły się za mną bezgłośnie. Wychodząc przed szpital, spojrzałam na wyświetlacz. Seweryn? Czy go pogięło? Namyslił się i chce się żenić? Wściekłam się. Przez kilka sekund rozważałam, czy się nie rozłączyć, ale godność mi nie pozwoliła. Cofnęłam się pod daszek, bo padało, i przyłożyłam komórkę do ucha.

— Słucham.

— Witaj, Mati. Nie ma cię w domu. Byłem u ciebie trzy razy. Gdzie się podziewasz?

— Gównu cię to obchodzi — warknęłam, nie zastanawiając się nad tym, co powiedział, i zniżając głos, gdyż akurat przyjechała karetka i sanitariusze wynosili z niej nosze z kimś drobnym przykrytym kocem i z maską tlenową na twarzy. Cofnęłam się, by nie przeszkadzać. — W szpitalu jestem. Nie dzwoń.

— W szpitalu? Chcę z tobą porozmawiać. Może nawet przeprosić.

— Nawet? — To, że nadal z nim rozmawiałam, mogłam tłumaczyć jedynie stresem związanym z Ilką.

— Matyldo, nie bądź taka nieprzejednana. Jak myślisz, dlaczego niby musiałem się zastanowić? Zastanowiłem się.

— A ja podjęłam decyzję.

— Możemy się spotkać?

— Nie! Czy do ciebie już nic nie dociera? Nie chcę cię widzieć! Słyszec

też nie chcę! — krzyczałam *sotto voce* ze względu na kręcących się po schodach tam i z powrotem sanitariuszy, którzy wnosili jakiś sprzęt do karetki. — To ja odwoływałam przyjęcie i za nie płaciłam. Ja przepraszałam gości i odsyłałam prezenty. Nie zawracaj mi głowy! Nie mam teraz czasu ani nastroju.

Rozłączyłam się, wyciszyłam dzwonek i wrzuciłam telefon do torebki z nadzieją, że jeśli ponownie zadzwoni, to go tak szybko nie znajdę. Wróciłam do holu i stanęłam przed szklanymi drzwiami. Cholera. Przyłożyłam twarz do szyby, bo korytarz odbijał się jak w lustrze i to, co było za mną, mieszało się z tym, co widziałam na oddziale. Kręciłam głową, ustawiałam się bokiem do światła, ale komisarza nie dostrzegłam. Nie wydawał się tak niepozorny, by zniknąć pomiędzy świetlnymi omamami, przeciwnie. Zatem wyszedł albo wszedł, pomyślałam, patrząc na kilkoro drzwi, w tej chwili zamkniętych. Jedne były uchylone. Obejrzałam się na rejestratorkę. Uśmiechała się złośliwie. Przyjrzałam się dokładnie panelowi numerycznemu. Pamięć do cyfr miałam właściwie automatyczną, o czym często zapominałam, bo pamiętały bardziej moje palce niż głowa. Położyłam dłoń na klawiaturze. Wstukałam dwie szóstki, siódemkę, czwórkę i ósemkę. Z nadzieją spojrzałam na drzwi. Pisnęły. Pchnęłam. Pomachałam rejestratorce i weszłam na oddział, starając się nie stukać obcasami. Tuż za uchylonymi drzwiami gabinetu zabiegowego stał Mleczek i rozmawiał z mężczyzną w białym fartuchu, z zieloną maseczką zwisającą na sznurkach pod brodą i stetoskopem wystającym z kieszeni. Wyglądał, jakby był na nogach co najmniej od dwóch dób i sam w tej chwili wymagał pomocy. Jeśli tacy zajmują się Ilką, to kobieta ma marne szanse. Zatrzymałam się obok nich, lekarz skinął mi głową i... wyszedł drugimi drzwiami. Komisarz złapał mnie za ramię jak aresztanta.

— Co z nią? — zapytałam, wyrywając się.

— Chodźmy. — Położył mi dłoń na plecach i pchnął do wyjścia. — Wszystko pani powiem.

Zła obejrzałam się jeszcze raz na drzwi, za którymi zniknął lekarz.

— Co mi pan powie? Dlaczego on uciekł? — Zrobiłam unik, zamierzając dogonić lekarza. — Muszę z nim porozmawiać.

Mleczek warknął coś pod nosem, chwycił mnie zdecydowanie i wyprowadził. Byłam pewna, że będę miała siniaka. Szklane drzwi zamknęły się za nami. Na widok ciekawskiego spojrzenia rejestratorki przestałam się wyrywać i przytuliłam się do komisarza. Chrząknął, ale nie skomentował.

Gdy wyszliśmy z budynku, zatrzymałam się na szczycie schodów.

— Co. Powiedział. Lekarz — wyskandowałam.

Mleczek machnął ręką i odszedł na zapchany parking. Przecisnęłam się pomiędzy dwiema erkami i stukając obcasami, próbowałam go dogonić. Na moment mi zniknął, po chwili jednak krótko ostrzyżona głowa pojawiła się między samochodem terenowym i jakimś busem. Przyspieszyłam. Deszcz padał coraz mocniej.

— Pani Sierocińskiej tutaj nie ma — odezwał się, gdy zatrzymałam się przy drzwiach. — Podobno odwieźli ją do Piekar. Ma pęknięte żebro. I coś z głową.

To mnie akurat nie dziwiło. Już sam wybór psychiatrii jako kierunku studiów i specjalizacji o tym świadczył.

— Ale nie jest w katatonii? — Wtuliłam się w fotel pasażera i trzasnęłam drzwiami. Mleczek się skrzywił. Przez jakiś czas milczał. Stukałam bezgłośnie w miękką i mokrą wykładzinę.

— Wszystko wskazuje na to, że otrzymała mocne uderzenie w głowę i klatkę piersiową. W Piekarach mają sprawdzić, co z czaszką — wyjaśniał, włączając się do ruchu na obwodnicy.

— Ale żebro? Krowa ją kopnęła? A co było Zarubie?

— To samo — powiedział, kładąc mi dłoń na kolanie. Zastygłam. — Niech pani przestanie tak podrygiwać, bo działa mi to na nerwy. Będzie dobrze.

— Iii? — wyjąkałam, walcząc ze sprzecznymi sygnałami, które wysyłało

moje ciało. — Co z Zarubą?

— Zmarł dzisiaj rano.

Poczułam, jakby osunął mi się żołądek, a na gardle zacisnęła się pętla mordercy. Miało być z nim dobrze. Facet miał opiekę, jego stan był stabilny. Nie wierzyłam w przypadki. Raczej w siłę sprawczą. Ilka powinna mieć ochronę.

— I pan mi mówi, że będzie dobrze?! To niemożliwe, by zwykła jałówka mogła tak załatwić dwie osoby. Nie wygląda na złośliwą. Ktoś go wykończył.

Mleczko sapnął.

Pół godziny później byliśmy w Piekarach na urazówce.

— Uratowała ją solidna budowa i amortyzacja w postaci, hm, obfitego biustu — powiedział zmęczonym głosem lekarz w porozpinnym fartuchu i z przekrwionymi oczyma. — W tej chwili śpi. Jeszcze diagnozujemy narządy wewnętrzne. Jutro dowie się pani więcej. — Lekarz przyjrzał mi się, jakby powiedział zbyt wiele. — Przepraszam, ale kim pani jest dla chorej?

— Siostrą — skłamałam, wiedząc, że i tak tego nie sprawdzi. Mleczko nie zaprzeczył. — Mogę zadzwonić z samego rana?

— Tak, oczywiście. — Lekarz spojrział na policjanta. — Zresztą pan komisarz będzie miał aktualne informacje.

Mleczko chrząknął, przewidując, że zechce protestować. Nie widziałam w tym sensu. Zmusiłam się do uśmiechu.

— Dziękuję, doktorze — rzekłam uprzejmie, wkładając komisarzowi rękę pod ramię, jakbyśmy cały czas spędzali razem, z czego większość w łóżku. Niech sobie lekarz myśli, co chce, bylebym tylko miała łatwiejszy dostęp do Ilki.

Podczas drogi powrotnej patrzyłam w mrok mokrej i miejscami dziurawej nawierzchni, czasami wbijałam wzrok w kręgi światła zbliżające się do nas i gęstą ciemność pobocza. Wybiła dziewiętnasta i kiedy uświadomiłam sobie,

co to oznacza, poczułam wściekłość. Walczyły we mnie dwie istoty. Jedna chciała wracać do suchego i komfortowego mieszkania w Katowicach, druga sączyła dyrdymały o odpowiedzialności, sumieniu i lojalności wobec gospodarza, który dał mi klucze do zamku. Obydwie jednogłośnie w duszy zaklęły.

— Nadal nie mam parobka — warknęłam. — Niech pan coś wymyśli. Władek jest w Irlandii i nie odbiera telefonu, bo go wyłączył. Powinien mieć już nowy numer. Miał się odezwać. I nic. Pisałam do niego maile. Na pierwszy odpowiedział, to było jeszcze przed historią z Zarubą, a teraz cisza.

Coś mi nie pasowało z tymi telefonami do i od Władka. Jakaś ulotna i ważna myśl przeleciała mi po horyzoncie umysłu i znikła.

Komisarz milczał. Zamiast skręcić w drogę prowadzącą na zamek, pojechał dalej. Nie zareagowałam. Było mi wszystko jedno. Zatrzymał się w Jasionie, niewielkiej miejscowości zabudowanej popegeerowskimi jednakowymi domkami po jednej stronie ulicy i ruiną, tym razem prawdziwego zamku, w której zdaniem Mleccki gnieździły się już tylko żmije, po drugiej. Staliśmy przed jednym z bliźniaczo podobnych do siebie domów, z wielkimi donicami przy schodach i pokrzywami obok. Za plecami straszły poszczerbione mury zarosłe czarnymi chabaziami. Skuliłam się.

— Proszę zostać w samochodzie. Mieszka tu mój kolega z siłowni, Staszek Wolny. Jego... żona może pomóc pani oswoić tę twierdzę pod lasem.

Jeśli osvajanie zamku, w mniemaniu policjanta, znaczyło to samo co posprzątanie, to miał całkiem dobry pomysł. Władek nie powinien mieć nic przeciwko małym porządkom. Osunęłam się w fotelu i przymknęłam oczy.

Wizje Ilki na szpitalnym łóżku, Ilki wiezionej na wózku, Ilki na marach w trumnie poderwały mnie do pionu. Wyprostowałam się. Spojrzałam na zegarek w komórce, na drzwi, za którymi zniknął Mleczek, na okno z białymi koronkowymi firankami i na pelargonie skąpane w niebieskiej poświacie telewizora. Dwanaście minut później, gdy na przedniej szybie przestały pojawiać się nowe krople deszczu, wysiadłam z auta i zapaliłam

papierosa. Dużo dalej, dopiero na skrzyżowaniu, świeciła się żółta lampa. Patrząc w majaczące na mokrym asfalcie świetlne kręgi, analizowałam sytuację. To nie mógł być przypadek. Dwie osoby zostały zaatakowane w taki sam sposób. Kolej na mnie? Wbrew rozsądkowi pomyślałam, że będę się musiała przyjrzeć jałówce z bliska, z bardzo bliska. Miejsce zbrodni również jest ważne. Nie ulegało wątpliwości, że powinnam przeprowadzić własne śledztwo. Stukanie, przeciągi i wymyślone przeze mnie specjalnie dla Ilki kuny nabierały nowego wymiaru. Ktoś prócz nas pętał się po zamku. Wyobrażenia podsuwała mi różne scenariusze, odrzuciłam wszystkie.

I jak trzy dni temu wizyta Ilki wydawała mi się nie w porę, tak teraz ponad wszystko chciałam, by usiadła ze mną przy kominku i wymądrzała się przy lampce wina. Miałam potworne poczucie winy, jednak jeszcze gorsza była niewiedza. Komisarz coś kręcił, z pewnością wiedział więcej, niż mówił.

Pół godziny później światło za oknem zgasło. Zapaliło się za to nad schodami i Mleczek wyszedł z budynku w towarzystwie drażala, który wydawał mi się wyższy nawet od Władka Zbierackiego. Ani trochę nie pasował do tego miejsca. Krótka czarna koszulka nie zakrywała mu bioder, opinając się na ramionach i odsłaniając pasek opalonej skóry na plecach, kiedy mężczyzna się pochylił, by schować klucz pod donicę. Trzymał pod pachą zgniecioną dżinsową kurtkę. Rozpoznałam markowe dżinsy Wranglera za siedem setek, takie same, jakie ostatnio widziałam w Silesii, kiedy byłam tam z Sewerynem; charakterystyczny szew na kieszeni i napis na pasku nie zostawiały wątpliwości. Skarciłam się, odrywając wzrok od męskiego tyłka. Co mnie obchodzi, jakie facet nosi spodnie? Miałam wprawdzie ochotę skomentować zasadność takiej elegancji przy oborniku, ale tak nieporadnie składał się przy wsiadaniu, że dałam sobie spokój. Jego długie nogi wcisnęły się w oparcie mojego fotela. Przesunęłam się do przodu.

— Przepraszam, ale nic na to nie poradzę. — Usłyszałam niski głos z delikatnym akcentem, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Drgały w nim nutki rozbawienia. — Marek mógłby sobie kupić większy samochód. Pojechałbym terenówką mojej żony, ale niestety Anity nie ma w domu,

a moje auto odstawiłem do mechanika dwa dni temu.

— Odwiozę cię, gdy skończysz. Wolę czekać, niż sam to robić — powiedział Mleczek i ruszył.

Mogłam sama odwieźć Wolnego. Doskonale wiedziałam, że komisarzowi nie było po drodze, ale nie miałam zamiaru protestować; to był jego znajomy.

Zamkowy dziedziniec lśnił na podobieństwo tarnogórskiego rynku przed Bożym Narodzeniem. Ktoś zostawił zaświeconą lampę. Brakowało tylko choinki. Ciepłe żółte światło głównej latarni mrugało, jakby żarówka miała się przepalić. Reflektory samochodu rzucały łunę, która odbijała się w kałużach, migocząc wraz z nowymi kroplami spadającego deszczu. Lipowa aleja zamykała się nad nami jak tunel. Obrzeża zamku ginęły w mroku, a mżawka rozpylała się nad szybą samochodową kolorową mgiełką niczym na obrazie impresjonisty. Na kilka sekund zapomniałam o wszystkim, co działo się tego dnia właśnie tutaj. Pomyślałam ciepło o nieznanym członku ekipy policyjnej, który włączył na dziedzińcu latarnię. A może to ja ją włączyłam? Nawet nie miałam pewności, kto wyjechał ostatni. Ekipa techników, przypomniałam sobie. Wszystko mi się mieszało. Byłam zmęczona, udręczona i zadowolona, że ktoś zajmie się pracą przy zwierzętach. Namacałam torebkę i odpięłam pas bezpieczeństwa.

Nagle na obrzeżach świetlnego kręgu sięgającego od latarni na dziedzińcu aż do samego wjazdu dostrzegłam dobrze mi znany samochód ustawiony równolegle do mojego mercedesa obok wielkiej kałuży przy bramie. Poczułam, jakby ktoś uderzył mnie w żołądek. Seweryn? Kurczę, tylko nie on. Miałam ochotę uciec.

— Niech pan mnie z nim samej nie zostawia! — powiedziałam półgębkiem i nie ruszając się z miejsca, położyłam dłoń na udzie komisarza. — Proszę. Panie komisarzu, niech pan nie wyjeżdża, póki ten facet nie zniknie.

— Czuje się pani zagrożona? — Mleczek ledwie zauważalnie uniósł jedną brew.

Cofnęłam rękę. Idiotka. Co on sobie o mnie pomyśli.

— To mój niedoszły mąż. Boję się, że go zabiję.

— Proszę uważać na słowa. Nie trzeba nam trzeciego... Przepraszam, trzeciej ofiary. — Przyjrzał mi się, jakby szacował, czy nad sobą panuję. — Powodzenia.

Przejechał przez podwórze i zatrzymał samochód obok bramy do gospodarstwa. Seweryn został za nami. Wiele to nie zmieniało. Musiałam się z nim zmierzyć — wysiąść i przejść czterdzieści metrów w siąpiącym deszczu.

Mleczek i Wolny ruszyli w kierunku gospodarstwa i zniknęli w ciemności.

Seweryn błyskawicznie znalazł się przy mnie. Wyglądał na zdziwionego. Patrzył przez chwilę za odchodzącymi mężczyznami. Zastanowiło mnie to jego zaskoczenie. Mleczek nie był w mundurze. Czyżby mimo to rozpoznał policjanta? A może znał komisarza prywatnie? Natychmiast odrzuciłam taką możliwość. Seweryn mieszkał w Katowicach, Mleczek był tutejszy. Chrząknęłam. Seweryn nadal nie odrywał wzroku od mężczyzn. Mruknął pod nosem „Nathan” albo coś w tym stylu, pokręcił głową, jakby zaprzeczając własnym myślom, i całym ciałem zwrócił się w moim kierunku.

— Matyldo! — Rzucił się z łapami, próbując mnie pocałować.

— Nie dotykaj mnie. — Odrzuciłam go. Cofnęłam się kilka kroków i napisałam na komórce wiadomość: „Jeśli pan mnie nie uratuje, to postaram się, by żałował pan do końca życia”. Wysłałam i ruszyłam do domu. Drzwi były zamknięte. Po chwili moja komórka piknęła.

„I tak pani nie wejdzie, bo nie ma klucza. Powodzenia. M.”

I co ja miałam robić? Seweryn, mężczyzna, za którego miałam wyjść i pozostać z nim na dobre i na złe, póki śmierć nas nie rozłączy, przebiegał nogami obok mnie i drzwi frontowych. Wyglądał sensownie, urody ani męskości mu nie brakowało. Ubrany w długi płaszcz, cały na czarno, szczupły, ale nie za bardzo, o mrocznej twarzy demona. Wsłuchiwałam się w odgłosy serca, ale ono milczało. W brzuchu nie odzywały się ani motyle,

ani rój szerszeni. Nic, emocjonalna cisza. Jedynie w nogach czułam delikatne mrowienie, jakbym chciała coś kopnąć.

— Po co przyjechałeś? I co to za obłapienie? Zaznaczasz teren? — Nie zważając na błoto, ruszyłam do mercedesa, w którym miałam zamiar zamknąć się i nie wychodzić. Obawiałam się, że jeśli zostanę pod drzwiami, czekając na Mleczkę, to dam Sewerynowi w dziób. — Spadaj — powiedziałam najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć.

Seweryn nie odpowiedział. Nie poszedł jednak za mną. Skierował się do passata Mleczki. Pognałam za nim po chwili wahania. Spacerował wokół auta z rękami w kieszeniach. Samochód miał policyjną rejestrację, a Seweryn nie był idiotą. Zajrzał do środka, gdzie w skąpym oświetleniu można było dostrzec panel radiowy i koguta.

— Oni tu prywatnie czy służbowo?

— A co cię to obchodzi? Wsiadaj do swojego auta i zjeżdżaj. Nie mamy o czym rozmawiać.

— Ależ mamy! Mamy, Matyldo. Zostawiłem u ciebie moje rzeczy. Chodzi mi o płyty i kilka książek. Przyjechałem po nie. Poza tym wisi u ciebie mój garnitur. Nie wchodziłem sam, bo gdzieś zapodziałem klucz.

Zignorowałam roszczenia jako trywialne wobec kosztów, które poniosłam w związku z weselem. Nie miałam zamiaru o tym dyskutować. Zanotowałam jednak w pamięci, że muszę wymienić zamki. Jak mogłam o tym zapomnieć?

— Odeślę ci pocztą. Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

Spojrzał na mnie zdumiony, ale trwało to tak krótko, że mogło mi się wydawać. To był niekontrolowany wyraz, krótka migawka. Twarz niemal natychmiast przybrała zwykłą maskę nonszalancji.

— Ma się te znajomości. — Uśmiechnął się z ironią, rozkładając ręce w geście „oto mnie macie i kochajcie”.

Jakiś prąd przebiegł mi po zwojach mózgowych, ale krótko i nie zostawił żadnej treści. W tle majaczył Zbieracki, z którym Seweryn studiował i w jakiś

pokrętny sposób się przyjaźnili. Odrzuciłam podejrzenie.

— Tak? A jakie znajomości, jeśli można wiedzieć? — odezwał się z ciemności służbowy głos policjanta. — Komisarz Marek Mleczo, komenda powiatowa policji — przedstawił się, wyjmując legitymację. W tym momencie miałam ochotę go uściskać. — Mogę prosić o dowód osobisty?

— Po cholere panu mój dowód? Jestem narzeczonym Matyldy. Ona może zaświadczyć.

Milczałam.

— Matyldo, powiedz panu. — Seweryn chwycił mnie za ramię.

— To kłamstwo — odparłam, z zadowoleniem konstatując, że jestem już całkiem spokojna.

Strząsnęłam jego rękę, otrzepałam rękaw i milczałam, obmyślając sposoby odwzięczenia się komisarzowi, który stał niewzruszony z wyciągniętą w kierunku Seweryna dłonią. Ten w końcu sapnął i wyjął dowód osobisty. Podał go Mleczo z pogardliwym uśmiechem.

— Proszę, ale to jest bezprawie.

Policjant podszedł do latarni i w skupieniu studiował dokument.

— To jest miejsce przestępstwa i każda osoba musi zostać wylegitymowana. — Komisarz spisał dane. — Co pan robił wczoraj od godziny ósmej rano?

Seweryn otworzył usta i stał jak małeńka rybka patrząca na barakudę.

— Pan sprawdza moje alibi? To bezczelność! Nawet nie wiem, co się stało!

— Proszę odpowiedzieć.

— Nie wierzę, że to się dzieje. Pojechałem do pracy, potem ruszyłem w teren, bo robię reportaż...

— Ktoś pana widział?

— Właściwie to tak. Tankowałem paliwo na stacji BP koło Tesco

na Zagórskiej.

— O której godzinie?

— Nie pamiętam dokładnie.

— Zatrzymał pan fakturę? Może płacił pan kartą?

— Nie mam faktury, bo jej nie potrzebuję. I tak mi nie zwracają za dojazdy. A płaciłem gotówką.

— To mamy problem. — Mleczko mamrotał do siebie. Wyjął jakiś bloczek i wypisał kwit. — Proszę zgłosić się jutro na komendę w Tarnowskich Górach. Tutaj jest wszystko napisane. Do widzenia panu.

— Ale...

— Do widzenia. Proszę się oddalić. Jak mówiłem, to jest miejsce przestępstwa.

Seweryn kręcił się przez chwilę w miejscu. W końcu zaklął pod nosem i ociągając się, poszedł do stojącej przy bramie granatowej toyoty.

Gdy światła zniknęły za górką, ledwo się powstrzymałam, by nie rzucić się Mleczce na szyję.

— Ma pan u mnie kawę i obiad. Może nawet kilka obiadów. To było genialne.

— To ten uciekinier sprzed ołtarza? — zapytał z krzywym uśmiechem, a mnie jakby kto oblał zimną wodą.

— Skąd pan wie?

— Sama pani powiedziała. Poza tym jest pani pierwszą podejrzaną, więc to oczywiste, że sprawdziłem. — Spojrzał na mnie z tak szczerym uśmiechem, że niemal uwierzyłam w przysługę. Mogłam się tego spodziewać.

— W jaki sposób mam wejść do domu? — Starłam się uśmiechnąć równie szczerze i radośnie.

Mleczek podniósł wielki gliniany gar stojący przy drzwiach wejściowych i wyjął nowiutki błyszczący klucz od całkiem nowego zamka. Pokazał mi go jak trofeum, machając w powietrzu. Potem otworzył drzwi i wsunął mi klucz w dłoń, zaciskając moje zmarznięte palce swoimi ciepłymi.

— Odwiozę Wolnego. Ma pani szczęście, że dwa dni temu wrócił z Bieszczad i wpadł na siłownię. Obiecał, że będzie tu przychodził przez miesiąc, góra dwa. Potem musi pani kogoś poszukać. Dobranoc, pani Dominik. Nadal jest pani pierwszą podejrzaną — zaznaczył już bez uśmiechu i ruszył do samochodu.

— Ej! Mam tu spać? Sama na miejscu zbrodni?

Mleczek zatrzymał się i stał tak przez pół minuty zwrócony w stronę samochodu. Wystarczyło, bym zrozumiała, co powiedziała. W końcu odwrócił się w taki sposób, jakby sprawiało mu to ogromny wysiłek.

— Jeśli nie będzie pani wchodziła do jałówki, to nic pani nie grozi. Po prostu niech się pani zamknie na klucz albo — wzruszył ramionami — pojedzie do hotelu, do domu, dokądkolwiek. — Pokonał te kilkanaście metrów, które dzieliło go od passata, wsiadł za kierownicę i wjechał na dziedziniec gospodarczy. Dwa razy krótko zatrąbił. Wolny wyszedł z cienia pod stodołą, zgasił papierosa i usiadł obok kierowcy. Odjechali.

Zdjęłam kurtkę i buty. To był długi dzień i samotny wieczór. Czułam się niepewnie przez godzinę, w tym czasie wypłam dwie gorące herbaty, sprawdziłam wszystkie okna, drzwi do pakamery z drewnem, zerknęłam do piwnicy. Niczego niezwykłego nie słyszałam ani nie dostrzegłam. Dom zachowywał się cicho. Skarciłam się, że ganiam jak rozhisteryzowana paranoiczka. Brakowało mi Ilki. Łatwo było się do niej przyzwyczać. Po chwili wahania poszłam do pracowni, ale nie potrafiłam malować. Nie w takim stanie. W domu ciągnęło chłodem, a kominek straszył czarnym zimnym paleniskiem. Nic bardziej ponurego. Ułożyłam drewno, złamałam na pół sosnową szczapkę, podpaliłam i patrząc z przyjemnością, jak sypie

iskry i trzeszczy, wsunęłam ją między bierwiona. Lubiłam rozpalać ogień. Był to chyba jedyny atut starego domu. Dlaczego Zbieraccy nazwali go Sarnim Dworem, skoro saren w okolicy było jak na lekarstwo, nie miałam pojęcia. Po chwili uświadomiłam sobie, że po cichutku i stale mój umysł zadaje mi pytanie, dlaczego w ogóle jeszcze tu jestem. Ciekawe, czy komisarz potraktowałby mój wyjazd jak ucieczkę z miejsca przestępstwa? To były na razie głupie sugestie, nic oficjalnego.

Pół godziny później, kiedy odtajałam fizycznie i uczuciowo, uruchomiłam komputer i wysłałam długiego maila do Władka. Opisałam mu sytuację z nadzieją, że może on mnie oświeci. Jako właściciel powinien być zaznajomiony z nietypowym zachowaniem jałówki. Nie wiedziałam tylko, w jakim stopniu był związany z parobkiem, ale kliknęłam już „wyslij” i nie mogłam cofnąć. O sarnach zapomniałam, o tryku nie wspomniałam, o dziwnych odgłosach również. Wszystko tutaj było dziwne. Władek pewnie przywykł. Jednak coś mi w tych odgłosach nie pasowało, podobnie jak w zachowaniu jałówki.

No i skąd Seweryn dowiedział się, że mieszkam u Zbierackiego? Wiedział o tym Władek, co było oczywiste, Ilka, ponieważ jej powiedziałam przed wyjazdem, moi rodzice z tego samego źródła. Poczta posiadałam tylko elektroniczną. Nikt do mnie listów nie słał, a tym samym ich nie adresował. Listonoszka odwiedzała mnie na wszelki wypadek i tylko w celach towarzyskich.

Poczułam się zmęczona. Cholerny Seweryn. Wiedziałam, że będę teraz przed nim robić uniki, chyba że... zniknie z mojego życia na zawsze. Powinny być na to jakieś sposoby. Pomyślałam o jałowce i przypominając sobie wyczytany frazes o tym, że myśli mają moc sprawczą, uśmiechnęłam się z czułością. Potem wylogowałam się z poczty. Na monitorze w rogu komputera wyświetlała się dwudziesta druga trzydzieści osiem. Za późno, by telefonować do szpitala, ale wystarczająco przyzwoity czas, by zadzwonić do mamy.

Odebrała natychmiast.

- Witaj, mamusi. Chciałaś do mnie dzwonić, prawda?
- Wcale nie. Chciałam dzwonić do Anny. Wiesz, umawiamy się na brydża, a zbieramy nową grupę, ponieważ Tadeusz odpadł.
- Jak to odpadł? Obraził się na was?
- Dostał zawału. Leży w szpitalu, ale przeżyje, przeżyje.
- To znaczy, że u was wszystko w porządku. Słowo „brydż” oznacza stabilność, rozrywkę i dobre samopoczucie. Jednym słowem dobrze się czujesz i nie muszę o to pytać.
- Fizycznie dobrze. Ale sąsiadkom jeszcze nie pokazuję się na oczy. Uwierzysz? Wstydzę się. To chyba nienormalne.
- Tak, doskonale cię rozumiem. Strasznie was przepraszam. Naprawdę mi przykro.
- Ależ, moje dziecko, za co ty nas przepraszasz? Za tego idiotę? Gdybym go miała pod ręką... poczułby, co znaczy niedoszła teściowa, możesz być pewna.
- A co, nie pokazał się? — zdziwiłam się. — Prawdę mówiąc, obawiałam się, że wróci i będzie was nachodził. No wiesz, niby zrejterował, ale mógł wyskoczyć z przeprosinami albo czymś podobnym.
- Matyldo! Chciałabyś, żeby cię przeprosił? — Mama zawiesiła głos, a kiedy się nie odzywała, dodała: — Niestety, nie napatoczył się, a szkoda.
- Możesz być spokojna, nie chcę, by mnie przepraszał. Nie mów nikomu, gdzie jestem.
- Zwariowałaś? — powiedziała obrażonym tonem, a ja zastanowiłam się nad jej słowami.
- A tata? Zdrowy?
- Jak rydz. Wczoraj był na siłowni. Spala stres. Wiesz, w sumie cieszę się, że tam chadza.

— Mam nadzieję, że nie pochwali się jakimś koledze, bo wiesz, jeden drugiemu... Niby to miasto wojewódzkie, ale ludzie się znają.

— Możesz być spokojna, nie powie. Rozmawialiśmy na ten temat. Uważa, podobnie jak ja, że to sprawa rodzinna i obcy ludzie nie powinni sobie nami twarzy wycierać. A co ty, dziecko, tak się upewniasz? Coś się stało?

Opowiedziałam jej o wizycie Seweryna, ale nie wspomniałam o parobku nieboszczyku, policji, Ilce i całym zamieszaniu. Mimo stresu i samotności trochę oleju mi w głowie zostało. Rodzice nie rozgadali, tego byłam pewna. Matka nie kłamała, a ojciec prędzej dałby Sewerynowi po pysku. Zatem skąd on się dowiedział, gdzie mnie znaleźć? Poza tym wydawało mi się, że zachowywał się dziwacznie, jakby na pokaz. A może tylko odnosiłam takie wrażenie? Byłam coraz bardziej zmęczona, oczy mi się kleiły, wszystko nawarstwiało się i myliło. Omal za dupka nie wyszłam. A uniknięcie ślubu należało przypisać nie mnie, lecz jemu. Świadomość tego bolała.

Żeby nie dręczyć się rozmyślaniami przed snem, postanowiłam zajrzeć do atelier na strychu. Tego wieczoru było wyjątkowo cicho. Nic nie stukało. Miałam wrażenie, że zamek śpi. Najbardziej zastanawiało mnie, skąd bierze się odgłos skrzypienia schodów, który kilka razy słyszałam, a którego w żaden sposób nie dało się wytłumaczyć. Cisza jednak była miła i porzucając daremne dywagacje, zaświeciłam w pracowni tylko boczne lampy. Kilka dni temu przygotowałam sobie czyste płótno, nawet pojawił się już na nim zarys przyszłego dzieła, jednak teraz nie to mnie interesowało. Stanęłam przed obrazem Władka, tym, który według mnie był ostatnim z całej serii. Mroczna grotta ze stalaktytami w początkowym stadium nie sprawiała wrażenia naturalnej. To wyglądało jak fragment... Mignął mi przebłysk czegoś, co już gdzieś widziałam, ale był tylko iskierką i znikł szybciej, niż się pojawił. Przypomniała mi się informacja, którą zignorowałam, a otarła się o mnie w chwili zapewne nieodpowiedniej i dlatego nie zwróciłam na nią większej uwagi. Pognałam na dół i włączyłam przeglądarkę, żałując, że robię to tak późno.

Do tej pory nie przyszło mi do głowy, by zbadać okolicę, co było dziwne,

gdyż z reguły lubiłam wiedzieć, gdzie spędzam czas. Przewodniki turystyczne, historia, badanie terenu było rutyną. Musiałam być nieźle rozstrojona po katastrofie ślubnej, skoro teraz tego nie zrobiłam. Zagłębiłam się w sieci.

O pierwszej w nocy byłam tak zmęczona, że ledwo doczołgałam się do łóżka. Głowę miałam pełną zdjęć, filmów, danych i historycznych treści. Najbardziej spodobała mi się informacja o nieczynnej i od dawna zamkniętej kopalni srebra. Może dlatego śniły mi się skarby.

Rozdział 5

Wczesnym rankiem wytrąciło mnie ze snu coś trzepoczącego na szafce nocnej. Rozespana, trąc oczy, zrzuciłam na podłogę „Charaktery”, które przedwczoraj czytałam przed snem. Mysz?

Telefon.

Z wyłączonym dźwiękiem, podskakiwał jak żywy. Nie spojrzałam na zegarek, ale biorąc pod uwagę jasność za oknem, z pewnością zbliżało się południe. Jęknęłam.

— Wyspała się pani? — zabrzmiał w słuchawce baryton komisarza. — Dzwonię trzeci raz. Już chciałem posłać pogotowie.

— Dzień dobry — odburknęłam. — Jeszcze nie wiem, jak dalece dobry. Ale zakładam, że lepszy od wczorajszego. Co z Ilką? — Ziewnęłam przeraźliwie i głośno.

— Przewieźli ją do innego szpitala. Nie wiem dokąd.

— Jezus Maria, dlaczego? — Usiadłam, rozglądając się za kapciami. — Dlaczego, do cholery, latają z nią jak kot z pęcherzem?

— Dzwonię tylko z ostrzeżeniem, żeby się pani nie wybierała, bo dopiero by się pani wściekła. Do widzenia.

Usiadłam w kuchni i nastawiłam czajnik. Rozdrażnienie zniknęło, kawa stymulowała ciało i mózg mimo poczucia, że gdzieś w środku mam twardą kulę, bo jednak nie wszystko jest w porządku. Kiedy kończyłam pić drugą filiżankę, przypomniało mi się, że powinnam sprawdzić obórkę. Krowa była najważniejszą, prócz mnie, podejrzaną. Dlaczego zachowywała się tak dziwnie?

Za oknem było jasno i nie padało. Słońce wisiało wysoko. A co tam.

Krowa nie ucieknie. Położyłam się i chyba odpłynęłam w drzemkę, bo na granicy snu i jawy zobaczyłam obórkę w takim stanie, w jakim była, gdy pokazywał mi ją Arek Zaruba zaraz po przyjeździe. Na ścianie obok wideł, powrozów i łańcuchów wisiało coś przypominającego odcisk krowiego kopyta umocowanego na drągu dłuższym niż w typowej siekierze. Było w tym przyrządzie coś dziwnego. Kawałek metalu wyglądał chyba jak wcisk, a nie odcisk. Po co, komu i do czego toto służyło? Do znakowania? Zbyt wypukłe.

Napisałam esemes do Mleczki: „Jeśli nie zadzwonię za dwadzieścia minut, to proszę mnie szukać u jałówki”. Wiadomość wprowadziłam do zapisanych, ale jeszcze nie wysyłałam. Potem zaparzyłam kolejną kawę, wsypując pół łyżeczki więcej niż zwykle, i nie czekając, aż ostygnie, wypłam łyk wrzątku. Powinnam uważniej przyjrzeć się sprawie trzynastki. Ilka swego trzynastkowego pecha traktowała bardzo poważnie. Kilka razy nie poszła na wykłady, ponieważ mało że był trzynasty, to jeszcze piątek. Najciekawsze jednak, że pechowe zdarzenia zaistniały dopiero jakiś czas temu. W szkole na trzynastki nie reagowała. Czasami zastanawialiśmy się nad tym fenomenem. Teoretycznie można by się z niego pośmiać, gdyby nie przytrafiały się jej prawdziwe nieszczęścia. Na przykład oparzyła wrzącym olejem nogę od kolana do stopy. Do dziś ma paskudną bliznę. Wpadła samochodem do rowu i dachowała. Rozstała się z przyjacielem. Zawaliła dwa egzaminy na drugim roku studiów, mimo że była doskonale przygotowana. Mogłabym tak wyliczać jeszcze przez godzinę. Przypominała mi o tych wydarzeniach wystarczająco często.

Na mnie data nie robiła specjalnego wrażenia. Czy krowi kopniak spotkałby również kogoś innego? Czy gdybym ja tam weszła, stałoby się podobnie? Śmierdziała mi ta sprawa, ale popękane, a nawet połamane żebra to ostatecznie nie koniec świata. Może Ilka miała szczęście, a nie pecha?

Przed wyjściem włączyłam komputer i zalogowałam się na poczcie. Miałam pięć nowych wiadomości, jednak żadnej od Władka. Dwie księgarnie internetowe informowały o trzydziestoprocentowej zniżce na e-booki,

w jednej wiadomości było zaproszenie na portal randkowy obiecujące cudownego partnera, a ostatnią wysłała koleżanka ze szkoły średniej, Halina Kwiatkowska, z którą od dawna nie miałam żadnego kontaktu. Bardziej znajoma Ilki niż moja.

Droga Matyldo!

Kopę lat, prawda? Nie, nie obawiaj się, nie sprzedaję kosmetyków ani żadnych innych rzeczy. Odzywam się, bo jesteś najbliżzej Ildefonsy Sierocińskiej, takie przynajmniej miała panięskie nazwisko nasza wspólna kochana koleżanka. Zgubiłam na nią namiary. Wstyd się przyznać, ale zarówno telefon, jak i komputer mi ukradli, gdy jechałam metrem, a tylko tam miałam jej dane. Już wszystko dobrze, kupiłam sobie nowy sprzęt, ale muszę odzyskać informacje. Jak pewnie wiesz, jestem za granicą. Od kilku lat mieszkam w Szwajcarii. Przypominasz sobie Władka Zbierackiego, tego piegusa z płowymi włosami? Podobno miał rodzinę w Irlandii. Do niego też potrzebuję i adres, i telefon. Oczywiście, jeśli masz inne namiary na ludzi, których wspólnie znałyśmy ze szkoły i nie tylko, to bardzo Cię o nie proszę. Jeśli pozwolisz, to odezwę się za kilka dni. Stęskniłam się za Tobą i w ogóle za Wami.

Całuję ciepło

Halina Kwiatkowska

— Tere-fere gadka.

O, Wredna. Zobaczyłam ją jak żywą. Mała, chuda, ale silna, z olbrzymimi oczyma, jednak nie aż tak jak w chorobie Basedowa. W szkole miała jeszcze trochę pośladków i nawet jakieś cycki, dziesięć lat później na spotkaniu pomaturalnym wyglądała jak uschła szczapa. Nie miałam pojęcia, czy się zmieniła. Według moich kanonów piękna powinna przytyć, ponieważ miała zadatki na piękność, ale na szczudłach zamiast nóg. Z anorektyczną szparą pomiędzy udami i wystającymi kolanami nadawała się jedynie na modelkę. Ohyda. W szkole nie zdążyłyśmy się zaprzyjaźnić, raczej przeciwnie, przepływałyśmy obok siebie jak dwa wrogie statki na redzie, przepychając

się, by nie doszło do zetknięcia. O co jej chodzi? Nagle się stęskniła? Włączył mi się alarm. Skąd wzięła mojego maila? Mam od lat założony na Facebooku profil publiczny, ale nie podawałam nigdzie adresu poczty ani telefonu, a Halina napisała na skrzynkę przeznaczoną dla małego grona ściśle wybranych osób. Skąd wzięła ten adres?

Napisałam do Zbierackiego.

Czekając na odpowiedź, zamówiłam na Allegro pełną paletę farb akrylowych, kilka blejtramów i komplet porządnych pędzli. Można korzystać z czyjejś pracowni, ale bez przesady. Farby i pędzle, podobnie jak szczoteczka do zębów, były przedmiotami osobistymi. Zapłaciłam przelewem i dziękując Bogu za stworzenie internetu, jeszcze raz sprawdziłam pocztę. Władek nie odpisywał ani na wczorajszego, ani na dzisiejszego maila. Zostawiłam włączony komputer i poganiana przez kilka przecuć, których nie potrafiłam ubrać w słowa, włożyłam robocze ciuchy.

Wygrzebałam ze schowka kij do baseballa. Ciekawe, do czego Władcowi był potrzebny. Nigdy nie przejawiał sportowego ducha. Zgarnęłam z kuchennego blatu latarkę i wyszłam. Telefon z wciąż niewysłaną wiadomością do komisarza wsadziłam do kieszeni zapinanej na zamek. Uzbrojona i przygotowana na katatonię, połamane żebra i kilka guzów, zatrzymałam się przed starymi skrzypiącymi drzwiczkami.

Dopiero teraz zwróciłam uwagę na pomieszczenie, w którym trzymano krowę. Przypominało bardziej kapliczkę niż obórkę. Zaokrąglone ściany, spadzisty daszek kryty gontem, stare drzwi i niewielkie okienko w grubym murze przywodziły na myśl przerobioną rotundę nadszybia. Dokładnie jak na zdjęciach kopalni srebra. Obórka wyraźnie kontrastowała z pozostałymi zabudowaniami gospodarczymi.

Spojrzałam na krowę. Stała spokojnie i leniwie poruszała pyskiem. Na moje wejście zareagowała lekkim ruchem głowy. Nogi nawet jej nie drgnęły zatopione w świeżej ściółce. Stałam obok. Jak to spokojne zwierzę mogło załatwić jednego faceta, którego znało, i Bogu ducha winną Ilkę, która

z pewnością nie zrobiła krowie żadnej krzywdy? Pomieszczenie było nieduże, z dorobionym maleńkim stryszkiem i faktycznie mogło być wejściem do szybu. Tylko jak to sprawdzić? Klepałam bezmyślnie jałówkę po zadzie, póki nie pacnęła mnie ogonem w policzek.

— Ej, nie pozwalaj sobie. — Odskokczyłam i pokazałam jej kij, ale nie ostentacyjnie. Po prostu oparłam go sobie na obojczyku. Jałówka stała jak zwyczajna krowa, nieruchawo i leniwie. — Nie kopnęłaś mnie. Żebyś ty jeszcze, bydlę, mówić potrafiła, bo coś wiesz, to pewne.

Kopyto, które, jak pamiętałam, wisiało na ścianie, zniknęło. Rozejrzałam się. Najrozsądniej byłoby wyprowadzić jałówkę i uwięzić ją gdzie indziej. Coroczne wakacje u dziadków przygotowały mnie do wszystkiego, może nawet do wojny, gdyż obsługa broni palnej była dla mnie tak zwyczajna, jak używanie klawiatury laptopa, okropnie jednak nie lubiłam bliskości dużych zwierząt. Nie potrafiłam do nich ćwierkać i zagłaskiwać ich z rozbuchaną czułością jak Sierocińska. Wszystko, co chodziło na czterech łapach, nogach czy kopytach, traktowałam z należnym mu szacunkiem, ale bez poufałości.

W tej chwili gapiłam się na krowę, zastanawiając się nad pewną niejasnością. Mleczko czegoś mi nie mówił. Nie musiał. Byłam przekonana, że ukrywał informacje dotyczące śmierci Arka Zaruby. Jeśli zaś chodziło o Ilkę, to miałam pewność, że komisarz kłamie. Prócz jałówki musieli mieć innych podejrzanych — no tak, mnie, oczywiście. Chociaż gdyby chcieli, to już mogliby mnie zamknąć. Może właśnie dlatego Mleczko nie chciał mi powiedzieć, w jakim szpitalu leży Ilka? Obawiał się, że ją wykończę? Jak ktoś Zarubę? Idiotyzm. A jeśli nie? Muszę przeprowadzić własne śledztwo, inaczej dołączę do całkiem zacnego grona tych, którzy siedzą za niewinność. Dwa wypadki w obórcie, jak dla mnie, były wystarczającym powodem, żeby pomieszczenie dokładnie przeszukać. Obornik w trakcie poszukiwania kluczy został przetrząśnięty tylko z wierzchu. Czekало mnie mnóstwo roboty.

Najpierw poszłam do stajni, wzięłam solidny kantar i przeprowadziłam jałówkę do stodoły z owcami. Przywiązałam ją do słupa i podrzuciłam bal siana.

— Bez numerów, bo pożałujesz. — Klepnęłam krowę w zad, ustawiając się bokiem. Znowu nie oddała, co po raz któryś przemawiało za jej niewinnością. Po drodze przyjrzałam się stadu owiec. Tryka nie dostrzegłam i z nadzieją, że się wyniósł, opuściłam stodołę.

Wróciłam do obórki i na początek wspiełam się po wąskiej drabince na stryszek nad boksem. Tylko siano i stara kurtka, pewnie Arka Zaruby. Ciekawe, dlaczego policjanci jej nie zabrali? Poza tym na belce wisiał kawałek sznura, stary i zakurzony. Wieszac się chciał? Zaruba? Bez sensu. Wszystko to z pewnością z policyjną precyzją obejrzano i zbadano. Miałam jednak swoją teorię i nie dawała mi ona spokoju. Ślady gnoju nie stanowiły dla mnie problemu; jeśli można zrobić fałszywe odciski stóp, to z pewnością można odbić komuś na cyckach fałszywe racice. Ale jak to zrobił? Pytanie, kto i po co, na razie mnie nie martwiło. Uderzył na zewnątrz, a potem zabrał kopyto, podrzucił ofiarę do obórki i zostawił pod drzwiami? Krowa stała się kozłem ofiarnym.

Pod obornikiem, niedbale rozgrzebanym przez policjantów, widać było szparę, jakby w podłodze umocowano drewnianą konstrukcję. Ciekawe, gdyż pod gnojem wszystko by zgniło, a tym bardziej drewno. Należało to sprawdzić. Dwie godziny i dwadzieścia pięć minut później siedziałam, dysząc, z bolącymi plecami nad klapą zbitą z solidnych bali. Ktoś pomyślał praktycznie, gdyż przykryto ją brezentową płachtą, mocną i wcale nie starą. Dopiero na niej leżał obornik. Jakim cudem panowie policjanci niczego nie dostrzegli?

Pogratulowałam sobie intuicji. Nie wiedziałam tylko, czy mam to otworzyć, czy z powrotem przykryć obornikiem. Klapa wyglądała na ciężką. Złapałam za metalowy, o dziwo, niezardzewiały uchwyt. Nie drgnęła. Zdjęłam rękawiczki, które przeznaczyłam do wyrzucenia, i wyjęłam telefon. Skasowałam wiadomość i wybrałam numer. Mleczko odebrał po pięciu sygnałach.

— Panie komisarzu, potrzebuję pana. I to szybko, zanim Staszek Wolny przyjedzie — powiedziałam, nie zastanawiając się, czy mu przeszkadzam

w naradzie, przesłuchaniu albo może ratuję go z szefowskiego dywanika.

— Co się stało?

— Zobacz pan na miejscu.

— Pani Matyldo, co się stało? Nie mam czasu na zagadki. — Nie dało się ukryć, był w tym chłód.

— Odkryłam coś dziwnego w komórce.

— To może raczej powinna pani zadzwonić do operatora? Chyba że to podsłuch. Poślę do pani technika albo przywiezie ją pani sama na komendę, bo nie mam czasu w tej chwili. Prowadzę śledztwo.

— To dotyczy śledztwa. Tam jest kłapa.

Po drugiej stronie zaległa cisza. Po chwili usłyszałam znaczące chrząknięcie i nie wiedziałam, czy komisarz się rozłączył, telefon mu się zepsuł, czy po prostu milczy.

— W klepisku pod jałówką — dodałam, żeby odczepił się od telefonii komórkowej.

Usłyszałam dziwny odgłos.

— Jak to pani odkryła?

— Zwyczajnie, pod gnojem — prychnęłam, ponieważ po przygodzie z trykiem powinien się już nauczyć pokory.

Mleczek zaklął i usłyszałam, jak wrzasnął na całe gardło, aż odsunęłam słuchawkę od uszu:

— Zieliński, do mnie! Jak wyście, kurwa, przeszukiwali oborę na zamku?!

Posłuchałam jeszcze chwilę, bo komisarz zapomniał się rozłączyć, wreszcie z żalem zrobiłam to sama. Zamknęłam drzwi i wyszłam na świeże powietrze, by zapalić.

Passat nadjechał, kiedy kończyłam papierosa. Musieli jechać bardzo szybko, a może paliłam wyjątkowo spokojnie. Za nimi przyjechała suka.

Stałam oparta o kamienną ścianę krowiej obory, przytupując gumiakiem w kupę gnoju. Doniosłość odkrycia sprawiała, że cieszyłam się jak małe dziecko. Najbardziej z tego, że nie będę musiała tego wrzucać i udeptywać z powrotem, ponieważ zrobi to policja.

Chłopcy również musieli to zrozumieć, ponieważ entuzjazm widoczny na ich twarzach momentalnie zgasł na widok tego, na czym stałam.

Nieufnie podeszli do opróżnionego pomieszczenia, zaglądając w każdy kąt, wreszcie z jeszcze większą podejrzliwością zbliżyli się do kłapy w podłodze. Mina komisarza i jego znaczące spojrzenia taksujące mój strój nie przeszkadzały mi zupełnie. Byłam szczęśliwa. Odkryłam wejście do zamkowych lochów, pewnie jeszcze z czasów, kiedy Sarni Dwór nazywał się Rehnhof.

Mleczek gestem posłał techników do środka. Sam stanął naprzeciwko mnie i uśmiechnął się złośliwie.

— Ma pani jakieś cholerne hobby. Gotowym pomyśleć, że naprawdę pani to lubi.

— Lubię wiedzieć! Ciekawa jestem. W przeciwieństwie do niektórych.

Rzucił mi nieprzyjazne spojrzenie, prychnął pod nosem, odwrócił się i wszedł do obórki. Ruszyłam za nim. Postanowiłam, że nie dam się teraz wykluczyć, to ja odkryłam kłapę i chcę wiedzieć, co pod nią jest. W środku zagroził mi drogę jeden z policjantów.

— Przykro mi — powiedział z kamiennym wyrazem twarzy.

— Słucham? — Podparłam się pod boki, szukając wzrokiem komisarza. — Panowie, gdybyście tego nie wiedzieli, to ja osobiście — uderzyłam się pięścią w piersi — dokonałam tego odkrycia. Gdyby nie ja, teraz by was tutaj nie było.

— No właśnie — bąknął pod nosem chudy funkcjonariusz.

Z miejsca, w którym stałam, nie widziałam niczego. Tuż przede mną stał drugi facet w mundurze i również zasłaniał mi widok. Ale ten ładnie

zasłaniał. Nie to jednak chciałam w tej chwili oglądać. Wychyliłam się i poklepałam go po biodrze, żeby się odsunął. Odwrócił się zdziwiony. Gdy spostrzegł, że to ja, rozciągnął usta w szczeniackim uśmiechu i puścił mi oko. Nie przesunął się jednak.

— Panie komisarzu! — zawołałam do Mleczki, który zaglądał w dół z zafrasowaną miną. — Należy mi się coś! Odwaliłam czarną robotę.

Mleczko się wyprostował, podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie i spojrzał rozbawiony w dół.

— Okej! Panie mają pierwszeństwo.

Na te słowa chudy policjant najpierw się zdziwił, ale zaraz odstąpił z dżentelmeńskim gestem i złośliwym uśmiechem. Przedarłam się i zobaczyłam czarną dziurę. Małe schodki, strome jak drabina, wiły się w półmroku. Komisarz odsunął się, robiąc mi miejsce.

— Proszę bardzo, można schodzić.

No i bardzo dobrze. Wyciągnęłam z za pazuchy latarkę i zaświeciłam w głąb. Było ciemno, cuchnąco i strasznie. Pomacałam nogą stopień i upewniwszy się, że mnie utrzyma, zaczęłam schodzić w mrok. Wkrótce moja głową znalazła się poniżej poziomu gruntu. Komisarz milczał, ale wszedł za mną.

— Po jaką cholere nieznany sprawca siedział i walił kopytem w klatę? Gdyby chciał wejść, to miał mnóstwo okazji, chociażby czas między jednym karmieniem a drugim — podzieliłam się uwagą z komisarzem, który postępował za mną ze swoją latarką.

— Skąd pani wie, że kopytem?

— A co, chłopcy z prosektorium nie powiedzieli? Poza tym Ilka również ma połamane zebra. Sam pan mówił. — Obejrzałam się, świecąc mu w twarz. — Moim zdaniem w użyciu było kopyto albo jakiś taran. Nawiasem mówiąc, wisiało tam takie, a teraz go nie ma. To jedyne pasujące narzędzie. Nie wierzy pan chyba, że jałówka tak kopała? To najłagodniejsze bydlę, jakie widziałam.

— No tak, jakieś doświadczenie widać — wymruczał, osłaniając ramieniem twarz. — I niechże mi pani przestanie świecić po oczach!

— Dlaczego sprawca nie wszedł między jednym karmieniem a drugim, tylko atakował osoby, które wyraźnie mu przeszkodziły w penetracji lochów? Między karmieniami miałby mnóstwo czasu — powtórzyłam, opuszczając świetlny krąg z oczu komisarza na jego usta.

— Może dlatego, że nie ma sprawcy? Ten obornik był nieruszany. Nikt tutaj nie wchodził. Przynajmniej nie w ciągu ostatnich kilku dni. A może parobek, jak brzydko go pani nazywa, pracował od rana do wieczora, przebywał tutaj przez cały czas? Przy tych koniach chyba trzeba coś robić, nie tylko karmić je i poić. Może pasł owce? Na pewno je gdzieś wyganiał. Naprawiał wszystko. Przecież doskonale pani wie, że taka robota, jaką wykonuje Wolny, wystarczy tylko na jakiś czas.

— Oczywiście, może pan mieć rację. Ale skąd ja takie rzeczy mogę wiedzieć? — rzuciłam ironicznie i poszłam w ciemność.

— Czarownica — mruknął, teraz naprawdę po cichu, ale miałam go z wiatrem, bo dęło do lochu. Głos niósł się doskonale, jakby zwielokrotniony. Nie wiem, jak powinno być w podziemnych korytarzach, ale tutaj słyszalność była pierwszorzędna.

Przeszliśmy tak z trzysta metrów, lecz nic ciekawego nie dostrzegłam. Był to brudny, wydrążony w ziemi i częściowo w skale tunel, miejscami podstemplowany drewnianymi belkami. Nad głową zwisały nam wilgotne korzenie, w nosie kręcił zapach ziemi, stęchlizny i próchnicy. Przed oczami stanęły mi obrazy Władka. Idąc, osłaniałam twarz przed pajęczynami. Minęliśmy pierwszy zakręt i można się było wyprostować. Na moje wyczucie przeszliśmy pod budynkiem głównym, pod stodołą i kierowaliśmy się na Księży Las. Nagle światło oparło się na deskach, którymi zabudowano korytarz. Nie były ani stare, ani omszałe, jakich można by się spodziewać w takim miejscu. Może to rzeczywiście szyb kopalniany? Przejście było zabite na głucho, na stałe i na amen. A może tak tylko wyglądało? Na mój

rozum było jednak zbyt świeże.

— No, wracamy — mruknął Mleczek. — Nie widzę powodu, by to demontować. Przypuszczam, że tam dalej to się ciągnie aż...

— Do Księżego Lasu na farę.

— Skąd pani wie? — Złapał mnie za ramię i okręcił w miejscu.

— Nie wiem. — Spojrzałam znacząco na jego rękę. — Domyślam się. Gdybym pisała o tym książkę, to tak bym wymyśliła. W Księżym Lesie widziałam śliczny stary drewniany kościółek. Stoi na wzgórzu. W końcu to po drodze z Tarnowskich Gór, trudno nie zauważyć. Doskonale miejsce na wyjście. Ile to będzie kilometrów w linii prostej?

— Można sprawdzić, przepraszam. — Mleczek spojrzał na swoją dłoń i puścił mnie z ociąganiem. — Na oko ze cztery. Nie więcej. Sprawdzę, gdy wyjdziemy. Dobrze byłoby tutaj wrócić ze sprzętem. Idzie pani przodem czy wraca ostatnia? — Komisarz odsunął się, wskazując drogę.

— Ostatnia. Ale wie pan, to ciekawe. Dlaczego ktoś zrobił wejście u jałówki? I ta konstrukcja... jakby naśladowująca nadszybie. Nie zdziwiłabym się, gdybyśmy mieli do czynienia z autentycznym, obudowanym tylko wejściem do kopalni. A dla niepoznaki ktoś, czyli pewnie Władek, postawił na nim krowę.

— To coś nazywa się sztolnia i ma pani rację, to wygląda jak nadszybie. Skąd pani wie o korytarzach? Zabytkowa kopalnia srebra nie doczekała się szczególnej reklamy. Znam miejscowych, którzy niby wiedzą, że jest, ale nigdy jej nie odwiedzili.

— Potrafię czytać, panie komisarzu. — Spojrzałam na niego, nie kryjąc pogardy dla nieuctwa.

Panowie w mundurach zamknęli klapę i ku mej radości przysypali ją gnojem. Resztę obornika wywieźli tam, gdzie składował go Zaruba. Jałówkę przyprowadzili na miejsce. Nikogo nie kopnęła. Pozwalała głupia na wszystko, niemalże łąsiła się do ludzi. Wszystko poszło gładko, jednak nie

było siły, by Wolny nie poznał, że brakuje gnoju. Po długiej dyskusji, czy Wolny powinien coś wiedzieć, czy nie, obiecałam, że przyznam się, iż taką miałam fanaberię. Na katar mi pomaga i na zatoki. Odjechali przed szesnastą. W ostatnim momencie.

— Pani Matyldo — powiedział pół godziny później Staszek Wolny, który tego dnia włożył spodnie dresowe i kraciastą koszulę. Patrzył na mnie z góry, nie kryjąc lekceważącego uśmiechu. — Ja może wyglądam na idiotę, ale przecież widzę, co się dzieje, że policja do zamku nie jeździ całą ekipą na kawę, a ja pracuję tylko dlatego, że Zarubę zaciukali. Marek również nie milczy jak grób. Czasem coś mu się wyrwie.

— Ależ Zaruby wcale nie zaciukali — wyrwało się i mnie, czego natychmiast pożałowałam. — On umarł.

— Jeśli pani w to wierzy... — Wolny stał z rękami w kieszeniach i uśmiechał się tajemniczo, jakby miał coś ciekawego do powiedzenia. — I dziękuję pani za ten obornik, bo dużo go było.

Zaintrygował mnie. Przypominał młodego Johna Wayne'a z jego wczesnych filmów. Był tylko trochę wyższy. Bez trudu potrafiłam sobie wyobrazić Wolnego w kapeluszu i kowbojkach. Mężczyzna przyglądał mi się od dłuższego czasu. Zapewne również mnie szeregował. Pomyślałam, że rozmowa nie zaszkodzi.

— To co, po piwie?

— Jasne. Z przyjemnością. Pani to wypije nawet z dużą przyjemnością, z tego, co widzę. Tyle gnoju wywieźć to nie byle co. Może ja to piwo powinienem postawić?

— Nie ma sprawy, dowiezie pan następnym razem. — Uśmiechnęłam się.

Zaczynałam go lubić. Otwarłam drzwi i wykonałam zapraszający gest dłonią. Wolny zdjął gumki i zostawił je przy wycieracze. Nie protestowałam, zrobiłam to samo.

Pierwsze piwo wypiliśmy w milczeniu, siedząc przy świeżo rozpalonym kominku. W połowie drugiego Wolny zapalił papierosa, dmuchając do kominka.

— Pani to miejscowa nie jest, prawda?

— Bardziej miastowa — odparłam. — Z Katowic.

— A wcześniej?

— Wcześniej to rzeczywiście mieszkałam na wsi, przynajmniej czasowo i w regularnych odstępach — wyrwało mi się znowu. Może niepotrzebnie, ale na pewno zgodnie z intuicją, ponieważ pan Staszek uśmiechnął się przyjaźniej i ze zrozumieniem.

— Tak myślałem. — Wstał, dorzucił do kominka jedno bukowe polano i poruszył dużym żelaznym hakiem w palenisku, rozgrzebując resztki żaru. — Bo widzi pani, to jest atrakcyjny rejon.

— W jakim sensie atrakcyjny? Pan jest miejscowy? Bo nie wygląda pan na takiego, mimo tego dresu. Poza tym tutejsi ludzie nie zwracają uwagi na atrakcje. Po prostu mieszkają.

Wolny roześmiał się bez ironii i sympatycznie. Podobał mi się ten śmiech.

— Ma pani rację, nie mieszkam tutaj zbyt długo. Poznałem Anitę... i zostałem.

Serce zabiło mi mocniej. Lubiłam romantyczne historie. W obliczu takich nawet podziemne przejścia schodziły na dalszy plan.

— Opowie pan?

— A co tu mówić? Lepiej przywiozę kiedyś żonę.

— A co z tymi atrakcjami?

— Słyszała pani o kopalni srebra?

— Owszem, przeczytałam w internecie. Półtora kilometra czynnego i otwartego dla turystów chodnika. Sztolnia Czarnego Pstrąga, pływanie

łodziami. To jest ta atrakcja? Dla mnie średnia. Poza tym zero reklamy, cud, że zjawiają się tam jacyś turyści.

Udawałam, że sprawa mnie nie interesuje, ale srebro w głowie mi się skrzyło. Widziałam przed oczyma pełne garnce, ściany wyłożone cennym metalem. To była wizja tajemnicza, błyszcząca, jeszcze ten Skarbnik, czy jak on się nazywał... Postanowiłam sprawdzić w internecie. Chciałam coś odkryć, skradać się, wynieść jakąś korzyść dodatkową z życia w walącym się zamku, w którym na razie trafiłam tylko na uszkodzonego parobka, a moja przyjaciółka została poszkodowana, jeszcze nie wiadomo jak poważnie. Tutaj moje serce zrobiło zwrot, gdyż uświadomiłam sobie z ogromną wyrazistością, że nazwałam Ilkę przyjaciółką, a jeszcze nie odwiedziłam jej w szpitalu.

— Mogę? — zapytałam, sięgając po paczkę papierosów Wolnego. Przesunął ją w moim kierunku bez słowa. Wydawał się nieobecny. Wzrok utkwił w palących się polanach. W końcu na jego ustach pojawił się enigmatyczny uśmiech.

— Niech pani zapyta Anitę, ona lubi bajki, a o tej kopalni wie więcej ode mnie. Zdecydowanie to nie moja dziedzina. Nie cierpię historii. Dziękuję za piwo, pani Matyldo. Jeśli pani chce, to jutro przywiozę... żonę. Muszę już jechać. Mam swoje zajęcia.

— Ale... — Poczułam się zawiedziona. — Myślałam, że mi pan opowie o tych skarbach, o Skarbniku.

— Szarleju — poprawił. — Nazywał się Szarlej i coś w tej legendzie jest, przynajmniej tak twierdzi Anita. Ja się bajkami nie zajmuję.

— Panie Staszku, a nie dałoby się namówić pańskiej żony... Komisarz Mleczek sugerował, że może pomogłaby mi ten zamek ogarnąć? A przynajmniej znaleźć kogoś do pomocy. Widzi pan, miałam zająć się malowaniem, mam wystawę, brakuje mi pięciu obrazów i po to tutaj przyjechałam, a ten dom... Masakra. Nie tylko trzeba posprzątać, dobrze byłoby również ugotować coś od czasu do czasu. Może pani Anita poleci mi jakąś kobietę ze wsi, która szuka zajęcia. Sam pan widzi, że nikogo tutaj nie

znam.

Nie wspomniałam, że w zamku straszy, że kamienne schody skrzypią i panuje przeciąg, który zrywa się przy zamkniętych oknach i drzwiach. Jeden trup i jeden ranny, i to w części gospodarczej, która przez miesiąc lub dwa miała być domeną Wolnego, nie zniechęciły go, ale duchy mogły.

Mężczyzna nic nie powiedział. Oko mu błysnęło, uśmiechnął się dziwnie, skinął głową i wyszedł.

Miałam nadzieję, że otwarałam lokalne okno na świat. Zupełnie zapomniałam, że czasem, gdy spoglądamy na zewnątrz, widok jest zupełnie inny, niż się spodziewaliśmy.

Po wyjściu Staszka Wolnego skorzystałam z okna wirtualnego i uruchomiłam komputer. No wreszcie! W poczcie podświetlał się mail od Władka. Może wróci do kraju albo powie, co robić. Palec mi drżał, gdy otwierałam wiadomość opatrzoną datą czternastego października.

Matyldo,

jestem tu raczej na odludziu, normalnie. Z internetu korzystam w pubie codziennie wieczorem. Zatem moje odpowiedzi mogą się opóźniać. Zmartwiłaś mnie wiadomością o Arku. O ile policja mnie nie ściągnie, to jednak nie wracam. Muszę trzepać kasę. Dasz sobie tam radę? Zatrudnij kogoś. Wolałbym stąd nie wyjeżdżać, bo stracę kontrakt. Zapowiada się na to, że wkrótce udam się na platformę wiertniczą na Morze Północne, wtedy, normalnie, stracimy kontakt na jakiś czas. W tym czasie możesz normalnie na zamku mieszkać. Do tego czasu postaram się służyć Ci radą i pomocą.

Wspominasz o jałówce. Owszem, czasem kopie, bo źle reaguje na alkohol. Jeśli uważasz, że ryzykujesz lub, normalnie, denerwuje Cię, to możesz zrezygnować. Zniszczyłem telefon, bo wczoraj wpadł mi do sedesu. Straciłem numery. Zatem na razie kontaktuj się ze mną tylko tą drogą. Możesz się przeczucić na Skype'a? Nie mam kamerki i mikrofonu, ale możemy pisać. To

też jakaś rozmowa.

Czy on zwariował? W dupie ma, co się stanie ze zwierzakami? Zrobiłam sobie herbatę i kanapkę z serem. Obejrzałam w telewizji wiadomości, żeby się nieco uspokoić. Kiedy utwierdziłam się w przekonaniu, że nadal mamy rząd, a naród jest równie zachłanny i roszczeniowy, jak był, natomiast telewizja zamiast informacji o osiągnięciach ludzkości serwuje kronikę kryminalną, wróciłam do komputera. Włączyłam Skype'a, wywołałam Władka i napisałam, że czekam.

Jak Ildefonsa? Wiesz cokolwiek? — odpowiedział pytaniem godzinę później.

Nie mam pojęcia — odpisałam zgodnie z prawdą. — *Żyje, ale nie wpuszczają mnie do niej, a nawet utajnili, dokąd ją przewieźli.*

Rozpoznała kogoś?

Krowę.

Co?

Władek, niczego nie wiem! Na oczy jej nie widziałam. Coś mi miałeś powiedzieć o lochach.

A tak. Normalnie, to nie na komputer. Te korytarze są puste, to stara kopalnia srebra.

O! Oglądałeś je?

Mieszkam tam od urodzenia. Sądziś, że nie zajrzałbym? Znam je do najmniejszego zakamarka. I... więcej tam nie wchodzi. To było głupie.

A skarby? Są tam jakieś skarby?

Dawno je odkryłem i przehulałem, normalnie. Myśl, co chcesz. To informacje nie na Skype'a. Ha, ha. — Dokleił kilka emotikonek.

Wołałam tego nie komentować.

Czy to prawda, że ten korytarz od jałówki wychodzi na farze?

Skąd masz takie wiadomości?

Nie mam. To raczej przeczucie. Moja wyobraźnia pisarska. Nie weszłam daleko. Policjanci zasypali wejście słomą i postawili jałówkę, żeby Wolny niczego nie zauważył, ale i tak się domyślił. On tu teraz karmi te Twoje bydlaki. Gdybym wiedziała, co mnie czeka, nogi bym nie postawiła w tym domu.

Oj tam. Przesadzasz — napisał Władek.

Jego uwaga wydała mi się dziwna i nie na miejscu.

Policzymy się, gdy wrócisz. Zapłacisz mi za to, że tu jestem.

No dobrze, ale tak poważnie, zupełnie niczego ci nie powiedział? Nie wydusiłaś z niego, normalnie?

Kompletnie nic.

Władek też coś przede mną ukrywał. Czułam to. Pożegnałam się i rozłączyłam. Miałam ochotę kopnąć go w tę chudą rzyć. Sama sprawdzę te lochy.

Włączyłam przeglądarkę i wpisałam „Tarnowskie Góry legendy”. Druga, zaraz po Wikipedii, ukazała się strona RMF informująca krótko o tym, jak to rolnik o nazwisku Rybka wypasał krowy, które nagle zaryły rogami w ziemię i uniosły je lśniące srebrem.

Kliknęłam odnośnik. Godzinę później odstawiłam laptopa i poszłam do sypialni po paczkę moreli. Informacje szukały sobie niszy i wygodnego miejsca w pamięci. Zafascynowały mnie. Korytarz pod jałówką rzeczywiście musiał być fragmentem kopalni srebra. Lokalizacja się zgadzała. Zameczek stał prawdopodobnie nad mało zbadanym zespołem chodników, część z nich zalana była wodą, która spływała do niewielkiej rzeczki Dramy.

Powoli i bardzo mgliście zaczynałam układać plan eskapady. Sto pięćdziesiąt kilometrów korytarzy, dwadzieścia tysięcy szybów. Trzeba będzie znaleźć odpowiednie wejście, zbadać, czym właściwie jest korytarzyk pod jałówką, i przygotować się jak do prawdziwej wyprawy. Przydałby się

ktoś do towarzystwa, a może i do pomocy. Byłam pewna, że są inne szyby, tym bardziej że na stronach tarnogórskiego czasopisma „Montes Tarnoviensis” sprzed kilku lat znalazłam rysunek przedstawiający przekrój całej Sztolni Czarnego Pstrąga. Część tunelu udostępniono turystom.

Szkoda, że Ilka jest wyłączona z gry. Nikt nie nadawał się do penetracji podziemi tak jak ona. Plan wyprawy układał się podobnie jak fabuła moich powieści i wiedziałam, że nie miną dwa dni, jak zaleje mnie fala pomysłów. Zawsze tak miałam. Historia, która teraz rodziła mi się w głowie, była tak nieprawdopodobna, że umysł mógł ją potraktować jak bajkę, a w tych był dobry. O obrazy, które miałam namalować na wystawę, postanowiłam zadbać, gdy to wszystko się skończy. Miałam nadzieję, że wkrótce.

Przed zaśnięciem myślałam o Ilce, potem śniły mi się kopalnie i strażnik srebra, Szarlej, z długą białą brodą.

Rozdział 6

W niedzielę po przebudzeniu, jeszcze w piżamie, poszłam do pracowni i zaczęłam przelewać senną wizję na czyste zagruntowane płótno. Malowałam w amoku i nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Staralam się za bardzo nie wybudzać, gdyż chciałam widzieć to, co mi się śniło, szkoda tylko, że musiałam to robić na stojąco. Wariackie napady kreatywności nawiedzały mnie od czasu do czasu i zawsze miałam z nimi świetną zabawę, ale dopiero gdy skończyłam. Podczas samego procesu trwałam w absolutnym skupieniu, niczego innego nie widząc i nie słysząc. Morderca parobka i napastnik Ilki mógłby do mnie podejść, łomocąc po schodach, i nie zwróciłabym na to uwagi.

W końcu odsunęłam się od płótna, rozcierając ramiona z zimna. Obraz przedstawiał podziemną komorę wykutą w skałach, z której odchodziły cztery korytarze pogrążone w mroku. Na pierwszym planie stał starzec z długą białą brodą, w tle widoczny był kufer ze skarbami, wśród których błyskało złoto i kremowe perły. Piraci z Karaibów, normalnie, jak powiedziałaby Władek. Odsunęłam się. Ciekawe... i podobne do Władkowych. Zbyt podobne. Projekcja. Drząc coraz bardziej z zimna, odsłoniłam jego płótna. Moje przypominało krajobraz z baśni o Sindbadzie. Nigdy nie miałam predyspozycji do pokazywania horroru, w przeciwieństwie do Zbierackiego. Miał do tego talent.

Niezadowolona zamknęłam pracownię i pognałam na dół, by ogrzać dom. Jak bardzo odleciałam, malując sen, zrozumiałam dopiero w kuchni, gdy stanęłam przy oknie. Powinnam się leczyć. Jakim cudem nie słyszałam tego upiornego wycia wiatru? Kilka niewielkich akacji pod stodołą gięło się do ziemi w histerycznych ukłonach, drewniane wrota waliły w ceglane ściany, a modrzew furkotał niczym wystraszona szynszyla.

Uchyliłam na chwilę okno, mocno przytrzymując skrzydło. Zimno wdarło się do środka, a wraz z nim zapach lasu, wilgoci i...kiszonki. Zamknęłam je natychmiast, ale zachwycona żywiołem przytuliłam twarz do szyby. Dziedziniec upstrzony liśćmi lip i topól lśnił taflami kałuż, które odbijały coraz później wschodzące słońce. Po niebie gnały białogranatowe obłoki, igrając z nim w berka i co chwila je przysłaniając. Westchnęła we mnie malarka. Z zachwytu zapiała pisarka. Natomiast ja zadzwoniłam do komisarza, ponieważ zbliżało się już południe.

— Doktor Sierocińska żyje? — zapytałam bez zbędnych wstępów. — Mam nadzieję, że ktoś jej pilnował?

— Żyje, ale są pewne problemy i nie należy jej odwiedzać.

— Ale jak to?

— Po prostu. Nie ma odwiedzin.

— Ale już lepiej?

— Lepiej.

— I nie wolno odwiedzać?

— Nie wolno. Do widzenia.

Dopiero po chwili do mnie dotarło, że to Mleczek pierwszy się rozłączył. Cham.

Zrobiłam sobie herbatę i grzanki. Kiedy kończyłam śniadanie, zauważyłam, że ciasny gorset zmartwienia pękł, jakby ktoś przeciął sznurówki. Ilce jest lepiej. Pomyślałam ciepło o świętej Ildefonsie! Jeśli takiej nie było, ktoś powinien ją wymyślić. A Mleczek, jeśli nie chce mówić, to nie. Niech się goni. Znajdę okazję, by go przepytac, w ostateczności ją stworzę. Są również sposoby, by się dowiedzieć, w którym szpitalu leży Ilka. Zawiozę jej komórkę, żeby mieć wieści z pierwszej ręki. Jeśli mnie nie wpuszczą, to podam przez jednego z policjantów, którzy pewnie stoją pod jej pokojem. Ciekawe, że komisarz słowem o tym nie wspomniał. Niby zasłaniał się tajemnicą, ale gdy spojrzałam uczciwie na nasze rozmowy, to przekazywał mi

sporo informacji i z pewnością łamał przy tym jakieś przepisy. Ciekawe, czy robił to dla dobra śledztwa. A może nikt Ilki nie pilnuje? Umyłam zęby, ubrałam to, co było pod ręką, i zadzwoniłam jeszcze raz do Mleczki.

— Winna jestem panu kawę i obiad.

— Tak?

— Za Seweryna. Spławił go pan koncertowo.

— O! — powiedział. Elokwencją nie szastał.

— Zapraszam pana do Dworku Myśliwskiego. Widziałam taki, zwiedzając okolicę — dodałam jednym tchem, żeby nie zrejterować.

Nie miałam zwyczaju zapraszać mężczyzn, zwłaszcza takich, którzy się rozłączają, ale skoro komisarz robił dla mnie wyjątki, to nie powinnam być drobiazgową. Poza tym miałam zamiar go przesłuchać. Wizyta na posterunku odpadała, natomiast na zamku było zbyt nieoficjalnie i mógłby sobie za dużo pomyśleć. Nadstawiłam uszu, ale milczenie z drugiej strony dziwnie się przeciągało.

— Hej, jest pan tam? Przegięłam? — Nie oczekiwałam peanów, ale może chociaż jakiś odgłos zastanowienia! Poczułam rumieniec i zrobiło mi się głupio. Teraz mnie zgasi albo wyśmieje. — Nie mam zamiaru gotować sama — dodałam. — Aż tak wdzięczna nie jestem.

Komisarz się roześmiał.

— Nieśmiałością pani nie grzeszy, prawda? Zgoda na Dworek. Przyjadę o dziewiętnastej. Może być?

— Może — powiedziałam i się rozłączyłam.

Miałam spocone czoło, mimo że z zamku wywiało całe ciepło i nadal wyło potępieńczo. Schody zaskrzypiały. U góry coś stuknęło. Tego odgłosu akurat nie byłam pewna — równie dobrze mogło coś trzasnąć za oknem albo na dachu. Mimo wszystko pognałam na górę. Nikogo nie spotkałam, nikt się nie krył w korytarzu. Otworzyłam drzwi do mojej sypialni, sprawdziłam pod

łóżkiem i w szafie. W pokoju Ilki zrobiłam to samo. Pusto. Tylko na półpiętrze chwiał się na gwoździu obraz. Zajrzałam do atelier. Wichura była tu słyszalna jeszcze bardziej niż na niższych kondygnacjach. Zatem nie mogło tak wiać, gdy malowałam, bo musiałabym to usłyszeć, szyby bowiem aż drżały w dachowych oknach. Miałam poważne obawy, że mogą wylecieć. Przetawiłam sztalugi z obrazami pod ścianę, na której nie było okien. Stwierdziłam, że w razie czego ich nie zaleje. Sprawdziłam, czy okna są szczelnie zamknięte, i wyszłam, zamykając drzwi na klucz. Żadnego ducha ani człowieka, który wyżerał mi morele, nie spotkałam. Nie zauważyłam również kątem oka, by coś mignęło albo kryło się po kątach. Jedynie na klatce schodowej poczułam wyraźny ciąg powietrza, ale nie miałam pomysłu, skąd się bierze.

Pytania związane z ostatnimi wydarzeniami pączkowały jak drożdże, a brak odpowiedzi powodował, że robiłam się niespokojna i roztargniona. Liczyłam na wieczór, dlatego przygotowałam listę:

Dokąd prowadzi korytarz wychodzący z obórki? Czy do Księżego Lasu?

Dlaczego obórka podobna jest do nadszybia rotundy, które jest w Reptach? Czy to stary szyb, czy tylko fantazja starego Zbierackiego, który uwielbiał potworki?

Czy związek z kopalnią srebra jest moim wymysłem, czy faktem?

Coś mi się nie podoba w korespondencji z Władkiem. On albo coś ukrywa, albo z jakiegoś powodu kłamie. Po co to robi?

Jeśli Ilki i Zaruby nie kopnęła jałówka, to dlaczego obydwójce leżeli w tym samym miejscu? Dla zmyłki?

Co miejscowi mówią o kopalni srebra? I dlaczego, do cholery, mnie to interesuje?

Z jakiego powodu odezwała się Wredna? Ona coś knuje!

Dlaczego Mleczko nie chce, bym pojechała do Ilki? Komisarz kręci.

Czego naprawdę oczekuje ode mnie Seweryn? Powinnam zmienić zamki

w mieszkaniu w Katowicach.

Na dole dopisałam: *Potrzebuję kogoś do pracy w gospodarstwie. Kurczę, to nie ja potrzebuję, tylko Władek. Powinnam wyjechać!*

Z niejasnym uczuciem niedosytu, jakie czasem miewamy, gdy zapomnimy o czymś, ale nie jesteśmy tego pewni, zeszłam do kuchni. Powinnam wyjechać. Co do tego nie było wątpliwości, w każdym razie nikt normalny by ich nie miał. Ja miałam. Wyło potępieńczo, w końcu włączyłam radio na pełny regulator, żeby zagłuszyć wicher. Zjadłam chińską zupkę, poruszałam się trochę w rytm muzyki, a potem wróciłam do sypialni, usiadłam na łóżku z morelami pod ręką, laptopem na kolanach i utonęłam w internecie, nieświadoma, co szykuje mi los.

O piętnastej rozległo się gwałtowne walenie kołatką. Ściszyłam radio. Na dworze panowała cisza absolutna. Wiatr ustał, jakby jeszcze chwilę wcześniej nie łamało konarów, nie gwizdało i nie rzucało blachami. Kogo diabli niosą? Nie była to pora karmienia, zatem nie mógł to być Staszek Wolny. Wyjrzałam przez okno.

Blondyna z ciemnymi odrostami, obfity biust, dzinsy i męska koszula wyłożona na wierzch. Przytupywała na skrawku gruntu, na którym nie było kałuż. Pomimo niewielkiego wzrostu mogła ważyć ponad setkę. Taki ciepły obrazek matki Polki. Przy bramie dostrzegłam terenowe daewoo. Otworzyłam drzwi.

— Anita Jezierska — powiedziała nieznajoma, wyciągając rękę. Dłoń była sucha i ciepła. — Chciała mnie pani widzieć. Staszek mówił, że trzeba posprzątać.

— Ojej! — Dotarło do mnie, bo nazwisko mnie zmyliło. Czyli nie są małżeństwem. A może są, nazwisko nic nie znaczy. — Przepraszam, ale zupełnie zapomniałam. — Uskoczyłam i otwarałam szerzej drzwi. — Zapraszam serdecznie, pani Anito. Proszę, proszę. Myślałam, że się pani zabierze z panem Staszkiem.

— Rano nie miałam czasu, a wieczorem to już mi się nic nie chce. W czym

pani pomóc? — mówiła ze śląskim akcentem. Głos miała niski, szorstki.

— O, nie tak od razu. Napijemy się herbaty i sobie porozmawiamy. Pogoda taka, że nie warto brać się do czegokolwiek. Najlepiej usiąść przy kominku. W Jasionie też tak wiało? — Miałam wątpliwości co do tego sprzątania. Jak ona się schyli pod łóżko?

— Jasne. Na drodze leży złamane drzewo. Musiałam czekać, aż straż je usunie.

Wskazałam fotele przed kominkiem.

Jezierska spojrzała na nie z nieufnością i przyniosła z kuchni krzesło. Miała ładną twarz, nie nalaną i bez podbródków, jedynie policzki jak u chomika, sugerujące zażywanie sterydów.

Że też się jej chce wynajmować do sprzątania! A może robi mi uprzejmość?

Wy tłumaczyłam, na czym mi zależy, kładąc nacisk na gotowanie, i opowiedziałam o Ilce. Podzielenie się tym kłopotem z drugą kobietą przyniosło mi niespodziewaną ulgę. Jezierska zrewanżowała się informacjami o kopalni srebra. Nie było to jednak nic, czego bym już nie wiedziała z internetu. Podzieliła się też miejscowymi plotkami.

— Szukają mordercy, podobno ukrywa się w okolicy. Mleczko pani nie mówił?

Zdrętwiałam. Pierwsze na myśl przyszły mi morele. Czy powinnam się bać czegoś więcej niż to, że Mleczko oskarży mnie o morderstwo? Nie skomentowałam wiadomości, mimo że zjeżyła mi włosy na karku, i wróciłam do tematu wyżywienia. Jezierska ochoczo skinęła głową.

— Gotowanie co drugi dzień. To mi pasuje, bo co drugi dzień muszę jechać do szkoły.

— Zgoda. W szkole pani też sprząta?

— Nie — powiedziała, zaglądając do kieliszka z winem. — Uczę.

— Eee...

— Żałuję — trzymała się za falujący od śmiechu brzuch — że nie mam komórki. Zrobiłabym pani zdjęcie.

Dolałam nam wina i przyjrzałam się mojemu gościowi. Przypomniała mi się profesorka z ogólniaka. Ciepła, niska i rozłożysta.

— Założę się, że uczy pani polskiego i prowadzi kółko teatralne.

— Nie ma to jak bystre spojrzenie.

Wyczułam ironię, ale przełknęłam ją. Stuknęłyśmy się kieliszkami i przeszłyśmy na ty. Byłam skonfundowana i może dlatego Anita wydusiła ze mnie wszystko, co wiedziałam na temat niefortunnych wydarzeń w Sarnim Dworze. Streściłam jej powieść, czego nigdy nie robię, pokazałam obraz, produkt wizjonerskiej nocy, i wyciągnęłam od niej zgodę na portret, nie wspominając jaki, a na koniec zwierzyłam się z tego, że Mleczek podejrzewa mnie o morderstwo. Powiedziałam o niedoszłym ślubie, dzisiejszej randce z komisarzem. O duchach nie wspominałam. W końcu ocknęłam się i zapytałam o tunel pod jałówką.

— Jasne, że wiem o tunelu, i nie, to nie jest rzecz ogólnie znana. Marek Mleczek o nim nie wiedział, ale on jest nietutejszy. Pisałam kiedyś kilka artykułów do „Gwarka” na temat miejscowych legend. To akurat mój konik.

— Tak?

— Nie, nie pisanie. — Machnęła ręką. Miała długie, pomalowane na czerwono paznokcie. — To zostawiam profesjonalistom, ale legendy mnie fascynują. Zbadałam wtedy mnóstwo źródeł i wysłuchałam wielu podań.

— Pisałaś o tych tunelach?

— To nie są żadne tunele, to stare korytarze kopalni srebra. Musiałaś to podejrzewać, skoro o nią zapytałaś, zaraz jak przyszłam. I broń Boże, o nich nie pisałam. To nie byłoby wskazane. Lepiej, żeby turyści o nich nie wiedzieli. Domyślałam się, dokąd te sztolnie się ciągną, oczywiście nie wszystkie, bo to jednak jest potężny kopalniany kompleks. Ale to, co

wyczytałam i usłyszałam na temat korytarzy, pozwala przypuszczać, że tutaj, pod zamkiem, muszą być dwa rozgałęzienia i na pewno jakiś lufcik. Nie sądzę, by wejście w obórce, które odkryłaś, było jedyne. Według mnie to sztuczne połączenie, poza tym musi być przynajmniej jeszcze jedno z samego zamku. Wiele z nich eksplorowałam, kiedy jeszcze byłam sprawniejsza. — Anita poklepała się po brzuchu i wzruszyła ramionami. — To efekt ostatniego roku. Chorowałam i napuchłam po sterydach.

— Przykro mi.

Wzruszyła ramionami.

— Opowiesz jakąś legendę o kopalni? — poprosiłam.

— Prześlę ci, tylko podaj maila. Mam je wszystkie spisane.

— Właściwie to powinnam cię zagonić do tego sprzątania, za karę, ale z gotowania nie zrezygnuję. Poważnie. Kiedy piszę lub maluję, to zapominam o bożym świecie.

— Poślę ci specjalną pastę do tych kamiennych podłóg. Strasznie tu ślisko. Naraić ci kogoś do sprzątania?

Zastanowiłam się.

— Hm... Jeszcze przyślesz mi dyrektorkę ze szkoły.

— W życiu! Myślałam o matematyce.

Daewoo odjechało, rozbryzgując kałuże.

Spojrzałam na zegarek. Zostało mi czterdzieści minut na doprowadzenie się do stanu, który rzuci Mleczkę na kolana, za mało jednak na obmyślenie stosownej strategii przesłuchania i wyciągnięcia z niego kolejnych tajemnic służbowych. Weszłam do sypialni i otworzyłam szafę.

Granatowa, bardzo obcisła sukienka z długim rękawem zachodzącym na dłoń, do tego matowe, prześwitujące rajstopy pod kolor i muszkieterki na dwunastocentymetrowej szpilce. Jeśli komisarza to nie ruszy, to wracam do gumiaków. W obronie przed zimnem zdecydowałam się narzucić futerko

z rudych lisów sięgające mi do kolan. Było majstersztykiem ersatzu i nie do odróżnienia od prawdziwego, póki ktoś go nie wziął do ręki. Wprawdzie pora roku była nieodpowiednia, ale kto kobietę pyta o takie szczegóły, gdy ta zakłada futro. Zrobiłam staranny makijaż i pomalowałam połamane paznokcie. Mogłam się wybrać wcześniej do kosmetyczki, ale nie przyszło mi to do głowy. Zresztą teraz już było za późno. Manikiur trzeba było ograniczyć do przypięłowania. Włożyłam pierścionek z dwoma maleńkimi diamentami, który traktowałam jak talizman. Potem odwiesiłam futro do szafy i włączyłam telewizor. Niech nie myśli, że czekałam.

Przyszedł o czasie, w czarnym obcisłym swetrze, szarych wełnianych spodniach i ciemnopopielatej marynarce. Wyglądał onieśmielająco. Zaczęłam się zastanawiać, w co ja się bawię, szczególnie kiedy komisarz wszedł do środka i zamknął drzwi, a ja poczułam na policzkach rumieńce.

Powinłam wnikliwiej przyjrzeć się własnej motywacji. Czy była to tylko wdzięczność za uwolnienie mnie od namolności Seweryna? Doskonale sama potrafiłam sobie z nim poradzić. I czy wystroiłam się w tę seksowną kieckę z powodu kolacji w knajpce znajdującej się w małej wsi zabitej dechami? Straciłam właściwą mi umiejętność oceny sytuacji? Przynajmniej zauważyłam, że czuję się i zachowuję jak niedoświadczona licealistka. Byłam pewna, że nie ma to nic wspólnego z pomocą komisarza przy spławianiu Seweryna. Poza tym wkurzał mnie swoją postawą nieomylnego macho. Dostrzegałam jego arogancję, dążność do dominacji, złośliwość, ale ciało wyraźnie było ślepe. Ono na niego reagowało. Należało z tym skończyć, zanim na dobre się zacznie. Kolacja — już jej nie odwołam, a może wyjaśni się kilka spraw — ale na tym koniec.

Łudziłam się, że w sprawach relacji damsko-męskich komisarz nie jest nadmiernie bystry i że za bardzo się nie odkryłam. Do tej pory mnie nie zauważał, to znaczy nie traktował poważnie, a jego spojrzenie wydawało się najwyżej ironiczne. I dobrze. Sięgając po futro, miałam nadzieję, że się nie mylę. To była lewa półkula reprezentująca zdrowy rozsądek, logikę postępowania, analizę i wnioski. Nadzieja, że prezentuję się seksownie

i kusząco, była zupełnie inną sprawą. Z rozsądkiem nie miała nic wspólnego.

— Zaraz zejde! — krzyknęłam z głębi szafy piskliwym głosem. Mój ty Boże, jak pensjonarka. Jeśli to się nie zmieni, to nie będzie problemu z ciągiem dalszym naszych relacji. Odchrząknęłam i poinformowałam, tym razem kontrolując już struny głosowe: — Wezmę tylko jakieś okrycie.

Uniosłam futro z zamiarem podania go komisarzowi, by pomógł mi je założyć, zrobiłam trzy kroki, zła już przy drugim, bo przyłapałam się na tym, że poruszyłam biodrami, a w lustrze umieszczonym w korytarzu próbowałam dostrzec reakcję Mleccki. Nagle poczułam brak gruntu, nie tylko w postaci pewności siebie, ale również pod cienkim obcasem. Widok własnych nóg, które niespodziewanym ślizgiem rozjeżdżają się w przeciwnych kierunkach, nie przysłonił mi wyrazu ogromnego zainteresowania na twarzy Mleccki.

Rąbnęłam na kamienie niczym połamany cyrkiel.

Mnie tu nie ma. Chciałam zapaść się pod podłogę, przy okazji może odnalazłabym drugą odnogę korytarza. Mleccko sterczał nade mną. Poczułam jego zapach, a po chwili silne ramiona, które pociągnęły mnie w górę.

— Szlag by trafił! — powiedziałam zamiast „dziękuję”.

— Obcas jest złamany — powiedział Mleccko z kamienną twarzą, posadził mnie na krześle i złapał za kostkę.

— Ej, co pan robi?

— Jak pani to ściąga? — Stał niczym ordynans tyłem, z moją nogą pomiędzy swoimi udami i ciągnął za podeszwę wysokiego buta. — Długo mam tak czekać? — Obejrzał się przez ramię.

Kopnięcie w tyłek wydawało mi się świętokradztwem.

— Mam pani pomóc, czy idzie pani z połamanym obcasem?

Pchnęłam. Mleccko zrobił dwa kroki i pomasował pośladek.

— Drugi — powiedział, stając ponownie w rozkroku i pokaszując. But szedł z trudem. Mleccko obejrzał cholewkę. — Jak pani, do cholery, sama

to zdejmuję?

Pokręciłam tylko głową i ruszyłam boso do sypialni. Wcisnęłam się w dzinsy, sukienkę, którą miałam na sobie, potraktowałam jak tunikę, a na stopy włożyłam buty trekkingowe.

Trzeba było kupić pizzę.

Na zewnątrz znowu wiało, było zimno i ciemno. Na horyzoncie błyskały nieliczne światełka Księżego Lasu, nad nimi unosił się wianuszek chmur, a u góry niebo było wygwieżdżone jak w bajce. Nagle poczułam się dziwnie lekko, jakby świat chciał potwierdzić, że idę właściwą ścieżką i mam z niej nie zbaczać. Prócz Mleczki nikt mnie nie woził samochodem. Nawet Sewerynowi na to nie pozwalałam. Na fotelu pasażera czułam się nieswojo, w chwili obecnej to odczucie potraktowałam jak metaforę swego życia. Zamyśliłam się. Mleczko również milczał. Wraz z upadkiem straciłam pewność siebie i nie wiedziałam, o czym rozmawiać. Komisarz nic nie mówił z siebie tylko wiadomych przyczyn.

— Dziękuję, że podpowiedział mi pan tę Anitę — przemogłam się dopiero, kiedy parkował na grubym żwirku przed restauracją. — Fajna kobieta. Będzie sprzątać, gotować, a do tej cholernej podłogi przyniesie pastę antypoślizgową.

Komisarz zgasił silnik, przez chwilę mi się przyglądał, nawet brew mu nie drgnęła. Miał klasę. Nie skomentował upadku.

— Znam ludzi. Cieszę się, że mogłem pomóc.

— W zawodzie policjanta, podobnie jak w mojej pracy, najważniejsza jest znajomość jednostki ludzkiej, prawda? — Wyobraziłam sobie szkolenia z zakresu rozpoznawania uczuć i emocji z tablicami dla dzieci autystycznych: smutna buzia, wesoła buzia. Miałam ochotę zapytać go o rodzaj kursów z zakresu komunikacji niewerbalnej w interakcjach międzyludzkich, bo może studiował chińską sztukę czytania z twarzy, ale zmilczałam. Uratował mnie przed nieprzyjemną kłótnią z Sewerynem. Powinnam mu być szczerze

wdzięczna, a nie wbijać szpile.

Jeszcze siedzieliśmy w passacie, gdy zadzwonił telefon. Mleczko zerknął na wyświetlacz.

— Muszę odebrać. To służbowy. Przepraszam.

— Ależ proszę. Nie jesteśmy na randce.

Komisarz został w samochodzie. Ja również nie miałam zamiaru wychodzić. Nie dało się zatem nie słuchać.

— Musi być gdzieś niedaleko! — powiedział ostrym tonem, nie zwracając na mnie uwagi. — Sprawdźcie wszystkie meliny i niezamieszkałe domy. — Tak. Tak, do cholery! Wykonać! Rano będę. — Rozłączył się i przez dwie minuty milczał.

Jednak kogoś szukali. Przyglądałam się, jak nieliczne płatki śniegu, niezwykle o tej porze roku, opadają na samochodową szybę i zaczynają przypominać o zimie. Zachmurzyło się, wiatr był umiarkowany, a gwiazdy zniknęły. Mleczko uderzył dłonią w kierownicę i uchylił drzwi. Chwyciłam za klamkę, ale jeszcze nie wysiadałam.

— Jak zginął parobek? — zapytałam.

Pokręcił głową.

— Nic z tego.

To się jeszcze okaże, pomyślałam.

Restauracja była stylizowana na polski dworek. Były tu kolumnienki i ganek oraz kilka śliskich od mokrego śniegu schodów. Odważnie postawiłam stopę na pierwszym z nich, a myśl, że trekkingowe obuwie nigdy mnie nie zawiodło, dodała mi pewności siebie.

W szatni Mleczko pomógł mi zdjąć futro i oddał je chłopakowi za ladą, którego oczy mówiły wyraźnie „nowa flama komisarza”. Puściłam mu oko.

— To o czym będziemy rozmawiać? — zapytałam komisarza, siadając specjalnie przy jedynym stoliku pod oknem z widokiem na salę. Byłam

ciekawa, czy będzie potrafił usiąść, nie mając za plecami ściany.

Mleczek przestawił krzesło.

— Proszę coś wymyślić. Skoro jesteśmy tu z powodu pani narzeczonego albo raczej niedoszłego męża, to może o nim? — zaproponował, patrząc w menu. Nagle uniósł wzrok. — Co sprawiło, że miała pani zamiar wyjść za takiego faceta? Proszę nie brać tego do siebie, ale Kruczyński sprawia wrażenie dupka.

— Hm... — Z nikim jeszcze o tym nie rozmawiałam, nawet z Ilką, mimo jej profesjonalnych nagabywań. — Czasami sama siebie zadziwiam. Przetrzepał go pan na komendzie?

Mleczek milczał, a ja wzięłam drugą kartę dań z nadzieją, że uratuje mnie od rozwijania tematu preferencji matrymonialnych.

— Krewetki mają dobre? — zapytałam.

Mleczek mruknął twierdząco i rozłożył serwetkę na kolanach.

— Trochę go przetrzepałem. — Gapił się na mnie, jakby sporządzał rysopis. Pod tym względem był gorszy od Ilki.

Zaczęłam się czuć głupio. Gdy przysła kelnerka, wzięłam się w garść, zamówiłam krewetki, wino i talerz serów. Mleczek wziął żurek w chlebie i półmisek gajowego.

— Macie profil? — zapytałam.

— Książek się pani naczytała? Dlaczego on panią nachodzi, ten... narzeczony? Zmienił zdanie?

Milczałam. Kelnerka, ta sama, która przyniosła kartę, podała żurek. Zbyt szybko. W takim tempie musiano grzać go w mikrofalówce.

— Czy takie małe miasteczko korzysta z usług policyjnego profilera, czy też bazujecie na własnych talentach?

— Dlaczego Kruczyński uciekł przed ołtarza? — Mleczek zjadł kilka łyżek zupy, pogryzł i przełknął kawałek kiełbasy, popijając wszystko piwem

bezalkoholowym. Zerknął na mnie znad wysokiej szklanki, potem przetarł usta serwetką.

— Nie zapytał go pan? Trzeba było wszystko z niego wydusić. Słyszał pan, czego zażądał tam, pod Sarnim Dworem? Zwrotu płyt. Kilku marnych płyt DVD — roześmiałam się z goryczą — których kompletnie nie kojarzę, i jednego garnituru. Kazałam mu spadać.

— On może panią oskarżyć o przejęcie mienia. — Mleczko zmrużył oczy, przez co jego twarz złagodniała, a w kącikach oczu pokazały się zmarszczki. Nie uśmiechał się, ale widać było, że sytuacja go bawi. — Nie zastanawiała się pani nad zmianą zdania? Żeby mu na przykład wybaczyć?

— Pan, panie Marku, jest jak foksterier. Oddam mu jego rzeczy, kiedy będę miała na to czas i ochotę. Po co mi one? A o wybaczenie nie prosił, chociaż się nad tym głośno zastanawiał.

— Bezczelność. A o co poszło?

— Zjedźmy już i jedźmy do domu. — Sięgnęłam po serwetkę i odwróciłam wzrok w kierunku drzwi. Właśnie wchodziła para w średnim wieku, która usiadła przy stoliku stojącym zaraz przy wejściu.

Kobieta szepnęła coś do kelnerki, ta roześmiała się i odeszła. Coś w zadomowieniu tych ludzi nasunęło mi skojarzenie, że przecież tutaj jest hotel. Oglądałam stronę internetową Dworku Myśliwskiego. Oferują czternaście miejsc noclegowych w pokojach dwu- i jednoosobowych.

— Sprawdzał pan obcych? Kogoś, kto zainteresował się okolicą i czegoś tutaj szuka? Może skarbów? Bursztynowej Komnaty?

— Wołoszańskiego się pani naoglądała? To bzdury. Niczego tam nie ma. Nie pod gnojem.

— Ojejku! Czytałam o powstaniu tych waszych Tarnowskich Gór. Loszek to na pewno jakaś odnoga Sztolni Czarnego Pstrąga.

— Hm. I skarbnik z białą brodą. Była tam pani?

— Nie.

— To radzę najpierw pójść. Woda i łodzie. Komercja.

— A pan tam był?

Mleczek się roześmiał, nie wypuszczając sztućców z dłoni.

— Trafiony, zatopiony. — Wytarł palcem sos z kącika ust. Już dawno zjadł żurek i teraz ze smakiem zabierał się do wielkiego kotleta, góry smażonych ziemniaków i miski pełnej kapusty.

Przyglądałam mu się, jak je z apetytem, niezachłannie, ale ze smakiem, niezbyt szybko, ale też nie wkurzająco powoli. Miał długie palce, ładnie ukształtowane, i krótkie czyste paznokcie. Dłonie wiele mówiły o mężczyźnie, a ja zniosłabym ich dotyk.

Mleczek zakasłał.

— Sztolnia, szyb — przypomniał.

— Tak, tak. Szarlej, utopce. — Zaczerwieniłam się. — Już sprawdziłam. Wejście w Reptach jest podobne do naszej obórki.

Komisarz nalał mi wina, a sam zamówił colę.

— Rozmawiała pani ze Zbierackim o tym, co tutaj się dzieje?

— A co, nie powinnam? Oczywiście, że tak. W końcu jest właścicielem. Wysłałam mu maila.

— Trzeba było mnie zapytać, ale skoro już wino się rozlało, to jak on to widzi?

— Mleko.

— Co mleko?

— No, mleko się rozlało, nie wino. Nie mówi się, że wino się rozlało.

— A to dlaczego? To jakiś przesąd? Jak rozsypiana sól albo cukier?

— Panie Marku, sprawia pan wrażenie inteligentnego mężczyzny,

powiedziałabym nawet, że nadmiernie rozgarniętego. Co sprawia, że nie rozumie pan pospolitego powiedzenia? Używa go pan, ale niepoprawnie. Mówi się, że mleko się rozlało. Nie wino.

— Aha — skwitował beznamiętnie i dodał, patrząc w przestrzeń: — Mówi się, że korytarze kopalni są pozamykane, zasypane i ogólnie niedostępne.

— A Władek pisał, że w lochach niczego nie ma, że je dokładnie obejrzał lata temu, a skarby przehulał i nie przyzna się do defraudacji.

Mleczek pokręcił głową z dezaprobatą.

— Poważnie? — Spojrzał na mnie tak, że postanowiłam więcej nie pić.

— Męczy mnie co innego. Pewnie nie ma to nic wspólnego z tym, co się dzieje w Sarnim Dworze — zaczęłam — ale odezwała się do mnie koleżanka ze szkoły średniej. — Opowiedziałam mu o mailu od Wrednej. Mleczek odłożył sztucce, a łokcie oparł na stole. Zamówił jeszcze jedno piwo bezalkoholowe.

— Nie wierzy jej pani? Może rzeczywiście zgubiła numer telefonu? To się zdarza.

— Przysłała to na adres, którego ani nie udostępniam na profilu czy w sieci, ani nie rozdaję na prawo i lewo w realu. Mało tego, używam go jedynie do przechowywania pewnych danych. Mają go Ilka i teraz Władek. Jemu posłałam z oczywistego powodu. Musimy być w kontakcie.

— A doktor Sierocińska?

— Jest moją przyjaciółką. Komisarzu, dlaczego nie mogę się z nią zobaczyć? Zaczynam źle o panu myśleć...

— A to znaczy, że wcześniej pani myślała dobrze?

— Kiedy wezwał pan Seweryna na przesłuchanie, to tak. — Uśmiechnęłam się szczerze i z wdzięcznością. — I oczywiście wtedy, gdy zamknął pan tryka. Mam nadzieję, że przekonał się pan dokładnie, co może przydarzyć się ludziom wykazującym dobrą wolę.

— Jezu! — Otrząsnął się jak pies. — Nigdy tego nie zapomnę. Odnoszę wrażenie, jakby pani obecność zaczynała przynosić mi pecha.

— Nie, panie Marku! To tylko prawo, że każdy dobry uczynek musi zostać ukarany.

Komisarz pochylił się w moim kierunku i spoważniał.

— Skąd w pani tyle cynizmu? Za młoda pani jest na taki stosunek do życia.

Tym razem ja uniosłam brwi. Pomyślałam, że ludzie powinni się porozumiewać wyłącznie mimiką. Upiłam wina. Ten wieczór był nietypowy. Czy byłam aż tak ciekawa postępów w śledztwie, że godziłam się na złośliwości policjanta? A może moja wdzięczność była tak wielka? Bo w sumie nie zadałam żadnych konkretnych pytań, a komisarz z jednej strony wydzielał informacje skąpo i niechętnie, z drugiej zaś wyciskał ze mnie, co chciał.

— Kiedy zobaczę się z Ilką? — Postanowiłam z tym skończyć.

— Kiedy tylko ma pani na to ochotę.

Patrzyłam na niego, zastanawiając się, dlaczego mi to robił. Dlaczego tak mnie zwodził i kłamał. Milczeliśmy. W końcu ujął moją dłoń, którą trzymałam na podłokietniku krzesła. Jego była ciepła i sucha.

— To miała być taka mała zemsta za tego barana. — Wzmocnił uścisk, a potem poklepał palcami. — Przepraszam.

Najpierw chciałam go stłuc, potem wyobrażałam sobie jego dłonie dotykające mnie. Wreszcie po kolejnym kieliszku wina ochłonęłam i przypomniałam sobie, że rozmawiamy o Ilce.

— Muszę z nią pomówić. Jak ona się czuje?

— Nie jest tak źle. Była u niej nasza policjantka.

— Ciekawa jestem, co Ilka powie o Wrednej.

Komisarz uniosł brwi.

— Słucham?

— O Halinie Kwiatkowskiej. Tej, która pogubiła adresy i wysłała maila.

— Dlaczego Wredna?

— Musiałby pan ją poznać, a to się raczej nie zdarzy, bo mieszka w Szwajcarii. Nie ma w Polsce rodziny, a żaden zjazd pomaturalny raczej się nie zapowiada. — Zapewne z powodu wina nie dosłyszałam cichych podszeptów intuicji.

Komisarz był trzeźwy i powiedział przewidująco:

— Skoro się odezwała, to pewnie przyjedzie.

— Proszę wypluć to słowo. Nie cierpię jej. Poza tym nie ma prawa mnie znaleźć. Skąd może wiedzieć, gdzie w tej chwili mieszkam?

Na deser zamówiliśmy po dużym serniku i kawie. Spojrzałam w kierunku drzwi. Gości przybywało, zajmowali kolejne stoliki. Nic dziwnego, jedzenie w Dworku było smaczne.

— Robi się tłoczno — rzuciłam.

Oczy komisarza pociemniały i na chwilę jakby odleciał. Wzrok utkwiony miał za mną. Nie chciałam się oglądać, ale byłam pewna, że patrzył na kobietę, i to nie była jaką. Tylko wtedy mężczyzna tak wygląda. Ostatnio widziałam w parku wyżła, który takim samym wzrokiem przyglądał się pudlicy. Kiedyś oczy panów błyszczały na widok pięknego konia, teraz takie pożądanie może wzbudzić tylko superwóz, walizka pełna pieniędzy albo piękna kobieta. Głowa mi nie drgnęła, mimo że wymagało to ode mnie pewnego wysiłku. Wreszcie komisarz westchnął.

— Przepraszam. Dostrzegłem znajomego i przez chwilę zastanawiałem się... Zresztą nieważne.

Kłamał. Nie dziwiłam się, taki zawód, ale mnie nie oszuka. Żaden znajomy nie wywoła na ustach mężczyzny wyrazu tego skupionego pożądania.

— Ależ oczywiście — powiedziałam z ironią.

Odwrociłam głowę, chowając się za rozrośniętym mimo niewielkiej ilości światła skrzydłokwiatem. Powinnam zapytać kogoś z obsługi, jak to robią, że rośnie, ponieważ u mnie padał z braku dziennego oświetlenia i nie było na niego sposobu.

Nie myliłam się. Za skrzydłokwiatem jaśniała blond czupryna i figura godna Wenus. Nie jakaś tam modelowa chudзина. Była to kobieta z ciała, i to jakiego. Odwróciła twarz i zobaczyłam profil. W tym momencie poczułam, jakby ktoś ze mnie spuścił powietrze. Osunęłam się na krzesło.

— Nie wierzę. To wszystko pana wina. — W oczach musiałam mieć przerażenie i desperację, w każdym razie tak się czułam.

Mleczek spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

— Idziemy stąd — wyszeptałam. — Natychmiast.

— Dlaczego?

— Idziemy! To jest Wredna. Ledwo ją poznałam, kurczę, nabrała ciała. I to jakiego! Wykrykał pan.

— Poważnie? — chrząknął zbyt głośno. — Cóż, to było tylko zwykłe logiczne myślenie. Musimy zapłacić — powiedział, jakbym nie wiedziała.

Przyjrzał się Wrednej z jeszcze większym zainteresowaniem, tym razem nie kryjąc się z tym. Uśmiechnęłam się do kelnerki. Wredna zniknęła. Dopiero teraz dotarło do mnie, że towarzyszył jej mężczyzna. Dokładnie nie zdążyłam mu się przyjrzeć. Pozostało mi tylko wrażenie tyczki chwiejącej się na wietrze i wspomnienie jakiejś nietutejszej elegancji.

Nie zdążyłam wyjąć portmonetki, gdy Mleczek wsunął w skórzane etui dwieście złotych i podał kelnerce. Gdy dziewczyna zniknęła, zaczęłam protestować, ale mój towarzysz pokazał na drzwi.

— Chciała pani wyjść.

Przez całą drogę komisarz milczał. Usta już nie drgały mu tłumionym śmiechem. Spoważniał.

— Dziwny był ten typ — zauważyłam, by przerwać ciszę. — Halina do tej pory prowadziła się z przystojnymi lalusiami, coś w typie pana. — Nie zwróciłam uwagi, że słowa „laluś” i „przystojny” się wykluczają. Mleczek zauważył.

— Nie jestem, do cholery, lalusiem! — Spojrzał na mnie spode łba.

— E tam. Chyba nie widział się pan w lustrze.

Mleczek nie odpowiedział. Znowu zamilkliśmy. W końcu poprosiłam go, byśmy wstąpili do Tesco po piwo, wodę i papierosy. Zajęło nam to co najmniej czterdzieści minut. Kiedy dotarliśmy do domu, okazało się, że brama prowadząca na zamkowy dziedziniec jest otwarta, a przed frontowymi drzwiami stoi czarny mercedes — model nowszy od mojego. W środku siedziała Halinka Kwiatkowska.

— Piekło i demony! — jęknęłam.

— Mam ją aresztować?

— Nie bardzo wiem za co...

— Zawsze coś się znajdzie.

— Cholera, wyłazi z auta. Trudno, nie będę się ukrywać na swoim terenie. — Wsiadłam i przymknęłam za sobą drzwi, szykując się mimo wszystko do odwrotu. Nim się spostrzegłam, Wredna była już przy mnie z cmokaniem, ciumkaniem i z łapami. Ledwo się uwolniłam.

— Mati? Co ty tu robisz? Tyle lat! — zaćwierkała. — Boże, jak ja się za tobą stęskniłam! Ech! Za wami wszystkimi! Nie masz pojęcia, jak na obczyźnie jest okropnie!

— Było nie wyjeżdżać — wyrwało mi się mało dyplomatycznie. Może powinnam zachować się jak cywilizowana osoba i przedstawić sobie moich gości, jednak Mleczek, który nie zdążył wysiąść z kierowcy, rzucił przez opuszczoną szybę:

— To ja będę leciał.

I zniknął z piskiem opon.

Nie potrafiłam ocenić, czy to źle, czy dobrze. Z jednej strony nie będzie się w nią wgapiał, z drugiej zastanawiałam się, czyby się nie przydał. Sama się jej nie pozbędę. Nie mogłam pokazać, że cokolwiek jest mi nie na rękę, bo wiedziałam, że Halina potrafi być złośliwa.

— Gnojek — wyrwało mi się.

— To twój... chłopak?

I tu mnie zagięła, nie miałam bowiem pojęcia, co zrobić z komisarzem. Może nie chciał, by go przedstawiać, tym bardziej jako policjanta?

— To facet, który mnie wkurza — powiedziałam prawdę, nie żałując sobie rozdrażnienia. Wygrzebałam z dna torebki klucz i otwierałam drzwi.

— Jesteś z Władkiem?

— Jak mnie znalazłaś?

— Och, nie szukałam cię, przyjechałam do Władka. Nie ma go? Znalazłam gdzieś jego maila, w jakimś starym zeszycie, i napisałam do niego. Odpowiedział, że mogę wpaść na kilka dni.

— Tak? A kiedy? Nie napisał, że tu mieszkam? — Otworzyłam drzwi i mimo mieszanych uczuć zrobiłam zapraszający gest.

Wredna weszła.

— Nie przypominam sobie. Nieważne. Nie wiedziałam, że tu jesteś, że wam w czymś przeszkodzę. — Machnęła ręką, rozglądając się po saloniku. W kominku wygasło. — Wyobraź sobie, że spotkałam twoją mamę w sklepie przy Stawowej. Razem kupowałyśmy pończochy. Nadal jest taka elegancka! Nic się nie zmieniła. Za to ty robisz się coraz bardziej do niej podobna.

Znaczy, że stara jestem. Pierwsza szpilka zaliczona. Uśmiechnęłam się uroczo. Wiedziałam, że kłamie, nie odgadłam tylko, w której sprawie: korespondencji z Władkiem czy spotkania z mamą.

— Tak, geny mają moc. Jest nadzieja, że w jej wieku będę wyglądać

równie dobrze. — Poszłam do kuchni i pstryknęłam czajnikiem. — Władka nie ma. Wyjechał. Pilnuję mu domu.

Nie wierzyłam, by mama się wysypała, nie miała otępienia starczego, na które zresztą było zbyt wcześnie. Ledwo skończyła pięćdziesiąt trzy lata. Wiedziała doskonale, że nie cierpię Wrednej. Komu jak komu, ale z pewnością nie dałaby mojego adresu Halinie Kwiatkowskiej. Potrafiła zemdleć albo odegrać inną szopkę, by coś zataić. Mama miała refleks i wystarczającą dawkę asertywności, natomiast Wredna łągała jak zawsze i jak zwykle robiła to dobrze.

— To wiem, ale myślałam, że już wrócił. Nadal tam siedzi?

— Napijesz się herbaty albo kawy? — Alkoholu nie miałam zamiaru proponować, łudząc się, że mój gość zaraz stąd wyjedzie.

— Ładnie tutaj, ładnie. Wystarczy mały remoncik. Kiedy on wraca? Jesteście razem?

Poruszała się inaczej niż kiedyś, jakby specjalnie szkolila się w tej dziedzinie. Chodziła długimi krokami modelki, przemierzając salon i kuchnię. Wyglądało to naturalnie. To znaczy jej krok, w przeciwieństwie do tego, co wyprawiała. Bez pardonowo zajrzała do łazienki, a także do dwóch pokoiów na dole. Na piętro jeszcze nie weszła. Nie miałam na to żadnego wpływu. Musiałabym ją przywiązać. Halinka robiła, co chciała, kiedy chciała i jak chciała. Tak było zawsze i — jak widać — nic się nie zmieniło. Zasady *savoir-vivre*'u miała za nic. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy kiedykolwiek o nich słyszała. Spojrzała tęsknym wzrokiem na schody i widziałam, jak walczy ze sobą. Wreszcie przemogła się i niby motyl przysiadła na fotelu przed kominkiem. To również zrobiła w wystudiowany sposób.

— Spotkałam go w Verbier. Myślałam, że już wrócił. Zimno tutaj.

— Owszem. Bardzo dziś wiało i wyciągnęło cały ogień. Możesz rozpalić, nie krępuj się. — Hamowałam się, by nie warknąć. — Tu jest drewno i szczapki sosnowe. — Pokazałam palcem i poszłam do kuchni. Nagle dotarło do mnie, co powiedziała Halina. W Verbier?! Władek w Verbier? To chyba

Alpy! Ciekawe, kiedy ona go tam spotkała? Wiedziałam, że jeśli zacznę zadawać pytania, to po mnie. Postawiłam wodę na herbatę, tymczasem pociągnęłam spory łyk koniaku prosto z butelki. Potrzebowałam wsparcia. Dyskretnie schowałam trunek do kredensu, Halinie zaparzyłam czarną herbatę ekspresową. Sobie zrobiłam zieloną lipton.

Kiedy wróciłam do saloniku, Wredna oglądała paznokcie. Miała długie tipsy pomalowane w kolorowe paski. Pomachała nimi wymownie.

— Wybacz, jednak się nie skusiłam na to rozpalanie.

— Jak sobie życzysz. Mnie nie chce się już rozpalać, bo zaraz idę spać. No, ale opowiadaj, co tam u ciebie. Gdzie mieszkasz, bo o ile pamiętam, wyjechałaś do Szwajcarii? Jak tam jest?

— Nie byłaś? Koniecznie musisz to nadrobić!

Nie uznałam za stosowne opowiadać, że w zeszłym roku całe trzy miesiące spędziłam w Lozannie, Fryburgu i Bazylei, zbierając materiały do nowego kryminału. Tym bardziej że większość czasu spędziłam tam z Sewerynem. Nagle zrobiłam się podejrzliwa. Seweryn znalazł mnie na zamku! Wredna również tutaj dotarła. Może nie ze mną mieli się spotkać? Z Władkiem? Dlaczego wobec tego Seweryn kłamał i wymyślił sobie głupie płyty, o których nie miałam pojęcia? Niespodziewanie zadzwonił telefon. Nie mój. Halina spojrzała na wyświetlacz i się poderwała.

— Wybacz, Matylde. Wrócę jeszcze, ale teraz muszę lecieć.

Pocałowała powietrze obok moich uszu i zniknęła za drzwiami.

Warkot zapalanego silnika i pisk opon mnie otrzeźwiły. Patrząc za nią przez brudne okno, odniosłam wrażenie, że na tylnej kanapie mercedesa ktoś siedział. Chociaż lepsze byłoby określenie, że się ukrywał. To, że przypominał dryblasa z Dworku Myśliwskiego, mogło mi się tylko wydawać. Późnym wieczorem, przy sztucznym świetle i przez dwie szyby można mieć różne omamy.

Zwidy jednak nie przeszkodziły mi w wyjęciu telefonu. Nie wiem,

dlaczego to zrobiłam, ale stało się.

— Miała kogoś, gdy stąd odjeżdżała. Pan tego nie widział? — rzuciłam bez wstępu.

— Gdzie miała? W samochodzie? — Mleczko zaskoczył od razu.

— Przecież mówię. Telefon jej piknął i wypadła jak poparzona. Ledwo zdążyła się pożegnać.

— Kiedy przyjechaliśmy, jej samochód był pusty. Przyjrzałem się.

— Wobec tego ktoś pętał się w pobliżu. Sprawdzał okolicę albo grzebał u jałówki, gdy Wredna siedziała u mnie.

— Pani dobrze się czuje?

— Nie — warknęłam. — Tylko że to dziwne. A ostatnio na zamku dzieją się same dziwne rzeczy.

— Widziała to pani?

— Nie. Dedukuję.

— No dobrze, niech pani siedzi na... To znaczy, proszę nie wychodzić.

Spokojnie. Mogłam siedzieć na czterech literach. Wydawało mi się bowiem, że w tych okolicznościach praca umysłowa jest ważniejsza. Najpierw był list. Zastanawiałam się, czy wizyta Haliny Kwiatkowskiej, złożona tak niespodziewanie, była jej pierwszą. Wydało mi się to osobliwe i przeszedł mnie ziąb.

Postanowiłam rozpalić. Zapas drewna, który przytargała Ilka, już się kończył. Za każdym razem, gdy pomyślałam o niej leżącej w szpitalu, robiło mi się nieprzyjemnie. Szkoda, że nie mogę z nią porozmawiać. Zadzwoiłam do mamy i opowiedziałam jej o Wrednej i ich spotkaniu w butik przy Stawowej.

— Kłamie.

— To śpijcie dobrze. Ucałuj tatę. I dziękuję ci bardzo. — Rozłączyłam się,

bo w oknie odbiły się reflektory.

Mleczek wyskoczył z passata pod samymi drzwiami. Jeszcze się nie przebrał, natomiast przywiózł ze sobą pomagiera z walizeczką. Rozpoznałem w nim młodego sierżanta, który był tu już podczas oględzin obórki. Byłam ciekawa, jak oni poznają, że ktoś tutaj chodził albo grzebał w tych śmieciach. Przecież Wolny po południu robił obrządek, rano również. Z pewnością wszystko zdeptał. Jak po ciemku chcą cokolwiek znaleźć i jakich śladów szukają? Powstrzymałam się i nie wybiegłam na zewnątrz.

Komisarz przyszedł po trzech kwadransach.

— Mogę panią prosić na chwilę? — zapytał, stając w drzwiach. Minę miał zaaferowaną.

Złapałam kurtkę. Buty wciąż jeszcze miałam na stopach.

Czekał przed drzwiami.

— Tam. — Ruszył pierwszy w kierunku wieży. Po kilku krokach wziął mnie za rękę.

Miał ciepłą dłoń i zrobiło mi się przyjemnie. Okrążyliśmy donżon i przeszliśmy na tyły zamku. Teraz zrozumiałam, dlaczego Mleczek prowadził mnie, trzymając za rękę. Po prostu się bał, że znowu się wywrócę. Grunt był rozmokły i śliski. Po wschodniej stronie, o ile potrafiłam dojrzeć w ciemności rozświetlanej jedynie policyjną latarką, pochylał się nad czymś mężczyzna w dżinsowej kurtce. Na wygoloną głowę wcisnął czapkę z daszkiem. Wąską strugą światła wskazał niewielkie drzwiczki u samego dołu kamiennych murów. Zwróciłam na nie uwagę, zaraz gdy przyjechałam, ale wyglądały niepozornie, zastawione dwiema oponami z ciągnika. Poza tym były zamknięte i w ogóle zapomniane. Kompletnie mnie nie interesowało, co kryją. Porastał je bluszcz, teraz częściowo oderwany od ściany, obwisły, z suchymi liśćmi i pajęczynami. Opony leżały odrzucone obok.

— Na pewno wyglądało to inaczej, gdy tutaj przyjechałam.

— Grzebała pani w tym?

— W tym nie. Stare to jakieś. Nie przyglądałam się specjalnie szczegółom, ale na pewno opony były oparte o mur.

— Może odrzucił je Wolny? — myślał na głos Mleczek. — W porządku, zadzwonię.

Stałam obok i podsłuchiwałam. Komisarz nie odsunął się ani nie rzucał spojrzeń bazyliuszka jak w szpitalu.

— Czyli nie zachodziłeś tam. A widziałeś... Dobrze, dziękuję, Stachu. Tak. Zobaczymy się jutro.

— Co jest? Włamał się ktoś? — zapytałam grzecznie.

— Nie, ale ruszona jest kłódka. Ktoś w niej grzebał. Tomek, zrób zdjęcia i wszystko, co trzeba. Może jakieś odciski zostały, chociaż właściwie nie wiem, dlaczego to robimy.

— Ponieważ zginął parobek i ktoś niemal zabił moją przyjaciółkę — przypomniałam z politowaniem. — A Wredna poleciała biegiem zaraz po pierwszym dzwonku komórki. Wyraźnie była umówiona na sygnał.

— Pewnie pani nie wie, co tam jest? — Mleczek wskazał głową drewniane drzwiczki.

— Gdzie? Za tą kłódką? — zapytałam w kretyński sposób. W końcu to było największe odkrycie policji, jakie do tej pory samodzielnie poczyniła na zamkowym dziedzińcu.

Komisarz przygryzł wargę w zamyśleniu, jakby nie oczekiwał odpowiedzi.

— Tomek, sam otworzysz?

— Jasne — odparł sierżant.

Mleczek nadal gryzł wargę. Drugi policjant w tym czasie przyniósł z auta pęk kluczy. Narzędzie złodzieja. Po chwili spoglądaliśmy na stare grabie wsparte o brudną ścianę, piłę motorową porzuconą w kącie, kilka dużych pieczętek na stylisku jak od siekiery, coś, co wyglądało jak spora suwmiarka, blaszaną polewaczkę, trzy miotły z witek brzoźowych i stary poniemiecki

rower, z pewnością bardzo wygodny. To było wszystko. Mężczyźni wyjęli większe rzeczy, żeby sprawdzić ściany i podłogę. Zrezygnowani milczeliśmy. W końcu Tomek powiedział pod nosem:

— I dupa... Sorki, tak mi się wyrwało.

Jakbym usłyszała Ilkę.

— Doskonałe podsumowanie dnia. — Bez entuzjazmu ruszyłam, by zaszyć się gdzieś, gdzie było ciepło i jasno. — Nie przeszkadzam wam, ale jeśli macie ochotę, to zapraszam na kawę — rzuciłam i poszłam do domu, do którego ktoś chciał się włamać. Nieistotne, że do starej komórki. Ktoś tutaj czegoś szukał. Niedoczekanie. Czułam się odpowiedzialna za gospodarstwo i wszystkich domowników.

Stałam pod latarnią, zapaliłam papierosa i zaczęłam się zastanawiać. Nie mogłam wymyślić niczego sensownego, co mogłoby tłumaczyć wizytę Wrednej. Czego tutaj szukała? Kim jest facet, z którym ją widziałam? Nie wierzyłam, by któreś z nich miało coś wspólnego z zabójstwem parobka i wyprawieniem Ilki do szpitala. Może facet tylko poszedł się wysikać pod murem? Intuicja podpowiadała mi, że to pobożne życzenia. O Halinie Kwiatkowskiej nigdy zbyt wiele nie wiedziałam prócz tego, że była wredna. Byłoby cudownie, gdyby można było oskarżyć ją o morderstwo.

No i Władek, którego tak rozpaczliwie poszukiwała, nagle przestał ją interesować, jakby te wszystkie telefony, które zgubiła, straciły na ważności albo już je miała skwapliwie zapisane. Mało tego, przecież widziała się z nim w Verbier. W jakim celu zwróciła się do mnie z prośbą o dane osobowe? Pretekst? I niby gdzie obecnie Wredna pracuje, z czego żyje, dlaczego wyjechała? Czy jest mężatką? Dwie rzeczy wiedziałam: zawsze była dobrą aktorką i znała mój adres mailowy!

Policja mogłaby ją sprawdzić. Kręcili się obok dREWUTNI jak psy z nosem przy ziemi. Jakim cudem widzieli coś w tych ciemnościach, było dla mnie tajemnicą. Pobiegłam z powrotem. Komisarz dostrzegł mnie z daleka.

— Stać! Ślady pani zADEPCZE. Cholera, proszę się zatrzymać!

Zatrzymałam się w pół kroku jak zakłeta, ciężar ciała utrzymując na jednej nodze. Facet z pewnością wpędzi mnie w chorobę. Stres, jaki wiązał się z jego osobą, stawał się permanentny.

— Muszę z panem porozmawiać.

— Co tam pani wymyśliła?

— Sprawdził pan Wredną? — krzyknęłam z miejsca, w którym stałam. — Może ona dla kogoś pracuje? — Sama nie uwierzyłam w to, co palnęłam. Ale słowa poleciały na wietrze.

— Tak, z pewnością niewielka, zapomniana, a nawet ośmieliłbym się powiedzieć, że zarośnięta bluszczem i pokrzywami rudera stała się obiektem zainteresowania obcego wywiadu albo międzynarodowych sił przestępczych. CIA, Mosad. Pewnie nowe Guantanamo w lochach. Już widzę te nagłówki — szydził Mleczek, nawet nie siląc się na uprzejmość.

— No, nie wiem — warknęłam. — Trup z pewnością jest ważny, skoro dobity. I naukowiec w szpitalu. Jeśli tego typu fakty do pana nie przemawiają, to pewnie dopiero afery o zasięgu międzynarodowym wstrząsnie policją, a i to nie wiadomo.

— Skąd pani wie, że dobity?

— Tak byłoby w powieści. Rzuciłam na wabia.

— Punkt dla pani — przyznał Mleczek. — Ale mowa o parobku i lekarzu od czubków. Obcy wywiad by tego nie tknął.

— O! — Przez całą tę rozmowę stałam w miejscu niczym posąg, ale po takiej ripoście mnie odblokowało. Lekarz od czubków? Ciekawe, jak mnie postrzegał. Ruszyłam przed siebie, nie zwracając uwagi na ślady. Dam mu w pysk i niech szlag trafi napaść na funkcjonariusza. Policjanci jednak nie zwrócili na mnie uwagi. Mleczek otworzył drzwi do drewni.

— To zawsze jest otwarte? — zapytał.

— Drewno tędy noszę — powiedziałam i w tym momencie przyszedł mi

do głowy lepszy pomysł niż spoliczkowanie komisarza. — À propos, moglibyście, panowie, wnieść mi trochę drewna? Czuję, że jednak zdrowo się potłukłam — mówiąc to, weszłam do składziku i kopnęłam wystający z przyzmy klocek, by pokazać, o co mi chodzi. Potem pchnęłam drzwi do salonu, nie oglądając się za siebie.

Za mną rozległy się rumor i przekleństwa. Sterta drewna niedbale złożonego pod ścianą osunęła się, blokując trzy czwarte podłogi w drewnutni i niemal przywalając policjantów. Było to niewielkie przechodnie pomieszczenie, które Władek zaanektował na skład drewna. Bardzo praktyczne, ogrzewane kaloryferem wiszącym na ścianie. Drzwi z zewnątrz, którymi wносиło się opał, zawsze były otwarte. Drugie drzwi wewnętrzne w przeciwległej ścianie prowadziły do części mieszkalnej. Tędy wносиło się klocki prosto do holu i układało je przy kominku.

— Ku... — uciął wypowiedź sierżant, zgrabnie uskakując przed lawiną dębowych i bukowych bierwion.

Komisarz lawirował na ruchomych polanach i wpadł do środka, niemalże przewracając mnie w drzwiach. Otrzepał się, zrugął mnie wzrokiem i rozsiadł się w fotelu przed kominkiem. Nic dziwnego, że czuł się jak u siebie. W końcu korzystał już w tym domu z prysznic. Sierżant bez słowa protestu czy niechęci zaczął wnosić drewno i układać je w specjalnej wnęce przy palenisku. To nie jego chciałam ukarać.

— Wyjeżdża pani i tego nie zamyka?

Zastanowiłam się.

— Hm, nie. Chyba nie.

Młeczko gwałtownie wstał. Zaczął się przechadzać po salonie. Zatrzymał się przy drzwiach do małej piwniczki z kompotami, zawahał się i je otworzył. Zajrzał i zamknął z powrotem.

— Sprawdza pan, czy kogoś tutaj nie ma? Słusznie. Władek tam trzyma kompoty, weki z pasztetami i setki puszek kupionych na obłężenie. Można

tu przetrwać rok, popijając przetwory winem.

Mleczek obdarzył mnie nieprzyjaznym grymasem.

— Tomek! Idziemy — rzucił. — A my sobie jeszcze porozmawiamy — zagroził.

Panowie policjanci wyszli frontowymi drzwiami.

I tyle ich widziałam. Pożytek z ich wizyty był taki, że miałam wystarczającą ilość drewna. Dobrze i to. Zajrzałam do drewni i wyjrzałam na zewnątrz. Na dworze znowu zaczynało wiać i spadł deszcz. W kamiennych murach wilgoć przenikała do kości. Nienawidziłam wiatru i nie cierpiałam wilgoci. Zamknęłam dokładnie drzwi. Powinnam była pojechać na Hawaje.

To był długi i męczący dzień. Podpaliłam żywiczną szczapkę i patrząc, jak coraz większe płomyki zaczynają syczeć, wsunęłam ją pomiędzy bierwiona. Wsłuchiwałam się w to, jak płoną. Po chwili siedziałam przed strzelającymi w górę płomieniami, które zwykle posykiwały, teraz jednak opowiadały mi bajki.

Obudził mnie rumor i wydawało mi się, że słyszałam jakieś kroki. Zerwałam się z fotela, złapałam w prawą dłoń hak do przewracania polan. Nikogo nie zauważyłam ani w pokoju, ani na schodach. Podeszłam na palcach i lewą ręką szarpnęłam za klamkę. W pokojach również nie było nikogo, ale drzwi zewnętrzne luźno poruszały się na wietrze. Kroki mogły mi się przyśnić, ale drzwi? Wyraźnie coś jest z klamką. Może faktycznie trzeba zamykać na klucz? Tyle że go nie było.

Szacowałam bałagan, próbując odgadnąć, czy drewno osunęło się więcej, czy tylko sierżant wszystkiego nie pozbierał. Jednak w świetle padającym z holu wyraźnie było widać, że przejście, które na pewno widziałam uporządkowane, było ponownie zawałone. Właściwie zupełnie normalne zdarzenie. Gdy raz została zachwiana konstrukcja, będzie się sypać, póki ktoś tego cholerstwa porządnie nie ułoży.

Mogłam sprawę zlekceważyć, zostawić na jutro i poprosić Wolnego, by mi

pomógł, ale otwarte na oścież drzwi zewnętrzne, wahające się na zawiasach i uderzające na wietrze we framugę, nie były wynikiem mojego niedbalstwa. Klamkę zamykałam na pewno. Mało, dociskałam, żeby nie wiało. Po miłej drzemce przy ogniu nie zostało nawet śladu. Istniały tylko dwa wyjścia. Mogłam ułożyć drewno i pójść spać, nie przejmując się nadmiernie, albo w ogóle zignorować wszystko i pójść spać. Wybrałam trzecie rozwiązanie.

Rozdział 7

Złapałam telefon, wybrałam kontakt i odczekałam kilka sygnałów.

— Panie komisarzu, oglądał pan drzwi do drewni? Czy mogły się same otworzyć? — zapytałam, starając się zachować chłodny ton. Słyszałam, jak rozmawiał z kimś w tle. Nie miałam pojęcia, czy miał żonę, przyjaciółkę, być może nadal był na posterunku i pracował.

Po chwili skończył rozmawiać, zbyt cicho, bym cokolwiek zrozumiała, i odezwał się do mnie:

— Proszę siedzieć w środku, zablokować drzwi czymkolwiek i niech pani choć raz pomyśli. Zaraz tam będę. — Po kilku sekundach usłyszałam dalszy ciąg, tylko dlatego, że bezmyślnie trzymałam słuchawkę przy uchu: — Głupia baba.

Nie rozumiałam, dlaczego się wkurzał. Przekręciłam klucz w drzwiach wewnętrznych. Biorąc pod uwagę fakt, że Ilka leży w szpitalu i na pewno nie będzie się dobijać, przekręciłam klucz również we frontowych, usiadłam przy kominku i potężnie ziewnęłam. To nie ja byłam zobowiązana do ścigania przestępców, złodziei i morderców. Nie mój zawód, nie moja broszka. W końcu płaciłam podatki. Niemałą część moich pieniędzy dostawał komisarz Mleczek, podobnie jak jego sierżant, z pozoru prosty typ, ale gdy mu się przyjrzeć, pod posturą zawodnika rugby i maską nieśmiałości można było dostrzec stal.

Kwadrans później rozpoznałam charakterystyczny dźwięk silnika passata. Odłożyłam pogrzebacz, stanęłam przy oknie i obserwowałam. Wysiedli obydwaj. Krążyli po podwórku, migocząc dwoma światełkami. Latarki zakreślały koła i łuki, chodziły po prostej i na ukos, aż wreszcie usłyszałam pukanie. Otwarłam. Mleczek złapał mnie za rękę, wyciągnął na zewnątrz i zamknął drzwi.

— Pani Matyldo, musimy rozejrzeć się w środku — powiedział półgłosem. — Są ślady świadczące o tym, że ktoś wchodził z zewnątrz do środka. I tyle. O ile to nie pani wchodziła do pomieszczenia z drewnem w butach rozmiaru czterdzieści siedem, to ma pani w domu gościa.

Weszliśmy z powrotem, komisarz z palcem na ustach, sierżant z czujnością w oczach.

Włosy mi się wyprostowały. Moje gumowce miały rozmiar trzydzieści osiem. Uciekinier, którego szukają? To byłoby logiczne. Cholera, rozmiar czterdzieści siedem pasł się na moich morelach.

Wcisnęłam tyłek do kominka, ponieważ poczułam ziąb, jednak nie z dworu, lecz bardziej od środka. Dlaczego nic mi do tej pory nie zrobił? Pomyślałam o tym i ponownie chwyciłam pogrzebacz.

Komisarz dłoń trzymał pod marynarką. Wszedł razem z sierżantem do małego pokoiku na parterze, w którym Władek urządził coś w rodzaju gospodarskiego gabinetu. Widziałam tam już przedtem rachunki, brudnopisy planów biznesowych i wniosków o dotacje unijne. Wszystko to leżało na dwóch biurkach, tanich, kupionych zapewne w miejscowym sklepie meblowym i złożonych amatorsko w domu.

Policjanci wyszli i na palcach udali się do drugiego pomieszczenia, którym była niewielka sypialnia dla gości, teraz zavalona gratami. Doskonale wiedziałam, co jest w środku. Stara skórzana kanapa ledwo widoczna spod sterty starych kurtek, z których tak ochoczo korzystałyśmy z Ilką, na ścianach wisiały poroża jeleni i saren, dwie szable, pałasz i jeden miecz samurajski, a może zwykła replika. Wszystko to obejrzałam zaraz po przyjeździe.

Zachowując się jak na filmach akcji, dając znaki palcami z ukrytą bronią w pogotowiu, policjanci przeszli na piętro. Mieli szczęście, że schody były kamienne. Zauważyłam, że skrzypią tylko wtedy, gdy jestem sama. I to nie zawsze. Po dziesięciu minutach mężczyźni wrócili z pistoletami w dłoniach. Sterczałam przez ten czas przy kominku. Mleczek spojrzał na mnie z zastanowieniem, ale niczego nie powiedział. Domyśliłam się, że był

w pracowni i widział moje dwa zaczęte obrazy. Komisarz ponownie położył palec na ustach, uniósł kciuk do góry i rozejrzał się jeszcze raz po holu, wszystko to jednym płynnym ruchem. Potem podszedł do mnie, nachylił się i szepnął mi do ucha:

— Na pewno jest tutaj zwykła duża piwnica. Gdzie?

Byłam w miękkich kapciach. Poszłam pierwsza, naśladowując ich ruchy. Czułam się jak idiotka i po wszystkim postanowiłam dokładnie scenę opisać, z pewnością kiedyś się przyda. Pod schodami prowadzącymi na piętro wisiała zasłonka, za którą wieszano się okrycia robocze, stawało miotły, odkurzacz i mopa. W głębokiej wnęce kryły się drzwi zawieszane kurtkami. Mleczek odsunął mnie, chwytając za ramiona. Nie pierwszy raz mnie dotykał, ale tym razem reakcja mojego ciała była zaskakująca. O cholera. Mleczek jednak obojętnie kiwnął na sierżanta. Obydwaj uzbrojeni w latarki i glocki, obstawiając się nawzajem jak w scenie odbicia zakładników, otworzyli powoli drzwi i jeden za drugim, mierząc w ciemność, zeszli po wąskich schodach do piwniczki. Idioci. Pstryknęłam w kontakt i jasne światło zalało podziemia. Zastanowiło mnie, że drzwi nie skrzypnęły. Nigdy wcześniej nie zwróciłam na to uwagi, a przecież w starym domu, nadającym się tylko do remontu, rzadko uczęszczane, schowane pod schodami drzwi do piwnicy powinny skrzypieć.

Przypomniałam sobie, że zwiedzałam ją zaraz na początku. Potem schodziłam tylko po wino. Nie pamiętałam ani skrzypienia, ani jego braku. Niczego interesującego również nie znalazłam, nie licząc przetworów, żelaznego zapasu węgla, starej bimbrowni, kilku wiekowych mebli, wilgoci i śmietnika pod jedną ze ścian. Całkiem możliwe, że ktoś się tu ukrywał, może nawet nocował, gdyż w kącie stała stara zapleśniała kanapa. Była jeszcze kotłownia z awaryjnym piecem, nieużywanym od czasu zainstalowania kominka. Po co był Zbierackiemu potrzebny zapas węgla? To wszystko testowałam w pamięci, nie miałam zamiaru schodzić z policjantami, jeszcze by mnie któryś postrzelił, niepokojąco wyglądali z tą bronią. Nie pasowała do nich. Próbowałam jeszcze raz w pamięci przeskanować obraz

piwnicy, ale nic zastanawiającego i niepasującego nie znalazłam.

Może coś przeoczyłam, ale przecież nie lustrowałam piwnicy pod kątem kryjówki dla przestępcy. Owszem, była w niej drewniana kłapa zabita na głucho. Czy to mogło być drugie wejście do lochów, o którym wspominała Anita? Leżał tam stary wyblakły dywan częściowo zżarty przez mole i myszy, z puszystymi kulkami wełnistych strzępków, wyszarpanych jak do robienia gniazda, i zarzucony gratami sprzed wojny. Udało mi się wtedy dokopać i zerknąć, ale kłapy nie otwierałam. Wówczas nie miałam pojęcia o kopalni srebra. Usłyszałam kroki. Policjanci wyszli rozczarowani.

Mleczek zatrzymał się tuż przede mną i zagryzł wargi.

— Nic tam nie ma. Ślady wskazują na to, że ktoś wszedł — powiedział po cichu — i jest w środku. Ponieważ nie mam pojęcia gdzie, powinna pani opuścić ten dom. Odradzałbym nocowanie.

Sierżant nadal kręcił się po parterze, potem wszedł jeszcze raz na górę — słyszałam, że zajrzał do pracowni — aż w końcu zszedł i stanął obok nas. Podobnie jak Mleczek patrzył na mnie wyczekująco.

— I co?

Otwarłam usta, żeby zaprotestować, ale niespodziewanie dla siebie samej skinęłam głową.

— Dobrze.

— Tak po prostu? — zapytał z ulgą.

— Tak.

Gestem kazał Tomkowi stać na straży, a sam poszedł ze mną do sypialni. Stanął przy drzwiach. Właściwie to nie byłam pewna, w jakim celu: żeby mnie ktoś nie walnął w głowę, czy chciał sobie popatrzeć? Zastanawiałam się, co zrobić i dokąd pojechać, do Katowic na Francuską czy do rodziców. Spakowałam najpotrzebniejsze rzeczy i zeszliśmy po schodach. Panowie pozamykali obydwa wejścia, zabrali klucze i wyruszyliśmy dwoma samochodami. Młody pojechał służbowym, Mleczek wsiadł ze mną do

mercedesa i rozwalił się za kierownicą.

— Dokąd panią zawieźć?

— Gdyby nie Wredna, pojechałabym do Dworku Myśliwskiego, bo tam jest hotel, ale nie mam zamiaru się na nią natknąć.

— Również bym odradzał.

— W tym waszym mieście są jakieś ludzkie hotele? Bo w internecie nie sprawdzałam. Widziałam tylko psi w Wilkowicach, ale tam nie chcę. Mogłabym się w ogóle wynieść i wracać do Katowic.

— Byłoby najlepiej.

— Nic z tego. — Byłam pewna, że gdy tylko mnie stąd zabiorą, to wpadną ekipą i porządnie przeszukają zamek. Poza tym robiło się ciekawie i nie miałam zamiaru rezygnować z takiej rozrywki. — Nie mogę jechać, bo piłam wino. I to niemało.

Mleczek sapał. I mimo że kompletnie nie wiedziałam, jaki jest jego status matrymonialny, wiedziałam już, co zaproponuje.

Zbrośławice, położone w dolinie rzeki Dramy, ciągną się wzdłuż jednej długiej ulicy, od której, jak gałęzie na winorośli, rozwidlają się wąskie uliczki zabudowane domami jednorodzinnymi, wciskają się w pola, meandrują pomiędzy zagajnikami i polnymi remizami. Mleczek mieszkał w centrum, przy ulicy Wolności, kilka metrów od budynku poczty.

— Mam wolną sypialnię — uspokajał. — Nie będę pani napastował, nagabywał ani nic w tym rodzaju. To zwykłe zaproszenie znajomego.

Dotrzymał słowa. Kiedy tylko przyjechaliśmy do jego mieszkania, pokazał mi, gdzie jest kuchnia i łazienka, a sam zniknął w sypialni z uprzejmym „dobranoc” na ustach.

Obudziłam się koło południa w obcym miejscu. Wyspałam się doskonale. Nie miałam pojęcia, jak powinnam się zachować. Zostać? Wyjechać? Wracać

na zamek czy do Katowic? Nie wiedziałam, co z kluczami ani czy mam mu je zaraz oddać. Spałam w jego mieszkaniu, ale nadal mówiliśmy sobie per pan i pani.

Zrobiłam kawę, a potem wiedziona ciekawością i może odrobiną wścibskości, którą odziedziczyłam po mamusi, ruszyłam na zwiedzanie przytulnego mieszkania składającego się z czterech pokoi, sporej kuchni i ładnej nowoczesnej łazienki z wanną, prysznicem i dużą palmą.

W sypialni gospodarza łóżko było zasłane, co wprowadziło mnie w osłupienie. W życiu nie znałam mężczyzny, który ślałby po sobie łóżko. Muszę zapytać Ilkę, o czym to świadczy. Mnie się nie spodziewał. Chociaż w jakim stanie sypialnia była wieczorem, tego nie wiedziałam. Jasne ściany, zasłony w oknach. Słonecznie, widno. Może miał żonę, która gdzieś wyjechała? Może kochankę? Otwarłam szafę: równo powieszono garnitury, zwykłe spodnie, dżinsy, jedna sztruksowa marynarka, dwie kurtki i drogie swetry zawieszono na specjalnych szerokich wieszakach. Wydawało mi się to nienaturalne, by nie powiedzieć niebezpieczne. Równo poukładana w szufladach męska bielizna. Ani jednej pary skarpetek na podłodze. Może mieć pomoc domową, ale przecież wyszedł rano z mieszkania i zostawił po sobie porządek. Nikogo więcej tutaj nie było. Chyba.

Szybko sprawdziłam pozostałe pokoje. W żadnym nie znalazłam śladów kobiecych akcesoriów. Brak damskich ubrań, bielizny, nawet szamponu czy szczoteczki do zębów. Nie pachniało kobietą. I wszędzie taki sam porządek. Jeden jedyny pokój, pełniący funkcję gabinetu, wyglądał bardziej po męsku. Powiedziałabym, że nawet młodzieżowo: plakaty na ścianie, globus, zwykły, stary, niepodświetlany, o średnicy co najmniej pięćdziesięciu centymetrów, jaki zawsze chciałam mieć, ale jakoś nie potrafiłam zdobyć.

Wróciłam do kuchni, zrobiłam sobie kanapkę i usiadłam z nią przy biurku. Otwarłam szufladę, potem następną, przerzuciłam papiery, pooglądałam plik zdjęć z zakrwawionym trupem i wsunęłam je z powrotem do teczki. Wyjęłam je jeszcze raz, przestudiowałam aż do obrzydzenia i nasyciwszy ciekawość, włączyłam komputer. Prócz potwierdzenia informacji, którą miałam już od

Anity, że policja poszukuje mordercy właścicielki sklepu monopolowego, nie znalazłam ani jednej wiadomości, która zwróciłaby moją uwagę. Morderstwo zdarzyło się tutaj. Dokładnie w Zbrosławicach. Facet zaciukał narzeczoną pod półkami z alkoholem i do tej pory gościa szukali. Ukrywał się, a to otwierało nowe perspektywy dla śledztwa dotyczącego wydarzeń na zamku.

Nagle stała się dla mnie jasna wczorajsza rozmowa telefoniczna, którą Mleczek prowadził, gdy jechaliśmy do Dworku Myśliwskiego. Morderca narzeczonej mógł ukrywać się na zamku. Wydawało się to logiczne. Pasowało do atmosfery i lochu pod jałówką. Nie, zaraz... Pod jałówkę nikt prócz mnie nie włąził. On ukrywał się w domu. Jakim cudem nigdy nie wpadliśmy na siebie i dlaczego zaatakował dwie osoby, a mnie nie ruszał? Wystarczyły mu moje morele. Zgasiałam komputer, włożyłam kurtkę, zamknęłam mieszkanie i udałam się na rekonesans.

Siąpiło październikowo. Mokra, ponura i denerwująca jesień. Mimo to musiałam się przejść, przemyśleć, co dalej robić. Rozłożyłam starą parasolkę, którą znalazłam w przedpokoju. Z nieba padało klejące się świństwo. Powietrze jednak było zaskakująco przyjemne, biorąc pod uwagę fakt, że to jednak Górny Śląsk, a radio bręczące w przedpokoju Mleczi nadawało ostrzeżenia o smogu i przekroczeniu stanów alarmowych dopuszczalnych stężeń. Do Zbrosławic wyraźnie smog nie dotarł. Mleczek mieszkał bardzo wygodnie. Sklepy z pieczywem, artykułami spożywczymi i wędlinami rozgościły się tuż obok jego mieszkania. Poczta z agencją PKO dwa domy dalej. Mechanik samochodowy naprzeciwko. Bardzo oszczędnie. Wszystko pod ręką. Tok myśli mnie zainteresował. Czyżbym wybiegała w przyszłość?

Zatrzymałam się przy straganie z warzywami i owocami, zapłaciłam za dwa jabłka, wrzuciłam je do kieszeni i ruszyłam w dół ulicy Wolności. W folderze kupionym na poczcie sprawdziłam, że to główna ulica, ciągnie się przez całą wieś od Kamieńca do Tarnowskich Gór, równoległe do rzeki Dramy. Zachowywałam się jak turystka, ale potrzebowałam ruchu i jakiejś zmiany. Ruszyłam prężnym krokiem obok jednopiętrowych betonowych

domów z płaskimi dachami. Obeszłam wysepkę na skrzyżowaniu pokrytą bukszpanem, minęłam Fresh Market i doszłam do Centrum Ogrodniczego „Drama” oferującego zielone poniedziałki, cokolwiek to znaczyło, a znaczyło z pewnością w lecie, bo w tej chwili większość zieleni wokół była szara. Miałam nadzieję, że kondycję finansową „Dramy” uratuje zbliżające się święto zmarłych. Chryzantemy zajmowały każde wolne miejsce na ścieżkach, półkach, pod szkłem, folią i na zewnątrz. Weszłam i pokręciłam się wśród kwiatów. Wchłaniałam przez dłuższy czas ich specyficzny zapach. Mój ulubiony. Przez chwilę nawet chciałam kupić je komisarzowi i postawić na stole, ale mógłby to źle odebrać. Wybrałam mały bukiet dla Ilki. To były jedyne kwiaty, które od czasu do czasu malowałam. Zanurzając twarz w wielkich fioletowych, tak rzadkich ostatnio kulach, powoli wróciłam tą samą ulicą pod mieszkanie komisarza.

Na chodniku było pusto, natomiast całkiem spory ruch panował na jezdni. W takiej dziurze. Trudno było przejść na drugą stronę. Zatem nie przechodziłam. Minęłam mieszkanie Mleczki, kolejny piętrowy budynek w kształcie kartonowego pudła z otworami drzwi i okien, jakby ktoś przypadkowo palcem na projekcie zaznaczył dziury. Na wewnętrznym parkingu stało trzynaście samochodów. Na ścianie, która miała okna dopiero na wysokości pierwszego piętra, wisały szyldy warsztatu samochodowego i fryzjera. Tuż obok po trzech stopniach wchodziło się do piekarni i cukierni.

Jak na wiochę, której powstanie datowano na trzynasty wiek, powinno być więcej interesującej zabudowy. Z nadzieją, że może jednak znajdę kilka architektonicznych perełek, zapięłam szczelniej kurtkę i ruszyłam w kierunku Kamieńca. Więcej sklepów, więcej ludzi. Nowy pawilon handlowy z mnóstwem szkła i szerokim zadaszaniem, rzeźnia, salon kosmetyczny Visage, tipsy, masaż twarzy i mikrodermabrazja, okresowa zniżka do trzydziestu procent. Brzydkie przydomowe ogródki specjała dodatkowo nieskoszona trawa i chwasty. Może na bocznych uliczkach było ładniej, ale nie chciało mi się sprawdzać. Miejscowość o specyficznym klimacie, jedno z czystszych miejsc na Śląsku, niewykorzystane i zapuszczone.

Podobno klimat służący nerwicowcom i palaczom. Zaciągnęłam się kilka razy zbroślawickim powietrzem, ale nie poczułam żadnych efektów. Poza tym zmarzłam.

Przez cały czas myślałam o synchroniczności zdarzeń, niespodziewanym zjawieniu się Wrednej, epizodach na zamku, o skrzypieniu schodów, nieskrzypieniu drzwi do piwnicy, a także o mordercy narzeczonej. Już miałam zawrócić, gdy zauważyłam wjazd do stadniny koni i billboard zapraszający do restauracji Młyn znajdującej się na jej terenie. Poczułam głód.

Recepcja, galeria malarstwa, sklep z akcesoriami jeździeckimi pełen siodeł, palcatów, toczków, kasków i wysokich butów, obok jadalnia i bar. Wewnątrz ciepło i zapach pieczonego mięsa. Odtajałam, zjadłam polędwiczki w sosie beszamelowym z kurkami i wyszłam obejrzyć konie. Nadal nie wiedziałam, czy czekać na Mleczkę i pozwolić mu podejmować decyzje dotyczące mojego życia, czy wracać do Katowic. Przestałam rozmyślać w momencie, gdy przy najbliższym ogrodzeniu zauważyłam znajomą sylwetkę.

Halina Kwiatkowska była sama, z gołą, zmokniętą głową, w krótkiej kurtce. Marny deszcz widocznie jej nie przeszkadzał. Przyszła pojeździć? Zniewałający arab z gwiazdką na pysku prężył się przed nią na padoku, a ona nie zwracała na niego uwagi. Nie dla koni tu jest, to pewne. Raz po raz jej blond główka zwracała się ku wąskiej ścieżce, którą w tej chwili nastolatka z dwoma cienkimi warkoczami prowadziła drobną klacz. Obydwie, zarówno dziewczyna, jak i klacz, były spocone. Przez sekundę poczułam zazdrość. Nie dlatego, że ja marzłam, ale z powodu radości, jaka wylewała się z oczu dziewczyny. Halina nadal się rozglądała. Nagle z przeciwnej strony, niż się spodziewała, podszedł do niej wyrostek w bluzie dresowej z kapturem nasuniętym na głowę i opadającym na oczy. Halina się wzdrygnęła, ale szybko pozbierała.

Młodzieniec odsunął kaptur, ja zasłoniłam się parasolką. Co nieco przez nią widziałam, ale mało wyraźnie. Wygrzebałam z torebki pilnik do paznokci i zrobiłam w materiale dziurę. Wydało mi się dziwne, że Wredna zadaje się z podrygującym dresem. A gdzie dryblas, z którym ją widziałam? Przez

prowizoryczny wizjer dostrzegłam, jak daje dresiarzowi plik banknotów. Mogła je przynajmniej schować do koperty. Dlaczego była tak nieostrożna? Nie przypuszczałam, że jest aż tak głupia, a może to coś niewinnego. Za co ona mu płaci? Młodzieniec skinął głową i uciekł w podskokach, kaptur ponownie zasłonił mu twarz. Zdążyłam jednak mu się przyjrzeć. Ciemna oprawa oczu, czarne włosy i garbaty, a raczej złamany nos. Płaska twarz i wygięty w dół uśmiech. Chłopak nawet dość przystojny. Zapamiętałam rysopis, jakbym robiła jego szkic. Potem osłoniłam plecy parasolką i odeszłam spacerowym krokiem.

Pół godziny później wsiadłam do mercedesa, zaparkowanego pod domem Mleczki, i wyjechałam ze Zbrosławic. Po drodze wstąpiłam na komendę, a ponieważ komisarz był w terenie, więc oddałam klucze sierżantowi, zostawiłam wiadomość, że wracam do Katowic, i obiecałam, że będę odbierać telefony. Za tydzień planowałam powrót.

Mając na uwadze wizytę w szpitalu, wstąpiłam jeszcze na zamek, wzięłam płaszcz, telefon Ilki i kilka innych drobiazgów, które mogły jej się przydać. Po drodze w Biedronce kupiłam torbę pomarańczy, kilka owsianych batoników, do chryzantem dorzuciłam storczyka w doniczce i ruszyłam do Piekar.

Ilka leżała w jedyńce i patrzyła na mnie jak na obcą osobę. Bez słowa postawiłam storczyka na oknie i nalałam trochę wody do doniczki.

— Mam się teraz kajać przez wieczność? — zapytałam zaczepnie. — Nigdy mi nie wybaczysz tego PUP-u.

Chryzantemy wstawiłam do szklanki. Rzuciłam Ilce ukradkowe spojrzenie i zaniepokoiłam się. Ogryzała paznokcie, marszczyła czoło. Już miałam wygłosić przeprosiny, gdy ona nagle wyciągnęła w moim kierunku rękę, nakazując milczenie.

— Ciii... — Zamknęła oczy, otworzyła je i znowu zamknęła.

Wtedy zrozumiałam, co się stało. Psychiatra, pani doktor, fachowiec, jego mać, od głowy, straciła pamięć? Przysunęłam sobie krzesło i usiadłam przy łóżku. Uszanowałam nakaz milczenia. Do głowy przychodziły mi różne rzeczy, nawet to, by zabezpieczyć, gdyż akcji pod stodołą nie sposób było zapomnieć, ale milczałam. Nie odezwałam się również, gdy mamrotała do siebie z ciągle wyciągniętymi w moim kierunku rozczapierzonymi palcami. Kiedy zaczęłam rozważać drzemkę, usiadła gwałtownie i tonem odkrywcy tajemnic antymaterii obwieściła:

— Mati?!

Poczułam łzy pod powiekami i rzuciłam się ją ścisnąć na tyle ostrożnie, by nie doznała większych obrażeń. Następne minuty były wariacką karuzelą w dosłownym tego słowa znaczeniu. Ostatecznie większość zdarzeń dałyśmy radę poupychać do odpowiednich szufladek, ale kto ją tak zaprawił, nadal pozostawało tajemnicą. Mało tego, Ilka jako profesjonalistka podejrzewała, że sobie tego nie przypomni. Okazało się, że to ona uparła się nie wychodzić ze szpitala dopóty, dopóki nie odzyska pamięci. Odzyskała, przynajmniej częściowo, bez wątpienia dzięki mnie.

— Wpadnę jutro albo pojutrze. Przywieźć ci coś do jedzenia?

— Dlaczego?

— Dlaczego przyjadę? Lubię cię, martwię się o ciebie i... Co to w końcu za głupie pytanie?

— Pytam, dlaczego masz mi przywozić coś do jedzenia. Tutaj karmią w nadmiarze.

Ze zdziwienia otwarłam usta.

— Tak, wiem. — Zakreśliła krąg wokół swojego ciała. — Chodziło mi o jedzenie, chyba coś się zmieniło, bo na żarcie, szczególnie to szpitalne, patrzeć nie mogę. Jem tyle, co z rozsądku. — Uśmiechnęła się i można było w tym uśmiechu doszukać się całkiem sporej porcji radości.

Wyobraziłam sobie szczupłą Ilkę i tak się wzruszyłam, że szpital

opuszczałam ze łzami ściekającymi po policzkach.

Katowice kipiały życiem. Droga A1 zapchana do niemożliwości karmiła mnie świeżą energią, ludzie przeciskający się na ulicach, parasole, peleryny i pośpiech wypisany na twarzach. Spodek lśniący w deszczu wyglądał, jakby miał odlecieć w gwiazdy, a mnie niosło na fali radości spowodowanej nie tylko dobrym stanem Ilki. Muszę częściej odwiedzać duże miasta, bo jeśli, tak jak zamierzałam, spędzę rok w tamtej głuszy, to zwariuję. Brakowało mi ludzi, nie epizodów, poza tym kto wie, czy nie skończę jak Zaruba i Ilka.

Pokręciłam się po ulicach, z przyjemnością obserwując mrowie nerwusów zapatrzonych przed siebie, depczących sobie po piętach i wgapiających się w smartfony, jakby wszyscy łapali pokemony. Serce biło mi szybciej. Wracałam do żywych. Jeszcze z samochodu zadzwoniłam do kilku koleżanek. Niestety, jak się spodziewałam, każda pytała o ślub i wesele. Karina Skornia pytała o obrazy i czy zdążę do piętnastego grudnia. Dałam sobie spokój z telefonowaniem i pojechałam do rodziców. Przynajmniej z nimi nie musiałam rozmawiać o rejteradzie narzeczonego.

Miły rodzinny wieczór przerwał mi telefon od ochrony sprawującej pieczę nad moim mieszkaniem. Ktoś próbował się włamać. Na szczęście skończyło się na próbie, a kamera uchwyciła sprawcę. Zgłosiłam sprawę na policję i zleciłam wymianę zamków. Mieszkanie miałam ubezpieczone, do włamania nie doszło, zatem nie zawracałam sobie tym głowy. Podejrzywałam Seweryna. Ciekawe, co powie policja. Postanowiłam wstąpić na komendę. Może faktycznie zgubił klucz? Dzwonić do niego nie zamierzałam. Ale żeby aż tak zależało mu na marnych płytkach DVD?

Dziewiętnastego października, po trzech dniach spędzonych w zaciszu własnego mieszkania, ponownie odwiedziłam Ilkę. Zaczynała odzyskiwać poczucie humoru. Zatem uspokojona, po wyczerpujących zakupach spożywczych, wizycie u kosmetyczki, fryzjera i u rodziców, wróciłam do lasu. Obietnic nie zwykłam łamać, a przyjęcie kluczy i zamieszkanie na zamku traktowałam jak zawarcie umowy.

Kiedy otwierałam podwójne ciężkie drzwi, wielki narożny zegar w salonie bił północ. Zamek spał otulony mgiełką lśniąca wokół latarni jak magiczną pierzynką. Zaświeciłam wszystkie światła, obeszałam każdy kąt, sprawdziłam nawet piwnicę. Kot czmychnął na mój widok. Jak wszedł do środka? Wydawało mi się, że wyjeżdżając, widziałam go na podwórku, ale nie pamiętałam dokładnie. W końcu zmęczona położyłam się do łóżka i ku własnemu zdziwieniu zasnęłam. To była dobra, spokojna noc bez skrzypień, duchów i przeciągów, która trwała do... rana, kiedy to obudził mnie znajomy odgłos rąbania siekierą. Ktoś rozpała w kominku? Ilka jest w szpitalu. Może ją wypuścili, ale nie w nocy. Wypisy robią około dziewiątej.

Usiadłam na łóżku. Łup, łup. Przerwa. I łup. Przed moimi oczyma jak żywa ukazała się kamienna, może nawet zabytkowa mozaika wokół kominka, ułożona z mieszanki różnych geologicznych skarbów, w których rozpoznawałam bazalt, grafit, wapień i kawałki krzemienia, na której... nigdy w życiu! Ilka miała te kamienie w poszanowaniu! Robiłaby to na pniaku w drewni.

Morderca. Ale żeby aż tak się rozzuchwalił, w dodatku niszczył zabytkową posadzkę.

— Cholera jasna!

Wyskoczyłam z łóżka w długiej męskiej koszuli, której używałam zamiast piżamy. Nie zawracałam sobie głowy szukaniem kapci. Wpadłam do holu z kijem baseballowym, który trzymałam w łóżku. Widok zdumiał mnie bardziej, niż gdybym zobaczyła uciekiniera. Zacisnęłam dłoń na drewnie.

Halinka Kwiatkowska w miętowych obcisłych dzinsach i w białej koszulce w poziome granatowe paski stała w rozkroku przed kominkiem i zamierzała się moją nową siekierką w bukowy klocek. Wyglądała, jakby pozowała do zdjęcia. Poczulałam się, jakby ktoś mi wstrzyknął hormonalny koktajl z adrenaliny, noradrenaliny i kortyzolu. Przeanalizowałam wczorajsze czynności.

Drzwi, jak komisarz kazał, zamknęłam po przyjeździe, sprawdziłam

to kilka razy. Drewnutnię zamknęłam również. Klucze były w środku. Widziałam je doskonale z miejsca, w którym stałam. Z kuchni dochodził zapach kawy.

— Co ty tutaj robisz, do cholery?

— W piecu palę. Zimno jest. — Halina wyprostowała się i odłożyła siekiere. To wystarczyło, na razie.

— A twoje paznokcie?

Wzruszyła ramionami.

— Może jeszcze znalazłaś sobie pokój? — zapytałam, nie kryjąc sarkazmu.

— Jasne, na pięterku. — Wredna zerknęła na mnie z uprzejmym uśmiechem. Wdzięcznym ruchem odrzuciła włosy. Cudem tylko panowałam nad sobą. — Nie tykałam sypialni, w której spała Ilka, bo pewnie wróci, nie?

— Wróci — wykrztusiłam.

— To dobrze. Położyłam jej tam dywanik przed łóżkiem — powiedziała, wbijając ostrze siekiery w kawałek buka. Na ten widok podskoczyłam, jakby wcelowała je w moją stopę. — Podłoga dziwnie się łuszczy i widać jakieś pęknięcia. W każdym razie brzydko to wygląda. Władek powinien zrobić remont.

— Halina, zamknij się.

— À propos Ilki, wiesz, jak ona się czuje? — zapytała, jakby ogłuchła. Rzuciła mi spojrzenie spod blond grzywy.

Zacisnęłam zęby. Zbieracki będzie musiał mi zapłacić za to warowanie. Zeszłam boso po schodach i usiadłam w kuchni. Stopy wsunęłam w kapcie góralskie, które ustawiłam wieczorem przy drzwiach wejściowych, a teraz znalazłam je pod stołem. Nalałam sobie kawy z dzbanka. W głowie roiło mi się od pytań. Pierwsze: skąd i co Halina wie o Ilce? Drugie: w jaki sposób i jakim prawem weszła do zamku? Następne: kto próbował włamać się do mojego mieszkania, bo na komendzie w Katowicach nic mi nie powiedzieli.

Podobno niewyraźnie było widać, ale im nie wierzyłam. Musiało chodzić o coś innego. I czy faktycznie Zarubę i Ilkę zaatakowała jałówka. Gdyby zrobił to uciekinier z monopolowego, to walnąłby mnie pierwszą. Może dlatego tego nie zrobił, bo mu jeszcze nie weszłam w paradę? Powinnam porozmawiać z Ilką, jak już całkiem odzyska pamięć.

Dobry nastrój szlag trafił. Miałam malować, Karina czekała na obrazy, tymczasem Mleczo przeganiał mnie do Katowic, morderca pętał się po zamku, a Wredna coś knuła. Do tego jeszcze Seweryn. Byłam przekonana, że komisarz wystarczająco go zniechęcił do nachodzenia mnie, a tu proszę — próba włamania po durne płyty. Policja nie powiedziała, że to on, ja nie sugerowałam. Niech sami to odkryją. Ale Seweryn włamywaczem? Chciałam za niego wyjść, zasypiać obok, budzić się co rano przytulona do oszusta, wiarołomcy, kłamcy. Czego jeszcze się dowiem? Nieświadoma przyszłości upiłam łyk niezłej gorącej kawy.

— Jak dostałaś się do środka? — zapytałam. — I nie kłam. Znam cię ze szkoły.

— Kochana, ja nigdy nie kłamię. Najwyżej nie mówię wszystkiego.

— To też jest złe. Kłamstwo jest złe, mówienie nieprawdy jest złe. Niemówienie prawdy też jest złe.

— Mam wrażenie, że trochę ci się poplątało.

— Nic mi się nie poplątało. Jesteś nieobliczalna, niesforna...

— ...domyślna, uczynna i zapewniam ci bezpieczeństwo.

— Co?! — ryknęłam, zrywając się z krzesła.

Stałyśmy naprzeciwko siebie. Ja dyszałam jej w twarz, ona znowu trzymała w garści siekiere. Uśmiechała się uroczo i nawet nie fałszywie. Napchała się z rana miętówek. Nie cierpiałam mięty.

Zacisnęłam usta i uniosłam pięść.

Oczy Wrednej w zdumieniu otwarły się szerzej. To była jedyna reakcja.

Miała nerwy ze stali i dyskretny makijaż o — zerknęłam na zegarek — siódmej rano. Mało tego, uśmiechnęła się i nie cofnęła nawet o milimetr.

— Napij się kawy, przejdzie ci. To wszystko z braku snu.

Zorientowałam się, że miałam zamiar walnąć ją pięścią jak mężczyzna, na dodatek poczułam nieznany mi dotąd przedsmak emocjonalnego spełnienia, ale nie zrobiłam tego i moment na katharsis minął. Z żalem opuściłam rękę.

— Halina, powiedz mi, czy ty się tutaj wprowadziłaś, czy mi się tylko wydaje? Niech mam jasność. Przyjechałam tutaj pracować. Potrzebuję ciszy i spokoju, a nie domu otwartego.

— Praca. Godne pochwały. Kobieta zarabia na własne utrzymanie. Samotna kobieta. Swoją drogą kopnęłabym tego Seweryna w to jego umięśnione dupsko. Założę się, że tylko to widziałaś, dlatego tak oślepiłaś na inne sprawy.

— Skąd wiesz o Sewerynie? Nie pisałam do ciebie sążnistego listu, nie zapraszałam na ślub.

— No właśnie. Myślałam, że zapomniałaś albo zgubiłaś mój adres, bo telefonu, fakt, mogłaś nie mieć. Zmieniłam numer.

— Na cholerę ci numer do Władka i do Ilki, skoro wiesz, gdzie Władek mieszka, że jestem u niego i że Ilka też tu mieszka. Widzę, że jesteś doskonale poinformowana. Zatem pytam: jakim cudem? Kim ty, do cholery, jesteś? Bo zaczynam podejrzewać, że nie tą blondynką, z którą skojarzenie ma każdy facet.

Wredna przez cały czas łagodnie się uśmiechała i przytakiwała moim słowom. Potem ostrożnie odłożyła siekiere i zniknęła na schodach. Po chwili wróciła z czymś małym w ręce. Otworzyła mi to przed nosem.

— Matko kochana! — jęknęłam. Najgorsze, że wcale się nie zdziwiłam. Przypomniała mi się rozmowa z komisarzem o służbach wywiadowczych. — Skoro tak, to zadzwoń do Ilki i zapytaj, kiedy wraca. Dowiedz się też, co

komisarz wymyślił albo czego się dowiedział. Możesz zrobić śniadanie. Idę się ubrać.

W rzeczywistości poszłam do pracowni i zaczęłam wyciskać farby na paletę. Mnóstwo rzeczy tłuło mi się po głowie, a malując, miałam zamiar je poukładać. Płótno mówiło więcej niż rozum. Na dole niech się dzieje, co chce. Może morderca potraktuje Halinę. Albo ona jego. A gdyby posłać ją do jałówki? Co ma wspólnego morderca narzeczonej z jałówką? Kiedy szukałam węgla do zrobienia szkicu, zadzwonił telefon. Ildefonsa! Odebrałam trzęsącą się ręką.

— Wczoraj była u mnie Wredna — rzuciła Ilka bez wstępów. — Tu, w szpitalu. Wyobrażasz sobie? Ma zamiar się do nas wprowadzić.

— Do Władka — sprostowałam.

— Co do Władka?

— Wprowadzić.

— A! No tak. Pokazała mi jakąś lipną legitymację. — Ilka musiała być na środkach uspokajających, gdyż nie przejawiała najmniejszych oznak oburzenia. Za to mną trzęsło. Odłożyłam węgiel, żeby go nie złamać.

— Jasne, widziałam legitymację. NCIS i zagadki Miami — prychnęłam, siadając na łóżku. — Z pewnością jest fałszywa. Wredna jest tutaj. Przed chwilą rąbała drewno na posadzce.

— To zbrodnia! Zabroń.

— Zabroniłam. To jest ponad moje siły. Jakby co, to polecam się tobie, coś mi przepiszesz. Teraz maluję obraz i wszystko mam gdzieś. A co z tobą?

— Nadal żyję. Pamięć wraca sukcesywnie. Tak naprawdę to chyba wszystko pamiętam, a nawet więcej... Przypomniałam sobie coś, czego nie powinnam pamiętać. Chyba.

— Że niby coś sobie wymyśliłaś? Bo jestem pewna, że to z powodu twojej utraty pamięci Mleczek zabronił mi cię odwiedzać...no wiesz, żeby czegoś

nie sugerować. Głupoty.

— Nie, w sumie Mleczek ma rację, ale Mati, ja go widziałam.

— Też mi mecyje. Widuję go niemal codziennie, a czasem kilka razy dziennie.

— Widziałam, jak mnie walił! — powiedziała szeptem, jakby komisarz Mleczek czaił się za drzwiami.

Walenie z osobą komisarza kojarzyło mi się jednoznacznie. Z trudem oderwałam się od wizji i wróciłam do rzeczywistości. Jasne było, że ten, który rąbnął Ilkę, również walnął Zarubę, a potem w szpitalu dokończył dzieła, ale komisarza nie podejrzewałam.

— Mleczek zabił Zarubę? I ciebie też chciał? — Tchu mi brakło. Na chwilę zawiesiłam osobiste sympatie. — Mało prawdopodobne. Chociaż w ich zawodzie takie rzeczy pewnie łatwiej przychodzą niż zwykłym ludziom. Szkodliwość zawodowa.

— Warunki szkodliwe — podpowiedziała Ilka.

— Nie, nie warunki. Skrzywienie.

— Mati, ty się dobrze czujesz? Do tej pory nie miałaś skłonności do paralogicznego myślenia.

— Obciążenie zawodowe. Nie, nie czuję się dobrze. Wredna zrobiła niezłą kawę, mieszka tutaj, a ja nie potrafię jej wyrzucić. Brak mi asertywności. Nie potrafiłam jej nawet walnąć w łeb. Iluś, na wszystkie świętości, zlituj się i wracaj. Ktoś się próbował włamać do mojego mieszkania — powiedziałam pewna, że zrozumie.

Ilka jęknęła.

— Mati, otrzeźwiej! Dotarło do ciebie, co powiedziałam? Widziałam, kto mnie uderzył i prawdopodobnie zabił parobka.

— To mów, do cholery! Na co czekasz?

— Władek.

— Co?

— Głucha jesteś?

W tym momencie moja komórka ucichła i nie słyszałam w niej nawet szumów. Spojrzałam na wskaźnik baterii. Była bliska wyczerpania. Jeszcze nigdy mi się nie zdarzyło, by doprowadzić telefon do takiego stanu. Przecież wczoraj go ładowałam. A jeśli nie? Może to było przedwczoraj. Zaczynałam się czuć jak na karuzeli, za dużo i za szybko. Ilka wyraźnie też miała objawy przeciążenia. Żal mi się jej zrobiło. Najbardziej jednak przerażała wizja, w której dotąd bystra i inteligentna kobieta zostaje nieodwracalnie poszkodowana. To, co powiedziała, wyraźnie na to wskazywało. Podłączyłam telefon do ładowarki i oddzwoniłam, ale nie odebrała.

Sfrustrowana, zrezygnowałam ze szkicowania i zaczęłam malować tło. Wredna albo wyszła, albo zajęła się czymś, co nie powodowało hałasu. Nic nie skrzypiało ani nie waliło. Do czwartej po południu.

Odgłos przypominał kołatkę. Zerknęłam przez okno w pracowni i zastukałam w szybę. Jezierska z garnkiem pod pachą cofnęła się od drzwi, by móc spojrzeć do góry. Dostrzegła mnie i pomachała. Odegrałam krótką pantomimę, wskazując palcem w dół. Jezierska zrozumiała i uśmiechnęła się jak demon.

Gdzieś z oddali usłyszałam odjeżdżające auto. Wolny pewnie ją przywiózł i właśnie odjechał.

— A kaj som pani Dominik? Przyjechała zech pokludzić. Jo tu sprzontom.

— Może zrobi sobie pani dzisiaj wolne? — Wredna nie straciła pewności siebie. — Pani Matylda nie czuje się dobrze. Potrzebny jej spokój.

— A co? Leży bidula?

Jezierska swoją potężną dłonią odsunęła Wredną jak drobną, nieistotną przeszkodę i przeszła do kuchni. Zniknęły mi z oczu. Zeszłam na palcach po kilku schodach, nasłuchując przesuwania garów, trzaskania pokrywkami

i mamrotania pod nosem najczystsą śląską gwarą. Kilka minut później rozległ się głośniejszy stukot. Waliła pokrywkami?

— Jezderkusie, a co to je, te zielune? Materdej, szpinat i nudle! Całe szczynście, zech przywiouzła piyrógi. Chcecie ta dzioucha otruć abo co?

Musiałam to zobaczyć! Słuch mi nie wystarczał.

— Cudowny zapach — rzuciłam, stając w kuchennych drzwiach.

Woń rumienionej na maśle cebulki, pieprzu i rozmiękłego białego sera z ziemniakami unosiła się nad piecem i niczym popiół z wulkanu rozprzestrzeniała w powietrzu. Zaciągnęłam się jak narkoman i poczułam jak w domu. Jezierska stała przy piecu, opierając się brzuchem o stalowy reling. Obracała pierogi na patelni. Używała do tego dwóch widelców, a minę miała taką, jakby naprawiała zegarek. Wredna siedziała przy stole i paliła papierosa.

— Pani Anito! — zawołałam. — Niebo panią zesłało.

— Kaj by tam niebo. Wolny mie przywióz autym. Idźcie się legnąć, jakeście słabi, zarozki przyniesa to na góra. — Jezierska znacząco spojrzała na schody.

— Niech będzie. Mogę jeść w łóżku — wykrztusiłam i uciekłam.

Widok focha na twarzy Halinki Kwiatkowskiej w zupełności mnie satysfakcjonował. Zemsta małego człowieczka, ale miałam to gdzieś. Skoro trwała wojna podjazdowa, to wszystkie docinki, dywersje i złośliwości, choćby w postaci pierogów, są dozwolone. Ulokowałam się w sypialni na łóżku i podłożyłam sobie pod plecy poduszkę. Jezierska po chwili przyszła z jedzeniem. Kiedy usiadła w nogach, jęknęły sprężyny.

— Teraz słucham. — Trzepnęła głową w bok, wskazując schody. — Co to za jedna?

— Była pani doskonała.

— A bo to pierwszy raz?

Parsknęłam.

Siedziałyśmy tak dwie i pół godziny. Opowiedziałam jej o Wrednej. W końcu zeszyliśmy do kuchni. Usiadłam przy stole, a Jezierska, jak na pomoc domową przystało, ruszyła z talerzem do zlewozmywaka.

Znowu rozległo się walenie kołatką. Wredna drgnęła, ale nadal siedziała z fochem i kolejnym już papierosem przyklejonym do ust. Smród dymu mieszał się z zapachem szpinaku i czosnku. Zrobiłam znaczący gest. Halina wstała z ociąganiem, podeszła do drzwi i przekręciła klucz.

— Ilka? — Trochę mnie zatkało. — Przecież ty jesteś w szpitalu! Jak przyjechałaś? Dzwoniłam do ciebie! Rozmawiałam z tobą! — Uświadomiłam sobie, że będę musiała z nią porozmawiać na osobności. Nie sprawiała wrażenia, że coś z nią nie tak, mimo to postanowiłam się jej przyglądać.

— Przyjechałam taksówką. Co do telefonu, to jest właśnie przewaga komórki nad telefonem stacjonarnym. Możesz dzwonić, skąd chcesz, i nikt nie ma prawa wiedzieć, gdzie akurat się znajdujesz.

Następne słowa Ilki zatarły w moim umyśle wagę owej obserwacji. Powinnam mieć specjalny radar, który wyłapywałby istotne spostrzeżenia, niezależnie od szoku, wzburzenia czy niesprzyjających okoliczności, w których je słyszymy.

Ilka blada, co można było zrzucić na karb szpitala i niedawnej napaści, wsparła się o ścianę, zdjęła buty, odkopnęła je na bok i weszła do kuchni. Patrząc tylko na mnie, usiadła.

— Chciałam ci zrobić niespodziankę, ale chyba mnie ktoś przebił.

— Tak, wiem — spojrzałam na Wredną.

— Nie, to nie ona. Na podwórku leży facet — powiedziała matowym, wypranym z emocji głosem. — Moim zdaniem nie żyje.

Nie wykazywała objawów szaleństwa. Przeciwnie. Była opanowana, tylko jakaś taka zmęczona. Nawet mi nie przyszło do głowy, że mogłaby żartować. Trzecia ofiara? Takie rzeczy nie zdarzają się w normalnym życiu.

— Co to za facet? — zapytałam wypruta z emocji.

W grę wchodziły różne możliwości. Na przykład Staszek Wolny walnął mordercę z monopolowego, przyłapując go, jak się skrada w cieniu zamku. Mogło też być zupełnie odwrotnie. Ktoś walnął Wolnego. Anita zbladła zauważalnie.

— W płaszczu — powiedziała Ilka. — Nie przyglądałam się jakoś nachalnie. Przeciwnie, starałam się nie patrzeć. Na brzuchu leży.

Anita jęknęła z ulgą, ale nie zamierzała się ruszać. Halina z wypiekami na twarzy rozchyliła usta.

— Nie idę — zdecydowałam, zakładając nogę na nogę i krzyżując ramiona na piersiach. Nie do końca wiedziałam, co czuję. Święta Tereso! W płaszczu widziałam ostatnio fagasa Wrednej. Seweryn również nosił płaszcz, ale rzadko. Nie, nie idę. — Jakaś mania czy co? To już trzeci.

— Niech jeszcze poleży. Teraz to już i tak nie robi różnicy — wyszeptała Ilka.

Anita w stanie stuporu patrzyła wielkimi oczami to na mnie, to na Ilkę. Halina nie wytrzymała, zerwała się i z telefonem w garści wybiegła w kapciach Ilki na dziedziniec. Moja przyjaciółka w kurtce i z torbą na ramieniu przysunęła sobie krzesło bliżej stołu, sięgnęła po czyjaś kawę i łapczywie ją wypija.

— Drugi, nie trzeci — zachowała przytomność umysłu. — Ja przeżyłam. Co ona tutaj robi? — Spojrzała w stronę drzwi.

Wiadomo było, że nie pyta o Anitę. Zresztą było widać, co robiła Jezierska. Ciężko oddychała. Jedną rękę trzymała na mostku, ale drugą przewracała już pierogi na patelni.

— O Wredną pytam, o pani Anicie opowiadałaś mi w szpitalu, pamiętam. — Uśmiechnęła się krzywo.

— Staszek nie chodzi w płaszczu — powiedziała cicho Jezierska i wyciągnęła szyję w kierunku okna, jednak do niego nie podeszła.

Rekonwalescentka, wygłodzona w szpitalu, pociągnęła nosem i spojrzała

tęsknym wzrokiem na posiłek. Anita może i była wstrząśnięta, ale nie ślepa. Wyjęła talerz i nałożyła solidną porcję. Trzy rozklejone pierogi zostawiła na patelni.

— Tamta pani chyba nie chce, ale gdyby zmieniła zdanie, to są — powiedziała bez śladu gwary. — Pani poważnie o tym facecie? Że tam leży? Staszek nie ma płaszcz. Nigdy nie miał.

— Nie znam pani męża, ale nieboszczyk ma jesionkę. Długą, czarną — powiedziała Ilka, patrząc na mnie.

Trochę mnie zmroziło, wymieniliśmy przestraszone spojrzenia, ale postanowiłam się trzymać.

— Przedstaw nas sobie — domagała się Ilka.

— Anita Jezierska, żona pana Staszka. Doktor Ildefonsa Sierocińska, druga ofiara — dokonałam prezentacji. — Pana Staszka jeszcze nie znasz, ale nie wkładałby płaszcz do karmienia zwierząt. Tego akurat jestem pewna, zresztą, jak mówi Anita, nie ma go. To on obecnie nas ratuje od czarnej roboty. Anita udaje przed Wredną, że jest naszą sprzątaczką i kucharką. Jak widać, wczuła się w rolę.

Kobiety wymieniły kurtuazyjne uśmiechy i od razu postanowiły przejść na ty. Skoro na dziedzińcu zamkowym nie leżał Staszek, Anita usiadła z nami częściowo uspokojona, ale widać było, że ze sobą walczy.

Mnie coś gnało do drzwi, lecz skoro pobiegła tam Wredna, nie miałam zamiaru jej towarzyszyć. Aż taka ciekawa nie byłam. Poza tym skoro Wredna ma zdeptać ślady, wolałam w tym nie uczestniczyć.

— Poczęstujesz mnie? — Jezierska wskazała moją paczkę marlboro. Ilka, rzadko paląca, poczęstowała się również i po chwili w kuchni unosiły się świeże kłęby dymu. Na to z piskiem opon i chrzęstem nadjechał passat.

— Szybko — powiedziała Ilka.

— Uhm — wymamrotałam, dojadając ostatniego pieroga z patelni. Zawsze miałam skłonności do zajadania stresu.

— Przełknij i powiedz mi, co ona tutaj robi. Dowiem się w końcu?

— Jedzenie przywiozłam. — Jezierska się zaczerwieniła i uniosła na krześle jak skarcona uczennica.

— Nie o ciebie mi chodzi, Anito, ale o tę... tę blondynkę od siedmiu boleści po operacji plastycznej i treningu w szkole tańca. Widziałyście, jak ona się rusza?

— Co robi, to wiemy — powiedziałam, wycierając usta przykurzoną serwetką, którą wyjęłam ze starego zabytkowego serwetnika — bruździ. Zawsze to robiła. Właściwe pytanie brzmi: kim jest Halina Kwiatkowska? Nie widziałyśmy jej z dziesięć lat albo więcej. Wolę nie liczyć. Wierzysz w tę jej legitymację?

— Ani trochę. Gdyby była prawdziwa, tak by nią nie machała. Jednak w obliczu tego, co się dzieje na zamku, uwierzę we wszystko. Nawet w to, że Wredna jest pieprzoną Matą Hari.

— A jak twoja pamięć? — Rozstawiłam palce i zaczęłam wyliczać: — Najpierw przyszedł kuc...

— Potem zginął parobek. Następne w kolejności były owce, jakby ktoś je specjalnie wypuścił, i atak tryka — uzupełniła. — Zostaje jeszcze sprawa... — Kopnęłam ją pod stołem, domyślając się, że chce powiedzieć, iż to Władek morduje, a nie bardzo chciałam, by wygłupiła się przy Anicie. Ilka domyślnie skinęła głową.

— Potem ty i moje odkrycie — kontynuowałam wyliczankę — lochy pod jałówką. Tego już nie pamiętasz, bo nie uczestniczyłaś, ale możesz mi wierzyć. Chwilę później pojawiła się Wredna. — Przypomniała mi się scenka ze stadniny. — Jestem pewna, że ona coś knuje.

— Potrzebujemy do tego wszystkiego jeszcze lochów? — zapytała Ilka.

— Lubię lochy. Te ci się spodobają — powiedziałam.

Jezierska zakrztusiła się kawą i złapała za chusteczkę, potem nie wytrzymała i podeszła do okna. Mogłam sobie bez trudu wyobrazić

krzątającą się ekipę policyjną. Nie musiałam patrzeć.

— Tylko czekać, jak tu wtargną — rzuciła Ilka.

— Jest jeszcze morderca narzeczonej. Nie jestem pewna, czy o nim słyszałaś — dodałam. — Może to on leży na podwórku? Może jałówka go walnęła?

— Przecież mówiłam, że ona nie kopie. — Ilka zdjęła kurtkę i poszła boso, by ją powiesić na haku. — Uspokój się. Nie jestem idiotką. Co Halina robi w moich kapciach? — spytała.

— Zapewne chodzi. Weź się skup.

— Jestem skupiona. Widziałam, że ktoś mnie walnął. Nie jałówka.

— Dlatego cię stuknął.

— Ja z tobą zwariuję.

— Nie denerwuj się — powiedziałam łagodnie, uspokojona, że Ilka użyła zaimka nieokreślonego miast w obecności postronnych osób szastać oskarżeniami. — Mnie już przeszło. A w ogóle to komisarz bardzo się naszej koleżance przyglądał. Chyba mu się podoba.

Ilka przechyliła głowę i przeczesała włosy palcami. Gest ten był dobrze mi znaną oznaką zniecierpliwienia.

— Zostaw natychmiast Wredną z Mleczką. Albo z Mleczkiem. Mleczko, Mleczek... Mleczka zostaw. Musimy się jej pozbyć. Jak on się odmienia?

— Mleczką — powiedziała Jezińska. — Odmienia się jak Kościuszko.

— Anita jest polonistką — wyjaśniłam, przez cały czas mając świadomość, że na zewnątrz leży kolejny problem.

Moja podświadomość, którą stłumiłam, zaczynała gdzieś w środku mnie wyć. Jednak nie miałam odwagi jej słuchać. Zaczęłam opowiadać Ilce o tym, jak poznałyśmy się z Anitą, ale przerwało nam wejście smoka. Nie ział ogniem. Komisarz swoją miną mógł zmrozić nawet pingwina. W tej chwili jego uwaga była skupiona na mnie, a oczy jak u bazyliuszka usiłowały mnie

zabić.

— To Seweryn Kruczyński — powiedział tak lodowatym tonem, że poczułam go w lędźwiach.

— Słucham? — jęknęłam.

Ten płaszcz, jesionka w jodełkę. A tyle miałam scenariuszy. Nie spodziewałam się tylko, że zrobi to kto inny. Jasna cholera! Nie, jednak nie mogłam w to uwierzyć. Przecież on był przestępcą! Zakładałam, że to on się do mnie włamywał, a przynajmniej któryś z jego ludzi. Mogłam go podejrzewać o najróżniejsze paskudne rzeczy, po tym jak mnie wystawił, ale żeby jego ktoś stuknął? Takim ludziom zawsze się udaje. Nie chciałam analizować tego, co czuję. Myśli przelatywały mi przez głowę z prędkością huraganu, a uczucia, zapewne wszystkie naraz, objawiły się na mojej twarzy. Czy pan komisarz poradzi sobie z tą mieszanką? I co z niej wyczyta? Odwróciłam się do niego tyłem i mrugając, bo oczy zaczynały mnie piec, zajęłam się przestawianiem filiżanek na stole. Boże drogi! Miałam motyw, zastanawiałam się nad tym, planowałam sceny, wprawdzie w złości, ale jednak. Błyskawicznie zrozumiałam, że to nie czas na żal, łzy i rachunek sumienia. Moja gwałtownie pobudzona wyobraźnia zaczęła podsuwać różne warianty zbrodni, tymczasem nie miałam pojęcia, jak zginął.

— To nie ja! — poinformowałam komisarza z niezachwianą pewnością.

Przyglądał mi się bez wiary. Ilka patrzyła na mnie przerażona, a Anita z zaciekawieniem. Czyżby wszyscy mnie oskarżali?

— No co się gapicie? Malowałam. Wredna może zaświadczyć. — Pokazałam palcem Halinę, która w tej właśnie chwili weszła i stanęła obok Mleczki.

— Niczego nie mogę — powiedziała. — Wyszłaś. Nie patrzyłam, dokąd idziesz. Nie śledziłam cię. Ale oczywiście mogę za ciebie ręczyć. Z twoim charakterem nie potrafiłabyś tego zrobić.

— Nie? A jak on zginął? — zapytałam. Tłumaczyłam sobie, że to obcy

facet, który mnie wyrolował, którego powinnam kopnąć na do widzenia, znienawidzić, ale pamięć podsuwała obrazy jego zawsze czystych i wypielęgowanych dłoni, którymi mnie dotykał, jego zapach, uśmiech. Zapomniałam minę, którą mnie uraczył przy ołtarzu. Stłumiłam w sobie szaloną myśl, by obejrzeć go jeszcze raz, by go dotknąć. I dlaczego leżał pod drzwiami, a nie w obórcie? — Czyżby nie było to typowe walnięcie przez jałówkę?

Wydawało mi się, że komisarz złapał się za głowę, ale widziałam to niedokładnie, jakby na obrzeżu pola widzenia. Ilka zaś spojrzała na mnie z wdzięcznością i z uznaniem skinęła głową.

— Ja też chcę wiedzieć, jak zginął Seweryn — zażądała. — Poza tym doskonale wiemy, że krowa nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Może również włamała się do mieszkania Matyldy w Katowicach?

— Słyszałaś, jak to mówiłam?

— Powiedziałaś wyraźnie. Nie jestem głucha.

— Ktoś się do pani włamał?

— Próbował.

— Dlaczego pani nie zadzwoniła?

— Policjanci z komendy katowickiej przyjęli zgłoszenie. Poza tym mam ochronę.

Mleczek mruknął pod nosem, że szkoda, iż nie sięga trochę dalej, i ruszył do drzwi. Wstałam, ale zatrzymał mnie zdecydowanym chwytem za ramię i zasłonił sobą drzwi.

— Do tej pory nie była pani ciekawa.

— Zmieniłam zdanie. — Wyrwałam się i wybiegłam.

Na placu zatrzymałam się za progiem. Seweryna otaczali czterej policjanci. Był z nimi lekarz. Trzeci raz gościłam tę ekipę, zatem powoli wszystkich zaczynałam rozróżniać. Jeszcze ze dwa trupy i się zaprzyjaźnimy. O ile mnie

do tego czasu nie zamkną albo nie zabiją.

Wcisnęłam się między dwóch funkcjonariuszy stojących najbliżej. Seweryn leżał na boku, jakby go ktoś obrócił. Jedną nogę miał lekko podwiniętą, a ręce złożone w modlitewnym geście. W rzeczywistości usiłował wyciągnąć sobie nóż, który sterczał mu z klatki piersiowej. Założyłam, że sam go sobie nie wbił. Seweryn nie nadawał się na samobójcę. Gdy pomyślałam, że niewiele brakowało, a miałabym z nim dzieci, zrobiło mi się jeszcze dziwniej. Jedno nie budziło wątpliwości: jałówka nożem nie rzucała.

Obecność Anity, pierwszy raz pomyślałam o niej inaczej, bez dystansu, podnosiła mnie na duchu. Nie mieściło mi się w głowie, by to mogła zrobić i niby dlaczego, prędzej już użyłaby trucizny. Chociaż mogła to zrobić, zaraz jak przyjechała, a dopiero potem zaczęła nas częstować pierogami. Bzdury. Patrzyłam z góry, akurat widziałam tę część dziedzińca. Nikt tam nie leżał. Ilki byłam pewna, ale Wredna cuchnęła mi zbrodnią na odległość. Siedziałyśmy z Anitą w mojej sypialni ponad dwie godziny. Miała czas. I kto wie, jaki motyw. Jest chodzącą tajemnicą.

— Muszę z panem porozmawiać — zwróciłam się do komisarza, który najpierw wypadł za mną, a teraz wrócił jak cień.

— Ja też. — Wskazał głową i ruszył po schodach. — Do pracowni. — Wchodził powoli. Stuk, stuk, stopień po stopniu, jakby starał się przygotować do czegoś nieprzyjemnego. Współczułam mu, bo podejrzewałam, że musi mnie aresztować, jednak bardziej współczułam sobie. Miałam świadomość, że jeśli nie znajdą prawdziwego mordercy, to mam poważny problem. Byłam bliską osobą, czyli potencjalną zabójczynią.

Weszliśmy do pracowni.

— Jakim cudem wpuścił pan tutaj Wredną? Co jest grane? — napadłam na niego pierwsza.

— No właśnie! Co jest grane? — Stał pół metra przede mną i patrzył mi z powagą w oczy. — Co pani robiła od południa do przyjazdu pani

Sierocińskiej.

— Jak to co? Malowałam! — Wskazałam płótno pokryte dość bezładnie plamami stanowiącymi tło i jakiś mglisty ostatni plan.

Mleczek dotknął palcem farby, która oczywiście była świeża, olejna, więc od razu zaczął się rozglądać za szmatą, żeby wytrzeć rękę. Podałam mu bawełnianą ściereczkę, którą podczas malowania zawsze miałam pod ręką, a służyła mi przede wszystkim do wycierania pędzla. Ręka funkcjonariusza zrobiła się jeszcze bardziej kolorowa.

— Malowanie można przerwać. To poważnie wygląda — powiedział.

Musiałam przyznać mu rację. Zanim to domyje... Nagle zrozumiałam, że mówi o obrazie.

— Nie, to taka wizja senna — powiedziałam.

— Jaka wizja, kobieto! Jest pani w czółówce, co tam, zajmuje pani poczesne miejsce. Kurwa — mruknął, ale usłyszałam. — Mówię o pani sytuacji. Jest pani pierwszą podejrzaną.

— Nikogo nie zabiłam! — odparłam. — Ja to wiem, a wy musicie mieć jakieś ślady, odciski palców. Motyw to za mało. Nie potrafię mordować w rzeczywistości, tylko na papierze. W ogóle brzydzę się tym. Poza tym, gdybym już musiała, to zrobiłabym to inaczej. Nie nożem.

— Tak? — Komisarz się ożywił.

— A tak! Nie potrafiłabym wbić komuś noża w klatkę piersiową ani w nic innego. — Zastanowiłam się chwilę, wyobrażając sobie hipotetyczną sytuację. — Nie, zdecydowanie nie potrafiłabym. To byłoby takie mokre i to, jak metal wchodzi w ciało... — Wstrząsnął mną dreszcz. Nieraz pisząc, wyobrażałam sobie odczucia.

Mleczek również się zastanowił, nadal stojąc tuż przede mną.

— No dobrze, zobaczymy, co powiedzą ślady. Nie wolno pani opuszczać zamku. Areszt domowy, chyba że woli pani jechać z nami.

— Wy sobie lepiej przesłuchajcie Wredną — wypaliłam ku zaskoczeniu Mleczki.

— Co?

— Przecież mówię. Już pan zapomniał? Halinkę Kwiatkowską, na widok której się pan ślini. Niech sobie pan z nią porozmawia, ale tak uczciwie. Jest kłamcą doskonałym. Już w szkole potrafiła... Gdzie tam w szkole! Już jako niemowlę kłamała, a w przedszkolu robiła to genialnie. Jeśli sama nie zechce, to nic z niej nie wyciągniecie.

— Co z tym włamaniem do pani mieszkania?

— Nie mam pojęcia. Zmieniłam zamki i tyle. Jest wysoko ubezpieczone, a pieniędzy w nim nie trzymam.

— A te płyty? Mówiła pani, że Kruczyński żądał ich oddania.

— Nie mam pojęcia, gdzie mogą być. Garnitur, owszem, wisi w szafie, a one pewnie gdzieś leżą. Byłam w domu i nie widziałam. — Pomyślałam, że w obliczu śmierci ich właściciela będę musiała przeszukać całe mieszkanie. Cholera wie, co na nich było.

Komisarz wyduł wargi, potem zacisnął usta. Wiele bym dała, żeby mu wejść do głowy. Wreszcie odwrócił się i wyszedł. Może się gonić. Nie zamienię z nim ani słowa, póki mnie nie przeprosi. Usiadłam w dużym, starym fotelu ustawionym pod oknem dachowym i patrzyłam na drzwi, które chwiały się niedomknięte.

Byłam urażona niesłusznym posądzeniem. Nie wiedziałam, co mam czuć w związku z niespodziewaną śmiercią Seweryna, lecz uczuciem, które dominowało, wybijało się na powierzchnię i szukało ofiary, była irytacja.

Wściekałam się, że dałam się zmanipulować blondynce, że pozwoliłam jej zamieszkać w miejscu, które miało być moją tajną siedzibą, ostoją, matecznikiem nowej mnie, odradzającej się w zaciszu puszczy, w ruinach opuszczonego zamku jak Feniks z popiołów. O wszystko, co złe, oskarżałam Halinę. O włamanie, o Seweryna też. Moje rozważania były nieco mgliste

i może dlatego nie potrafiłam wyłowić z nich tego, co najważniejsze. Mignęła mi scena w stadninie i znikła. Do niczego nie pasowała. Z parteru dochodziły głosy. Miałam gonitwę myśli, co gorsza, czułam, że serce i rozum stanęły po przeciwnych stronach, podczas gdy wołałam, by się wspierały.

Rozważając sytuację, zaczęłam nasłuchiwać, co się dzieje piętro niżej.

Mleczek nad wyraz uprzejmie i z rewerencją rozmawiał z Ilką, za każdym razem tytułując ją „pani profesor”. Do Anity nie zwracał się wcale, jakby jej tam nie było. Natomiast do Wrednej mówił przymilnie „pani Halino”. Poczułam, że zrozumienie, które już dla niego zaczynałam mieć, parowało niczym terpentyna na moich płótnach.

Ilce, mnie i Anicie nakazał nie ruszać się z miejsca obecnego zamieszkania. Panią Halinkę zaprosił bardzo uprzejmie na komendę w celu wyjaśnienia drobnych wątpliwości. Więc jednak. Żałowałam, że nie widzę jej miny. Gdy drzwi frontowe ze stukiem się zamknęły, zeszłam. Ilka z Anitą siedziały w fotelach przed kominkiem.

— No i co? — zapytałam.

Dwie solidne kobiety, każda w inny sposób, jak na komendę wzruszyły ramionami. Poczułam się z nimi w irracjonalny sposób bezpieczna. Ilka wstała i wyjęła z torby wino.

— Czy ty możesz pić alkohol? — zapytałam.

— Sama sobie pozwalam. Prochów już nie łykam.

— Skoro tak, to ja przygotuję jakąś przegryzkę — powiedziała Anita i poszła do kuchni. — Słuchajcie, będzie któraś jadła szpinak i makaron razowy? Jest tego garnek i patelnia.

— Ja nie — powiedziałam, a Ilka potwierdziła:

— Najlepiej dać to jakiemuś zwierzęciu. Co zre szpinak?

— To samo, co wcina kiszonkę. Barany? Zostaw, Halina wróci i zje — odparłam. — Czy według was Mleczek ją podejrzewa?

— Według mnie musi to sprawdzić — odparła Ilka.

Anita pomachała pokrywką nad garnkiem ze szpinakiem i pokręciła nosem.

— Wystawię go za drzwi, żeby nie śmierdziało. Powiem Staszкови, żeby dał go kurom.

— Rób z tym, co chcesz. Masz moje błogosławieństwo, tylko chodź tutaj w końcu. Zostaw już to żarcie.

— Zostaw, zostaw, też mam dość po tych pierogach — przyklasnęła Ilka, której rzeczywiście w kwestii jedzenia coś się odmieniło po uderzeniu.

— Nie wiem, dziewczyny — zaczęłam — co która z was wie, a czego powinna się dowiedzieć. Skoro jednak mamy ustalić coś konstruktywnego, to musimy zreasumować, co wiemy.

Ilka spojrzała na mnie z wyrzutem i krótko parsknęła.

— Ja straciłam pamięć.

— Ale już odzyskałaś. — Być może w nadmiarze, ale tego nie miałam zamiaru jej mówić.

— Ja nie wiem, kim był Seweryn — powiedziała Anita.

— Ja wiem, ale nie rozumiem, co tu robił. — Ilka postawiła na stoliku butelkę i trzy duże lampki. — Umówiłaś się z nim?

Popukałam się w czoło.

— Jeśli dajesz te kieliszki, to otwórz od razu drugą butelkę, bo na długo nam nie wystarczy — zauważyłam, pamiętając, jak szybko opróżniłyśmy poprzednią.

Co prawda piłyśmy z półlitrowych kieliszków do wody i byłyśmy w stresie, ale ostatnio stres był stanem permanentnym. Ilka bez słowa komentarza poszła do kuchni i otworzyła drugą butelkę.

— Trzy razy kogoś zaatakowano, w tym dwa razy skutecznie — powiedziałam.

— Zupełnie obce sobie trupy — skomentowała Ilka w zamyśleniu. — Ja przeżyłam przez przypadek albo dzięki nieudolności sprawcy.

— A wszystko na tym podwórku — podsumowała Anita, wachając wino.

— Na dziedzińcu zamkowym, a właściwie w obórcie — poprawiła ją Ilka.
— Poza tym Seweryn nie leżał w obórcie.

— Bo nie zdążył go tam zaciągnąć — powiedziałam.

— Kto nie zdążył?

Dywagując w ten sposób, straciłyśmy pewność, że Staszek Wolny jeszcze żyje, aż Anita zadzwoniła do niego, żeby sprawdzić. Nie odebrał komórki, ale napisał wiadomość, że pracuje i żeby mu nie przeszkadzać, chyba że to coś pilnego. Anita zaczęła zbierać gary.

— Nie wygłupiaj się. Skoro napisał, to znaczy, że żyje. Chyba że ktoś użył jego komórki, ale jedyna w tej chwili podejrzana pojechała z komisarzem.

— Czego żeście się tak uczepliły tej Haliny? — nie rozumiała Anita, która nadal niczego istotnego o niej nie wiedziała.

— To długa historia. Opowiadałam ci już o niej. — Nie chciało mi się rozwodzić nad Haliną. — Ilka zna ją trochę dłużej ode mnie, bo ja dopiero od ogólniaka.

Ilka wstała, odszukała moje papierosy i się poczęstowała. Kilka razy pstryknęła zapalniczką.

— Co nieco wiem, ale nie wszystko. — Rzuciła zapalniczkę do kominka.
— Są tu jakieś zapalniczki? — Podałam jej. — Nie prowadziłam w końcu badań. Pamiętam, że Halina miała w dzieciństwie jakieś problemy, nie mówiła o tym i nie zdawałam sobie z tego sprawy. W końcu byłam jej rówieśnicą. Dzieci może i więcej czują, ale za to mniej rozumieją. Ja czułam, że coś jest nie tak. Lata później zrozumiałam, że Halina była molestowana przez ojca. Zrobiła się harda, uciekała w wyobraźnię, rozwinęła talenty aktorskie i nauczyła się doskonale kłamać oraz manipulować ludźmi, kształtować opinię otoczenia. Stała się uparta i bojowa. Nieustannie sprawdzała, kto jest wrogiem, a kto

przyjacielem.

— Owszem — dodałam, przypominając sobie różne sytuacje ze szkoły średniej. — Uwielbiała sprawdzać przyjaciół, mówiąc im najokropniejsze rzeczy dla „ich dobra”.

— Nie dziw się. Musiała wyjść z bagna, również emocjonalnego. Nie chcę nawet sobie wyobrażać jej sytuacji. Halina uczyła się życia sama, niemal od zera.

— A matka? — zapytała Anita.

— Anito, ja u nich bywałam bardzo rzadko. Pamiętam jej matkę jako dobrą kobietę, nieco zahukaną, której nigdy nie było w domu. Prowadziła zakład fryzjerski, skądinąd przyzwoity i całkiem znany. Nie pamiętam, do cholery, co na to jej matka. Też byłam wtedy dzieckiem.

— Do meritum, dziewczyny. Odczep się od fryzjera.

— Zaczęło się od tego — westchnęłam, bo już mnie nudziło wałkowanie tematu bez konkluzji — że Halina przysłała mi maila, w którym prosiła o telefony do Władka i do ciebie. — Wskazałam Ilkę palcem. — Nagle, dosłownie dzień albo dwa dni później, widzę ją. Gdzie? Niedaleko, bo w Brynku. Taka wiocha kilka kilometrów stąd — powiedziałam do Ilki, bo Anicie nie musiałam tłumaczyć. — Jest tam bardzo klimatyczna knajpka, właściwie to całkiem przyzwoity hotel i restauracja. Poroża na ścianach — rzuciłam okiem na Ilkę, która ich nie cierpiała — kwiaty, obrazy z łowów, kilka niedużych sal, intymnie i uroczo. Dworek Myśliwski. Akurat byłam tam na kolacji. Wredna prowadziła się z wysokim i chudym facetem. Wyglądał jak z innej epoki. Powiedziałabym, że jak arystokrata. Kiedy Ilka zaraportowała trupa w płaszczu, pomyślałam, że to on. Wredna chyba też, dlatego tak poleciała. Miałam podejrzenia, że ten facet tutaj czegoś szukał. Ale to tylko domysły. — W tej chwili wcale nie byłam pewna, czy widziałam kogoś w samochodzie Haliny. Opowiedziałam im o pierwszej wizycie Wrednej.

— Czegoś chciała? — zapytała Ilka, sącąc wino.

— Nie pytała o telefony. Nie mówiła, jak się tutaj znalazła. Łaziła i wtykała nos. Wsadziła mi jedną czy dwie szpile. A! I jeszcze sugerowała, że to moja mama dała jej na mnie namiar, co jest bzdurą. Sprawdziłam. Wiedziała, że Włodek jest w Irlandii, a ty w szpitalu. Wiedziała o tym, że Seweryn zwał sprzed ołtarza. Mało tego, miała pretensje, że jej nie zaprosiłam na ślub!

— Dokładnie jakby przeprowadziła wywiad — skwitowała Anita. — A Marek? Co on na to? Mówiłaś mu o tym?

— Komisarz Mleczek może mnie pocałować w tyłek — warknęłam. — Jestem przekonana, że jej uwierzył.

W środku coś mi mówiło, że jednak nie do końca. Mleczek kręcił. Albo ją sprawdził, albo nie. Dawał coś do zrozumienia, ale niewyraźnie. Teraz też nie wiadomo, czy ją wypytuje, aresztuje, czy współpracują w pełnej zgodzie i opowiadają sobie kawały. Z całej siły powstrzymałam się, by nie zacząć głośno przeklinać. Opowiedziałam im o próbie włamania do magazynku, o wyjeździe do Katowic, o powrocie do pustego zamku i jak wieczorem zamknęłam drzwi, a Wredna i tak się wprowadziła.

— Potrafi posługiwać się wytrychem — uznała Ilka. Włosy jej oklapły, twarz zszarzała. Zabrałam jej kieliszek i odniosłam go do kuchni. Nie protestowała. — Mogła jeszcze wejść przez drewnutnię — dodała.

— Nie. Pamiętam, że pakamerę zamykałam. I to oboje drzwi, wejściowe i wyjściowe.

Anita spojrzała na mnie dziwnie.

— To ja już nie wiem — zrezygnowała Ilka.

— Moim zdaniem — rzuciłam, zerkając na Anitę — tylko ty możesz się czegoś dowiedzieć od policji. Ty jedna znasz Mleczkę inaczej. Chciałam powiedzieć, że znasz go od dawna i nie jesteś zaangażowana w sprawę. — Wraz z wypowiedzeniem tych słów uświadomiłam sobie, że zniknął we mnie przynajmniej uczuciowy chaos, który przeszkadzał mi myśleć. W tej chwili

nie czułam nic, mimo że zginął mój niedoszły mąż. Co właściwie powinnam czuć? Wdowieństwo?

— Trochę zaangażowana jestem — powiedziała Jezierska. — Jestem tutaj. Staszek tu pracuje. I nie myślcie o mnie źle, ale zaczynam być chyba ciekawa, co będzie dalej.

Pomyślałam, że Anita pewnie zostanie z nami na dłużej, że mimo iż mieszka kilka kilometrów dalej, to się zadomowi, zatem utrzymywanie w tajemnicy, kogo widziała Ilka, nie ma raczej sensu. Prędzej czy później i tak się wyda.

— Dalej to nam Ilka powie, kogo widziała — oświadczyłam. — Bo widziała mordercę.

Moja przyjaciółka miała zwieszoną głowę. Spała. Anita spojrzała na nią z zainteresowaniem.

— No tak — mruknęłam. — Jest wykończona, już dwa razy chciała mi powiedzieć. Zawsze coś jej przeszkodziło.

— Wobec tego niech zrobi to teraz, zanim znowu coś się stanie — poradziła Anita. — Ilka! Znasz go? — zapytała, szarpiąc ją za rękaw swetra.

— Co?

— Znasz mordercę? Podobno go widziałaś.

— Anita, zostaw ją. Dowiemy się później. Niech śpi.

— Ilka! — Anita nie ustępowała. — To ważne.

— Nic się nie stało — odparła Ilka, przecierając bladą twarz. Oczy miała przekrwione, a na policzkach nienaturalne rumieńce, które podkreślały bladość jej skóry. — Widziałam cień. Mignął mi. Taki raczej duży. Wiem, że to człowiek, a nie jałówka. Śniło mi się... no dobrze, wydawało mi się, że to Władek Zbieracki. — Ilka roześmiała się z zażenowaniem. — Wybaczcie, ale dopiero co wyszłam ze szpitala. Coś mi tam chyba podawali, konowały.

— To twoi koledzy, nie ufasz im? Skoro jednak policjanci wiedzą, że kogoś

widziałaś, pomińmy, że z tym Zbierackim to ewidentna bzdura, to dlaczego Mleczek podejrzewa mnie i nie pozwala mi się stąd ruszać?

— A skąd taki pomysł? — naskoczyła na mnie Ilka. — Mleczek się z tobą droczy, idiotko.

Tym mnie zaskoczyła. Faktycznie musiałam zgłupieć.

— Masz rację, Mleczek nie wydaje się idiotą, raczej aroganckim despotą. Inna sprawa, że wcześniej kazał mi się stąd zmywać. — W tym momencie przypomniało mi się, co wyczytałam u Mleczi w aktach i że niebezpiecznie kazał mi stąd wyjechać. Nie brałam jednak tego poważnie, bo prawie za każdym razem hałasom winien był kot. Morele pewnie sama zjadałam, bo w stresie mogłam zapomnieć. To są jednak odruchy, a ich się przeważnie nie pamięta. Nie mówiłam jednak o tym komisarzowi, by go nie ośmieszyć. Fakt, niby trochę się denerwowałam, w końcu zaatakowano dwie osoby, ale nie wierzyłam tak naprawdę, by ktoś kręcił się po zamku.

Nagle w drewnie rozległ się rumor.

Znowu?! Zerwałyśmy się i runęłyśmy wszystkie trzy do pakamery. Wysłałam na prowadzenie. Trzymając się skrzydła i futryny, zawisłam z dwiema potężnymi kobietami na plecach. Ledwo udało mi się je utrzymać, jednak nikogo i niczego prócz otwartych drzwi na zewnątrz nie dostrzegłyśmy. Ktokolwiek tutaj był, uciekł. Kolejne drwa się osunęły, zwiększając bałagan. Uwolniłam się od ciężaru i wróciłam po latarkę. Potem ruszyłam do głównego wyjścia.

Ilka złapała mnie w ostatniej chwili.

— Nigdzie nie pójdziesz. — Stanęła, opierając się na drzwiach.

— Nie to nie. — W sumie mi nie zależało. Wyjęłam z kieszeni spodni komórkę, usiadłam w fotelu przed kominkiem i wysłałam esemesa do komisarza: „Trzasnęły drzwi od drewnie i poleciało drewno, siedzieliśmy w salonie”. Niech wie, co się dzieje.

Anita poszła dalej, bo trzymała już słuchawkę przy uchu, drugą ręką

masując sobie mostek.

— Staszek? Ktoś tutaj łązi — mówiła, posapując. Wspierała się na kominkowym gzymsie, jakby za chwilę miała dostać zawału. — A w ogóle to tuż po tym, jak pojechałeś do domu, doszło do zabójstwa na zamku. Tak. Nie jałówka. Kto? Matyldy narzeczoney. Tak. Niedługo nas wszystkich wymordują. A przed chwilą trzaskało drzwiami od drewnutni. Wiesz, czy były zamknięte? Nie. Na pewno nie trzaskała Matylda. Siedziała tu ze mną i z panią doktor. Tak, dobrze... Słuchaj, Staszek, mógłbyś przyjechać i coś przywieźć domowego, bo tu samo z hipermarketu. A w ogóle to będzie nam różnie. Trochę się boję. — Skończyła rozmowę i podstawiła mi kieliszek. — Zawsze to jakiś chłop.

Uśmiechnęłam się do niej z wdzięcznością. Nachyliłam się nad stolikiem, by sięgnąć po butelkę, i w tym momencie go zobaczyłam — sprawcę hałasu, przyczynę strachu i potencjalnego zawału Anity. Czaił się za kominkiem ukryty wśród dębowych i bukowych polan. Czarny, duży kot kartuski z wielkim puszystym ogonem. Pojawiał się i znikał, a że częściej znikał, toteż kompletnie o nim zapomniałam.

— Anita, niepotrzebnie wzywałaś męża. Ten rumor w drewnutni to ta zaraza. — Pokazałam winnego, który lizał sobie klejnoty i bezczelnie grzał się w domowym cieple.

— Kiciuś! — Ilka się zerwała. — To na pewno nie on. Nie ważcie się go oskarżać. I nie mów, że kot wbił nóż w serce Seweryna.

— Dobrze, nie powiem. Tylko umyj się potem, bo cię zarazi toksoplazmozą i zawładnie twoim mózgiem.

Ilka spojrzała na mnie z politowaniem, wzięła kota na kolana i usiadła z nim na cokole kominka.

— Wiecie o tym, że w Zbrosławicach zginęła dziewczyna z monopolowego? Nawiasem mówiąc, Marek tam mieszka. — Anita zignorowała kota, zapadła się w fotelu i przez chwilę ciężko dyszała. — Mówią, że narzeczoney zadźgał ją nożem. Do tej pory go nie mają. Wiem, że

Marek go szuka. Może to on? To znaczy nie Marek, tylko ten zbrodniarz? Boże! — Przetarła ramieniem czoło i na chwilę ukryła twarz w dłoniach. — Wyrażam się już jak moi uczniowie.

— Owszem, wiem — odparłam. — Morderca narzeczonej to mój faworyt.

— Skąd wiesz? — zapytały obydwie.

— Słyszałam fragment rozmowy Marka. Kogoś przeganiał przez telefon. Reszty się domyśliłam. Poza tym w „Gwarku” była wzmianka. — Nigdy tej gazety nie czytałam, ale nie powiem im przecież, że zrobiłam u komisarza gruntowne przeszukanie i przestudiowałam akta policyjne. Po cholere trzymał je w domu.

Reszta wieczoru minęła na dyskusjach i rzucaniu podejrzeń. Anita obstawiała kandydaturę złoczyńcy z monopolowego, Ilka Władka Zbierackiego. Moje uczucia pochłaniała Wredna, jałówka i kot, bo w złoczyńcę nie do końca wierzyłam, kot był namacalny, a dwie ofiary znaleziono u jałówki, Wredna zaś znała Seweryna i nie wiadomo, co tutaj robiła. Może wynajęła tego dresa w zbrosławickiej stadninie? I jak Seweryn się tutaj dostał? Zadałam pytanie głośno.

— Jakiś samochód stał w alei akacyjowej. Widziałam, jak wysiadłam z taksówki. Pewnie tak samo jak ja przyjechała Wredna — powiedziała Ilka — a auto Seweryna pewnie wzięła policja. Nie chce mi się wychodzić i sprawdzać.

Mnie się chciało, ale nagle drzwi się otworzyły i wszedł Wolny z dwiema butelkami wina, jedną wódki i słoikiem ogórków kiszonych.

— Dzień dobry paniom. — Skinął głową. — I moje szczere kondolencje, pani Matylde. — Był w kowbojskim kapeluszu, kraciastej koszuli i niebieskich wytartych dżinsach. Za cholere nie pasował do Anity. Ale nie mnie się wypowiadać. Przynajmniej nie zostawił jej przed ołtarzem.

— Dziękuję, panie Staszku — mruknęłam.

— Anita, w aucie są jeszcze pasztet i grzybki. Przyniesiesz?

— Ona sama nigdzie nie pójdzie, tam grasuje morderca narzeczonej — zaprotestowała Ilka stanowczym głosem, głaszcząc kota, którego mnie dotąd nie udało się złapać.

Anita siedziała w fotelu i potakiwała głową.

Wolny jakby się zdziwił, w roztargnieniu poświęcił Ilce dłuższe nierozumiejące niczego spojrzenie, wzruszył ramionami, odwrócił się do nas plecami i zaniósł majdan do kuchni. Rozstawił wszystko na stole. Poszedł do auta, przyniósł pasztet, słoik z marynatą i stanął nad nami jak wyrzut sumienia. Kiedy zadarłam głowę, na jego twarzy dostrzegłam zainteresowanie.

— Staszek Wolny. — Ukłonił się przed Ilką. — Rozumiem, że to pani wróciła ze szpitala. Przykro mi. Naprawdę.

Podawała mu dłoń ponad mruczącym na kolanach kotem.

— Sierocińska.

W tym momencie usłyszeliśmy hamujący ostro samochód. Wymieniłyśmy spojrzenia. Wolny wszedł do kuchni. Wskazałam kota.

— Nie wsypcie go — szepnęłam, korzystając z okazji, że Wolny wkładał wiktuały do lodówki. — Idziemy w zaparte.

Odsunęłam firankę. Było ich pięciu. Najpierw pognali do drzwi od drewnutni. Potem rozbiegli się po zamkowym dziedzińcu. Z bronią i latarkami w dłoniach wyciągniętych przed sobą jak na filmie, przemknęli pochyleni do części gospodarczej. Światła skupiły się blisko obórki. Nie minęło nawet sześć minut, gdy ktoś walnął kołatką.

— Proszę wejść! — krzyknęłam.

Komisarz pchnął drzwi.

— Jesteś tu. I dobrze — zwrócił się do Wolnego. — Pilnuj ich. Nie mam ludzi, żeby kogoś zostawić. Mamy robotę. Do widzenia. — Skinął głową na odczepnego i nie zaszczyciwszy żadnej z nas spojrzeniem, wyszedł,

zatrzasnąc drzwi, które natychmiast ponownie się otworzyły. — I, do cholery, czy w tym domu istnieje coś takiego jak klucze?!

Wolny zrzucił kapelusz na podłogę, ulokował się na kamiennej obudowie kominka stanowiącej całkiem wygodne siedzisko i z mosiężnego pomocnika z łopatkami, szczypcami i pogrzebaczem wyjął największy i najmocniejszy hak. Zważył go w dłoni, podrzucił i zrobił próbny zamach.

Rozdział 8

Do stanu akceptowalnej trzeźwości doszłam następnego dnia późnym popołudniem. Umknęły mi obowiązki gospodarcze Wolnego i fakt, że Anita zrobiła obiad.

Nie zwróciłam uwagi na to, o której wstałam i jak długo pracowałam, ale ledwo otworzyłam oczy, w piżamie poszłam do pracowni. Malowałam w amoku, póki kuźnia w mojej głowie nie została zamknięta. O alkoholu nie potrafiłam myśleć bez nieprzyjemnych skojarzeń. Zeszłam na parter dopiero, gdy zawołała mnie Ilka.

Mleczek siedział w salonie naburmuszony. W drugi fotel wtuliła się moja współlokatorka. Ktoś nakrył duży stół. Stawiałam na Anitę, która kręciła się w kuchni przy piecu. Staszek Wolny podpierał kamienny gzyms.

Co jest? Kremowy obrus, biała zastawa, na środku potężny kandelabr z siedmioma świecami... Utraciłam kontakt z rzeczywistością?

— Jak w hotelu. Brakuje tylko, byśmy zaczęli grać w karty, a w piwnicy urządzili ruletkę — powiedziałam, nie kryjąc sarkazmu.

Mleczek chrząknął.

— Uhm, czerwona oberża — mruknęła Ilka. Była blada, policzki miała zapadnięte i widoczne sińce pod oczyma. Nie zrobiła makijażu. Musiała się czuć fatalnie.

Mnie prócz normalnego męczył kac moralny i wyrzuty sumienia. Mówią, że rankiem problemy maleją. Nie w moim przypadku. Seweryn przyjechał spotkać się ze mną. Gdyby nie to, pewnie by żył. Tłumaczenie sobie, że mnie rzucił i ośmieszył, nie pomagało.

— Gdybyśmy otwarli tutaj karczmę — zastanowiła się Ilka — wróżyłabym jej powodzenie. Agroturystyka.

— Wczasy pod Zamkową Kruchtą — dodała Anita — albo Wczasy w Krainie Utopców.

— A co utopce mają z tym wspólnego? — zapytała Ilka.

Komisarz chrząknął i pokręcił głową z dezaprobatą. Razem z Wolnym popijali piwo i przyglądali się nam w milczeniu. Anita stawiała na stole naczynia z jedzeniem, rozkładała sztucze i talerze.

— Miejscowe legendy — wyjaśniłam. — Szkoda, że już raczej zapomniane, bo były piękne. Według nich utopce urzędowały na bagnach, które ciągnęły się od Rybnej do Bobrownik. Rybna leży niedaleko stąd. Jeśli jechać na skróty do Strzybnicy, to w linii prostej jest nie więcej niż cztery kilometry. Podobnie jak do Księżego Lasu. — Pozwoliłam sobie rzucić wymowne spojrzenie komisarzowi. — Wprawdzie bagna wyschły, ale kto wie, co czai się w kałużach — tłumaczyłam Ilce, bo Anita i Wolny wiedzieli na ten temat więcej ode mnie. W jakim stopniu komisarz orientował się w miejscowych podaniach, nie miałam pojęcia. Zaczęła mi się wykluwać pewna myśl.

— Zostawmy legendy. Czy nie jest ciekawsze to, co teraz się czai w kopalniach? — zapytała Ilka. — Mnie się to łączy. Wszyscy już chyba wiedzą o lochu pod jałówką.

Anita, która stała w drzwiach kuchni, patrzyła na mnie z zaciekawieniem.

— Podszkoliłaś się, Matyldo — rzekła z uznaniem. — Stare korytarze nie są bajką. Myślę, że mogą być bardzo niebezpieczne. Sądzicie, że tym loszkiem można dotrzeć do kopalni srebra? Może to jakiś górnik albo zbieg, na przykład ten od narzeczonej, sobie tak wchodzi i wychodzi, a przy okazji morduje.

— Pod krową? — Stuknęłam się w czoło. — Ciężko by miał.

Staszek Wolny parsknął śmiechem.

Komisarz opuścił nisko głowę i zajął się jedzeniem.

— Staśka nie walił — powiedziała w zadumie Anita — a on tutaj dwa razy

dziennie przebywa po kilka godzin.

Spojrzałyśmy na Wolnego. Prychnął.

— No, mnie nie tak łatwo ubić.

Anita postawiła na stole wielką wazę z bigosem pomiędzy pasztetem na owalnym porcelanowym talerzu z Laurą i Filonem — takim samym, jaki miała moja mama — a grzybkami w occie. Na desce leżał upieczony przez nią chleb. Pachniał bosko, ale jeszcze nie miałam odwagi skosztować. Czułam, jakby w żołądku zagnieździły mi się utopce. Poszłam do kuchni zaparzyć filiżankę rumianku. Kiedy wróciłam, starając się nie wdychać zapachów, wszyscy jedli ze smakiem.

— Sewerynowi dał radę — rzuciłam, siadając do stołu i zastanawiając się nad szczęściem Wolnego. Zrobiło mi się niedobrze. Uniosłam filiżankę. Zapach rumianku zagłuszał woń kapusty.

— Potraktował go nożem. Rozwija się? — powiedziała zamyślona Ilka.

Wolny zakaszał i niegrzecznie szepnął coś do Mleczki. Miał zaczerwienione oczy, rozczochrane włosy i był wyraźnie rozbawiony.

— Panie Staszku, a może to pan? Potrzebował pan roboty i stuknął parobka? — zapytałam kulturalnie.

— To nie pan Staszek. Też taki wysoki, ale możecie być spokojne — powiedziała Ilka. — Facet miał długie jasne włosy, zresztą nie wiem... Po tym uderzeniu majaczyło mi się bez sensu. Wydawało mi się, że widzę Władka Zbierackiego. Wiem, że to bzdura... Ciągle nie potrafię pozbierać pamięci. To nadal jest jak sen.

Mleczko milczał, jednak pilnie śledził rozmowę.

— A ta wasza koleżanka? — zapytała Anita. — Halina? Sprawia wrażenie, jakby rościła sobie pretensje do przebywania tutaj. Ma jakiś układ ze Zbierackim? Może to ten jej arystokrata morduje? Mówiłaś, Matyldo, że też jest wysoki.

— Mati, teraz mi się przypomniało. Mówiłaś, że Halina kazała ci sprawdzić pocztę. — Ilka podała mi swojego smartfona. — Może Władek coś wysłał? Zrób to teraz.

— To jest bez sensu. — Zalogowałam się na telefonie.

— Ma wspólnika — zdecydowała Ilka — i szukają czegoś w podziemiach, dlatego potrzebują zamku na siedzibę.

— Kto ma wspólnika? Wredna? — Głowa mnie bolała i czułam, że za chwilę zwariuję. Miałam problem z nadążeniem za jej tokiem rozumowania.

— Może szuka skarbu. — Anita spojrzała na Wolnego. — Widzisz? A ty nie wierzyłeś. Kiedyś było o nich głośno. Nawet teraz spotyka się poszukiwaczy.

Wolny przestał jeść. Zapalił przy kominku papierosa. Wyglądał, jakby temat zaczynał go mierzwić.

— Daj spokój — powiedział. — Wierzysz w bzdury, podobnie jak ci wszyscy pseudoturysty, którzy się tu kręcą od miesięcy. A wszystko od momentu, gdy zaczęłaś pisać o kopalni. Jedno dobre, że zrobiłaś miastu reklamę. Założę się, że teraz za bilety do Sztolni Czarnej Pstrągi kasują dwa razy więcej.

W sumie się nie dziwiłam. Mnie również śniła się skrzynia Szarleja pełna srebrnych monet. W przechwałki Władka nie wierzyłam, a nawet gdyby coś znalazł, z pewnością by się nie chwalił. Sprawdziłam pocztę. Faktycznie znalazłam maila, w którym Władek lakonicznie pisał, że może pojawić się Halinka Kwiatkowska i żeby pozwolić jej się zatrzymać na parę dni. Dziwne. Wiadomość była z dwudziestego października. Zaglądałam przecież na pocztę. Czyżbym ją pominęła?

— Internet — rzuciłam ze złością. — To już Poczta Polska działa lepiej. Jest wiadomość, tyle że dopiero teraz ją dostrzegłam. A co do skarbu — dodałam — Władek podobno go znalazł, sprzedał i przehulał.

— Akurat. — Ilka odłożyła sztucę i nieznacznie odsunęła od siebie talerz.

Na chwilę zaległa cisza. Komisarz dojadał resztki bigosu, Anita skubała chleb, ja się ratowałam rumiankiem. Wolny sięgnął po piwo. Anita wstała, poszła do kuchni i przyniosła jabłecznik.

— Ale ludzie, którzy szukają skarbu — zaczęła, stawiając na małym stoliku dwulitrowy dzbanek mocnej herbaty i talerzyk z plasterkami cytryny — nie mają pojęcia, że Władek zgarnął pulę. Chociaż ja nie wierzę, że on tam cokolwiek znalazł.

Ilka naląła sobie herbaty i zastygła z dzbankiem w dłoni. Rozmyśliła się, odstawiła go. Naląła sobie i Anicie wina. Nade mną się nie zastanawiała. Dostałam herbaty.

— A może Halina faktycznie jest jakąś Matą Hari? — przypuściła.

Mleczko prychnął. Od jakiegoś czasu siedział jak zajęc w rzędku kartofli i zupełnie o nim zapomniałam. Podzielałam jego opinię, więc wyraziłam ją głośno:

— Niczego głupszego nie słyszałam.

— Dałaś się nabrać. To ten blond cię zmylił. Nigdy jej nie doceniałaś. A poza tym po coś ją tutaj wpuściła?

— Nie wpuszczalam jej. Ona się włamała. Ja byłam zamknięta. Sama powiedziałaś, że otworzyła drzwi wytrychem — odparłam rozdrażniona, nie chcąc się przyznawać, że być może nie zamknęłam drewnutni, poza tym z całej siły powstrzymywałam się, by jej tego wina nie zabrać i nie wylać do zlewozmywaka. Sam widok alkoholu powodował odruch wymiotny. — Może ten elegancki arystokratyczny dryblas ją wpuścił? On ją tutaj przywiózł, a nie żadna taksówka?

— Bzdury.

— Słuchajcie, a może to on zabił Seweryna? — snuła wizje Ilka, której pojawiły się czerwone plamy na szyi i dekolcie. — Tamten od jałówki walił w łeb i klatkę piersiową, a Seweryna dźgnął nożem. Inny *modus operandi*.

— Nie wiesz czasem, w jakim celu? — zapytała Anita.

— No właśnie, dla rozrywki? — włączyłam się. — To jest bez sensu. Nie ma motywu.

— Zupełnie prawidłowe rozumowanie — przyznał Mleczek, wycierając talerz chlebem. Coś wiedział. Wiedział i milczał.

Ilka wbiła w niego spojrzenie zarezerwowane dla szczególnie krnąbrnych studentów.

— Słuchamy!

— Halina Kwiatkowska siedzi, przecież państwo się domyślcie. Na razie w areszcie śledczym, ponieważ nie mamy dowodów, tylko podejrzenia, ale te czterdzieści osiem godzin można przytrzymać. Weszła tu przez drewnię. A jej przyjaciel, cóż... Zniknął. Ale właściwie nie powinienem o tym rozmawiać.

— Wielka mi rewelacja, ani słowa pan nie powiedział. To wiemy sami. Ale skoro macie podejrzaną, rozumiem, że mój areszt domowy się skończył.

Spojrzałam na komisarza z niechęcią. Miałam ochotę nim potrząsnąć. Jak mógł przez całą kolację słuchać naszych dywagacji i nie dodać ani słowa? Najeść się przyszedł?

— Po służbie jestem. — Mleczek sięgnął pod stół, wyjął kolejne piwo i pstryknął. Metalowa zatyczka z sykiem wypuściła kulkę piany. Patrząc na mnie znad puszki, komisarz uniósł brew.

Wiele bym dała, żeby dobrać się do jego szarych komórek. Może nie tylko do nich. Na chwilę utonęłam w popielatych oczach. Może dlatego nie dosłyszałam, że na zewnątrz dzieje się coś nienormalnego. Anita jednak ani nie zgłupiała jak ja, ani nie ogłuchła.

— Coś się tłucze! — Wyrwała mnie z transu, wskazując głową drzwi od frontu.

Pomyślałam, że owe łomoty do drzwi stają się tak powtarzalne, że aż nudne.

Dźwięk przypominał walenie w drewno czymś średnio miękkim. Staszek Wolny chwycił pogrzebacz i zważył go w dłoni. Mleczko odstawił piwo, w pośpiechu macając się na wysokości prawej nerki pod marynarką.

Ilka sapnęła. Anita wskazała kciukiem drzwi.

Wyskoczyliśmy, przepychając się i zatrzymując gwałtownie.

Pod drzwiami leżał czarny kuc szetlandzki i walił kopytami w drewnianą framugę. Obok pyska miał pusty garnek po szpinaku. Na miękkich wargach zwierzęcia pojawiła się delikatna zielona piana.

— Macie wasze dowody — sarknęła Ilka. — Szkoda, że nie zostało nic do zbadania.

— Co to było?

— Szpinak. — Włosy mi stanęły jak na szczotce, a zimny strach przepelzł po ciele. — Chciała mnie zabić?

Mleczko wyciągnął dłoń w moim kierunku.

— Pani Matyldo, poproszę o nowy worek plastikowy.

Szok transformował w złość. Niemal pofrunęłam na poszukiwanie nietkniętej rolki Jana Niezbędnego, byle zachować dowody zbrodni. Nie omieszkałam zauważyć, że komisarz miał przy sobie rękawiczki, a woreczków na dowody nie zabrał. Podałam mu dwa na wszelki wypadek i wyszłam na zewnątrz. Staszek Wolny pochylał się nad kucem.

— On żyje. Mnie się wydaje, że trzeba dzwonić po weterynarza. Nie wszystkie trucizny szkodzą zwierzętom tak samo jak ludziom, a kuce są twarde.

Mleczko, który już rozmawiał z dyżurnym, kazał przysłać pogotowie weterynaryjne.

— Szkoda konia — powiedział, przyglądając się szetlandowi. — Może rzeczywiście da się go uratować.

— Że też nie trafiło na tryka — wyrwało mi się.

Mleczek zerknął na mnie, kręcąc głową. Kiedy uporaliśmy się z weterynarzem, technikami, protokołami, raportami i formalnymi oraz nieformalnymi przesłuchaniami, złapałam go, gdy wsiadał do służbowego passata. Był po piwie, ale nie dał mi dojść do głosu, bo gdy tylko otwierałam usta, warknął:

— Zadzwoń.

Miałam mu powiedzieć o spotkaniu Wrednej w stadninie i podrygującym dresie. Trudno, powiem później. Ilka z uchylonymi ustami gapiła się za odjeżdżającą ciężarówką z kucem, a Anita znowu trzymała się za serce. Wolny martwił się stanem szetlanda i nagle zrobiło mi się głupio z powodu konia.

— Anita, ty i ten zwierzak uratowaliście mi życie.

— Nie rozumiem.

— On zżarł szpinak, a ty nie pozwoliłaś go zezreć mnie.

Stojąc nadal na dworze, popatrywaliśmy na siebie z niedowierzaniem i zgrozą.

— No, zupełnie czym innym jest walenie w łeb — powiedziała Anita — co innego nawet dźgnąć nożem, ale trucizna, i to koleżance szkolnej? To mi się nie mieści w głowie.

Ilka weszła do środka i napełniła kieliszki. Patrzyła w przestrzeń i się nie odzywała. Usiadła w najbardziej odsuniętym od kominka fotelu, obwąchując lampkę koniaku.

— Czujesz migdały? — zapytałam.

Nie odpowiedziała.

Zegar czystymi, mocnymi dźwiękami wybił północ.

Anita weszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Przysunęła kosz na śmieci i systematycznie zaczęła wrzucać do niego produkty.

— Lafirynda pętała się wszędzie — powiedziała z głową w środku. —

Cholera jakaś! Wszystko trzeba wypieprzyć.

Nie rozumiałam Wrednej. Wolny grzebał w kominku, jakby tam szukał rozwiązania.

— Tutaj chodzi o Seweryna — powiedziała Ilka z pretensją, jakbym moim związkiem z Sewerynem uczyniła jej afront.

— Czy Halina знаła Seweryna? — Anita oglądała pod światło kostkę masła, aż w końcu wrzuciła je do kosza. — To zupełnie bez sensu.

— Jasne, że znała — powiedziałam. — Studiowała z nim i z Władkiem. Ale czy potem utrzymywali kontakty, tego nie wiem.

— Ona mieszka w Szwajcarii. — Ilka wstała z jękiem i zaczęła chodzić po salonie. — A ty tam byłaś w zeszłym roku z narzeczonym. Przez całą podróż byliście razem?

— A skąd! Seweryn załatwiał swoje sprawy. — W tym momencie włączył mi się cichy brzęczyk. — Zbierałam materiały do książki. Anita, nie wyrzucaj puszek. To już przesada. — Chwyciłam zielony groszek i wcisnęłam go do lodówki, przepychając się pod pachą Anity. — Spotykaliśmy się co parę dni. Ale jakiś czas oczywiście spędziliśmy razem. Seweryn zbierał dane do przewodnika. Był dziennikarzem — poinformowałam Anitę, gdyż Ilka o Sewerynie wiedziała to, co ja. Jak się okazało, za mało.

— To nie ma siły. Seweryn spotykał się z Halinką — weszła mi w słowo Ilka — i zabawiał się na boku, przyprawiając ci rogi.

— Kobietom nie przyprawia się rogów — powiedziałam. — To domena mężczyzn.

— No przecież mówię — przyjaciółka obstawała przy swoim. — Właśnie mężczyzna przyprawiał ci rogi.

— Spokój! — Anita odezwała się, jakby była w szkole. — A ty, Mati, nie rzucaj się, bo to, co mówi Ilka, jest sensowne. Robił cię w trąbę i knuł z Haliną aferę. Jesteś bogata?

Tym mnie zaskoczyła. Zupełnie o tym nie pomyślałam.

— Mam z czego żyć. Posiadam fundusz powierniczy. Nie wiedziałam, że...

— Ile?

— Coś koło miliona — dodałam ciszej, wyjawiając ćwierć prawdy. Nigdy nie opowiadałam o pieniądzach dziadka. Spadki były banalne, poza tym sprowadzały same kłopoty.

Anita westchnęła i pokręciła głową z naganą.

— Nie rozumiem, czemu wobec tego latacie jak głupie za tymi baranami, a ja niemal zgodziłam się na sprzątanie. I to za darmo. Biedna artystka. Ilka, ty o tym wiedziałaś?

Sierocińska wzruszyła ramionami. Traktowały mnie, jakbym się puszczała pod latarnią.

— Sama przedstawiłaś się jako sprzątaczką — odparowałam — a Ilka karmiła zwierzątka, ponieważ je lubi.

Anita wodziła spojrzeniem od jednej do drugiej. Staszek stał tyłem do nas, za to przodem do kominka i trzęsły mu się plecy. Miałam ochotę trzepnąć go w ucho.

— Wszystko jasne. — Anita trzasnęła drzwiami od lodówki i usiadła ciężko na krześle. — Dla pieniędzy się żenił, a potem dowiedział się o intercyzie. Miałaś intercyzę?

— Jasne, że miałam. Wiedział o niej i nie protestował, w każdym razie nie miał prawa być zaskoczony.

Ilka zapaliła papierosa.

— Głodna jestem.

— Trzeba było jeść, gdy stało. Ale czekajcie! — powiedziała Anita. — Zabrnęliśmy w ślepy zaułek. Seweryn nie żyje, więc to nie jego mamy brać na tapet. Ktoś go zabił. Morderca musiał mieć z tego korzyść.

— Ciekawe, co myśli ten twój Mleczek. — Ilka, zaciągając się łąpczywie, marszczyła czoło.

— Albo ten jej łysy przydupas arystokrata, jak ładnie się pani o nim wyraziła — rzucił Wolny. — Pani doktor może mieć rację.

— To jest sensowne. I niech mi pan nie doktoruje. Przejdźmy od razu na ty — rzuciła do Wolnego i skierowała wzrok na mnie. — Mati, widziałaś przydupasa! Podobny był do Władka? Wysoki? Musicie mi go pokazać. Co policja na to?

— Wydaje mi się, że tutaj to wszyscy są wysocy. Pan też. — Spojrzałam na Staszka. Swoją drogą, skąd wie, że był łysy. A może sama im powiedziałam? Nie pamiętałam już, co i komu mówię. Był jedynie tego samego wzrostu co Władek, no i miał szczupłą budowę ciała... Staszek też taki był, a i Mlecze nie brakowało wiele do dwóch metrów. W sumie to mogliby założyć Klub Wysokich. Widziałam wizytówkę takiego klubu we Wrocławiu na Rynku. — Mam tego dość — mruknęłam. — Niech sobie komisarz prowadzi dochodzenie. Za to mu płacą. Skąd ja mogę wiedzieć, co policja robi albo czego nie. Mleczek mi się nie spowiada.

— Mam wątpliwości. Byliście na randce.

— Ilka, nie gadaj głupstw. Tyle wiem, co i ty.

Wolny podniósł pogrzebacz, włożył kapelusz i zamachał rękoma, jakby zaganiał kury.

— Kobiety! Idziecie spać. My tutaj z Anitką jeszcze godzinkę posiedzimy i popilnujemy, jak to służba — powiedział. — No już, już! Ja się przejdę i sprawdzę, co słychać w gospodarstwie. Gdybym nie wrócił za pół godziny, to dzwoń do Marka, Anitko. Same nie wychodźcie.

Byłam mu wdzięczna. Marzyłam o pościeli i chwili samotności. W łóżku zastanawiałam się nad tym, że zarówno Staszek, jak i Anita sporo wiedzieli o sztolniach i korytarzach. Nie mogłam sobie tylko przypomnieć, co dokładnie mówiliśmy o kopalni przy Mlecze. Czy był w tym samym stopniu

zorientowany? Potwierdził moją sugestię, że tunel ciągnie się do fary. Doszłam do wniosku, że trzeba koniecznie jeszcze raz przeszukać zamkową piwnicę. Anita może mieć rację. Nie przyglądałam się pomieszczeniom pod kątem tajemnych przejść, ukrytych drzwi, zapadni czy pułapek. Piwnica jak piwnica, nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Wszędzie panował potworny bałagan, rodzina Zbierackich składowała w niej graty od kilku wieków, a wszystko obsiadły pająki, oplatając gęstą i kleistą siecią regały, skrzynie, wolno stojące deski, kartony, porzucone ubrania, dywany, a także ściany. Większe nadzieje wiązałam z cmentarzem obok kościółka w Księżym Lesie. Bo jeśli korytarz rzeczywiście tam ma wylot, to powinien być widoczny. Z tym postanowieniem zasnęłam.

Niedzielę spędziłyśmy po bożemu — leniuchując.

W poniedziałek pięć po siódmej przez szparę między zasłonami przedarł się pojedynczy promień słońca. Pierwszy raz od dawna obudziłam się tak wcześnie. Przeciągnęłam się, bo roznosiła mnie energia. Czułam, że coś się dzisiaj wydarzy i tym razem to będzie coś miłego. Może komisarz złapie złoczyńcę? Na Wredną się wściekałam, ale w głębi duszy nie wierzyłam, by chciała mnie otruć. Coś tu nie pasowało do całości.

Odwiedziłam łazienkę, obudziłam Ilkę i o siódmej trzydzieści pięć zadzwoniłam do komisarza. Jedną ręką robiłam kawę, drugą trzymałam przy uchu aparat. Przy trzecim sygnale wyobraziłam sobie Mleczkę, jak stoi półnagi w swojej sterylnej kuchni, ma na sobie gatki z Kaczorem Donaldem i czeka, podobnie jak ja, aż woda się zagotuje. Z niechęcią odsunęłam obraz od siebie. Niewiele brakowało, bym była w tej chwili żoną Seweryna. Żyłby sobie, budząc się w moim łóżku. Dlaczego ktoś go zabił? Jakie tajemnice skrywał mój prawie mąż?

Mleczko przykazał, że mamy się nie ruszać z domu. Głupota, jakby nie mógł się zdecydować: najpierw kazał mi wyjechać, teraz się nie ruszać. Dusiałam się. Siedzenie w czterech ścianach jak w więzieniu nie wchodziło

w grę.

— Nie! I jeszcze raz nie! — ryczał, gdy w końcu się dodzwoniłam i wspomniałam o planowanej ekspedycji. — Nie ma pani pojęcia, o co tutaj chodzi, a ja nie mam zamiaru zabierać trupa Matyldy Dominik do prosektorium i oglądać go na metalowym stole. Może pani pojechać do Katowic, nie mam nic przeciwko, ale nie pętać się po okolicy i nie prowokować wydarzeń.

— Ale...

— Mowy nie ma! — Usłyszałam sygnał zerwanego połączenia.

Bufon! Chlusnęłam do kubka mleko, aż się przelało i kawa pociekła na podłogę, tworząc beżową plamę. Przekroczyłam ją. Idiota. Gdybym przejmowała się bezpieczeństwem, wyjechałabym stąd pierwszego dnia, bo wszędzie wydawało się bezpieczniej niż w okolicach Sarniego Dworu.

— Ja nie wiem, o co chodzi! Jasne, że nie wiem — warczałam, parząc się kawą. — Bo mi się nie mówi. Ważniak! — Trzaskałam szafkami, szukając czegoś do zjedzenia.

Tunel pod jałówką musi mieć powiązanie z tym, co się przydarzyło parobkowi, z amnezją Ilki i kto wie, czy nie ze śmiercią Seweryna. Choć to ostatnie morderstwo wyglądało na... No właśnie, wyglądało na morderstwo. Poprzednie zbrodnie to była próba zabójstwa. Istnieje pomiędzy nimi różnica, dlatego niech Mleczek szuka sobie policyjnymi metodami. Mnie intrygowała kopalnia, nie bez przyczyny jest jej pełno na obrazach Zbierackiego, śni mi się po nocach, Anita o niej pisała. Może powinnam oficjalnie ją zwiedzić. Na to trzeba poczekać do maja, bo już po sezonie. Mimo to postanowiłam się czegoś dowiedzieć sama.

Podzieliłam się przemyśleniami z Ilką, gdy tylko wyszła z sypialni.

— Daj mi chwilę. I zrób sobie drugą kawę — poleciała, trąc oczy. Ciemnofioletowa koszula nocna nie opinała się jej już na pośladkach, tylko zwisała luźno. Ilka zabrała moją kawę i ruszyła z powrotem do pokoju.

Poszłam za nią.

— To oczywiste, że nikt nie odrzucał obornika i nie włąził pod krowę — powiedziała, jedną ręką trzymając kubek, drugą przeszukując garderobę. Większość rzeczy miała nadal w walizce. Teraz wyrzuciła na łóżko biały stanik, czarny golf, czerwone majtki i nieco jaśniejszą od nich bluzkę. — Czysty przypadek, że odkryłaś tunel. Ciekawe, czy gdy Władek tutaj był, krowa też stała w tym samym miejscu. A może również Zaruba był zamieszany w aferę. Bo czuję tu większą aferę. Zastanowiłaś się? — Przyłożyła do siebie zieloną bluzę z japońskimi znakami. Rzuciła ją na poręcz łóżka i dołożyła do niej džinsy w podobnym zielonym kolorze, z dużą domieszką lycry. — Ocieramy się o tajemnice. Niekoniecznie ze sobą powiązane. Ty o tej kopalni srebra doczytałaś porządnie?

— To znaczy, że jedziesz ze mną?

— A sądzisz, że tak z nudów mnie wzięło na porządki w walizce?

— Wydawało mi się, że robisz bałagan — rzuciłam i cofnęłam się gwałtownie, bo Ilka rzuciła we mnie czymś jaskrawożółtym. Wolałam nie dociekać, co to było.

Doktor Sierocińska na zewnątrz nosiła stonowane kolory i szarości, pod nimi jednak skrywała barwy odważne, by nie powiedzieć — sygnałowe.

Gdy to skomentowałam, oznajmiła:

— Powinno się zachować równowagę kolorystyczną, inaczej zdrowie psychiczne jest zagrożone.

— Zgoda, ale dlaczego spychasz najciekawsze barwy na sam spód?

Było wcześniej. Wprawdzie kilka marnych promieni słonecznych znikło w oparach mgły, zostały przykryte szarą płachtą nasączoną wilgocią zapowiadającą deszcz, a może i śnieg, ale i tak cieszyliśmy się swobodą poranka. Anita z Wolnym pojechali do domu w niedzielę rano. Byliśmy same i wydawało się to przyjemne. Wyrzałam przez okno. Zaczął już popadywać deszcz ze śniegiem. Źle. Zmokniemy. Poza tym Mleczko zostawił obstawę.

Pilnował nas sierżant Tomek, zauważyłam, że Ilka wodzi za nim wzrokiem. Wyglądało na to, że komisarz zastawił pułapkę, a my jesteśmy przynętą.

Ilka specjalnie się nie przejęła. Zawołała go do środka i nakarmiła, sadzając przy stole w kuchni. Młody przy niej zachowywał się inaczej niż przy Mleczce czy przy mnie. Ale pasowali do siebie. Sierżant był potężnej postury, a Ilka mimo swoich stu siedemdziesięciu centymetrów sięgała mu ledwie do ucha. Ja miałam metr pięćdziesiąt osiem na bosaka i mogłam mu przejść pod pachą.

Sierżant zerkał na Ilkę z przejęciem, ona na niego z pożądaniem. Jednocześnie dawała mu odczuć, że spełnia misję. Kiedy wychodził, odprowadziła go czułym spojrzeniem.

— Możemy spokojnie wiać. Jego radar skierowany jest gdzie indziej — szepnęła.

Minęły czasy, gdy notorycznie uciekałyśmy z lekcji, ale coś z tej energii wróciło. Wymieniłyśmy długie spojrzenie. Ilce oczy lśniły przygodą. Bładość znikła. Poczekaliśmy, aż Młody ruszy na inspekcję części gospodarczej. Zza zabudowań nie miał szans, by nas zobaczyć, a co dopiero powstrzymać. Do tego pogoda nam sprzyjała, bo mgła jak na zawołanie zgęstniała.

Przygotowane na wszystko zakradłyśmy się do samochodu, który na szczęście zaparkowałam blisko bramy. Aleja akacyjowa, wiodąca do drogi głównej i licząca około pięciuset metrów, była tylko częściowo utwardzona i biegła z górki. Kleisty opad tworzył w miękkiej nawierzchni koleiny i kałuże. Przy każdym kroku pryskały fontanny błota.

— Znikamy po cichu. Bez silnika. Dasz radę? — zapytałam, wkładając kluczyk do stacyjki i wrzucając bieg na dwójkę. — To ciężkie auto. Jak się rozpędzi, może przyspieszyć. Nie jesteś osłabiona?

— Zamknij się. — Ilka zaczęła pchać, trzymając za ramę przy otwartych drzwiach.

Zrobiłam to samo, opierając się barkiem. Dłonią kontrolowałam

kierownicę. Po kilku metrach, kiedy samochód ruszył, wskoczyłam.

— Pospiesz się!

Ilka poślizgnęła się na glinie, złapała za uchwyt nad drzwiami, rzuciła go na podłogę i z głośnym jęknięciem wsunęła się do środka.

Auto przysiadło, zaraz jednak odzyskało bezwładność i zaczęło się toczyć, nabierając prędkości. Sunęliśmy w ciszy, nie licząc sapania Ilki i szumu opon.

— Obiecałam sobie — powiedziała, łapiąc oddech — że nie będę przeklinać. Przepraszam za to — kopnęła urwany uchwyt — ale twoje towarzystwo, Matyldo, jest patogenne. Schodzę na psy. Zobacz, jak ja wyglądam.

— Przed chwilą się cieszyłaś. — Spojrzałam na nią z uśmiechem. Miała brudne i zachłapane spodnie, upstrzoną kurtkę i parę rozbryzgów błota na twarzy. Loki jej się mocniej skręciły, nabierając od wilgoci barwy dojrzałego kasztana. — Sama chciałaś. Poza tym nie wiem, jak to robisz, ale wyglądasz cholernie dobrze — powiedziałam to szczerze.

Tuż przed wjazdem na główną drogę uruchomiłam silnik. W lusterku było widać, że nikt za nami nie biegł. Sierżant mógł się nie zorientować. Po ośmiu minutach byliśmy w Księżym Lesie pod starym, uroczym drewnianym kościołem Świętego Michała Archanioła.

Budowla miała podmurówkę z kamienia i okrągłą kopulastą wieżę wystającą z dachu krytego gontem. Powstała pod koniec piętnastego wieku i służyła jako zbór protestancki. Nie wchodziliśmy do środka. Ominęliśmy go, od razu ruszając na cmentarz, niewielki i podobnie jak kościół stary. Schodził w dół z boczna tarasowo.

Przestało padać i spomiędzy gęstych chmur wyjrzało na chwilę słońce. Ilka wytarła kawałkiem papieru toaletowego, który wyjęła z kieszeni, małą kamienną ławkę przy nieznanym grobie. Usiadliśmy na samej górze, mając przed sobą niewielką wiejską nekropolię. Zapaliliśmy. Kolorowe liście

unosily się na wietrze. Na kilku grobach tliły się znicze. Na jednym leżały jeszcze kwiaty, inny był świeży, zarzucony wieńcami i palmami w celofanie. Słońce zaszło i pojawiły się płatki śniegu.

— Za wcześnie — oceniła Ilka, wystawiając dłoń. — Będzie wczesna zima. Zasypie cię na tej wsi i zamarzniesz. Tak w ogóle i nie tylko dosłownie. Duchowo również.

— Nie kracz. Jeszcze nie wiadomo, co będzie — powiedziałam, odpędzając wizję kilogramów drewna, które ładuję do kominka. — Zawsze mogę wrócić do domu. — Otuliłam się ramionami i postawiłam kołnier.

Kiedy nabrałyśmy pewności, że w pobliżu nikogo nie ma, zaczęłyśmy spacerować.

Rozmasowałam wyziębione pośladki i przyglądałam się nagrobkom. Wszystkie stare, ciemne. Wysokie krzyże z metalowymi okuciami, wiekowe napisy wyryte gotykiem, kilka drzew o grubych konarach i jeszcze grubszych pniach. Nazwiska powtarzały się, a większość dat była z pierwszej połowy poprzedniego wieku. Dopiero na samym dole, gdzie teren się obniżał, zaczynały się nowsze groby.

Budowlę stylem przypominającą obórkę, w której stała jałówka, tylko dwa razy większą, znalazłyśmy przy kamiennym murze, którym otoczono cmentarz. Również wyglądała jak rotunda nadszybia, tylko przebudowana i zamknięta. Przykrywał ją doskonale zachowany kopulasty dach, a osłaniały dwa stare, potężne dęby, których liście zaścielały grubo teren wokół.

Zerknęłam przez witrażowe okienko. Normalna kaplica cmentarna, w jakiej zwykle zbierali się żałobnicy. Ustawione w kilku rzędach krzesła. Na środku sosnowa trumna na wysokich drewnianych marach. Podłogę przykrywał bordowo-fioletowy dywan. Dziwne. A może wcale nie? Ilka nacisnęła kłamkę i drzwi ku jej, a także mojemu zdumieniu ustąpiły z nieprzyjemnym metalicznym piskiem. Miałam nadzieję, że trumna jest pusta.

— Sądzisz, że jest tutaj takie samo wejście? — zapytałam, gdyż pewność,

jaką miałam do tej pory, ustąpiła miejsca wątpliwościom.

— To była twoja teoria — przypomniała, poszturchując nogą kawał twardej i grubej materii. — Najłatwiej sprawdzisz, podnosząc dywan.

— Na nim stoi trumna. Nie zauważyłaś?

— Nie na całym. Podniesiemy, ile się da.

Zerknęłam w stronę drzwi.

— Idź i pilnuj na zewnątrz — poleciłam Ilce i zaczęłam rolować dywan.

— Widzisz coś? — zapytała po chwili.

Pod spodem był głęboki cień, dlatego wsadziłam rękę, by pomacać i wyczuć ewentualną szparę, ale podłoga była gładka, kamienna, nie licząc brudu, piasku i niezidentyfikowanych drobin.

— Żadnych szpar ani rys. Chyba że pod samymi marami lub jeszcze dalej, ale tam nie da się zrolować.

Ilka podeszła, spojrzała na trumnę, na mnie i znowu na trumnę. Wiedziałam, co zaraz zaproponuje. Nie miałam zamiaru się zgodzić.

— Przystawimy to — oznajmiła, jakby mówiła o przesunięciu rokokowego sekretarzyka zrobionego z lekkiego wysuszonego drewna, a nie ciężkiej trumny z podobnie ciężką i masywną konstrukcją podpierającą.

— Żartujesz? A jeśli w środku ktoś jest?

— Tak sądzisz?

— Pusta by tutaj nie stała.

Wsadziłam ręce do kieszeni.

— Daj spokój. Jedziemy do domu.

— Pękasz, Mati. Co ci szkodzi? Niczego przecież nie zrobimy. Nie zbeczcimy zwłok, bo na pewno ich tu nie ma. To tylko małe przesunięcie. Nie po to pchałam to cholerne auto, by teraz wracać. Muszę wiedzieć, czy ten tunel jest, czy go tutaj nie ma.

— Kłapa powinna być większa niż powierzchnia pod marami. — Czułam, że natychmiast powinnyśmy stąd wyjść, ale znałam upór Ilki. — Jakby coś tu było, tobyśmy to znalazły. Ilka, wychodzimy. To nie ma nic wspólnego z morderstwem.

— W dupie mam morderstwo — powiedziała z niesłabnącą energią. — Matyldo Dominik, nie jesteś ciekawa? Co się z tobą dzieje? Tylko morderstwo i morderstwo. Wróć do życia. Lochy, tajemnice! Kiedyś leciałabyś pierwsza.

— Tutaj panie żadnych lochów nie znajdują.

Drzwi nagle się otworzyły i do środka wszedł staruszek w narzuconej na plecy kurtce ortalionowej. Pod spodem miał czarną wypłowiałą marynarkę, białą koszulę z błyszczącym na brzegach krawatem. Czarne spodnie na kant i ubłocone lakierki z zagiętymi noskami dopełniały stroju.

— O, jest pan. — Ilka nie straciła rezonu. — Szukałyśmy pana po całym cmentarzu. Dlaczego tutaj drzwi są otwarte?

— No... a paniusie to niby kto?

— Archeolodzy. Mamy zacząć badania, a zanim zbierze się ekipa, musimy przeprowadzić rozeznanie terenu.

— I tak przeprowadzacie rozeznanie pod dywanem?

— Skoro nikt nie pofatygował się, by przybytek zamknąć, to owszem. Nie ma pana na miejscu, kaplica beztriosko otwarta. My nie mamy nadmiaru czasu, by trawić go na poszukiwania kompetentnego człowieka.

— To może do księdza.

— To właśnie ksiądz proboszcz skierował nas tutaj.

— Traciecie, pani, czas. Nie ma tu czego szukać. Pod dywanem też nie. A skoro już prowadzicie te swoje badania, to musicie wiedzieć, że tu łatwo można guza złapać. Morderca w okolicy się kręci. I wydaje mi się, że coś już panie wiecie na ten temat. A w ogóle, to dlaczego tych badań nie robicie

na polach albo na cmentarzu, tylko w kaplicy? Co tu badać?

— Nie wiem, czy pan to zauważył, ale ta kaplica przypomina nadszybie rotundy. Musimy sprawdzić, czy zostało przerobione. Być może pod spodem istnieje nadal dawny szyb i można dostać się tędy do kopalni srebra. To poszerzy wiedzę o kopalni.

— Na archeologii to może i paniusia się zna, ale na architekturze to wcale. Sam pamiętam, jak to stawiali. Cegła po cegle, na wylewce. Niech lepiej stad idą i nie niepokoją zmarłych.

— Zmarłych? — Włosy uniosły mi się na karku. — Święta Tereso! Ktoś jest w tej trumnie?

— Jeszcze nie, i pewnie nie będzie, to taka trumna dyżurna. Żeby mary puste nie stały, bo to pecha przynosi.

— Ja... jakiego pecha?

Ilka kopnęła mnie w piętę.

— Nie chcesz wiedzieć — powiedziała półgębkiem — i zamilcz, z łaski swojej.

Odwrociłam się plecami do kościelnego i zbliżyłam się do Ilki.

— A jeśli morderca ukrywa się w tej trumnie? — szepnęłam. — U nas mu niewygodnie, to w trumnie przysypia.

Jednak kościelny miał słuch doskonały.

— On to się, paniusiu, ukrywa w bunkrach. A teraz zostawią to i pojedą do domu albo z księdzem przyjdą.

Wymieniłyśmy spojrzenia.

— Tak zrobimy. — Uniosłam głowę i odparłam najbardziej beznamiętnie, jak tylko potrafiłam.

Ilka wyprzedziła mnie przed autem.

— Bez komentarza — rzuciła.

Nie miałam zamiaru komentować, chciałam rozładować wściekłość. Nie był to pierwszy raz, gdy wciągnęła mnie w zadymę. Ale zbezczeszczenie? Tego jeszcze nie robiłyśmy.

— Niewiele brakowało.

— Przesadzasz. Powiedział, że nie było zwłok.

— A jakby były?

— Okej, przepraszam. A ponieważ nigdy, Matyldo, nie zastanawiasz się, co by było gdyby, więc teraz też tego nie rób. Lepiej jedź do Tesco. Zrobimy zakupy i będziemy miały pretekst do wyjazdu. Bo sierżant się wścieknie.

Ruszyłam. W lusterku widziałam kościelnego, który stał na schodkach przed kościołem i przyglądał się nam z jedną ręką wsadzoną za pazuchę jak Napoleon.

Pod zamkiem stał passat Mleczki.

Zaklęłam pod nosem.

— Tchórz — parsknęła Ilka. — Wjedź tyłem pod same drzwi wejściowe, a ja się nimi zajmę.

Mleczko sterczał przy samochodzie z ponurą miną. Jedną rękę położył obok koguta na dachu, drugą trzymał w kieszeni. Młody czerwony na twarzy, z rękoma splecionymi na podołku, huśtał się na nogach i patrzył w ziemię.

Lata wspólnego wagarowania, ucieczek ze szkoły i połączonych kłamstw nie poszły na marne. Obydwie weszłyśmy w rolę. Ilka otworzyła drzwi i zawołała:

— Panie Marku, pomoże nam pan wypakować samochód? A ty, Matylda, zrób kawę! Napijemy się. Nienawidzę zakupów.

Mleczko zignorował prośbę, jednak Młody podskoczył i wprawdzie spoglądał to na Ilkę, to na mnie z miną psa, który gniewa się na swojego pana, ale zakupy wnosił. Mamrotał pod nosem coś o braku wdzięczności

i przyzwoitości ludzkiej, ale nie wsłuchiwałam się dokładnie. Ilka natomiast poklepała go uspokajająco po plecach, zdjęła kurtkę i teatralnym gestem podała ją Mlecze. Na moment znieruchomiał. W końcu wziął okrycie w dwa palce, ostentacyjnie obejrzał błoto na rękawach, pociągnął nosem i odwiesił wilgotne na wieszak.

— Znalazłyście panie nowy tunel?

— Auto pchałyśmy. Coś mi się stało z pompą.

Już się bałam, że Ilka przegięła. Jeśli komisarz wyczuje trupa, to po nas, a wiedziałam, że nos miał jak pies. Weszłam do kuchni i włączyłam czajnik. Mleczo wściekły zatrzymał się pół kroku ode mnie. Czułam jego wodę po goleniu.

— Panie Marku, proszę się rozgościć. Nie dołożyłby pan do kominka? — zaproponowałam, odsuwając się o krok. — Pana kolega nie upilnował ognia.

— Czego nie upilnował? — warknął. — Czego? To was miał pilnować! Co to, do jasnej cholery i wszystkich ćpunów świata, miało znaczyć? Miałyście panie siedzieć na...

— Słucham? — powiedziałam słodkim tonem i odwróciłam się gotowa do walki.

Teraz stał tuż za mną i nasze twarze niemal się stykały. Odważnie spojrzałam mu w oczy.

— Na czym miałyśmy siedzieć, panie komisarzu? Na tyłkach? — Wcisnęłam pięści w talię i łokcie skierowałam w przód jak tancerka Mazowska gotowa do kujawiaka. — Jestem może aresztowana? Ilka, słyszysz? Pan komisarz chyba się zdenerwował.

— Zupełnie niepotrzebnie. — Sierocińska uśmiechnęła się, nie przestając rozkładać wędlin w lodówce. — Może kanapeczkę, panie Marku? Byłyśmy na zakupach, bo jak pan pewnie wie, skrupulatna Anita wyrzuciła wszystko. Trucizna. Pamięta pan? Trucizna. Szpinak. Kuc. À propos, przeżył biedny konik? — powiedziała to bez sarkazmu, z autentyczną troską. — Czy mamy

kolejnego trupa?

Kiedy Ilka użyła tego słowa, aż mnie ciarki przeszły. Wbrew dotychczasowemu upodobaniu do opisywania kryminalnych historii, w tym wyobrażonych nieboszczyków, ci całkiem prawdziwi wzbudzali we mnie wstręt. Na samą myśl o kolejnym, choćby miało chodzić o kuca, poczułam, że jelita skręcają mi się w węzeł. Ilka była idealnie spokojna, jakby nic się nie stało, jedynie we mnie szalały uczucia sprzeczne z logiką.

Ilka musiała odczytać na mojej twarzy ów uczuciowy koktajl, bo zgrabnie mnie spławiła:

— Matylda, gdzie są te ciastka, które kupiłam, bo nie mogę znaleźć?

Uciekłam szukać ciastek, których żadna nie kupowała. Zbierałam się do kupy i nabierałam dystansu, przestawiając artykuły spożywcze z kartonów na kuchenny stół.

— W szpinaku nie było trucizny. — Mleczek wyjął mi z ręki słoik z kawą, wziął sobie z szafki kubek i wsypał do niego trzy łyżeczki. — Kucowi nic nie jest. Weterynarz powiedział, że go zna. Kuc podobno cierpi na niewydolność serca. W każdym razie jest pod kontrolą. — Machnął palcami dłoni wspartej na blacie kuchennym, jakby jedna sprawa została załatwiona.

— Jak to? — Ta wiadomość mną wstrząsnęła. — Nie było trucizny?

— Tak to. Normalnie. Padł na serce. Szpinak nie miał z tym nic wspólnego. Podobno konie chorują podobnie jak ludzie. Na serce również. — Mleczek wyjął jeszcze dwa kubki i postawił na stole. Skoro czuł się jak u siebie, oddałam mu puszkę z kawą. — Nie wiem tylko, dlaczego ja paniom o tym mówię.

— Może nas pan lubi?

Mleczek prychnął jak kot, nie jak pies. Chyba nie słyszałam psa, który prychnie.

— A może z wdzięczności — odpowiedziała Ilka.

— Matko rodzona! Z całym szacunkiem, ale ja mam być wdzięczny? Ja?

— Oczywiście! Poczucie wdzięczności jest kluczowe w aspekcie rozwoju duchowego, oczyszczenia i utrzymania relacji w harmonii. Nie trzeba być wdzięcznym za coś. Można tak w ogóle. — Prawie profesor uśmiechnęła się całkiem szczerze. Sama bym uwierzyła.

Mleczek poruszył głową, jakby chciał strząsnąć z niej coś, co mu się przykleiło do włosów.

— Jezus Maria! — jęknął. — To ja zawołam Tomka. Pani mu wytłumaczy, że powinien być wdzięczny za połajankę. — Wykrzywił usta, czym upodobił się do wilka.

— Chce pan coś do tej kawy, czy dalej będzie się pan mądrzył? — Postawiłam przed Ilką talerz z dwiema kromkami chleba z serem i pomidorem, ale rzuciłam pytające spojrzenie komisarzowi. — Bo sierżant z pewnością coś zje. Nigdy nie odmawia.

— Te rzeczy z lodówki niepotrzebnie pani wyrzucała. — Uśmiech komisarza się poszerzył. Miał ładne, nie za duże i białe zęby. — W szpinaku niczego nie było.

— Nie powinno być w nim szpinaku. A lodówkę to nie my opróżniłyśmy, tylko Jezierska — palnęłam, na nowo analizując sytuację. Zmieniała się bowiem jak w kalejdoskopie.

Komisarz nagle wstał i odstawił kubek. Z jego postawy biły chłód i stanowczość. Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

— Muszę zadać pani kilka pytań, pani Matylde. Czy moglibyśmy...

Ilka spojrzała na niego, potem na mnie i wstała z kuchennego krzesła, na którym dopiero co usiadła.

— No dobrze. Idę na górę — rzuciła, biorąc ze sobą talerzyk z kanapkami i kubek z kawą. — Poczytam sobie o przeszczepach mózgu, bo chętnie spróbowałabym na panu — wycodziła, obdarzając komisarza złośliwym uśmiechem.

— Jeśli pani Matyllda nie ma nic przeciwko pani obecności, to może pani zostać.

Ilka się zatrzymała.

— Panie Marku, stawia pan Matylde w niezręcznej sytuacji, a to bardzo nieprofesjonalne zachowanie — odparła i zniknęła na piętrze.

Mleczek westchnął. Wstał, zrobił kilka kroków tam i z powrotem, popatrzył przez okno. Usiadł. Przed chwilą jeszcze robił sobie sam kawę, teraz przeistoczył się w zimnego, nieustępliwego glinę. Szukając deski ratunku, wyobraziłam sobie jego gatki z kaczoem, które trzymał w górnej szufladzie.

— Wszystko o Sewerynie Kruczyńskim proszę.

— Tylko tyle? — odetchnęłam z ulgą. — Panie Marku, gdybym ja o nim wszystko wiedziała, to nie zbliżyłby się do mnie nawet na metr, a co dopiero doszedł do ołtarza. — Wzięłam swój kubek z kawą i ruszyłam do kominka.

Mleczek odsunął fotel od coraz mocniej palącego się drewna i usiadł. Znowu był u siebie.

— Ułatwię pani: wszystko, co pani wie o Kruczyńskim. Teraz lepiej?

Poczułam się zmęczona. Nieboszczyk z kaplicy kłuł moje sumienie, a oczy policjanta, których przenikliwość przypominała stalowe ostrze, taksowały mnie jak przestępcę. Niech to wszystko weźmie cholera!

— Seweryn był dziennikarzem, freelancerem, ale miał mnóstwo zleceń, bo się nie cykał, nie cackał i nie certolił — wyrzuciłam z siebie byle szybciej. — Zwisało mu, o czym pisze, a tematy, chyba wdzięczne za to, że nie wybrzydzał, same mu się pchały do rąk. Grzebał w „śmietnikach”, kiedy robiła się posucha. Wynajdywał tematy z marginesu, makabreski, skandale i rzeczy niecodzienne. Do czasu. Uważałam nawet... — machnęłam ręką — ech, nieważne.

Wstałam. Odszukałam paczkę chipsów, wsypałam je do miski i postawiłam na stole ten jeden z nierozsądnych zakupów Ilki. Potem nalałam sobie kieliszek koniaku. Dla przyzwoitości machnęłam butelką. Mleczek pokręcił głową. Usiadłam zatem i szurnęłam fotelem bliżej kominka. Zaczęło się dymić, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Przetarłam dłonią kurz na stoliku, wtuliłam się w pluszowe oparcie. Mleczek sięgnął do miski i nabrał całą garść ziemniaczanej chemii.

— Zawsze był tym freelancerem? — zapytał, chrupiąc.

— Wcześniej pracował dla „Dziennika Polskiego”. Potem o coś tam poszło. Zwolnili go. Pokłócił się z naczelnym. Szczegółów nie znam, bo to było, zanim zaczęliśmy się spotykać.

Mleczek otworzył notatnik i coś zapisał. Potem spojrzał na mnie spod brwi. Z naganą.

— No co? Ślepa byłam. Szykowałam wystawę i nie w głowie mi było sprawdzanie narzeczonego. Jestem ufna i przyjmuję do wiadomości, co mówią ludzie. — Przypomniał mi się nagle telefon od Kariny i nienamalowane obrazy. Poczułam zbliżającą się panikę.

— To się nazywa naiwność.

— Jeśli pan chce, żebym mówiła, to proszę mnie nie obrażać. Poza tym z pewnością wie pan o nim więcej niż ja. Chętnie bym posłuchała.

— Możemy się wymienić. — Oczy mu pociemniały.

Zdążyłam go do tej pory przynajmniej trzy razy rozebrać w myślach i zdawałam sobie sprawę, że ta zmiana we wzroku może być kroplą, która przeleje czarę, ale wzięłam się w garść i upomniałam samą siebie, że rozmawiam z policjantem. Kiedyś chciałam go zapytać o różne rzeczy, na przykład skąd Seweryn i Wredna dowiedzieli się, że tutaj mieszkam. Wyrwało mi się jednak idiotycznie:

— Co z tą legitymacją?

— Kwiatkowskiej? — roześmiał się, tym razem tak naprawdę, z radością.

— Ona twierdzi, że to był żart i tylko pani jednej ją pokazała.

— Ilce też. I niby z tego się pan śmieje, że to takie dowcipne? Pozwolił pan, aby zamieszkała ze mną! Panie Marku, miałam o panu lepsze zdanie.

— Nabrała panią, a to jeszcze nie przestępstwo, przynajmniej nie wielkiego kalibru. Inna sprawa, że się jej udało do pani wprosić. Nie mogłem jej zatrzymać, bo niczego na nią nie miałem. Wypuściliśmy ją oczywiście.

— Nie miałem? Miętę pan czuł. Widziałam. — Natychmiast ugryzłam się w język, ale było za późno. Zdecydowanie nad nim dzisiaj nie panowałam.

Mleczek uśmiechnął się, tym razem nieznacznie, i uniósł prawą brew.

— Co jest? — zapytał, obserwując moje miny.

Roztarłam czoło.

— Nic, nic. Zawsze mnie zastanawia, jak pan to robi.

— Co robię?

— Potrafi pan unieść jedną brew, a druga w tym czasie nawet nie drgnie.

Przez kilka długich sekund patrzył na mnie, jakby oglądał rzadki okaz gąsienicy. Wreszcie odchylił głowę i ryknął śmiechem.

Kiedy już się zastanawiałam, czy się obrazić, zignorować go, czy po prostu wyjść do swojego pokoju, zakaszłał.

— Przepraszam. — Wstał i oparł się o gzyms kominka. Jego udo dotykało mojej stopy huśtającej się na poręczu fotela. — Jak pani już coś powie...

Poprawiłam się w fotelu i opuściłam stopy na podłogę.

— Seweryn i Włodek Zbieracki się znali — zaczęłam. — Znali też Halinkę Kwiatkowską. Chodzili razem do szkoły, utrzymywali kontakty na studiach, co ułatwiało im mieszkanie w tym samym akademiku. Ilka sugeruje, że Seweryn w Szwajcarii, tuż przed naszym niedoszłym ślubem, spotykał się z Haliną. Jest to możliwe.

Mleczek tym razem nie robił złośliwych min, za co byłam mu wdzięczna.

Oparł się o kominek plecami. Słuchał.

Ogień przeblyskiwał i mrugał zalotnie pomiędzy udami komisarza. Ciekawe, ile godzin tygodniowo ćwiczy. Może biega? Nogi miał pięknie umięśnione, długie i kształtne łydki, co podkreślały obcisłe dżinsy.

— Co pani robiła w Szwajcarii?

— Research do książki. Czasami to konieczność, częściej sama przyjemność. Zbierałam materiały o malarstwie, literaturze, chłonełam atmosferę. Na szczęście to ostatnie jest najważniejsze i najmniej uciążliwe.

— To aż tak trzeba? Myślałem, że wystarczy otworzyć internet i już wszystko się wie.

— W internecie nie ma o tym, że kelnerka w kawiarni na rynku ma zwyczaj mówienia „kochaneńku” i jakiego typu obrazy wiszą w knajpkach.

— To można wymyślić.

Sprawdziłam, czy się nie nabija, ale nie, patrzył na mnie z życzliwością. Co chwila odkrywałam nowego Mleczkę. Wiedziałam, że nie był wredny tak w ogóle, jednak prześwietlające mnie co chwila spojrzenie śledczego skutecznie to kamuflowało.

— Czyli pani chłoneła atmosferę. A on? — zapytał. — Co robił Kruczyński?

— Nie może go pan nazywać dupkiem? Tak dla mojej przyjemności?

Komisarz zrobił minę z gatunku „teraz proszę się nie rozpraszać, to są poważne sprawy”.

— Co robił Kruczyński w Szwajcarii?

— Okej, nie żyje, zatem o zmarłych tylko dobrze. — Zaczęłam przechadzać się po salonie, ponieważ nagle wszystko uciekło mi z głowy. — Może piwo?

Mleczko podziękował i czekał. Kiedy milczałam, westchnął ponagląco.

— Seweryn robił to samo co ja, zbierał materiały, tylko inne — przypomniałam sobie w końcu. — Pisał przewodnik. Spotykaliśmy się co kilka dni.

— Czyli w pozostałym czasie miał możliwość odwiedzania pani Haliny Kwiatkowskiej. Przypuszczam, że nawet często — stwierdził złośliwie i znowu coś zanotował.

Chętnie przejrzałabym ten jego notatnik, ale znowu zachowywał się jak uczeń na klasówce. Bąknęłam cichutko pod nosem, że może mnie pocałować w wiadomą część ciała. Komisarz usłyszał. Coś zmieniło się w jego oczach.

— Interesujące — mruknął pod nosem. I nagle zmienił temat. — Co Halina Kwiatkowska miała wspólnego z Władysławem Zbierackim? Prócz tego, że razem studiowali?

— A skąd ja, do cholery, mam wiedzieć? To, co wiem, to z rozmów i jednego zjazdu. A i tak ledwo co z tamtego spędu pamiętam. Zarówno Władek, jak i Sew studiowali dziennikarstwo. Seweryn poszedł w dzienniki, szukał czegoś wielkiego, Władek zawsze malował, jednak przez jakiś czas bawił się fotografią artystyczną, a potem się ożenił, rozwiódł, zajął się robieniem filmów krótkometrażowych, wreszcie wrócił tutaj. Od kilku pokoleń jego rodzina mieszkała tu na zamku, czyli w Sarnim Dworze, tylko Władek ciągle gdzieś jeździł po świecie. Teraz wyjechał, bo nie ma pieniędzy na remont zamku, a musi go zrobić, sam pan widzi, jak to wygląda. Wszystko się wali. Poza tym nie spowiadał mi się. On mi zaproponował klucze, ja skorzystałam. Może to naiwne, ale taka już jestem, z zasady ufam ludziom. Wredna o Zbierackim może wiedzieć więcej. Ona najdłużej go znała. Ale musi pan zastosować jakieś psychologiczne triki, żeby wydusić z niej prawdę. Już mówiłam, że to mistrzyni kłamstwa.

Usiadłam. Mleczko pokręcił głową.

— Nie sądzę, by potrafiła kogoś zabić. Profilerka również tak twierdzi. Poza tym sprawdziłem czas. Gdy oberwał parobek, Haliny Kwiatkowskiej nie było w Polsce.

— Nawet ja wiem, że Seweryna zabił ktoś inny.

— O, a skąd taka przenikliwa dedukcja?

— Przede wszystkim czas nie pasuje. Wredna siedziała w środku, potem przyjechała Anita, a następnie Ilka. Seweryn zginął pomiędzy przyjazdem Anity a pojawieniem się Ilki. Wtedy Wredna była z Anitą. Ja siedziałam na górze. A nie, Anita przyszła do mnie. Faktycznie, Wredna wtedy była sama. Mogła to zrobić. A może to ten jej dryblas albo jeszcze ktoś inny? Ilka twierdzi, że widziała Zbierackiego. Ja obstawiam jeszcze innego konia. W tej chwili nie wyszedł jeszcze z boksu, ale jeśli cierpliwie poczekamy...

Mleczo oparł się dłońmi na stoliku i sterczał nade mną.

— Tego zbiega? Nie sądzę, by był taki głupi. Pani ma bujną wyobraźnię — powiedział, patrząc mi w oczy.

— Jasne, że mam. I ona mi mówi, że zbieg ukrywa się w bunkrach. Macie w okolicy bunkry?

Mleczo spiorunował mnie wzrokiem.

— Co pani znowu planuje?

— Niczego nie planuję, tylko usiłuję powiedzieć, że za tym, co się ostatnio dzieje na zamku, stoi drugi sprawca. Jak pan myśli, te drzwi od drewni, wtedy w nocy, gdy pojechaliście, same tak się otwierały? Tu stale coś wali, skrzypi, wieje. Któregoś razu nad ranem wydawało mi się, że ktoś spuszczał wodę, a Ilka była wtedy w szpitalu. — Odchyliłam się w fotelu jak najdalej od Mleczi. Zastanawiałam się, czy wisi nade mną świadomie, czy tylko tak mu wygodnie i grzeje sobie plecy. — Jestem przekonana, że któryś ze sprawców mieszka tutaj na spółkę ze mną. — Nie wierzyłam w to, co mówię, ale zapędziłam się w dyskusji. — Przypuszczam, że ten pierwszy, od parobka i Ilki.

— I co? Nadal nie ma pani zamiaru wyjechać? Nie boi się pani tutaj spać? — powiedział szeptem. — Nie boi się pani, że ktoś ją w nocy zamorduje?

Podniosłam się i zapaliłam papierosa.

— Gdyby chciał, już by to zrobił — odparłam zachrypniętym głosem, myśląc o kocie. — Natomiast ten, który zabił Seweryna, to co innego. To nie jest prosty typ. Tutaj potrzebny jest motyw. Tam wystarczył przypadek, ktoś komuś przeszkodził i łup! W przypadku Seweryna sprawca chciał się pozbyć przeciwnika na amen. Przynajmniej tak by było w kryminale.

— Racja, też ich kilka przeczytałem, chyba nawet któryś pani autorstwa. Bunkry! Nawiasem mówiąc, sprawdziliśmy. — Mleczek uśmiechał się ironicznie. — To nie pani sprawa, pani Matyldo, ale skoro już musi pani mieszać się do śledztwa, to kim jest ten niełatwy typ z kryminału?

— Pan się śmieje, ale proszę zapytać Wredną. Ona musi coś wiedzieć. Ja to czuję.

Mleczek sięgnął po moją paczkę marlboro.

— Porozmawiam z panią Sierocińską — oświadczył i zniknął na piętrze.

Westchnęłam, przymykając oczy, a gdy je otworzyłam, w drzwiach stała Wredna. Wyglądała na skruszoną. Chciałam wyłowić z mojego naiwnego i otwartego wnętrza okruchy asertywności, ale wszystko, co znalazłam, sprowadzało się do milczenia i patrzenia w ogień. W pewnych sytuacjach był lepszy od telewizora.

— Mogę tutaj zostać? — Głos miała cichy, nieśmiały i proszący. Rozbrzmiewał za mną, gdzieś daleko i nierealnie. — Mati, proszę. — „Proszę” sprawiło, że barierka się uniosła, ale milczałam. — Mati, nie chcę iść do hotelu. Z wami jest mi różnie.

— Po co przyjechałaś do Polski? — zapytałam. — I co cię łączyło z Sewerynem?

Halina wybałuszyła oczy. Wyglądała jak ryba. To mi niespodziewanie poprawiło samopoczucie.

— Z nim? W życiu! — Uderzyła pięścią w obfity biust. — Nic! Przysięgam, absolutnie nic. Matko, co ty sobie myślisz?! Że ja z nim?! Chyba żartujesz! — Złożyła ręce jak do modlitwy.

Reprezentowała wszystkie oznaki kłamstwa, zarówno werbalne, jak i wizualne. Specjalista od kinezyki mógłby się uśmieć. Ja milczałam.

— Przynajmniej nie ostatnio — mruknęła pod nosem i przysiadła na brzeżku fotela. Wyjęła chusteczkę. Wysiąkała nos. — Owszem, raz coś się wydarzyło, ale to przeszłość — powiedziała nagle dziwnie twardym tonem. Była w tym jakaś zajadłość i pretensja. Cechy, których wcześniej u Haliny nie zauważałam.

— Mogę zostać?

— Czemu sobie Seweryna nie wzięłaś?

— Nie interesował mnie. Mati, mogę zostać?

— Nie jestem tutaj sama. — Pomyślałam, że w tym niechceniu Seweryna była ode mnie mądrzejsza. — Poza tym przyjechałam pracować. Chcę mieć spokój.

— Nawet mnie nie zauważysz. — Rzuciła mi się na szyję. Pachniała Obsession i więziennym potem. Powinna się wykąpać. Odsunęłam jej rękę i wstałam z fotela.

Usłyszałyśmy kroki na schodach. Ilka schodziła pierwsza, za nią komisarz. Z ich min niczego nie dało się wyczytać.

— Iluś, kochanie, czy mogę zostać? Mogę? Proszę! — Halina zerwała się i podbiegła do niej. — Nawet mnie nie poczujecie. Będę bezwonna i bezgłówna.

— Jak weźmiesz prysznic. — Ilka ostentacyjnie pociągnęła nosem.

Wredna podskoczyła i rzuciła się wybawczyni na szyję. Przed komisarzem się zatrzymała, jakby ją coś zastopowało.

— To idę do siebie — rzuciła w powietrze i wycofała się schodami w górę. Na półpiętrze się odwróciła, pomachała nam i pognała długimi susami.

— I co najlepszego zrobiłaś? — warknęłam, kiedy stuknęły drzwi od gościnnego pokoju.

Mleczko odchrząknął.

— Zabieram Młodego — bąknął i wyszedł.

Ilka usiadła.

— Czego chciał? — zapytałam.

— Niczego nowego. Pytał o Seweryna i Wredną, i czy się kłóciliście. On ma nosa, bo zdaje się węszyć tam, gdzie nam nawet nie przyszło do głowy.

Kuc wrócił do domu tego samego dnia, tuż po tym, jak zegar uderzył melodyjnie dwa razy. Usłyszałyśmy najpierw rzenie, a potem silnik wjeżdżającej na plac ciężarówki. Dokładnie w tej kolejności.

Podbiegłam do okna. Kuc zakwilił dyszkantem jak ogier oznajmiający swoją obecność, a Ilka pobiegła go witać, wołając po drodze:

— Mój słodki!

— Tiu, tiu! — zacmokałam z obrzydzeniem, nie ruszając się od okna.

Z szoferki wysiadł Wolny w granatowych dżinsach i skórzanej kurtce, a zaraz za nim na dziedziniec wjechała Anita. Nie wychodziła z samochodu, tylko przyglądała się, jak Ilka pomaga otwierać plandekę i sprowadzać szetlanda po rampie. Ilka powinna być weterynarzem. Głaskała zwierzę po chrapach i gaworzyła jak do dziecka, co słyszałam nawet przez zamknięte okno. Wydawało mi się, że słyszę kroki Wrednej u góry. Obejrzałam się, ale nie schodziła. Mój pokój był zamknięty, co już dawno temu wymógł na mnie Mleczko, a klucz miałam w kieszeni dżinsów. Niech sobie Wredna łązi. Może w końcu natknie się na krowie kopyto. O kurczę, a jeśli to ona chodziła po zamku ukradkiem, a ja posądzałam o wszystko kota albo gorzej, ściganego przez policję zbiega?

Tymczasem otwarły się drzwi frontowe i weszła Anita. Ucałowała mnie z dubeltówki i na odległość, ponieważ w obydwu dłoniach trzymała duży garnek. Pachniała zimnym powietrzem, mgłą i... obwąchałam ją jak terier.

— Gulasz!

— Irlandzki, tym razem z jagnięciny — objaśniła, stawiając gar na marmurowym blacie.

— Ubiliście małego baranka? — Uniosłam pokrywkę. — Może jednego z tutejszych? Najbardziej je lubię na talerzu. — Powąchałam, wyłowiłam marchewkę, starając się jednak zbyt nie uruchamiać wyobraźni. Wystarczyło mi pojęcie mięsa. — Pycha.

— Najulubieńsza potrawa mojego chłopca. A tego tryka nadal nie widać. Staszek go szukał, ale bez powodzenia. — Anita rozejrzała się, rzuciła kurtkę na krzesło i nastawiła wodę. Czowała się jak u siebie.

— Jak to nie ma tryka?

— Od kilku dni. Staszek ci nie mówił?

— Może i mówił. O tak ważnej informacji bym zapomniała? Nie cierpię zwierza. Na pewno bym się ucieszyła.

— No to się ciesz. Kawy chcę. Zrobić ci też? Dzwoniłaś do Władka? Co on sądzi na temat ostatnich wydarzeń?

— Pojechał z Młodym coś załatwić. Uważa, że mam kuku na muniu.

— Mati, obudź się, pytam o Władka Zbierackiego. Dzwoniłaś do niego?

— Nie dzwoniłam, bo on nie ma telefonu albo ma nowy i nie podał numeru. Maile tylko mogę wysyłać. Zapomniałaś?

— A niech to, za dużo się dzieje. Robię parzoną. — Anita machnęła puszką ze świeżym jacobsem z zieloną naklejką. Wolałam ze złotą, ale nie wypadało wybrzydzać. — Zrobić Ilce? Jak myślisz, długo będzie tego konia ścisnąć?

W tym momencie na schodach rozbrzmiały kroki. Odwróciłyśmy głowy. Halina miała na sobie czerwoną pikowaną kurtkę, beżowe dresowe spodnie i miękkie buty do biegania. Zamkowy zegar wybił kurantami czwartą po południu.

— Wybierasz się dokądś? Mamy zakaz samowolnego wychodzenia na zewnątrz. Ewentualnie możemy z Młodym, a ten chwilowo zniknął z komisarzem.

— Nałożono wam areszt domowy? — Powiodła po nas dużymi oczyma, które wyglądały, jakby zakropiła je atropiną. Sama niewinność. — Mnie też dotyczy? Okej, to zostanę. I tak jest paskudnie. — Zdjęła kurtkę i rzuciła ją obok fotela, na którym usiadła. — Słyszałam, jak pani Anita pytała o Władka. Może jest na lodowcu? Wspominałam ci o tym.

W żadne Verbier nie wierzyłam. Po cholere by mnie okłamywał? W końcu niczego od niego nie chciałam.

— Władek jest w Irlandii — odparłam. — Nie rozumiem, po co ci te kłamstwa.

— Mati, ja nie kłamię. Nie jestem tylko pewna, czy to był faktycznie Władek. Widziałam go dawno temu, a ludzie się zmieniają. W każdym razie on mnie nie poznał. Dlatego chciałam ten telefon.

— Wtedy łatwiej byście się rozpoznali?

— Nie ułatwiasz mi. On był z kimś, poza tym mówiłam już, że jakoś dziwnie się zachowywał.

Milczałam.

— No tak. — Halina się zaczerwieniła. — Teraz ginę od własnej broni. Skoro jednak mi nie wierzysz, zapewnienia nic nie dadzą.

Stuknęły drzwi.

Ilka rzuciła kurtkę w kierunku wieszaka.

— Kuc miał atak serca. Potrzebuje współczucia i miłości. Staszek mówi, że wydobrzeje. — Wytarła czoło wierzchem dłoni. — Od razu mi lepiej.

— Widzisz, mogłyście zjeść ten szpinak — powiedziała Halina.

Głupio mi się zrobiło.

— Może faktycznie wywietrz się po tej pace. Idź i pokręć się koło Staszka, zanim jakiś policjant nie przyjedzie. Muszę pogadać z Ilką.

Anita chciała coś powiedzieć, ale tylko chrząknęła i ostatecznie nie skomentowała. Halina spojrzała na mnie z miną zbitego psa i posłusznie wyszła na zewnątrz. Ilka odwróciła się za nią.

— Wyprosiłaś ją!

— Owszem. Zrzuciłam jej również, że kłamie.

— Aha. Tylko nie licz na zmiany. — Ilka usiadła. — Pijemy coś? Jesteśmy w komplecie. Konik zdrowy. W co chciała cię tym razem wkręcić? — rzuciła w moim kierunku.

— Podobno spotkała w jakimś kurorcie na lodowcu Władka i jej nie rozpoznał. Kiedyś już o tym wspominała, ale nie wierzę w ani jedno jej słowo.

— Ależ to nic dziwnego! Ona się przecież bardzo zmieniła. Przynajmniej zewnętrznie. Przytyła w taki ładny sposób. Wyładniała. Nie dziwię się, że jej nie poznał.

— Nie wiem. Zresztą nie chodzi o to. Mnie powiedział, że jest w Irlandii. To co? Kłamał?

— Oj tam, może wyskoczył na parę dni. Robicie aferę. Zresztą pociągnę ją za język, gdy wróci.

— Mam nadzieję, że rozpoznasz kłamstwo.

— Sądysz?

Anita przyglądała się nam z wyraźną radością.

— A ty co tak słuchasz? — rzuciłam oskarżenie w jej kierunku. — Reportaż o nas będziesz pisać?

— Z pewnością byłby bestsellerem. — Anita wybuchła długo tłumionym śmiechem.

Przemknęła mi przez głowę myśl o moim mieszkaniu w Katowicach. Świadomość, że je miałam, trzymała mnie przy zdrowych zmysłach. Drzwi znowu trzasnęły. Wszedł Wolny i gestem, do którego już się przyzwyczaiałam, rzucił skórzaną kurtkę obok kominka. Za nią poleciał kapelusz, który ku mojej uciechu wyciągnął gdzieś z lamusa.

— Co to, kurczę, Władek przyjechał? — zapytał. Nie zdjął nawet obuwia, czego nigdy nie zaniedbywał. Wydawał się, co u niego niezwykle, porządnie wściekły.

— Jaki Władek? — zapytałam.

— Zbieracki. Był tutaj?

Anita poderwała głowę.

— Władek i Władek. Co tak dzisiaj na niego padło? Halina też tylko o nim. Podobno poszła do ciebie.

— Na oczy jej nie widziałem. Ale widziałem Zbierackiego, jak szedł do lasu — powiedział Staszek, rozglądając się po salonie, jakby Władek schował się za komodą albo pod stołem.

— Nie było tutaj żadnego Władka. Jest w kurorcie — powiedziałam.

— Czemu tak mówisz?

— O Boże, jak ja mówię?

— Że żadnego. Jakby co najmniej była ich cała wycieczka. Mówi się „żadnego uczestnika” wycieczki, ale jeśli ktoś jest jeden...

— Dosyć! — huknęła Anita. — Staszek, zamknij się. On faktycznie kogoś musiał widzieć. Zawsze, jak się zdenerwuje, dostaje werbalnej sraczki. Kiedy jest normalny, to milczy.

— Dziwne. — Wolny nie przejął się wypowiedzią Anity. — Byłem pewien, że to on. Wysoki, chudy, zgarbiony, i te jego białe włosy. Bez sensu. Przysięgłbym, że to Zbieracki. Poszedł w las dróżką dla spacerowiczów i nawet na mnie nie spojrzał, a powinien zareagować. Odniosłem wrażenie,

jakby się skradał, i dlatego zwróciłem uwagę. Gdyby zachowywał się normalnie, potraktowałbym go jak każdego turystę. Miejscowi raczej tędy nie chodzą, bo i po co? — Wolny usiadł i sięgnął po jedno z piw, które stały w skrzynce pod stołem. Wyjął Anicie z ręki papierosa i zaciągnął się, a to już świadczyło o szczególnym stopniu zdenerwowania.

— Mati, zadzwoń do Władka. Może odbierze. Skoro jest w Polsce, to powinien mieć stary numer. Co ci szkodzi? Dzwoń — namawiała Anita.

Chciałam wyjaśnić, że utopił telefon w kłobie, ale miała rację: co szkodziło spróbować? Poza tym do tej pory już powinien go wysuszyć. Wystukałam numer i wyskoczyłam na zewnątrz, ponieważ uznałam, że jeśli Władek tędy przechodził i jeszcze był w okolicy, to powinnam usłyszeć, jak dzwoni jego komórka.

Wredna spacerowała koło stodoły, co przypomniało mi, że nie ma tryka. Skądinąd była to wspaniała wiadomość. Baran zniknął. Po raz pierwszy od kilku dni poczułam, jak usta rozciągają mi się w szczerym uśmiechu. Wredną zobaczyłam za stodołą.

— Halina!

— Słucham? — Paliła papierosa.

— Widziałaś Władka? Podobno szedł do lasu.

— Zgłupiałaś?

Staszek przecisnął się obok mnie i wyszedł na zewnątrz.

— I co, odebrał? — zapytał, kierując się do samochodu.

— Nie, ale jest sygnał.

— No to dzwoń, dzwoń.

— Będę próbowała do skutku.

— Jadę po fajki. Kupić ci? — zapytał.

Sprawdziłam i znalazłam jednego papierosa w paczce. Poprosiłam. Wolny

odjechał. Kazałam dzwonić do Władka również Halinie. Może on nie chce odbierać tylko ode mnie? Będziemy robiły to na zmianę. Zatrzymała się tuż przed drzwiami i od razu wybrała połączenie. Podała mi aparat. Weszliśmy do środka. Ilka i Anita patrzyły na mnie z wyczekiwaniem.

Rozbrzmiewały kolejne sygnały. Ku własnemu zaskoczeniu usłyszałam, że ktoś odebrał. Głos miał zdyszany, niezadowolony, zagłuszało go trzeszczenie. Co on robił?

— Cześć, Władek. Matyllda z tej strony. Czemu nie odbierasz telefonu?

— Nie wiem. Nie mam żadnych nieodebranych. Dzwonisz z piwnicy? Okropnie cię słyszę, normalnie.

— Nadal tam jesteś?

— Gdzie nadal?

— W tym Verbier?

— No. Mam urlop. A co?

— Nie, nic. Rób, co chcesz, już i tak przysłałeś tu Halinę. Ale to twój dom — przerwałam, bo Wredna sterczała za moimi plecami, a ja zaczęłam skręcać w niewłaściwym kierunku. Myśli przelatywały mi przez głowę. Władek nie sprawiał wrażenia, że stracił pamięć, i nie zaprzeczył, że jest w kurorcie. Wszystko wydawało się w porządku. Jakim cudem Wolny widział go tutaj, nie miałam pojęcia.

— Hej, Matyllda, jesteś tam? Halo! — zatrzeszczało.

Nagle coś mi przyszło do głowy. Pomysł był co najmniej fantastyczny, ale co mi szkodziło. Przypomniałam sobie, że o tym, jak nazywa się kuc, wiedział tylko Zaruba i ja. Podobno Władek go tak nazwał, bo koń był mały, przemądrzały i miał ogromnie wielkie ego. Jedynie Ilce wspomniałam o imieniu kuca. Byłam tego pewna.

— Słuchaj, Władek, czy Napoleon jest na coś uczulony?

Mój rozmówca milczał. Słyszałam sapanie. Halina popatrzyła na mnie

z zainteresowaniem, a Ilka, która stanęła w drzwiach, z aprobatą.

— Nie wiem. Dlaczego pytasz? Rozwiązujesz krzyżówkę? — Władek nie krył zdziwienia. Zatrzeszczało jeszcze mocniej i rozmowa się urwała.

— Brzmi jak Władek. Z pewnością słyszałam jego głos i to jego „normalnie”, ale chyba ma amnezję. Spytał, czy rozwiązuję krzyżówkę. No i ma działający telefon, a miał nie mieć.

Ilka pochyliła się nad stołem i zajrzała do swojej opróżnionej miseczki po gulaszu. Anita myła garnki.

— Trzeba było wypytać, gdzie jest, a ty od razu zasugerowałaś odpowiedź. Przynajmniej tyle byśmy wiedzieli. Dobry ten gulasz.

Skupiłyśmy się na jedzeniu. Ilka miała rację, potrawa była wyśmienita, sama sobie dołożyłam, a potem z wdzięczności zrobiłam kawę i podsunęłam Anicie.

— Komuś jeszcze? — zapytałam, machając czajnikiem.

Halina siedziała naburmuszona i milczała, Ilka poprosiła o rozpuszczalną, nie spuszczając z niej oka.

— A ty co? — rzuciła do niej ostrym tonem.

— Bo mówiłam Matyldzie, że Władek jest w Verbier, a ona zaraz, że kłamie — powiedziała Halina z pretensją. Wstała, podeszła do garnka i patrząc na Anitę, zapytała: — Mogę dokładkę?

— Jasne, częstuj się! — Kucharka się ucieszyła.

Staszek Wolny przyjechał z fajkami. Rzucił je na stół.

— I co, dodzwoniłyście się?

— Owszem — potwierdziłam. — Jest w Verbier.

— Wobec tego mam omamy — powiedział, potarł twarz i spojrzał z obawą na Ilkę. — Powinienem się leczyć?

— A to pierwszy raz? Jak sypiasz?

— No, pierwszy. Sypiam dobrze.

— Jakieś inne urojenia? Derealizacje? — Ilka przyglądała mu się jak doktor.

— Kochana, wyluzuj. Sama podobno oberwałaś od kogoś podobnego do Władka. Tak mówiłaś. A skoro Halina mogła przyjechać ze Szwajcarii do Polski, to Władek nie mógł z Verbier? — zapytałam logicznie. — To nie są uwiązane na sznurku telefony jak kilkanaście lat temu. Można dzwonić z każdego miejsca. Sama tak zrobiłaś. Kiedy go widziałaś w tym Verbier? — zwróciłam się do Wrednej.

— Na początku października. Musiałabym się zastanowić, jeśli chcesz wiedzieć co do dnia.

— Nieważne — powiedziała Ilka. — Mati ma rację. Teoretycznie mógł dzwonić z dowolnego miejsca.

— Ale po co? — Anita pokręciła głową. — Ja tego nie kupuję. Zbieracki? Nie ukrywałby się. To jego dom. I o co chodziło z tym Napoleonem?

— Sprawdzalam go. Napoleon to kuc, tylko Władek i Arek znali jego imię. I co, nagle zapomniał, jak jego kuc się nazywa? A to drewno, które się osunęło? Te pootwierane drzwi? — Zastanawiałam się głośno. — Myślałam, że ukrywa się tutaj złoczyńca z monopolowego. Ale teraz nie jestem pewna.

— Staszek, dzwoń po Marka. — Anita podjęła decyzję, domyślając się, że żadna z nas po niego nie zadzwoni, chyba tylko w przypadku nowego trupa.

Wolny wyjął telefon i usiadł przed kominkiem. Halina zjadła gulasz na stojąco, a potem ruszyła na górę.

— Idę się przebrać.

Po chwili usłyszałam, jak zwiedza piętro i wspina się na strych. Ilka również nasłuchiwała.

— Znowu szuka — podsumowała.

— Owszem. Niczym się już nie krępuje.

Anita wyjęła z blachy przywiezione ciasto. Postawiłam na stoliku koniak.

— Jeszcze parę dni i rozpijemy się doszczętnie — uznałam.

Nagle na piętrze rozbrzmiały przyspieszone kroki, na tyle szybkie i nerwowe, że Ilka i Anita odwróciły głowy. Staszek schody miał przed sobą. Jedynie brwi mu drgnęły na widok Wrednej, która schodziła do nas, ale jakoś dziwnie. Cofała się, przyspieszała, znowu cofała, aż w końcu zatrzymała się na półpiętrze, ostentacyjnie pociągając nosem.

— Tam coś śmierdzi — oświadczyła, marszcząc nos.

— Mysz — odparłam lekceważąco. — Wielkie rzeczy. Wszędzie ich pełno.
— A może... — Kuc jest w stajni? — zapytałam. Spojrzałam na Ilkę i na Staszka.

Milczeli, a ja poczułam się nieswojo, gdyż mimo że na plan pierwszy wysunęły się skojarzenia zoologiczne, to zapach nieboszczyka z kaplicy nadal tkwił w pamięci mojego nosa, osiadł w zatokach i z wolna ulatniał się jak specjalnie dawkowane pachnidło. Byłam pewna, że mamy kolejnego trupa.

Ilka zareagowała podobnie. Objęła się ramionami, odcinając się od wszystkiego. Tylko Anita i Staszek unieśli się z ciekawością i podążyli za Wredną.

— Wiesz, chyba jednak wyjadę — oznajmiła Ilka, gdy rozkołysane pośladki Anity zniknęły na półpiętrze.

— Ale kto tym razem? — zapytałam szeptem. — Tam nie ma żadnych ukrytych zakamarków. Wszystko jest na wierzchu. To nie Malbork ani Wawel, tylko mały Sarni Dwór. W moim pokoju w każdym razie nic nie leżało. Dostrzegłabym. Nie wiem, jak w twoim, bo nie zaglądałam.

— Nic nie cuchnie. Leży tylko jakiś chodnik pod łóżkiem. Ty go tam położyłaś?

— Wredna. Powiedziała, że łuszczy ci się podłoga, a może popękała, sama sprawdź.

Ilka pociągnęła nosem.

— Rzeczywiście śmierdzi? Wykształcił mi się odruch obronny, bo niczego nie czuję. — Pociągnęła nosem jeszcze ze dwa razy, kręcąc głową. — Nie, kompletnie nic. Może to ciągnie z piwnicy?

— Może. Cały czas podejrzewałam, że jeśli ktoś tu łąził, to tylko po piwnicy. W przeciwnym razie gdzie by się ukrywał? Czyżby znowu uaktywnił się złoczyńca?

— Olfaktorycznie? — Ilka parsknęła z niechęcią. — A może to faktycznie Władek? — Wywinęła dolną wargę. Ta mina świadczyła o maksymalnym stopniu wkurzenia.

— Zlituj się. Na zewnątrz jest wieża — dodałam, unosząc ręce do góry. — Może to z niej cuchnie. Nigdy w niej nie byłam. Tam są takie małe zamknięte drzwiczki u podstawy, zarośnięte pokrzywami i innym chabaźstwem.

— Ma połączenie z częścią mieszkalną?

— Nie zauważyłam, ale biorąc pod uwagę wszystko, co przeżyliśmy, nie zdziwiłabym się. I to by tłumaczyło trzeszczenie drewnianych schodów.

Tymczasem trząsnęły drzwi. Odwróciłyśmy głowy.

Rozdział 9

C oś nowego? — zapytał Mleczek. Spojrzał na nas z niechęcią. — Gdzie Staszek?

— Sprawdza z Anitą i Wredną, co śmierdzi. — Machnęłam głową, wskazując kierunek.

Mleczek stał przez chwilę nieruchomo, jakby przyswajał informację.

— Kurwa — mruknął pod nosem, ale usłyszałam. — Panie nie są ciekawe?

Zgodnie pokręciłyśmy głowami.

— Taaa... — rzekł wymownie i zniknął na schodach.

— On ma szósty zmysł, że się tak objawia — skomentowała Ilka.

Obecność komisarza musiała mieć na mnie wpływ energetyczny, gdyż zaczęła mnie korcić ciekawość. Teraz już siedziałam wysiłkiem woli.

— A może mamy paranoję? Zobaczysz, to tylko mysz — powiedziała Ilka.

— Albo kot.

Ilka wstała z fotela i oparła się plecami o gzyms kominka. Stopą przesunęła siekierę, którą ktoś porzucił pod nogami.

— Policja robiła tutaj rewizję, tak? Sama mi mówiłaś.

— Owszem, grzebali, ale do wieży nikt nie wchodził.

— Mogłaś sama sprawdzić, Mati. Byłaś na miejscu.

— Nie przyszło mi to do głowy, a poza tym czy miałam na to czas? Sama mogłaś sprawdzić, a nie odwiedzać zwierzątka. Od momentu gdy przyjechałaś, moja potrzeba przygód jest w pełni zaspokojona. Powiedziałabym, że w nadmiarze. Poza tym drzwiczki do wieży są zamknięte. Władek zakazał tam wchodzić.

Wieża robiła wrażenie tylko przy pierwszym spojrzeniu, drugie raczej zniechęcało. Resztki przywiedłych pokrzyw, zmarznięte łopiany, oset i ledwo widoczne pomiędzy tym małe drzwiczki. Nie miałam pojęcia, czy jest inne wyjście. To nie był mój dom, do cholery. Byłam tutaj tylko gościem. Ilka podzielała moje odczucia. Nie grzebała, nie wtykała nosa w każdą dziurę. Tym bardziej dziwne wydało mi się zachowanie Wrednej.

— Zauważyłaś, że Halina stale czegoś szuka? Kiedy grzebała na pięterku, to nawet za bardzo się z tym nie kryła.

— Może przepytam ją tak profesjonalnie — odparła Ilka z uśmiechem, spoglądając w górę na schody. — Długo ich nie ma. Idziemy?

— Nie przeżyję drugiego trupa. Jeden dziennie mi wystarczy.

— Co tam, nie przeżyjesz! Twardym trzeba być! Zapomniałaś? — Pociągnęła mnie za ramię. — Wstawaj.

Weszłam do swojej sypialni i zrobiłam pachnidła — nasączyłam chusteczki higieniczne Amarige Givenchy. Jedną wręczyłam Ilce.

— To czujesz? Czy nadal nie masz wężchu?

— Czuję, ale słabo.

— Może to normalne, że węch ci się stępił. Pamięć na jakiś czas straciłaś, ale wróciła, prawda? Węch też wróci z czasem. Nie powinnaś pić alkoholu.

— Bzdura. W kaplicy czułam zapach kwiatów. Był wstrętny.

— Trudno ocenić stopień nasilenia fetoru, skoro robi się to za pomocą subiektywnych odczuć.

— Teoretyzujesz. Po uderzeniu w głowę miałam normalny węch. Teraz mam przytępiony.

Urwałyśmy dyskusję, gdyż usłyszałyśmy procesję wychodzącą z pracowni na poddaszu. Spotkaliśmy się w połowie drogi na schodach, dokładnie przy wielkim obrazie przedstawiającym rycerza na koniu na tle górskiego krajobrazu. To w tym miejscu śmierdziało. Przytknęłam nos do ściany.

Obwąchałam obraz. Woń dochodziła zza niego. Mleczeko na mnie spojrział, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Za to Wredna się nie hamowała.

— Mati, to twój obraz stoi na sztaludze tam w pracowni? — zapytała.

— Odsłoniłaś płótno? — obruszyłam się, czując gorąco na twarzy. Malowidło tworzyłam w ukryciu, a przedstawiało Anitę na leżance w pozycji podobnej do *Mai nagiej*, tyle że jeszcze bez wyraźnych rysów twarzy. Spojrzałam na Anitę, ale ta trzymała się za nos i nie widziałam jej miny. Wolny stał tyłem do mnie, podobnie jak ja przed chwilą, niuchając przy ścianie.

Mleczeko przesunął obraz.

— Stachu, pomóż mi.

Odsunęli dzieło sztuki. Zasłaniało małe drewniane drzwiczki. Szarpnęłam się do tyłu, bo już nie miałam wątpliwości. Z otworu z pełną mocą zaatakował nas zapach śmierci. Kiedy mocniej pociągnęłam nosem, dotarła nuta dodatkowa, jak w drogich perfumach, gdzie w pierwszej kolejności wyczuwamy zapach wiodący, a potem dopiero piżma i kolejnych tonów. Tutaj z tła przebijał nikły dodatek lanoliny. Z nadzieją rozdeptałam skrzydełka nosa.

Anita się cofnęła.

— Faj, to narasta — stwierdziła z dłońmi ułożonymi w tutkę przy nosie.

— Anita, zejdz, bo mi jeszcze zemdlejesz. — Wolny odsunął Jezierską i złapał za ramę obrazu. — Marek, zdejmujemy go?

— Nie trzeba — powiedziała Ilka, wskazując wbity w ścianę kawałek skuwki. — Tutaj jest hak, a tu coś, co do niego pasuje.

Rozmiar drzwiczek nie przekraczał metra dwadzieścia na siedemdziesiąt centymetrów. Nie widziałam klamki, ale jej brak tłumaczyłam celowym działaniem, by obraz nie odstawał od ściany. W miejscu, w którym kiedyś tkwiła klamka, ziała czarna dziura, przez którą sączył się smród. Gdyby nie to, pewnie długo byśmy nie mieli pojęcia, kto leży w wieży. Kto lub co.

Lanolina pachniała obiecująco.

— Znalazłaby się jakaś klamka? — zapytał komisarz.

Przyjrzałam mu się znad chusteczki. Wydawał się blady, ale w kiepskim oświetleniu mogłam się mylić.

— W każdych drzwiach, jak sądzę — odparłam sucho.

— Wystarczy szeroki śrubokręt, ale czekaj, zaraz coś przyniosę — powiedział Wolny i zszedł na parter. Po dwóch minutach wrócił z mosiężną klamką. Po kształcie i kolorze poznałam, że wyjął ją z drzwi frontowych.

Wredna stała przyklejona do ściany i zagryzała wargi. Ilka ze stoickim spokojem obserwowała scenkę, jak w szpitalnym teatrzyku. Anita usiadła dwa schodki niżej i ciężko oddychała, zadzierając głowę.

Komisarz nachylił się, zajrzał do dziurki, włożył klamkę i nacisnął. Stare drewniane drzwiczki ustąpiły bez zgrzytu. Pchnął je do środka, dwiema rękami przytrzymał się framugi i spojrzał w dół, mocno się wychylając. Staszek zajrzał pod ramieniem policjanta, ale gdy ten zrobił krok, zamierzając wejść na schody, krzyknęłam:

— Stop! Człowieku, niech pan nie wchodzi! Władek zabronił wchodzić do wieży. To stare schody i mogą się załamać!

Zawahał się.

— No dobrze. Wejdziemy dołem.

Zapach lanoliny był coraz intensywniejszy. Zrobiłam krok w dół, ale Mleczek pochwycił mnie powyżej łokcia i zatrzymał w miejscu. Patrząc mi prosto w oczy, powiedział:

— Pani to czuje?

Potwierdziłam.

— To baran — uściślił Mleczek.

— Czuję, to balsam na moje ego — odparłam z uśmiechem.

Zawróciłam do góry, odsunęłam Anitę i Wredną, które trzymały się framugi, korzystając z okazji, by zajrzeć do środka.

Wśród gruzów, starych kamieni i cegieł dało się odróżnić skołtuniony wełniany kształt. Wyglądał jak brudny koc. Mleczek trzymał mnie za ramiona. Przez sweter czułam, że ma zimne ręce. Spojrzałam mu jeszcze raz w oczy, z triumfem, porozumieniem i czymś, co kiedyś, być może, mogłoby... Wytrzymał mój wzrok.

— Coś z tym trzeba było zrobić — powiedział.

Docisnęłam drzwiczki do framugi, zasłoniłam je obrazem i poklepałam dzieło, jakby to mogło pomóc. Kłapa się zatrzęsnęła, a klamka jakimś cudem wpadła do środka.

— Będziemy miały dom otwarty — powiedziała Ilka.

— Jakby do tej pory nie był — mruknęłam.

Komisarz spojrzał na mnie z rozbawieniem, westchnął i ruszył w dół. Dreptałam tuż za nim. Odetchnęliśmy z ulgą, i tylko Ilka, która była jedynym świadkiem mojej i Mleczki utraty honoru, była w stanie zrozumieć sytuację. Nikt więcej nie orientował się ani w nie tak dawnych wydarzeniach, ani w naszych uczuciach.

— Powinienem panią aresztować! — powiedział po cichu.

— Za co? — Zatrzymałam się zdumiona.

— Nie lubiła pani denata.

— Pan też nie.

Komisarz nie skomentował. Staszek Wolny wydawał się zdezorientowany i zaniepokojony. W sumie nie dziwiłam się. Najpierw Napoleon, teraz tryk. Gdyby nie lubił zwierząt, nie nająłby się do takiej pracy.

— To wejście na dole — rzucił, wymijając nas — wydawało się zamknięte. Nigdy tam nie zaglądałem.

Po chwili staliśmy przed wieżą. Komisarz pokazał kilka bobków w trawie.

— Myślę, że nie jest potrzebne oficjalne dochodzenie — powiedział, przydeptując wyschnięte badyle. Pchnął drzwi, a one otworzyły się ze zgrzytem do środka.

— Zamknęły się za nim, a ponieważ otwierają się do środka, więc biedak nie potrafił ich otworzyć — domyślił się Wolny.

Kompletnie nie podzielałam współczucia, które dało się słyszeć w jego głosie.

— Mógł beczeć na ratunek — mruknęłam.

Mężczyźni odsunęli mnie i zniknęli w wieżycze. Ilka, Anita i Wredna się zastanawiały. Ruszyłam pierwsza.

Leżał u podnóża zniszczonych kamiennych schodów. Obok nich biegły drugie, drewniane, ale również uszkodzone. Na ziemi wały się połamane deski, kamienie i, podobnie jak na zewnątrz, rosło mnóstwo zielska i trawy.

— Z głodu nie zdechł — powiedziałam. — Wystarczyłoby tego, żeby się napaść. Chyba że z pragnienia.

Mleczek stanął nad baranem i szturchnął go nogą. W tym momencie baran poderwał głowę.

— Beeee! — rozległo się przeraźliwie.

Odkoczyliśmy gwałtownie. Tryk się podniósł, chwiejnym krokiem przemierzył dystans do drzwi i wytruchtał na zewnątrz.

— Święta Tereso! — Wciągnęłam gwałtownie powietrze. Jak na jeden dzień wrażeń miałam zdecydowanie za dużo.

— Dlaczego śmierdzi trupem? — spytała głuchym głosem Ilka.

— Dlatego. — Staszek z ponurym wyrazem twarzy wskazał podłużny kształt pod schodami.

Wśród gruzów, starych kamieni i cegieł leżało skręcone ciało mężczyzny. Zachwiałam się. Mleczek mnie przytrzymał.

— Kurka noga! Czy wy, baby, musicie wszędzie włączyć? Natychmiast do domu! — Zamachał rękoma, jakby wyganiał kury.

Zdażyłam jedynie dostrzec, że leżący w gruzie osobnik był mężczyzną, o czym świadczyły postura i ubiór. Twarzy nie było widać — i bardzo dobrze. Nie chciałam nic więcej wiedzieć, przynajmniej w tej chwili. Ilka wyglądała na szalenie podekscytowaną.

— Wynocha! Pani doktor, pani też! Opuśćcie, do cholery, to miejsce, czyniąc jak najmniej szkód! Ja was chyba wszystkich posadzę! — Mleczko zastygł z telefonem przy uchu. Pochylił się tylko na moment nad zwłokami i zaczął wydawać rozkazy do słuchawki.

Potulnie się wycofałyśmy. Staszek również po chwili zrównał się z nami. Anita i Wredna już były na zewnątrz. Przecisnęłam się obok nich i rozejrzałam za trykiem. Niepotrzebnie. Ilka jakimś cudem trzymała go mocnym chwytem pod szyją i prowadziła do stodoły. Nie byłam zdziwiona. Już mnie nic nigdy nie zaskoczy. Oczywiście jeśli przeżyjemy.

Że to nie był Władek, poznałam po włosach: były czarne i krótkie. Nikt inny ze znajomych nie przychodził mi do głowy, więc spekulowanie na temat tożsamości nieboszczyka było bez sensu. Zapaliłam, mimo że było mi niedobrze. Dopiero potem weszłam do domu. Ilka myła ręce w uchylonej łazience.

— To ten facet z monopolowego — powiedziałam nieco na wyrost.

— Morderca narzeczonej? — upewniła się.

— Powiem ci, Iluś, że odetchnęłam z ulgą na widok tych drewnianych schodów. Już myślałam, że mam urojenia i kamienie mi skrzypią.

— No właśnie. — Wszedł Wolny, a tuż za nim Anita. — To wiele wyjaśnia. Ten rumor w drewnutni na przykład.

Jezierska wyjęła alkohol, ale nie miałam ochoty ani na wódkę, ani na piwo, a na wino tym bardziej.

— Uważam, że to niczego nie wyjaśnia — odezwałam się. — Ktoś go

zabił. Z pewnością nie jałówka.

— Kręcił się tutaj. To on mordował, a w wieży się ukrywał. O tym, że schody są zbutwiałe, nie wiedział, więc spadł. U góry są połamane. Przez to okienko widać dokładnie. Sprawdziłem.

— Stachu, zawieź mnie do domu — poprosiła Anita, zakładając kurtkę. — Chcę się położyć. Wam też, dziewczyny, radzę wyjechać. Tego jest już za wiele. W końcu któraś z was zginie. Ilce niewiele brakowało. To się powinno nazywać Trupi Dwór, a nie Sarni — dodała i wyszła wsparta na Staszku, który skinął nam głową.

— Czy ktoś tutaj widział chociaż jedną sarnę? — zainteresowała się Wredna.

Podskoczyłam, bo zapomniałam o jej obecności.

— Ja nie — westchnęła Ilka.

— Ja też nie i za nimi nie tęsknię — zapewniłam. — Z pewnością byłyby to mordercze sarny.

Dwie godziny później, gdy we trzy kimałyśmy w fotelach zmęczone nadmiarem wrażeń, a zegar wybił siódmą, wszedł Mleczek w towarzystwie sierżanta. Przyniósł z kuchni krzesło i usiadł, wyciągając przed siebie nogi. Widać było, że też jest zmęczony. Na chwilę zwiesił głowę, a potem otaksował nas uważnie, każdą z osobna.

— Żadnych więcej trupów! Bo mnie szlag trafi.

Skinęłam głową. W tej chwili zgodziłabym się na wszystko.

— A kto to był? — zapytała Ilka.

— Jezus Maria, Tomek, jedziemy. Te baby mnie wykończą. Macie się nie ruszać z domu, nie wychodzić i siedzieć na...

— Krzesłach — dokończyła Ilka za niego.

— No właśnie. Do widzenia. — Podniósł się, jakby przybyło mu lat, i wyszedł, zagarniając Młodego ramieniem. Sekundę później wrócił.

— Gdzie Staszek z Anitą?

— Pojechali. Anita źle się poczuła — wyjaśniłam.

Mleczek wyszedł bez słowa. Widziałam, jak drgał mu policzek w bezsilnej złości.

Drzwi za policjantami się zamknęły. Wredna zniknęła nam z oczu. Wymieniłyśmy z Ilką spojrzenia. Nadal myślałyśmy jak w szkole, synchronicznie i niekoniecznie mądrze.

Moja przyjaciółka pognała na piętro. Ruszyłam za nią. Na półpiętrze z obrazem uniosła klamkę, odsunęła malowidło, zahaczyła i otworzyła drzwiczki.

— Tadam!

— Znalazłaś klamkę? Gdzie? — Stałam tuż za nią i wciskając głowę, przyglądałam się schodom.

— Leżała pod schodami obok nieboszczyka. Bo co? Wzięłam, zanim Mleczek przyuważył. Miałybyśmy tak siedzieć niezamknięte?

— I tak łązi tutaj nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy, więc co za różnica? Zamykałyśmy się, a Wredna i tak się wprowadziła. Ten truposz zabił się w wieży, też zamkniętej. Baran wszedł. Nawet kuc wszedł — wyliczałam z rezygnacją.

— Kuca same wpuściłyśmy. Ale ten dziki lokator niby sam się zabił? Cuchnie mi to. — Ilka odsunęła mnie, przymierzając się do drzwiczek w ścianie. — Trzeba sprawdzić, co jest u góry. Włazisz? Jesteś lżejsza — rzuciła mi wyzwanie.

— Żeby skończyć jak ten tam? Władek ostrzegał, żeby nie wchodzić. Wolny też mówił, że drewno się połamało — przypominałam, patrząc to w górę, to w dół. — Ale masz rację, trzeba by sprawdzić, co jest wyżej, bo co u podstawy, to już wiemy.

Pomiędzy dwoma stopniami ziała spora dziura, ale dalej wyglądały na całe. Obok drewnianych schodów w kamiennej ścianie były również wykute stare stopnie. Drewniane schody, dużo później dostawione, biegły w górę niemal równoległe do tych pierwszych, wspierane na topornej drewnianej konstrukcji. Typowa prowizorka i trudno było ocenić, które obecnie są bezpieczniejsze.

— Wejść do góry, zgoda, ale później, gdy pozbędziemy się Wrednej. Teraz mam ochotę się napić — dodałam. — Na razie zamykamy to.

Nasza współlokatorka akurat wychodziła z łazienki.

— Halina, otwórz drzwi, przewietrzymy tutaj. Pomogłabyś sprzątać.

Kiedy atmosfera w domu zmieniała się na tyle, że dało się oddychać, zastawiłyśmy napojami niski stolik naprzeciwko kominka. Rozparłam się wygodnie i przerzuciłam nogę przez podłokietnik fotela. Ilka kołysała kieliszkiem i obserwowała, jak zmienia się kolor wytrawnej czerwieni.

— Halinko, to powiedz nam teraz, czego ty tu tak namiętnie szukasz? — rzuciła, przysuwając kieliszek Wrednej, która nie była zdziwiona pytaniem.

— Dobrze — westchnęła z rezygnacją i spojrzała na mnie. — Dowiesz się, jaki był Seweryn. Chcesz?

— Byłaś z nim? — Postawiłam na szczerość. — Czy w czasie naszego pobytu w Szwajcarii spałaś z Sewerynem? — Zapaliłam papierosa i podałam Ilce otwartą paczkę.

— Nigdy w życiu! To znaczy akurat nie wtedy... Piętnaście lat wcześniej owszem. Potem już nie.

— Po kolei. — Głos Ilki był cichy i zimny, aż musiałam się jej przyjrzeć. Twarz miała nieprzeniknioną. — Zacznij od początku.

Halina wyraźnie się denerwowała. Splotła dłonie i położyła je na kolanach. Potem naląła sobie pełny kieliszek koniaku. Butelkę zakręciła i postawiła obok siebie. Miałam ochotę ją związać.

— To było na studiach, na pierwszym roku. Oni obydwaj, Władek i Seweryn, bawili się fotografią. Właściwie to nie była zabawa, bo traktowali ją bardzo poważnie. No wiecie, robili wystawy, albumy, wykonywali zlecenia dla różnych kolorowych gazet... Do Sewa kleiły się dziewczyny. Uwielbiał to i wykorzystywał. Pozowały mu. — Prychnęła z pogardą i wypła alkohol do dna. — Łącznie ze mną. Nie patrzcie tak na mnie. Pozowałam nago. Kilka razy również Władkowi. Musiałam zarabiać, nie miałam hojnej i bogatej mamuśki ani taty, którzy by mnie utrzymywali. Na fryzjerstwie nie zarabia się kokosów.

— Studiowałaś dziennikarstwo. Mogłaś już chałturzyć — zauważyła Ilka.

— Brałam zlecenia. Owszem. Artykuły do gazet. Prowadziłam rubrykę listów i porad, czasem wpadł mi jakiś reportaż. Ale i tak brakowało pieniędzy, a oni płacili za każdą sesję od ręki. Wystarczało nie tylko na drobiazgi.

— Mogłaś robić zdjęcia do gazet — rzuciłam, by przerwać to jęczenie, lecz sama nie wierzyłam, by na gazetowej fotografii mogła przyzwoicie zarobić.

— Mnie fotografia nie szła. Chcecie wiedzieć czy komentować?

— Masz rację. To i tak już przeszłość.

— Zatem kiedyś pokłóciłam się z Sewerynem, ponieważ nie chciałam się zgodzić na wyjątkowo perwersyjne zdjęcia. Wtedy dał mi coś na wyluzowanie. Nawet nie wiedziałam, że mi dosypał do drinka.

Ilka ostentacyjnie przewróciła oczyma. Kopnęłam ją pod stołem.

— Kiedy się zorientowałam — Halina albo niczego nie zauważyła, albo udawała, że nie widzi — było za późno. Klócili się potem z Władkiem i z tej kłótni zrozumiałam, że Seweryn mnie fotografował, gdy byłam naćpana. Z czasem zapomniałam o sprawie. — Przerwała, sięgnęła po serwetkę i wydmuchała nos. Podałam jej papierosa. — Władek przysięgał, że zdjęcia zniszczył. Najpierw mu uwierzyłam, a potem pomyślałam, że tylko mnie uspokajał. I miałam rację. Seweryn zadzwonił do mnie miesiąc temu. Powiedział, że ma fajne fotki, o których nie mam pojęcia, i że Władek też je

ma. To Seweryn kazał mi przyjechać do Polski.

— Umówiłaś się z nim tutaj i kiedy z Anitą zaszyłam się w mojej sypialni, ty go zabiłaś? Po prostu.

Ilka parsknęła sceptycznie.

Halina spojrzała na mnie wzrokiem zranionej pointerki i pociągnęła nosem.

— Seweryn miał tutaj przyjechać i mi je oddać za... opłatą.

— No i proszę! Jest motyw. A jak drobna to była kwota?

— Piętnaście tysięcy euro. Powiedział, że wtedy na studiach to on mi płacił, teraz czas, bym mu zwróciła. Taka wzajemna pomoc — bąknęła, zasłaniając się kieliszkiem.

— Zabiłaś go? — spytała Ilka takim tonem, jakby chciała się dowiedzieć, czy na dworze jeszcze pada.

— Nie zabiłam. Nawet z nim nie rozmawiałam, nie odbierał moich telefonów. Nie dzwonił. W jego mieszkaniu go nie było. To mi nawet pasowało. Przemyślałam sobie jednak wiele rzeczy i nabrałam pewności, że zdjęcia są również u Władka na zamku. Wiedziałam, że będzie wyjeżdżał. Napisałam maila, odpowiedział, ale ze sporym opóźnieniem. W sumie niedawno. Wydawało mi się, że z Sewerynem w ogóle nie rozmawiał na ten temat. Przedtem myślałam, że mieli układ.

— I że będą cię tak doić we dwóch — dodała Ilka. Miała minę, jakby połknęła robala wraz z jabłkiem. — Powinnyśmy się stąd wynieść, Mati. Nie mam zamiaru mieszkać u szantażysty.

— Mówię, że mi się tylko tak wydawało. I nie przerywaj, jeśli nie chcesz, bym straciła wenę. Wątpliwości pojawiły się, gdy usiłowałam skontaktować się z Władkiem. Było to niemal niemożliwe. Najpierw w Verbier mnie nie poznał, potem pozwolił wpaść, ale też trwało, zanim odpowiedział na maila. Sama mówiłaś, że ten jego mail do ciebie był spóźniony. U mnie podobnie.

— To akurat prawda — odparłam — tyle że otrzymałam go z datą wysłania

wcześniejszą, niż go faktycznie znalazłam, a sprawdzałam pocztę. Ośleplam? Internet szaleje i poczta internetowa idzie kilka dni?

— Kiedy się do was wprowadziłam, nie myślałam o Sewerynie. Chciałam zobaczyć, co znajdę w zamku. Bo zamieszkanie tutaj i wykorzystanie sytuacji wydało mi się genialne, a wyjazd Władka był zrzędzeniem losu. Gdybym znalazła zdjęcia, dowiedziałabym się, co na nich jest i czy warto za nie płacić. Teraz myślę, że Władek mógł nie mieć pojęcia o planach Seweryna.

— Ale nie wykluczasz, że ma drugi komplet fotek?

— No właśnie. Nawet na to liczyłam. Zaraz potem przyjechała Ilka ze szpitala i Anita z tymi pierogami. Z Sewerynem jeszcze nie byłam umówiona. Nie jestem pewna, czy wiedział, że już przyjechałam. Od tamtych czasów widziałam go tylko raz — z nożem w piersi na tutejszym podwórku. — Wrednej trzęsły się kolana, jakby siedziała na dwudziestostopniowym mrozie. — Niestety nie zdążyłam z nim ani porozmawiać, ani mu zapłacić, ani go kopnąć w tyłek.

— Przestań się trząść jak głupia bździągwa. Jeden trup! Wielkie rzeczy. W końcu to był mój narzeczony, a jakoś umiem się opanować. Wierzysz jej? — zapytałam Ilkę.

— Hm... — Ilka, mrużąc oczy, zdusiła peta w dużej popielniczce zrobionej z jeleniego poroża, którą znalazłam w piwnicy, umyłam i przywróciłam domowi. — Idę po jakiś inny alkohol. Co chcecie?

— Ja koniak, stoi tutaj.

— Jeśli mogę prosić, to jakieś białe wino. — Halina zakołysała pustym kieliszkiem po koniak.

— O mamusiu! — Ilka stanęła jak wryta. — Tutaj nie ma białego wina. Jak można coś takiego pić? — Obejrzała się ze zgrozą. — Biała jest tylko wódka albo dama. Możesz dostać wódki. Z czymś ją zmieszam. Tymczasem kontynuuj, proszę.

— To wszystko — zapiszczała śmiesznie Wredna.

— Jakie wszystko? — Ilka przechyliła głowę.

— Opowiedziałaś łzawą bajeczkę — podjęłam. — Seweryn już ci nie grozi, to czego jeszcze szukasz? Przecież dzisiaj szukałaś. Nie jesteśmy ani ślepe, ani głupie.

— Przecież mówię, że zdjęć. Głuche jesteście? Władek też je ma. Może tego nie pamiętać. A co, jeśli pamięta i to samo przyjdzie mu do głowy? Mam wyjść za mąż za hrabiego! Muszę być czysta. — Wyrwała mi z ręki paczkę papierosów, trzęsącymi się palcami wydłubała jednego i zapaliła.

— Trzeba było gołego dupska nie pokazywać przed aparatem. To się nigdy dobrze nie kończy.

— Mati, proszę, ty już mi nie dokładaj. Muszę mieć te zdjęcia. Czy mogłybyście mi pomóc ich szukać?

— Władek prosił, by nie szperać. Ja mu nie grzebię — odparłam, zastanawiając się, czy jej pomóc, ale nie miałam jeszcze wszystkich informacji. — Kiedy tak wyładniałaś?

— Mam zostać... Cholera! Zostanę hrabiną. Żeby nie wiem co! — Halina wstała i zaczęła się przechadzać, wydeptując ścieżkę jak na wybiegu. — Byłam w specjalnej klinice. U nas są takie. — Wkurzało mnie to jej łażenie, bo wyraźnie było widać, jak się porusza. Musiała również uczestniczyć w lekcjach wdzięku i rytmiki. Zatrzymała się przy oknie.

— Hrabia ci zapłacił? — drążyłam.

— Nie, on o tym nie wie. Dorobiłam się sama. Okazało się, że mam talent do charakteryzacji. Na początku pracowałam w teatrze, potem brałam prywatne zlecenia. Dobrze mi szło — pochwaliła się, patrząc w okno, za którym wyraźnie coś mignęło. Poderwała się i przytknęła głowę do szyby.

— Wolny miał rację. Chyba faktycznie Władek przyjechał!

Halina ruszyła do drzwi. Szarpała się ze śrubokrętem, bo Ilka odłożyła gdzieś klamkę i zapomniała gdzie.

W tym czasie mimo ciemności dostrzegłam za oknem białą czuprynę. Jakaś ważna myśl przebiegła mi przez głowę, ale znikła tak samo szybko, jak się pojawiła.

— Odłóż ten śrubokręt i nie wychodź. — Zdążyłam zatrzymać Wredną, nie wiedząc właściwie po co. Coś mi się bardzo nie podobało.

— Słuchajcie — powiedziała Ilka, nie ruszając się z fotela. — Mati, stawiasz na tego zabitego złoczyńcę, że te pootwierane drzwi do drewnitni i częste hałasy to jego robota, ale to nie on mnie walnął. Był brunetem i miał krótkie włosy. Wprawdzie leżał, ale i tak stwierdzam, że jakiś mniejszy był.

— Bo już się rozkładał — zawyrokowałam.

— Może to ten, który zabił Seweryna? — zasugerowała Wredna nieśmiało.

— Trzeba policzyć, ile minęło dni od śmierci Seweryna i od jak dawna ten złoczyńca nie żyje. Policja musi to wiedzieć.

— Mnie się klaruje trzeci scenariusz — wtrąciła Ilka i wstała. — Mati, zadzwoń na numer Władka. Otwórzmy okno i posłuchajmy. Nie może być, że jest w Irlandii i jednocześnie pęta się pod tym domem, chyba że wszyscy macie zespół urojeniowy. Na zbiorowe zwidy mi to nie wygląda.

Zadzwoiłam. Wszystkie trzy nasłuchiwałyśmy przy oknie.

— Nic z tego.

— Napisz mu maila. Niech oddzwoni — powiedziała Wredna. — Jeśli znajduje się w pobliżu komputera, to nie może spacerować wokół Sarniego Dworu. Chyba że ma smartfona, ale wątpię, bo Władek nigdy nie lubił nowinek.

— Czasem powiesz coś rozumnie.

Wstałam i pobiegłam do komputera. Wysłałam wiadomość: „Władek, odezwi się. To pilne”. Dla porządku również zadzwoniłam, ale z tym samym skutkiem. Wróciłyśmy do kominka. Wredna westchnęła, a z braku białego wina rozlała koniak do trzech kieliszków. W milczeniu piłyśmy, czekając

na odpowiedź.

Godzinę później Halina mimo nocy wybrała się na spacer w świetle księżyca.

— Otworzycie mi, gdy wrócę? Muszę się przewietrzyć. O tej porze na pewno nikt się nie kręci, bo i po co.

Wyszliśmy z nią na dziedziniec. Mdłe światło księżyca kładło makabryczne cienie rodem z powieści Kinga. Mimo to Ilka namówiła mnie na krótki spacer wokół zamku. Zatrzasnęłam drzwi i wrzuciłam śrubokręt do kieszeni. Nie spotkałyśmy nikogo podobnego do Władka, ale żadnego policjanta również nie widziałyśmy.

— Ktoś miał nas ochraniać, czy mam zbyt bujną wyobraźnię? — Rozejrzałam się.

Tylko kilka nietoperzy patrolowało teren.

Wróciłyśmy i zalogowałam się na pocztę. Była odpowiedź: „Co Cię męczy?”. Odpowiedziałam: „Zadzwoń na moją komórkę z telefonu stacjonarnego, proszę. Musimy porozmawiać”. Po minucie usłyszałyśmy sygnał. Pokazałam Ilce ekran.

— Kierunkowy plus trzy pięć trzy... To Irlandia — potwierdziła.

— Zatem Wredna ma przywidzenia — powiedziałam.

— Staszek Wolny też? To kim był facet, którego Halina spotkała w Alpach? — zapytała szeptem i wskazała na telefon, który zakrywałam dłonią.

— Władek! — Nie miałam nic przeciwko kolejnemu testowi. — Czy Napoleon na coś chorował?

— Wydaje mi się, że raz już pytałaś, ale chyba pijany byłem. Bo co? Coś mu się stało, normalnie? Ma słabe serce. Czasem mdleje.

— Jak człowiek?

— No tak, ale zawsze jakoś z tego wychodził. A co? Coś mu się stało? —

Jakość połączenia była fatalna, trzaski, szумы i momenty ciszy zagłuszały lub zniekształcały pojedyncze słowa. Mimo całej tej nowoczesnej techniki czasami ledwo go rozumiałam.

— No właściwie... tylko się nie denerwuj. On stracił przytomność.

— O cholera! Co tam się dzieje, normalnie?! — W słuchawce prócz niewyraźnego głosu Władka coś chrobotало, jakby usiłowało przegryźć wirtualny kabel. — Może ty jedź do domu, Mati, bo jeszcze tobie coś się stanie. Zawieźliście go do weterynarza? Nie no, normalnie! — W jego głosie słyszałam autentyczną troskę.

— To on. Władek — powiedziałam bezgłośnie do Ilki niemalże wsadzającej mi głowę do telefonu. W końcu przełączyłam na tryb głośnomówiący, kładąc palec na ustach.

Opowiedziałam Władkowi dość ogólnie o sytuacji, jaka panuje na zamku, ale nie wspomniałam słowem o przypuszczeniach Haliny i Staszka Wolnego, że pewnie się bilokuje. W końcu postanowiłam zaryzykować. Spojrzałam na Wredną, gestem nakazując milczenie.

— Słuchaj, Władek, nie wiem, czy wiesz, bo już mi się wszystko miesza... mówiłam ci, że Seweryn nie żyje? Dostał nożem na twoim dziedzińcu.

— Mówiłaś. Przykro mi. To już drugi przypadek śmierci na zamku. Mam tylko nadzieję, że mnie nikt nie podejrzewa. A to nie ty go stuknęłaś, normalnie? To by było całkiem w temacie. Mówię ci, lepiej stamtąd wyjedź.

— Pomyślę nad tym. Powiedz mi jedno, to z innej parafii. Wiesz coś na temat zdjęć, które podobno robiliście Halinie Kwiatkowskiej jeszcze na studiach?

— O czym ty mówisz? Niczego sobie nie przypominam. Słuchaj, Matylda, muszę kończyć. Odezwe się, normalnie.

Rozłączyłam się. To jego „normalnie” zaczynało mnie wkurzać, ale gdyby nie ono, to przy tej jakości połączenia mogłabym Zbierackiego nie rozpoznać. Posiedziałyśmy jeszcze chwilę. Atmosfera jednak stała się gęsta jak na sali

sądowej. Ilka poszła się położyć. Ruszyłam za nią, bo czułam, że zaraz zasnę przy kominku. Halina powiedziała, że posiedzi na dole jak myszka i będzie pilnowała ognia. Nie miałyśmy nic przeciwko temu. Niech sobie tych zdjęć sama szuka.

Nocna cisza, która powinna w końcu zapanować, była jedynie pobożnym życzeniem. Skrzypienie schodów usłyszałam, kiedy odpływałam w sen zmęczona i po alkoholu. Nie przywiązałam do tego wagi, nawet nie byłam pewna, czy mi się nie śniło. Sprawca wszelkich nieszczęść, jak sądziłyśmy, został znaleziony w wieży, co powinno zamknąć zarówno policyjne, jak i moje domysły na temat chodzenia po drewnianych schodach. „Powinno” było słowem kluczowym. Jakaś część mózgu wysyłała sygnały obronne. Instynkt czy intuicja? Ilki nie miałam zamiaru pytać.

Zostałyśmy we trzy, najczęściej milcząc i schodząc sobie z drogi. Mnie trzymał na zamku obowiązek wynikający z niepisanej umowy z Władkiem, Ilkę przykuł honor, bo nie zwykła się wycofywać z trudnych sytuacji. Kazała mi zająć się sobą, zbliżającym się wernisażem i odczepić od gospodarstwa. Zwiedzała okolice zamku przeważnie wtedy, kiedy Wolny wypuszczał na wybieg konie. Lubiła się im przyglądać. Jej cera nabierała dawnego blasku. Schudła sześć kilogramów i z pogardą odnosiła się do propozycji Wrednej i kliniki w Szwajcarii. Obiecała czuwać nad wszystkim sama i wliczało się w to pilnowanie Wrednej.

Ta zaś z wypiekami na policzkach i rozczochranymi włosami na zmianę przeszukiwała Sarni Dwór i znikła w lesie. W lesie znikła częściej.

Ja malowałam. Zadzwoiłam nawet do Kariny i powiedziałam, że zdążę. Raz śniło mi się, że słyszę skrzypienie schodów. Sen czy jawa, nie poświęciłam temu specjalnej uwagi.

Tego popołudnia siedziałyśmy razem przy herbacie.

— Będiesz jak gwiazda — powiedziała Halina, przyglądając się Ilce. — Zrobią z twoim ciałem, co tylko zechcesz. Dosłownie wszystko. Tym bardziej

że nie jest najgorzej. Wystarczy tu i tu. — Wskazała palcem jej uda i brzuch. — O, tutaj łatwo odessać, a to wygimnastykujesz. Nogi, no cóż, na nogi można włożyć spodnie.

— Ilka ma świetne nogi! — wrzasnęłam. Nie mogłam już tego słuchać, ponieważ znęcała się nad nią od dwóch kwadransów.

— Mówię ci, nie będziesz żałować. — Rzuciła mi krótkie, obojętne spojrzenie i postukała palcem wskazującym w udo Ilki. — Siłownia raz dziennie po godzinie. Zobaczysz, że po kilku miesiącach siebie nie poznasz. Piękne ciało to zawsze atut.

— I niby do czego on mi potrzebny? Moim atutem jest głowa — odparła Ilka, osuwając się w fotelu.

— A, to. No fakt. Masz świetne włosy. Dobry fryzjer da sobie radę. Twarz też niczego sobie. — Halina zaczęła dotykać podbródka i linii kości policzkowych swej ofiary. — Ładny zarys i nie gromadzi ci się tutaj tłuszcz.

Mówiła prawdę. Ilka miała ładnie i wyraźnie zarysowane kości policzkowe, ostrą linię podbródka, który mimo masywnej postury nie wspierał się na drugiej brodzie, a oczyma mogła konkurować z jałówką. Poza tym cerę miała zawsze gładką, godną pozazdroszczenia. Niemniej na jej twarzy błąkał się wyraz zagubienia.

Czekałam, kiedy weźmie się w garść i huknie Wredną w tę blond łepetynę, ale pani profesor, zdołowana przez specjalistkę od wizerunku, osuwała się coraz niżej, jakby chciała zapaść się w fotel.

— Jej atutem jest głowa, bo ma w niej poukładane, kretynko. O czym my w ogóle rozmawiamy?! Ilka ma wiedzę, zawód, prestiż, autorytet i jest kimś. Kimś przez duże K. Rozumiesz? — warknęłam. — I nie udawaj idiotki. Może wzięłabyś się za odkurzanie? Miał być z ciebie pożytek!

— Muszę znaleźć te zdjęcia, jak rodzina hrabiego się dowie... — wymamrotała pod nosem i urwała, ukrywając twarz w dłoniach.

— To nie przeszkadza, byś teraz wyjęła odkurzacza. Seweryn nie żyje, nie

będzie cię szantażował. Zostaniesz sobie tą hrabiną, ale w twoim przypadku to akurat nie jest zasługa głowy. Raczej ciała. I odczep się od Ilki — powiedziałam.

— No nie wiem, czy akurat nie głowy. — Ilka uniosła się w fotelu i wyprostowała. — To wymaga sprytu i odwagi. Takie małżeństwo z rozsądku. Nie jestem pewna, czy potrafiłabym...zostać hrabiną.

— Myślicie, że jestem dziwką. Doskonale to wiem. Ale nie byliście w mojej skórze, nie macie pojęcia, co przeszłam, na co człowiek się godzi w różnych sytuacjach.

— Niepotrzebnie się unosisz — powiedziała Ilka takim tonem, jakby mówiła do pacjenta. — Uważam, że każdy jest kimś, a ty jesteś zwykłą kobietą. Może ładniejszą od wielu, zgrabniejszą, może masz więcej silnej woli i samozaparca i bardziej skupiasz się na ciele, ale to przecież twój wybór. Moim wyborem było zaprząć głowę do roboty. To prawda, że zapomniałam o sobie. Moja podświadomość i geny zaś zrobiły, co mogły. Raczej dużo. — Ilka zobrazowała te działania okrągłym ruchem, otaczając całą swoją sylwetkę. — Zabrakło mi czasu, a potem motywacji.

— Toteż ci mówię, że tylko pojedziesz, a już oni sami...

Ilka uniosła dłoń pańskim gestem. Halina zamilkła.

Zostawiłam je i poszłam do swojej sypialni. Zastanawiałam się, jak długo Kwiatkowska będzie musiała ćwiczyć takie gesty, które Ilka wykonuje zupełnie bezwiednie.

Rozdział 10

W środę Wredna zniknęła z samego rana. Słyszałam stukanie jej butów na schodach i zamykanie drzwi na dole. Nie zwróciłam na to uwagi, gdyż zdążyłam się przyzwyczać. Telefon mnie informował, że za pasem Wszystkich Świętych i nie mam żadnych planów. Słońce leniwie przedzierało się przez warstwę chmur, błyskając w okno fleszem.

Nic nie zapowiadało burzliwych wydarzeń. Kontakt z Władkiem został nawiązany, wypuszczony z wieży tryk tkwił uwięziony razem ze stadem w stodole, kuc — zdrowy i radosny — strzelał spojrzeniem w kierunku jałówki, a nieszczęsny intruz skończył ze skręconym karkiem na stole patologa. Domniemanie, że chodzi o mordercę narzeczonej, było moim pobożnym życzeniem, bo tak naprawdę nadal nie miałyśmy pojęcia, kto tam zginął. Komisarz nas nie informował. W nocy spałam bez snów i koszmarów. Tylko jeden mały szkopuł w postaci wydumanego Władka objawiającego się tu i ówdzie fałszował mi szczęśliwą rzeczywistość. I mimo że istnienie sobowtóra Zbierackiego nie zakłócało mi snu, to odczuwałam je jak drzazgę pod paznokciem. Logika wskazywała, że nastąpił przełom i w końcu powinien zapanować spokój. Gadzia część mózgu niemająca wiele wspólnego z rozsądkiem krzyczała, że powinnam uważać. A może byłam przewrażliwiona?

— Na wieczór zaprosiłam gości — powiadomiłam Ilkę, gdy rozespana zeszła na śniadanie. — To znaczy Anitę ze Staszkiem i szanownego komisarza. Już zadzwoniłam. Będą o siedemnastej. Niedługo Halloween, więc zrobimy przyjęcie.

— Oczywiście zaprosiłaś ich zupełnie bezinteresownie — domyśliła się, grzebiąc w szafkach. Znalazła zamknięte jeszcze opakowanie kawy Jacobs, otworzyła je samymi palcami i wsypała trzy łyżeczki do czarnego kubka

z napisem „roboty drogowe”.

— A mogłabym inaczej? — Podałam jej z uśmiechem czajnik z wrzącą wodą.

— Słusznie. Dawno ich nie było.

— Masz rację. Chcę przesłuchać komisarza.

— Akurat coś ci powie.

— Powie, nie powie. — Nie wierzyłam, by Mleczek dokładnie nie sprawdził Seweryna. Z pewnością przeświecił jego życie od momentu poczęcia. — Jestem ciekawa, komu Seweryn tak bardzo zależał za skórę. Musiało to być coś więcej niż porzucenie przed ołtarzem i szantaż.

— Może faktycznie policji się wymknie.

— To jednak dziwne. Do tej pory byłam przekonana, że to właśnie ten facet ukrywa się u nas, grzebie w naszej lodówce i co chwilę zrzuca drewno, jakby nie potrafił poruszać się po cichu, że to on walnął parobka i ciebie, ale ostatnio naszły mnie wątpliwości. Dzisiaj w nocy słyszałam skrzypienie schodów, wprawdzie nie jestem pewna, czy mi się nie śniło, ale coś mnie gniecie u podstawy czaszki.

— Ja nic nie słyszałam. Spałam jak dziecko.

— Ja nie wiem, Ilka, ale nie daje mi spokoju hipotetyczne powiązanie Seweryna i tego od narzeczonej. Wiem, że to głupie, ale coraz częściej o tym myślę. Jak sądzisz, czy mój niedoszły mąż mógł być zamieszany w narkotykowe interesy miejscowej mafii? Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

— Sądzisz, że się znali? Seweryn i złoczyńca? W mafię nie wierzę. Ale masz rację, trzeba komisarza przepytąć.

— Mam nadzieję, że ci się uda — wyburczałam z głową w kredensie.

— Ja mam go pytać? Właściwie mogę... Co tam robisz?

— Szukam obrusu, który można pokazać ludziom. Ten może być? —

Rozpostarłam w powietrzu wielkie robione na szydełku rękodzieło. Nawet nie było go czuć stęchlizną. — Ilka, męczy mnie ten podwójny Władek. Przecież jego numer miał irlandzki początek, zatem kogo widzieli Wolny i Wredna? Jednemu z nich mogło się wydawać, ale dwie osoby z takim samym przywidzeniem?

— Musimy przygotować coś do jedzenia i picia. Ten obrus jest pognieciony — powiedziała Ilka, wchodząc do kuchni.

— Nie szkodzi. Przykryje się zastawą. Przynajmniej alkoholu jest wystarczająco dużo — powiedziałam, przerzucając stos również nie do końca wyprasowanych serwet.

— Wypada upiec ciasto i przygotować przynajmniej jedno ciepłe danie.

— Polemizowałabym. — Czułam wstręt do zajęć kuchennych i Ilka doskonale o tym wiedziała.

— Spokojnie, potrafię zrobić pizzę — prychnęła. — O ile wiem, mamy do niej wszystko. Jest mąka, suche drożdże. Resztę znajdę w lodówce.

— Kupiłaś drożdże? Hej, koleżanko! Chciałaś pizzą karmić tego z dupką?

— Mówisz może o postawnym i przystojnym sierżancie Tomku? Jego też zaprosimy?

— Owszem, mówię o tym z tyłkiem. I nie, jego nie prosiłam.

— Sprecyzuj. Tyłek to akurat mieli obydwaj. Twój Mareczek też ma. I wcale nie gorszy.

Spojrzałam na nią z rosnącym zainteresowaniem.

— Oglądałaś tyłek komisarza? I dlaczego, do cholery, mówisz „twój Mareczek”?

— Jest niczego sobie. — Ilka zrobiła buzię w ciup. — Poza tym jest słodki.

— Halinka namówiła cię na klinikę w Szwajcarii? Może na dietę Dąbrowskiej?

— Spadaj! — Ilka odsunęła mnie od stołu. — Tutaj się pracuje.

— Nie przesadzaj, jeszcze nawet nie zaczęłaś. Słuchaj, Ilka, czy my zrezygnowaliśmy z odkrywania tego, co jest w wieży na pięterku? W tej chwili akurat nie ma Wrednej. Możemy tam iść. I nie kusi cię korytarz pod jałówką? Może jutro się wybierzemy? W tajemnicy, jak już goście pójda i nikt nas nie będzie nachodził. Ostatecznie policja sama sobie znajdzie winnych. Co nas to obchodzi?

— Mnie obchodzi. To ja zostałam poszkodowana.

— Zostałaś walnięta, fakt! — roześmiałam się. — Jak wszystko tutaj.

Ilka spojrzała na mnie tak, że aż mnie dreszcz przeszedł, a było to tylko ostrzeżenie. Wydawało mi się, że ją znam, ale teraz zrozumiałam, że nie chciałabym mieć w niej wroga.

— Dobrze, żartuję. A tak serio, nie masz ochoty wybrać się na małą wycieczkę? Skoro nie na cmentarz, to dokądś musi ta odnoga spod jałówki prowadzić. Wieża mnie chwilowo przestała interesować. Pójdziemy, jak wszystko się wyjaśni.

— Powinnaś dokładniej przepytac Anitę o te korytarze. — Ilka wsypała mąkę do dużej miski i otworzyła torebkę z drożdżami. — Podaj mleko.

— A Halina? — zapytałam, sięgając do lodówki. — Pozbycie się jej nie będzie takie proste.

— Możemy ją wziąć ze sobą, jeśli będzie grzeczna, ale wolałabym nie. — Ręka Ilki zawisła nad miską i posypał się z niej strumień węglowodanów oraz glutenu. Odstawiła naczynie na stół i spojrzała na mnie. — Dokąd ona znowu poszła?

— Pobiegać. Chyba. Włożyła te swoje specjalne buty. Nie sądzisz, że trochę długo to trwa jak na bieganie.

Ilka popukała się w czoło.

— Nigdy tego nie zrozumie.

— Ale do tunelu możesz iść? Nic cię nie boli?

Ilka pomacała się po głowie, poruszyła tułowiem i wzięła głęboki oddech.

— Boli trochę, ale to mnie nie powstrzyma. Jasne, że pójdę.

Podjęcie decyzji o jutrzejszej wycieczce pozwoliło nam skupić się na kucharzeniu i dzięki temu już o szesnastej miałyśmy pizzę gotową do włożenia do piekarnika, ciasto z jabłkami przykryte pianą z białek, zupę cebulową z białym winem, gulasz i do niego placki ziemniaczane. Ilka gotowała, ja sprzątałam.

Chwilę później wróciła Halina. Nagle i z rozmachem rzuciła kurtkę na wieszak, podparła się pod boki i dysząc, zapytała:

— Co to za dom w lesie?

— Jaki dom? Nie mam pojęcia. Nie zwiedzałam okolicy, bo okoliczności nie sprzyjały.

Wymieniłyśmy z Ilką spojrzenia. Wzruszyła tylko ramionami.

— Na wprost od stodoły idzie miedza, dalej jest zarośnięta, ale mimo to widoczna wąska dróżka, która wiedzie do lasu — powiedziała Halina, zrzucając obuwie. — A dom stoi jakieś dwa kilometry w głąb, nieco z boku. Z tej ścieżki go nie widać. Ja zboczyłam, ponieważ zaintrygował mnie potężny buk, wokół którego nic nie rośnie. Potem był taki sobie niemrawy i zarośnięty staw z rzęsą i groblą, a dopiero za nim ten dom. — Weszła do kuchni, uniosła pokrywkę garnka z zupą i zaczerpnęła chochlą. — Wydaje się opuszczony, ale nie mam pewności. — Siorbnęła zupy. — Wygląda, jakby ktoś wokół niego się kręcił. Niedopałki, puszki po piwie, kawałki folii. Typowy śmietnik. Pytałam Staszka. Spieszył się z tym karmieniem, żeby zdążyć na kolację, i powiedział mi tylko, że to po robotnikach leśnych. Wydawało mi się, że mu przeszkadzam. Zły był. Tych zwierząt jest okropnie dużo, ale żeby aż tak się złościć. W końcu mu płacisz.

— Zostaw to! — Ilka podniosła głos, odbierając jej chochlę. — Dzieciaki ze wsi pewnie mają tam metę. Opuszczony dom to raj. Okazja do

praktykowania zakazanych harców — dodała już normalnie. — Halina, przebierz się i nakryj stół. Goście będą. Wymigałaś się od gotowania, ale możesz się wykazać artystycznie.

— Dobrze, pani psorko! — Halina jak żołnierz trzasnęła piętami i pobiegła na górę.

— Hrabina — mruknęłam, by nie usłyszała.

— Dzieciak. — Ilka patrzyła za nią z rozczuleniem. Mimo ostatniej kłótni wydawała się lubić Halinę bardziej niż w szkole.

O szesnastej dwadzieścia usłyszałam wyraźne, aczkolwiek nieśmiałe pukanie do drzwi. Spojrzałyśmy na siebie. Prezentowałyśmy się mało dystyngowanie, gdyż ja byłam w rozciągniętych dresowych spodniach i wygniecionym podkoszulku, a Ilka miała na sobie piżamę. Stół znajdował się w stanie roboczym, zarzucony serwetami, które do niczego się nie nadawały, stosem talerzy i niekompletnymi sztućcami, na co wcześniej żadna z nas nie zwróciła uwagi, gdyż po prostu wystarczały nam pojedyncze egzemplarze.

— Czyżby Anita miała zamiar nam pomóc? Ma być gościem — powiedziałam, zgarniając bałagan do kuchni. Byłam zdziwiona, gdyż Anita nigdy nie pukała, tym bardziej gdy drzwi były otwarte.

— Śrubokręt — powiedziała Ilka, stukając się w głowę. Ale sama się nie ruszyła.

— Dlatego puka. Poczekaj chwilę! — zawołałam.

Sprawdziłam na małym stoliku stojącym w pobliżu drzwi frontowych. Błat był wypucony, lecz niestety pusty.

— Halina! — krzyknęłam na tyle głośno, by słychać mnie było zarówno u góry, jak i za drzwiami. — Oddaj śrubokręt!

Pukanie się powtórzyło, ale brzmiało niezbyt natarczywie. Na wszystkich

było za wcześnie. Dziwne, a może to Władek?

— Zaraz! — krzyknęłam. — Zgubiłyśmy śrubokręt.

Po kolejnej minucie, w trakcie której Wredna nie dała znaku życia, usłyszałam skrobanie w zamku. Drzwi się otworzyły i do środka wkroczył komisarz Mleczek. Przed sobą jak tarczę dzierżył olbrzymi bukiet róż. Włożył obcisłe dżinsy, granatowy sweter w szpic i pachniał Paco Rabanne. Aż mnie ścisnęło w dole brzucha. Przełknęłam ślinę. Byłam ubabrana w mące, nieumalowana, nie wspominając o stroju. Możliwe też, że wszystkie wiążące się z tym uczucia były widoczne na mojej twarzy, bo Mleczek zapytał:

— Jestem zbyt wcześnie?

— Nie, skąd! — Psychiatra z doświadczeniem zareagowała przytomnie. — Zjawił się pan w doskonałym momencie. Trzeba zająć się drewnem do kominka i samym ogniem, a my na sekundę pana opuścimy.

Złapała mnie za rękę i pociągnęła do góry.

— Zamknij dziób i się pospiesz. Ślina ci cieknie, a powinnaś zejść do niego w taki sposób, żeby to jemu ciekła.

— Ale... nie mam zamiaru...

Ilka pchnęła mnie do łazienki i zamknęła za nami drzwi.

— Uwierz mi. On na ciebie leci. Dzisiaj można przyjąć, że dochodzenie skończone i jest po sprawie. Przyszedł prywatnie i będzie smalił.

— Cholewy? — zapytałam. — Skąd ty znasz takie powiedzonka? A kwiaty? To dla nas czy dla mnie? Co mam z nimi zrobić?

— Dawaj, ja je wstawię! Uspokój się i do sypialni! Zrób się tak, by w końcu stracił tę pewność siebie! — Trzepnęła mnie po plecach i poszła do siebie.

Uwinęłam się w siedem minut. Zamiast pełnego makijażu podkreśliłam tylko oczy, a na usta położyłam odrobinę błyszczyku. Włożyłam sukienkę

o przyzwoitej długości pięciu centymetrów poniżej pośladków, szpilki, z którymi podobnie jak Ilka się nie rozstaje, i prawdziwe perły w delikatnym różowym kolorze, żeby dodać sobie powagi. Inna sprawa, że ładnie układały się na dekolcie. Cycki podrasowałam push-upem, który dodał mi pewności siebie. Rozpyliłam nad sobą chmurkę perfum. Jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro i stanęłam na schodach.

Komisarz klęczał przed kominkiem i grzebał w palenisku. Stermta drewna piętrząca się obok gzymsu urosła znacząco, a miał na to tylko siedem minut. Na odgłos moich kroków uniósł głowę i... się zawiesił.

— Och, dziękujemy, jaki pan szarmancki! Wystarczy na kilka dni — powiedziała Ilka za moimi plecami. Zdążyła odstawić się w czarne spodnie z jedwabiu i luźną koronkową bluzkę ze śmiałym dekoltem, zgodnie z zasadą, że jedno można odkryć: albo nogi, albo biust, broń Boże, nie wszystko naraz. Szkoda że mi o tym nie przypomniała, ale było już za późno.

— Mówiła pani, żeby wrzucić, to wrzuciłem — wydukał, patrząc na moje nogi. Aż miałam ochotę obciągnąć sukienkę, gdyby to było możliwe. — Czy to jakaś specjalna uroczystość? Mam wrażenie, że coś mi umknęło.

— Na Wszystkich Świętych wyjeżdżamy. To znaczy będziemy przez kilka dni w Katowicach i chciałyśmy przed wyjazdem podziękować... napić się z ludźmi, z którymi zżyłyśmy się tu na zamku. Matylda uważa, że nikt nam już nie zagraża i trzeba to jakoś uczcić.

— Ja tak uważam? — bąknęłam pod nosem. Co ta Ilka kombinuje?

— O czym pani mówi? — spytał Mleczek nie mniej zdziwiony.

— No dobrze, wiem, to bzdury — przyznała Ilka — po prostu chciałam trochę pana przepytąć. Pobędziemy jakiś czas w normalnym świecie, a potem jak Mati odpocznie, zacznie może malować. — Ilka ciągnęła swoje, a ja patrzyłam na Mleczkę ciekawa, co powie.

— Wydawało mi się, że pani Matylda już dawno zaczęła malować, ba, nawet skończyła. Ale... zaraz. Panie mają zamiar tutaj wrócić? — Spojrzał

na mnie zdumiony.

— Oj, panie Marku, nie udawajmy. Doskonale wiemy, że szukaliście mordercy narzeczonej z monopolowego. Jeśli mnie mój nos nie myli, to znaleźliście go wczoraj. Nie musi pan ani zaprzeczać, ani potwierdzać. Chociaż tak uczciwie, to mógł nam pan to sam powiedzieć. Należy się nam prawda, zasłużyliśmy na nią, chociażby dlatego, że musiałyśmy go wachać.

— To i tak niczego nie zmienia. On nie mógł zabić Kruczyńskiego, bo zginął wcześniej.

— Same się tego domyśliłyśmy. Zapach nam podpowiedział. I to nie on zagrażał naszemu bezpieczeństwu — odparła Ilka.

— Fakt, jadł moje morele i mnie nie zabił. — Przypomniały mi się nocne hałasy, ale teraz już nie wiedziałam, czy było to przed śmiercią złoczyńcy czy po niej.

— Mati ma rację. Jest inny sprawca, ale jestem przekonana, że zagrażał tylko Sewerynowi.

— Skoro pani to wie...

— Nie wiem. Dedukuję — powiedziała Ilka, stukając w goły blat starego mebla. — Gdzie ta Halina? Miała nakryć stół.

Młeczko westchnął.

— Pani też ma zamiar zostać? — odwrócił się do mnie, bo Ilka zajęła się już kuchnią.

Wydawało mi się, że w jego wzroku była i troska o moje bezpieczeństwo, i nadzieja, że zostanę. W obecnych okolicznościach były to sprzeczne sygnały, ale sprawiły mi przyjemność.

— Obiecałam Władowi — zaczęłam, bawiąc się perłami — że posiedzę ten rok do jego powrotu. Też wierzę, że nic złego się tu więcej nie wydarzy. Moja nadzieja w panu.

— Mam pani obiecać, że nie będzie więcej trupów? — Przez chwilę

patrzył na moje perły, potem odwrócił się bokiem i wsunął dłonie do kieszeni. — Chciałbym mieć taką moc. Osobiście uważam, że to pani, Matyldo, posiada jakiś szczególny magnes na nieboszczyków.

— Następnym będzie Halina! — zawołała Ilka z kuchni. — Miała nam pomóc!

Mleczek zerknął w kierunku stołu i zaczął spacerować po holu. Poczułam irytację.

Rozważałam wydarcie się na Wredną, żeby wracała i wzięła się do roboty, w porę jednak uświadomiłam sobie, jak by to wyglądało z punktu widzenia mężczyzny, który na mój widok oniemiał. W dodatku jakaś część mnie najchętniej pozbyłaby się również Ilki, pozwalając mi zostać sam na sam z komisarzem, który wyraźnie się mną interesował. Nic z tego. Miałam intuicję, a tej coś śmierdziało. Zatem postanowiłam być czujna i darować sobie amory. Przynajmniej tego wieczoru.

Tuż przed piątą Ilka uznała, że zrobiła swoje.

— Kuchnia jest opanowana — rzuciła, zdejmując mój duży fartuch malarski. Nieznacznym gestem poprawiła włosy i rozsiadła się w fotelu przed ogniem.

Zapachy snuły się przez cały dom i apetyczną smugą znikwały w kominie. Haliny nigdzie nie było. Sprawdziłam. Zatem na mojej głowie został stół. Wydawało mi się, że rano drewniany blat z widocznymi słojami dębu przecierałam osobiście, tymczasem pełno było na nim białego proszku. Ilka robiła pizzę, przypomniałam sobie, i pewnie latała po domu, sypiąc mąką. Spojrzałam na podłogę, ale była czysta. Zdmuchnęłam pył ze stołu i przetrąłam blat dłonią.

Przyniosłam rozpostarty na komodzie obrus. Narzuciłam go na stół, wyrównałam wzory, wygładziłam zagniecenia, a na większych ustawiłam talerze. Filiżanki z podstawkami w różyczki i wszystkie kieliszki, jakie tylko

stały w przeszklonej witrynie, ustawiłam artystycznie, żeby każdy mógł pić, z czego mu bardziej pasuje. Lampki do wina były kryształowe i chyba bardzo stare. No ale przecież nikt nie będzie rzucał szkłem. Po przyjęciu umyję i schowam je na miejsce. Na środku stołu umieściłam dużą srebrną patere na ciasto. Wydawało mi się, że jest nieco eklektycznie, ale przyjemnie. Została zbieranina noży i widelców.

— Ilka, nie widziałaś sztućców bardziej skompletowanych? Możesz tu podejść? — zawołałam po kilku minutach poszukiwań, tkwiąc z głową w szufladzie tej samej komody. Robiło się już późno. — Anita ze Staszkiem się spóźniają. Wrednej nie ma. Szlag mnie zaraz trafi — zwierzyłam się.

— Za pięć minut szósta. To już godzina! Może nie przyjdą — powiedziała Ilka.

Wydawało mi się, że jakiś czas temu piknęła moja komórka, ale postanowiłam sprawdzić później, bo byłam zajęta szukaniem ładniejszych sztućców. Skoro Władek miał kryształy, to powinien mieć i srebra.

W drugiej szufladzie było wszystko. Nożyczki, jakieś papiery spięte w teczkach, ścierki do naczyń, kilka tetrowych pieluch i komplet śrubokrętów.

— Pomóż mi szukać, do cholery — powiedziałam szeptem. — Komisarz poczeka. Nic mu nie będzie.

Wyjęłam stos wyprasowanych ściereczek z nadzieją, że nadadzą się na serwetki. Rozłożyłam jedną. Z białego lnu, gęsto tkana, wokół misterny haft w czerwone różyczki. Zachwycona precyzją, przez chwilę zapomniałam, czego szukam i co tak naprawdę tutaj robię, nie tylko kucając przy szufladzie starej komody, ale również na zamku. Wyjęłam drugą. Chabry. Delikatne, wytworne, błękitna nitka z łatwością imitowała malunek i by ją dostrzec, trzeba było dobrego światła. Podniosłam stos pozostałych serwetek bliżej oczu.

W tym momencie wysunęło się z nich coś cięższego i sztywniejszego niż wykrochmalone płótno. Szara koperta w rozmiarze zwykłej książki. Przez

chwilę się wahałam. Była gruba i niezaklejona. Wysunęłam zawartość i... z sykiem wciągnęłam powietrze.

Ilka stała nade mną z zaaferowaną miną. Milczała. Chwilę kontemplowałyśmy zdjęcia, zdając sobie sprawę, że trzymam w ręku absolutny niewypał. Władek, o którym do tej pory myślałam z życzliwością i sympatią, ukazał się w zupełnie innym świetle.

— Nie dziwię się — wymamrotałam cicho — że Halina tego szuka. Ale chyba nie ma pojęcia, co to za nabój.

— Schowaj to — szepnęła Ilka.

Wsunęłam zdjęcia do szuflady i przykryłam ręcznikami.

Sztuńce przez przypadek — po kolejnych pięciu minutach nerwowego szukania otwieracza do butelek — znalazłam w kuchni, w kartoniku pod zlewem. Uczucia we mnie buzowały i nie potrafiłam podjąć decyzji: uzewnętrznic je czy ukryć.

Układałam widelce i noże obok talerzy, zastanawiając się nad kłamliwą naturą naszego gospodarza, gdy moją uwagę ponownie zwrócił biały pył na srebrnej paterze, którą całkiem niedawno postawiłam na środku stołu. Nie miałam na rękach mąki ani wtedy, ani teraz. Przyjrzałam się naczyniu. Z bliska paprochy wyglądały jak drobiny tynku. Spojrzałam w górę, ale dostrzegłam tylko niegroźne łuszczenie się wapna, właściwie naturalne w starych budowlach.

— Patrzysz na ten tynk? — Ilka machnęła ręką. Siedziała przy kominku i jednym okiem obserwowała moje poczynania. — Już wczoraj to zauważyłam. Wszystko tu trzeszczy i się sypie.

— Pani Matyldo, niech pani rzuci te talerze. Wolnych jeszcze nie ma, więc proszę wreszcie z nami usiąść, bo pomyślę, że unika pani mojego towarzystwa. To miał być wieczór przyjemny, a nie pracowity. Równie dobrze możemy pić piwo przy tym oto odrapanym stoliku. Mnie to nie przeszkadza.

Zamierzałam się odgryźć, ale uświadomiłam sobie, że były to najmądrzejsze i najbardziej przyjazne słowa, jakie tego dnia usłyszałam. Spojrzałam z wdzięcznością na mężczyznę, który w końcu mnie zauważył, oczywiście nie licząc tego cudownego wcześniejszego zawieszenia, gdyż reakcja taka była tylko zwykłym odruchem. Każdy facet zaniemówiłby na widok damskich nóg w cielistych rajstopach, szpilkach i zbyt krótkiej sukience. Ostatecznie po to je na siebie włożyłam. Zasiadłam w głębokim fotelu, obciągając materiał. Z gracją ujęłam kryształowy kieliszek, który podał mi Mleczek.

Nie potrafiłam gościa rozgryźć. Nigdy nie wiedziałam, kiedy jego grymas jest ironiczny, a kiedy uśmiecha się szczerze. Tym razem czułam się, jakby rozbierał mnie wzrokiem. Płomienie w kominku trzaskały, iskry fruwały w powietrzu i pomyślałam, że słusznie włożyłam zwykłe rajstopy zamiast drogich pończoch. Zapomniałam o kopercie leżącej w szufladzie, o tym, że już dawno powinni być Anita i Staszek, i o Wrednej, która gdzieś tajemniczo zniknęła. Może tylko uciekła przed komisarzem? Od momentu aresztowania wyraźnie go unikała. Byłam tu i teraz. Syciłam się chwilą. Spoglądałam na przystojnego mężczyznę, przyjmowałam jego admirację, piłam wino i grzałam uda w podwójnym ogniu. W którym momencie zniknęła Ilka, nie miałam pojęcia. Uprawialiśmy z komisarzem grę spojrzeń i milczenia. Byłam szczęśliwa.

— Śledztwo wprawdzie trwa, ale myślę... Chciałbym... — Mleczek jękał się jak młokos.

— Możesz mi mówić po imieniu. — Już dawno chciałam to zaproponować, jednak nie wypadało mi pierwszej wyjść z inicjatywą wobec komisarza prowadzącego śledztwo. Uniosłam kieliszek.

— Matyldo. — Wstał i podszedł do mnie ten jeden krok, który nas dzielił.

— Marku. — Również się podniosłam.

Pocałował mnie w policzek. Spojrzał z bliska w moje oczy i z nieznosną powolnością pocałował mnie w usta. Świat nie rozstał się tylko dlatego, że

miałam za sobą fotel. Zachwiałam się na szpilkach, które zapiętkami wchodziły niewygodnie pod pluszową zabudowę fotela, i opadłam na siedzisko, pociągając komisarza za sobą.

Jego ręce trochę błędziły w poszukiwaniu oparcia, trochę w celach poznawczych. Wyraźnie nie szukał już równowagi. Przybliżył twarz do mojej twarzy. Jego szare oczy przypomniły mi kilka przeczytanych romansów i pomyślałam, że teraz rozumiem, co ich autorki chciały wyrazić, pisząc o patrzeniu w głąb duszy. Oczywiście w tym momencie powinni przyjechać Wolni albo chociaż wtargnąć Wredna. Nie stało się nic aż tak krępującego.

Usłyszałam trzask nad naszymi głowami. Sekundę później gruchnęło i spadł sufit.

Coś wyraźnie stało się z moją głową, bo w chmurze wapiennego pyłu, splątaną z kawałkami trzciny i wymieszaną z gruzem na stole zamiast kryształów i sreber zobaczyłam Ilkę. Nogi miała wsparte na zastawie stołowej.

— Pani doktor? — zdziwił się Marek.

Czyli nie przywidziało mi się.

— Jezus Maria! Kieliszki! — zawołałam, wyplątując się spod niego. — Coś ty najlepszego zrobiła!

Kryształowych kieliszków nie było w ogóle widać, podobnie jak srebrnej patery i porcelanowych filiżanek. Ginęły pod gruzami. Ilka patrzyła na mnie z wyrzutem.

— Co tak patrzysz? — przeraziłam się. — Matko kochana! Coś ci się stało!

— Wszystko widziałam — jęknęła, przetaczając się z trudem po gruzach.

Marek chrząknął, pochylił nisko głowę, zaraz jednak wyjął telefon.

— Daj spokój. — Chwyciłam go za dłoń. — Nie będziesz chyba dzwonił po wsparcie?

— No właśnie — powiedziała Ilka, kaszląc i krztusząc się. Ubrana na czarno, teraz była szarobiała. Mrugała i prychała. — Czekajcie, sama zejść. — Znów poruszyła się z jękiem. — Chyba.

— Niech się pani nie podnosi! Co z kręgosłupem? — Marek podbiegł do stołu.

— Co? — Usiadła z chrzęstem i odsunęła nogą skorupy ze stołu. Zdążyłam złapać dwa talerze. — Coś mnie kłuje, obawiam się, że to te cholerne kieliszki do wina. Odsuńcie się. Albo nie. Proszę mi podać dłoń, panie Marku. — Wyciągnęła rękę.

Marek pomógł jej usiąść. Na szczęście kryształowe szkło rozgniotło się na pył, więc nie pokaleczyła pleców. Przynajmniej przy pobieżnych oględzinach nie dostrzegłam krwi.

— Ruszasz się i nie krwawisz. Będiesz żyła — pocieszyłam ją, delikatnie poklepując. Drobinę pyłu zawirowały. Wszyscy zaczęliśmy kaszleć. Kiedy szara chmura opadła, dostrzegłam Anitę i Staszka.

Stali w drzwiach. Anita włożyła czerwoną suknię i wyglądała jak duże zdrowe i apetyczne jabłko, Staszek miał na sobie ciemny garnitur, czerwone plamy na twarzy i mokre włosy, jakby przed chwilą się kąpał.

— Ja chromolę — podsumowała widok Anita, wspierając ręce na biodrach — ładna balanga. Człowiek trochę się spóźni, a tu... Co wy właściwie robicie?

Ilka spojrzała na nią nieprzyjaźnie, uchwyciła się brzegów stołu i zsuwając się wraz z częścią potłuczonego szkła, stanęła ostrożnie na nogach. Pokręciła głową, poruszyła ramionami i wstrząsnęła kiedyś rudą czupryną. Znowu zaczęliśmy kaszleć.

— Władek się wkurzy. — Anita, zasłaniając usta, oglądała resztki, które uchowaly się na stole. Wyłowiła cztery całe filiżanki, dwa talerzyki i jedną lampkę do wina. Dwie koniakówki i cztery kieliszki do wódki ocalały, gdyż znalazły się na brzegu stołu. Pozbierała je na tacę i odniosła do kuchni.

— Tutaj ciągle albo kogoś walą, albo coś się wali — podsumowała Ilka i dodała z zadowoleniem: — Władek też może. Należy mu się. — Popatrzyła na mnie z porozumiewawczym uśmiechem. Pokręciłam nieznacznie głową, ale wiedziałam, że Ilka i tak nie będzie klepać. Jak na zawołanie uniosłyśmy głowy. Ilka z błyskiem w zakurzonej oku wskazała na wielką dziurę rozpościerającą się nad naszymi głowami, na zwisające z niej kawałki sufitu przyłączone do drutów zbrojeniowych, i zaczęła chichotać.

— Ona mi tam chodniczek położyła. Kompletnie się nie sprawdził.

— Gdzieś czytałam, że skutki uderzeń w głowę się kumulują — powiedziałam.

— Przesadzasz. Tym razem nie uderzyłam się w głowę, a trochę niżej. Mogę mieć najwyżej siniaka. — Była wyraźnie ucieszona.

— To z czego tak rechoczesz?

— Będzie większy remont. Tej unijnej kasy, czy jaką tam jechał załatwiać, może Zbierackiemu nie wystarczyć.

Anita z miotłą w ręce przyglądała się jej z troską, Wolny, jakby nieobecny, stał z głupią miną, zgniatał kapelusz i wyraźnie nie wiedział, co ze sobą zrobić, Marek zaś toczył jakąś wewnętrzną walkę, aż w końcu westchnął.

— Pytałem niedawno, ale powtórzę: czy panie mają zamiar tutaj wrócić z tych Katowic i pozostać?

Nie potrafiłam rozgryźć, czy więcej w tym pytaniu było ciekawości, czy czegoś innego. Rzeczywiście chciał, żebyśmy wyjechały? Odnosiłam wrażenie, że doskonale się bawi i jakby miał z kim, to przyjmowałby zakłady na temat tego, co jeszcze się wydarzy.

— Zwijamy się stąd. Natychmiast — powiedziałam, ruszając w kierunku schodów. — Anita, zostaw tę miotłę, bo się zakurzysz. Nikt tutaj nie będzie już sprzątał. Idę się pakować. Dobrze, że jedzenie zostało w kuchni.

Mleczko złapał mnie wpół.

— Stój. Chcesz się zabić?

— Mam tam swoje rzeczy. Jak mam je zabrać?

— Okej, jak słusznie zasugerowałaś, dzwonię po wsparcie. Szczęście, że pani Sierocińskiej nic się nie stało.

— Ona jest twarda. Dziesięć w skali Mohsa.

— Jasne. — Ilka się rozkaszała. — Dajcie mi się napić, bo mam tynk w gardle. Potem pomyślę, co powinnam zrobić. W każdym razie ja też się zmywam. — Pocierała dłońmi po czarnych wąskich spodniach, a każdy jej ruch wzniewał nową falę kurzu i wywoływał sensacje w naszych nosach.

— Nie ruszaj się, na litość boską! Najlepiej idź na dwór i tam się wytrzep.

— Sama się wytrzep — zachichotała znowu i jęknęła.

Przyjrzałam się jej z niepokojem. Nigdy nie chichotała.

Narzuciłam na siebie jakiś chałat, podałam jej kieliszek z koniakiem, jeden z tych, które się uchowały, a kiedy wypila, wręczyłam jej kurtkę.

— Włozysz na dworze, jak się już otrząsniesz z białego. Pamiętasz? Mówiłam ci, że wszystko, co białe, szkodzi: cukier, mąka, tynk, sól, śnieg, heroina, gluten... Czy gluten jest biały?

— Mati! — Ilka potrząsnęła mną, przyciągając do siebie. Z troską spojrzała mi w oczy. Miała przekrwione białka. — Nic ci nie jest?

— Zupełnie nic! To ty chichoczesz. Zdajesz sobie z tego sprawę? To ty, Iluś, jesteś poszkodowana. Dotarło to do ciebie? — Objęłam wzrokiem pobożowisko, które wyglądało jak po pierwszej wojnie światowej.

— Oj tam! Nic mi nie jest. Mało tego, mam ochotę jeszcze zatańczyć. Dobrze mu tak! Nie uważasz? Zbok jeden — powiedziała z triumfem.

— Ale że Halina tego nie znalazła?

— W haftowanych ścierkach kuchennych. No właśnie, gdyby tylko chciało jej się nakryć stół! Lenistwo nie popłaca.

— Masz rację. Ciekawe, gdzie ona polazła. A Włodek to swołocz i kłamca — przyznałam półgłosem.

Ilka uśmiechnęła się krzywo i uniosła kieliszek.

— To jest rodzaj żeński? Anita, swołocz to jaki rodzaj?

— Paskudny. — Polonistka stała w kuchennych drzwiach i zaciskała wargi.

Poczułam się szczęśliwa. Stanowiliśmy zespół, a we mnie rodziła się tkliwość. Ilka i Anita wyglądały na rozbawione, Wolny pocierał podbródek i wyglądał, jakby rozważał bardzo istotną kwestię. Marek przytrzymał małą słuchawkę w uchu i patrzył na dziurę w suficie. Cicho relacjonował wydarzenie. Jego usta poruszały się, delikatnie drgając w powstrzymanym wybuchu śmiechu. Dyskretnie oblizałam wargi. A mogło być tak pięknie!

Kolacją chciałyśmy zakłąć rzeczywistość. Wierzyłam w ceremonie. Ufałam, że odtąd życie na zamku popłynie gładko i spokojnie. Niestety, w Sarnim Dworze wszystko szło na opak. Na szczęście nic więcej się nie wydarzy, bo zaraz stąd znikamy.

— Gdzie jest Wredna? — zapytałam, trochę już zaniepokojona.

Marek wzruszył ramionami, nadal zajęty rozmową, zupełnie mnie nie słuchał.

— Pies ją trącał. — Ilka na nowo się rozkaszała. — Chociaż oceniając znalezisko w szufladzie, sądzę, że nie tylko.

Rozejrzałam się. Stałyśmy z boku. Zapanowała atmosfera oczekiwania, bo Marek przejął rządy, Anita ratowała co się dało w kuchni, Staszek jej asystował, zatem nikt nie mógł nas usłyszeć. Ilka wypła solidny łyk koniaku, przetarła oczy i nagle spojrzała na mnie z uznaniem w oczach.

— A nie mówiłam? Pocałował cię!

— Nie mogłaś wejść jakoś kulturalniej, tylko sufitem? Poza tym nie pojedziemy od razu do hotelu. Trzeba znaleźć tę wariatkę. Jeśli mamy to zamknąć na cztery spusty i stąd wiać, to Halina chyba powinna o tym

wiedzieć?

— Koperta — szepnęła Ilka.

Ruszyłam w stronę komody, nie zastanawiając się, czy ktoś patrzy. Wyjęłam kopertę i wsunęłam ją do swojej torebki, która wisiała na fotelu. Marek i Staszek dochodzili właśnie do wniosku, że cały zamek się zawali, zanim Zbieracki wróci, oraz że powinniśmy pojechać dokądkolwiek i tam kontynuować przyjęcie, a Zbierackiego powinno się uprzedzić i nakazać mu powrót.

Anita zbierała gary do samochodu i zapraszała do siebie, ale Marek podszedł do mnie i do Ilki i zaproponował nam swój pokój. Nie gapił się przy tym na mnie. Byłam mu za to wdzięczna.

— Idę po moje rzeczy — zwróciłam się do Ilki — a ty siedź albo idź na zewnątrz, sama ci zniosę.

W połowie schodów dogonił mnie Mleczko.

— Zwariowałaś? Chcesz zawalić całą górę?

— Raczej dół, zwalić górę na dół, czyli zawalić dół — poprawiłam go, nie zatrzymując się. — Biorę zabawki i opuszczam piaskownicę. Natychmiast. A ty nie wchodź, bo dwie osoby to większy ciężar — powiedziałam, wyprzedzając go na schodach.

Oczywiście nic sobie z tego nie robił. Gdy na górnym podeście objął mnie w pól — nie wiedziałam, jak to odczytać: jako działania prewencyjne czy seksualne — znowu piknęła moja komórka. Jednak byłam zbyt zajęta, by sprawdzić, co to. Weszliśmy do mojej sypialni, ostrożnie stawiając stopy. Tutaj podłoga wyglądała solidnie. Nic nie trzeszczało. Marek stuknął kilka razy nogą.

— Powinno wytrzymać. — Puścił mnie, otworzył szafę i zaczął wywalać na łóżko zawartość szuflad. Z rozmachem opróżniał wieszaki.

— Pogniecie się! Zostaw! Sama to zrobię! — Wyrwałam mu z ręki popielate koronkowe stringi.

— Kobieto, pakujemy te cuda i znikamy.

— Spakuj Ilkę. Tam możesz się zabawić. Tylko uważaj, żebyś nie spadł jak ona.

Marek uniósł mi brodę. Przełknęłam ślinę, a on...dmuchnął mi w twarz. Kiedy skończyłam trzeć oczy, już go nie było. Zaklęłam pod nosem. Przypomniał mi się sygnał komórki. Wyszarpałam telefon z ciasnej kieszonki sukienki.

Nadawca określił się jako nieznany, ale treść dwóch esemesów nadanych w odstępie półtorej godziny była jednoznaczna.

„Utknęłam w kopalni. Władek mnie zamknął w tym budynku, o którym mówiłam. W lesie”.

Drugi, wysłany przed chwilą, krzyczał emotikonami, a dwa słowa mówiły jasno: „Wyciągnijcie mnie!”.

Najpierw pomyślałam, że było siedzieć na czterech literach albo nakrywać stół, że to kara i w ogóle dobrze jej tak, ale sumienie cichutko zapiszczało, gdy przypomniałam sobie, co było w kopercie. Zrobiło mi się jej żal. Poza tym w kopalni? Władek?

Porzuciłam kaszmirowy sweter i poszłam do Marka.

— Mamy problem.

Uniósł brwi.

— Tak szybko? Ciekawe, jaki teraz.

Właśnie zamykał walizkę Ilki. Stał na jednej nodze. Obok ziała poszarpana dziura wielkości metr na półtora. Kolano drugiej nogi dla równowagi wsparł o łóżko. Przysiadłam ostrożnie obok, mając nadzieję, że mebel jest stabilny, i pokazałam mu ekranik telefonu. Marek spojrzał, pochylił się i odruchowo zdjął kolano.

Nie wiem, co było głośniejsze: rumor czy jego przekleństwa.

Wychyliłam się ostrożnie, żeby lepiej widzieć, i poczekałam, aż opadł pył.

Nie byłam zaniepokojona. W końcu Ilka była cięższa i nic jej się nie stało. Wychyliłam się głębiej.

Leżał na podłodze piętro niżej, obok stołu, na którym wcześniej wylądowała Ilka. Jakoś dziwnie bokiem leciał, skoro nie upadł na stół, a jego prawa noga była wygięta w przeciwną naturze stronę. Kolana mi zmiękły. Ostrożnie wycofałam się z pokoju i pognałam na dół.

Na widok jego nogi pokój mi zawirował jak na karuzeli. Żeby się ratować przed omdleniem, wciągnęłam głęboko powietrze.

— Kurwa! — jęknął i opadł na podłogę, przez chwilę było widać jedynie białka jego oczu. Z nogawki przedziurawionych spodni sterczał mu ostry kawałek kości, a krew mieszała się z tynkiem, wapnem, trzcina i barwiła gruzowisko ciemną czerwienią.

Anita, zanim zemdląca, zdążyła podejść do fotela, na który z wdziękiem się osunęła. Wolny przytomnie gdzieś dzwonił. Miałam nadzieję, że po pogotowie.

— Dawaj jakąś taśmę. — Sierocińska ścisnęła na wszelki wypadek tętnicę na udzie. Krew była żylna, ciemna i płynęła spokojnie.

Pobiegłam do kuchni, złapałam długą kraciatą ścierkę, która przed katastrofą była świeża i czysta, wytrzepałam ją z kurzu i przewiązałam nią udo Marka.

— Jada? — rzuciłam pytanie w stronę Wolnego, kaszląc i krztusząc się pyłem. Ale Staszek na nic nie reagował. Poklepywał tylko Anitę po policzku. — Staszek! — Szarpnęłam go za ramię. — Pogotowie, Stachu! Wezwałś ich? Nic jej nie będzie, do cholery! To tylko omdlenie.

— Anita ma chore serce.

Rozdział 11

G odzinę później zostałyśmy z Ilką same. Wolny pojechał z Anitą do Zabrza. Trzymał ją za rękę, nawet gdy ją wynosili i wkładali do karetki. Pogotowie odjechało, a on wszedł do swojego auta i pognął z piskiem opon.

Marka zabrali do Piekar Śląskich na urazówkę. Samotnego i z zanikającą świadomością. Nikt mu nie towarzyszył. Miałam w związku z tym potworne wyrzuty sumienia, ale po pierwsze — odmówili zabrania mnie tą samą karetką, po drugie — nie nalegałam, gdyż gnębiła mnie sprawa bardziej przyziemna, a właściwie podziemna, mianowicie Wredna i Zbieracki, który znowu się objawił.

Myśląc o tym, poczułam nieprzyjemny dreszcz na plecach. Skoro mała wiadomość przyczyniła się do katastrofy, wskutek której komisarz walczy o życie, to co może się wydarzyć, gdy zabrnjemy nocą w las, gdy znajdziemy Wredną, gdy ją uwolnimy. Czy wrócimy? Biorąc pod uwagę nasze szczęście, miałam złe przeczucia.

Kiedy ekipa policyjna, którą Marek wezwał, zanim spadł z sufitu, sprawdzała pomieszczenia, robiąc zamieszanie i rwetes, wciągnęłam na siebie czarne grube legginsy, które leżały na łóżku, i gruby golf. Zabrałam śrubokręt, latarkę wsadziłam do kieszeni starej długiej kurtki, którą przywiozłam z Katowic, nogi wsunęłam do ocieplanych gumowców, które zwykle woziłam w aucie, ale tutaj przeważnie stały przy drzwiach. Ilka zdążyła wciągnąć dzinsy, czerwony sweter Władka, który leżał na stercie ciuchów w pokoju na dole, założyła jego gumowce i swoją kurtkę z kapturem. Po cichu wymknęłyśmy się do lasu.

Pod koniec października dzień jest krótki, ale za stodołą było widać zarys ścieżki wchodzącej głęboko w las. Nigdy się w nią nie zapuszczałam. Miałyśmy nadzieję, że o tej właśnie krętej dróżce wspominała Halina. Teraz

żałowałam, że nie słuchałam jej uważnie. A trzeba było przepytąć Wolnego, Jezierską, a nawet policję. Nie zrobiłam nic z tych rzeczy. Wydarzenia następowały zbyt szybko, a ich charakter pasowały do powieści Thomasa Harrisa. Brakowało tylko potwora w rodzaju Lectera. Owce już były i milczały.

— Ilka, dzwoń do niej. Czy ty pamiętasz, co mówiła o tym domu w lesie?

— Staszek by się przydał albo chociaż Młody. — Ilka zatrzymała się, zapięła kurtkę i zarzuciła na głowę za duży kaptur. Wiało coraz mocniej.

— Młody? Niby po co? Jego tyłek ci się spodobał, poza tym to policjant. Co on może wiedzieć o lesie?

— A co wiesz ty? — zapytała bez złośliwości. — Miał być duży buk i staw. Tyle zapamiętałam.

— Ciągnie się pod Częstochowę i jeżeli się zgubimy, to obrośniemy mchem, ewentualnie zjedzą nas dziki. Lubią padlinę jak każda świnia.

— Zamknij się.

Po półgodzinie miałam poczucie, że las chce nas połknąć. Drzewa napierały, ścieżka zwężała się, ledwie widoczna w marnym świetle latarek rzucających żółte kółka i wyławiających z mroku zniekształcone i odbarwione fragmenty pokrzyw, krzaków malin, ogołoczone z liści gałązki leszczyny. Żadnego buka ani stawu. Jedyne potężny dąb, pod którym nic nie rosło. Ścieżka była wąska, bardziej przypominała zwierzęcy szlak niż dukt, którym chodzili ludzie. Szliśmy bardziej na wyczucie i nie miałyśmy pojęcia, czy zdążamy w dobrym kierunku.

— Jeśli ona tędy szła parę godzin temu, to trawa powinna być pognieciona, gałązki połamane. Niczego takiego nie widzę. — Ilka zatrzymała się i dokładnie badała obrzeża ścieżki.

— Nie jesteś tropicielem, jak po ciemku chcesz dostrzec takie drobiazgi?

— W ogóle musiałyby być jakaś droga. To nie te czasy, gdy w lasach żyli ludzie bez drogi dojazdowej. Tam ktoś mieszkał. Dlaczego my idziemy

ścieżką?

— A widziałaś gdzieś tę cholerną drogę? Przy latarce można wiele ominąć.

— Daj spokój. Prąd powinien tam być, elektryczność! — Ilka świeciła latarką po czubkach drzew, a jednocześnie masowała sobie krzyż. — Tyłek mnie boli. Widziałaś za dnia druty?

— Nie słuchałaś Wrednej? Przepytała Wolnego. To podobno opuszczony budynek po robotnikach leśnych.

— Robotnicy leśni też musieli mieć energię elektryczną. Ich kobiety prały na tarce?

— Komuś chciałoby się demontować słupy? — powątpiewałam głośniej, bo Ilka przyspieszyła.

— Może na opał? Druty sprzedali na złom.

— Może, może. To powinno być własnością nadleśnictwa — powiedziałam. — Nie wierzę, by się odrzekli. Coś z tym powinni zrobić.

Ilka szła rażno, ale prawą ręką od czasu do czasu masowała pośladki. Lekko utykała, ale nie wyobrażałam sobie, że mogłaby zacząć jęczeć. Zawsze była twarda. Nagle zatrzymała się i przyłożyła telefon do ucha.

— Nic, kurczę! Może nie ma zasięgu. Napisała wyraźnie, że jest w kopalni? To i tak cud, że wysłała esemesa.

Wyjęłam moją komórkę, by sprawdzić. Niechcący zaświeciłam Ilce latarką w twarz. Zamknęła oczy i osłoniła się ramieniem. Tuż nad naszymi głowami przeleciała bezgłośnie sowa, na jej piskliwe wołanie podskoczyliśmy obydwie.

Ilka złapała się za biust.

— Jak ją znajdę, to zabiję — obiecała ze złudnym spokojem. — Dlaczego my właściwie jej szukamy? Co ona nas obchodzi?

— Wyślij jej esemesa. Ja już wysłałam, że idziemy. Ale nie ma odpowiedzi. Może już nie żyje.

Sytuacja zaczęła mi przypominać pogoń za baranami. W mojej głowie odezwało się zaczepne, rozpaczliwe i na szczęście tylko wyobrażone beczenie. W tym samym momencie potknęłam się, lecąc do przodu piłkarskim ślizgiem. Oparłam się na rękach i nie wypuściłam z dłoni latarki. Zmoczyłam kolana, bo trawa była wilgotna. Dystans dziesięciu centymetrów był wystarczający, by dostrzec, że trawa jednak była wygnieciona.

— Co tędy mogło chodzić? Barany? Ludzie? Jelenie? — zapytałam w przestrzeń, bo Ilki już nie widziałam. Świecąc pod nogi, ruszyłam biegiem.

— Słyszałaś beczenie? — Dogoniwszy, klepnęłam ją w plecy. Ilka podskoczyła i odwróciła się.

— Co? Co jest? Nie strasz mnie.

— Słyszałaś barany?

Ilka głośno wciągnęła powietrze i złapała mnie za rękę.

— Żartujesz? — Pokręciła głową we wszystkich kierunkach i zastygła, nasłuchując. — Żartowałaś!

— Nie jestem pewna.

— Mati, ty mnie nie denerwuj. Wystarczy, że wszystko mnie boli i poruszam się siłą woli. Kwiatkowska zapłaci mi za to. Policzę jej jak za konsultację ekstra i na cito.

Ilka parła jak czołg, jakby urodziła się w tym cholernym lesie. Szłyśmy tak jeszcze dobre pół godziny, podskakując na każdy najmniejszy szelest. Niewyraźna przecinka okazała się prawdziwym duktem rozszerzającym się delikatnie, a przed nami zaczerniło się duże, brzydkie i opuszczone domostwo. Umiejscowienie takiego budynku w głębi lasu wydawało się kompletnie nierealne, jak w bajce o Jasiu i Małgosi, tyle że stary postkomunistyczny blok zupełnie nie przypominał chatki z piernika.

— No — sapnęła Ilka i wytarła twarz rękawem — bo już zwątpiłam. Przypomina porzucony pegeer.

Miała rację. Otwory okienne straszyły pustką, chociaż nie wszystkie. W trzech oknach zostały szyby, w niektórych tylko fragmenty, co można było poznać po odbiciu nędznego światła. Całego budynku w sztucznym świetle małych latarek nie potrafiłyśmy objąć wzrokiem, jednak wschodzący księżyc znaczył jego kontury coraz wyraźniej.

— Wchodzimy?

— Do tej siedziby duchów? — Ilka oświetliła dach i zjechała światłem niżej, penetrując czarne otwory wybitych okien. — Jasne, tylko którądy? Może tam ktoś się czai. Zbieracki na przykład.

— Na nas? Nie wydaje ci się dziwne, że nagle tak się odmienił? Może zwariował? — prychnęłam.

— Nie sędzę, nie on.

Nagle coś wewnątrz stuknęło. Dźwięk, który rozbrzmiał w nocnej ciszy, uniósł nas w górę. Ilka złapała się za serce.

— Mati — zaświeciła mi w twarz — polisę mam w barku pod butelkami, w takiej koszulce foliowej. Jesteś uposażona.

— Zamknij się.

Znowu huknęło, jakby spadła duża belka.

— Powinnam odkurzać z nudów moje wychuchane mieszkanie. — Ilka kopnęła z impetem walającą się puszkę po piwie.

— Odniosłam wrażenie, że się doskonale bawisz.

Ilka chwyciła mnie w kleszczowy uścisk i w świetle wschodzącego księżyca zajrzała mi w oczy z bliska. Widziałam nawet brązowe kreski na jej tęczęwkach.

— Nie cierpię jej — oświadczyła takim tonem, jakby informowała mnie, że od dwudziestu lat jest szpiegiem pracującym na szkodę ojczyzny. — Nigdy jej nie lubiłam. I co się ze mną stało? Stoję tutaj, nasłuchuję i wyczekuję, kiedy mnie coś capnie w tyłek albo walnie w głowę. Jeśli z tego lasu wyjdę,

to przebadam się u kolegi, może u Adama Wrockiego, nie znasz go. Młodzik, ale stosuje najnowsze metody, ma wiedzę, poza tym w Stanach był niedawno. Zresztą właśnie tam go podszkolili.

— Zamknij się i nie marudź — przerwałam. — Pójdę pierwsza.

— Potrafisz poruszać się ciszej? Jak mam to rozumieć? Chcesz pierwsza oberwać po głowie? Jesteś drobniejsza, weź to pod uwagę.

— Okej, okej! — Uniosłam ramiona. — Możesz prowadzić. Sufit zaliczyłam, łomot pod obórką również, więc masz wprawę.

Ilka zaklęła i ruszyliśmy w półprzysiadzie, skradając się jak zwiadowcy. W budynku nie było drzwi wejściowych, w każdym razie nie na zawiasach. Błądząc latarką, dostrzegłam, że leżały nieopodal wsparte o głąz i oblepione zbutwiałymi liśćmi oraz gałęziami. W powietrzu unosił się smród pleśni, ściółki leśnej i ludzkich ekskrementów. Wilgoć wzmacniała wrażenia węchowe, a one potęgowały uczucie niepewności.

— Jeśli znajdziemy zwłoki Wrednej, to chyba mnie szlag trafi. — Ilka nadepnęła na luźną i nadłamaną deskę. Wyszarpnęła gołą stopę z gumowca. — Poświeć mi. — Odłożyła latarkę na grubą warstwę niezidentyfikowanych substancji, pokrywających uszkodzoną w wielu miejscach podłogę, i obiema rękami uwolniła but.

W tym momencie usłyszałyśmy wołanie, a zaraz po nim stukot. Krzyczała kobieta.

— Wredna. Nareszcie.

Po kilku minutach zaczęła walić. Brzmiało to jak uderzenia metalu o metal i niosło się echem.

— Koniec trupów.

— Tego jeszcze nie wiemy — powiedziałam, ruszając przed siebie. — Może załatwiła Władka. Ona jeszcze nie wie, że mamy zdjęcia. Poza tym widziałaś je, sama bym go miała ochotę zabić.

Oświećliśmy metodycznie parter, szukając wejścia. Pod ścianami walały się puszki i brudne słoiki. Z mroku wyłowiałam nawet dwie litrowe szklane butelki po mleku z plastikowymi zatyczkami sprzed pół wieku. Nie znalazłyśmy niczego, co mogłoby prowadzić do piwnicy: żadnej dziury w ziemi, podnoszonych desek albo nader oczywistych drzwi. Miałam nieustanne poczucie, że ktoś nas obserwuje. Zadzwoiłam do Wrednej. Sygnał zanikał.

— Wyślij jej wiadomość. To przeważnie się udaje. Niech da znać, gdzie dokładnie jest, bo dudni po całym budynku i nie można określić kierunku. Niech nie wali, tylko pisze — poleciła Ilka, świecąc bezładnie po wszystkim. — Tyłek mnie boli. Masz fajki?

Podaliśmy jej pomietą paczkę z włożoną do środka zapalniczką żarówką. Napisałam i wysłałam wiadomość. Wredna odpisała natychmiast.

„Pod zwaloną szopką. Zasunął czymś dziurę, nie potrafię sięgnąć, jestem pięć metrów niżej”.

„Kto zasunął?” — odpisałam. Tym razem na odpowiedź czekałam całe dwie minuty.

„Władek!”

Pokazałam ekranik Ilce.

— Nie sądzisz, że to dziwne? — zastanawiała się, drapiąc się po głowie, jakby ją coś oblażyło. Sama zaczęłam się drapać, ale chyba bardziej wiedziona sugestią.

— Staszek i Wredna nie mieli zwidów — powiedziałam bez przekonania. — Musieli go widzieć. Coś widzieć. Kogoś. Ale jeśli to rzeczywiście on, to ja już nic nie rozumiem. Po cholere mu te wygłupy. Wplątał się w jakąś aferę? Niczego nie zauważyłam, co prawda krótko z nim rozmawiałam. Chociaż to jego zaproszenie... Trochę niespotykane.

— Schowałaś zdjęcia? — zapytała Ilka.

Skinęłam głową i klepnęłam torebkę, którą miałam przewieszoną przez

ramię pod kurtką, żeby nie dyndała mi na plecach.

— Tutaj? — upewniła się szeptem.

Skinęłam ponownie.

— Chyba zwariowałaś! Po co nosisz je ze sobą?

— A co, przed wyjściem miałam przepakować torebkę? A jeśli już tam nie wrócimy? Ja jeszcze nie obejrzałam dokładnie tych fotek — wyjaśniłam. Zgasiłam papierosa i odruchowo przydepnęłam.

— No dobrze, czuję się jak Indiana Jones przed wejściem do grobowca. Jeśli znajdziemy wejście.

— Muszę pojechać do Marka. Może jakoś go przeproszę.

Ilka poświeciła mi w oczy.

— Niby za co? Nie ty go chyba zrzuciłaś?

— Wiadomość od Wrednej zwała go z nóg. Ja mu ją tylko pokazałam.

Usłyszałyśmy odgłos pękającego drewna gdzieś blisko i głośne świńskie chrumknięcie w tym samym miejscu.

— Dziki? — Ilka złapała mnie za rękę.

— Spokojnie, zwierzęta są niegroźne — odparłam, jakby tryk nie śnił mi się po nocach. — Zabójczy są tylko ludzie.

Byłyśmy na otwartym terenie, za budynkiem głównym, w pełnym świetle księżyca. Zastygłam, nasłuchując.

— Kiedyś może rzeczywiście stała tu szopa — odezwałam się podniesionym głosem, licząc na to, że normalny zdrowy dzik się wystraszy.

Teren wyglądał jak po katastrofie. Zwalona kupa desek, częściowo już zarośniętych trawą. W jaki sposób Wredna weszła do szopki, było dla mnie niepojęte, chyba że część konstrukcji zawałiła się dopiero po jej wejściu. Może właśnie to huknęło przed chwilą.

Jak na zawołanie znowu usłyszałyśmy trzask, a potem skrzywienie.

Zacisnęłam palce na latarce. Dwadzieścia pięć centymetrów ciężkiej stali. Powinno wystarczyć. Ilka szarpnęła głową na boki, nasłuchując, potem zmieniła chwyt na latarce. Ciekawe gdzie się tego nauczyła? Na oddziale?

— Cicho! — syknęłam, zakreślając świetlny krąg, w którym spostrzegłam śmigający cień. Złapałam przyjaciółkę za rękę. — Widziałaś? — wyszeptałam, przytulając usta do jej ucha. — To chyba było zbyt niskie jak na człowieka.

— Nie jestem pewna. Mogło być na czworakach — odparła głośno.

— Musi nas obserwować.

— Może zadzwonić po policję? — Ilka podniosła głos.

— Mam numer tylko do Marka — szeptałam nadal — a jego prawdopodobnie teraz składają.

— Dzwon do Wolnego.

— Wyjechał zaraz za pogotowiem z Anitą.

— Numer alarmowy odpada. Za dużo tłumaczenia. — Ilka wciąż machała latarką. — Chrzanić to. Idziemy dalej... Idę pierwsza.

Idąc, szukała dziury w ziemi przywalonej stertą desek. Ja obserwowałam ścianę lasu za sobą, po bokach i z przodu, skupiając się na skradającym się za nami dziku albo kimkolwiek, kto go udawał. Lustrowałam każde załamanie terenu i każdy krzak. Poświeciłam nawet do starej beczki. Zbliżałyśmy się do stosu tarcicy, na której wspierał się zwalony drewniany dach. Wszystko było czarnoszare, widać było tylko nędzne niewyraźne kontury.

— Powinna gdzieś tu być cembrowina albo wejście do szybu. — Ilka zaczęła odrzucać deski na czymś, co z grubsza przypominało studnię.

Próbowałam jej poświecić, ale światło mojej latarki robiło się coraz bardziej pomarańczowe. Chciałam dać znać, że kończy mi się bateria, gdy nagle grunt pod nogami zniknął i poleciałam w przepaść.

Lecąc, obijałam się bokami o coś twardego, czemu towarzyszył potworny

hałas. Trwało to bez końca, słyszałam nawet własny wrzask, który odbijał się od ścian i roznosił nade mną echem.

Ostatecznie nastąpiła cisza. Ciemność i cisza. Wydawało mi się, że widzę swoje ciało z góry, a może to była moja wyobraźnia, bo nagle poczułam uderzenie w twarz. Potem drugie. W głowie miałam szum, w tyłku mnie łupało.

Z niebytu wytrącił mnie kolejny, na tyle mocny plask, że usiadłam zdezorientowana. Otworzyłam oczy i momentalnie je zamknęłam oślepiona nagłą jasnością. Doznanie było wystarczająco wyraźne, by się zorientować, że dostałam kilka razy w pysk, a teraz ktoś świecił mi w twarz latarką. Władek? Wredna? W każdym razie żyłam.

— Mati, żyjesz?

Ilka?

— Darła się jak żywa!

To była Wredna.

— Mati, ocknij się.

Otworzyłam oczy. Latarka świeciła w bok, ale dawała wystarczająco dużo światła, bym zobaczyła sterczącą nade mną Ilkę. Wredna stała za jej plecami. Zrozumiałam, że wpadłam do lochu, a Ilka jakimś cudem też się tu znalazła.

— Wszystkie siedzimy tu zamknięte? — szepnęłam, bo bałam się odezwać głośniej. Głowę ścisnęło mi imadło. Jęknęłam, obejmując ją rękoma, i zamknęłam oczy.

— Nie jesteśmy zamknięte — odpowiedziała Ilka.

— Świetnie.

— Ale nie wyjdziemy — dołożyła Wredna.

— Czemu? — zapytałam ciszej. Ból się nasilał. Położyłam się na kupie śmierdzącej słomy.

Ilka bez słowa poświeciła w górę. Z pozycji, w jakiej leżałam, bez wysiłku byłam w stanie dostrzec nad głową ginący w mroku szyb. Wyglądał jak studnia. Nie widziałam schodów, drabiny czy czegokolwiek innego, po czym można by się wspiąć. Zrobiło mi się niedobrze. Odwróciłam się na bok, rozsunałam ręką słomę i do tak utworzonej dziury zwymiotowałam. Chciało mi się spać.

— Matylda, wstawaj. — Usłyszałam głos Wrednej. — Uprzedzałam was. Trzeba było czytać esemesy. Co my teraz z nią zrobimy? Zostawimy ją?

— Zadzwońłam już na policję — powiedziała Ilka. — Nie ruszam się stąd, dopóki nie odzyska przytomności.

— I tak jej nie wyniesiemy, musi wyjść sama.

Uchyliłam ostrożnie powieki.

— Zamknęłybyście się — wyszeptałam i osłoniłam się przed strumieniem światła.

— Może ruszać ręką — odnotowała Wredna. Nienawidziłam jej.

— Jasne, że może. Przecież usiadła. Mati, proszę, Mati, nie odlatuj znowu!
— Ilka profesjonalnie poklepywała mnie po twarzy.

— Przestań do cholery, łeb mi pęka.

— Mati, musimy iść. Dasz radę? Możesz ruszać nogami?

— Rękami mogę.

— Musisz nogami. — Uparła się jak osioł. Wszystkim mogłam ruszać, tylko byłam zmęczona i żołądek podsyłał mi kolejne porcje zwrotne.

— Myśmy coś piły? — Próbowałam odtworzyć dzisiejszy wieczór.

— Nie zdążyliśmy. Masz, ofermo, wstrząśnienie mózgu — przypomniała mi Ilka. — I dużo szczęścia. Z tej wysokości mogłaś się gorzej załatwić.

Miała rację, tyle że to nie ja się tak załatwiłam. Wszelkiego zła upatrywałam we Wrednej, choć faktycznie spadłam jak ostatnia idiotka.

Uniosłam się na łokciach, próbując nie zwymiotować.

— Pokaż oczy.

— Nie po oczach — wyjęczałam.

Ilka cofnęła latarkę. Światło zakreśliło łuk w oddali, muskając kamienne ściany kopalni.

— Tędy mamy iść? — upewniłam się, kiedy już stanęłam na nogach i zmieniłam perspektywę. W mroku ginał korytarz. Wyglądał jak na obrazach Zbierackiego. Ilka podała mi dłoń. Świat w skąpym blednącym świetle pozostał na swoim miejscu. Nie zwymiotowałam.

Zrobiłam trzy kroki, na próbę. Potem jeszcze trzy.

— Dam radę — zakomunikowałam ze zdziwieniem. — Wysoko było?

— Uhm. Będzie ze cztery metry. Może pięć. To ta stara słoma uratowała ci tyłek. — Ilka kopnęła zmierzwioną zapleśniałą kupę, która sięgała jej do piersi. I dodała szeptem: — Mati, nie wydaje ci się, że dziwnie wszystko się powtarza? Ty trzecia spadłaś. Tego samego dnia.

— I co to ma niby znaczyć? Przecież każdy leciał sam, indywidualnie i bez pomocy sił zewnętrznych. Chyba że rzucono na nas klątwę. — Wredna szła powoli w głąb korytarza. Przestałam szeptać. — Utopce były właśnie na tych terenach. Przynajmniej tak mówi legenda o rybaku. Pić mi się chce, jakbym była na kacu.

Ilka odwróciła się i dotknęła mojego czoła.

— Mam cukierki — odezwała się przed nami Wredna, wracając — takie ziołowe z lukrecją, bez cukru. Nie wiem, czy lubicie, proszę. — Podsunęła nam małe metalowe pudełko. — Lekko tonują nastrój. Sądzę, że w zaistniałych okolicznościach to chyba dobrze.

Wykrzywiłam usta. Lukrecji, podobnie jak mięty, nie cierpiałam, ale suchość w ustach znikła.

— Stary Szarlej mnie uratował — oznajmiłam, mając gdzieś, co sobie pomyślał. Wierzyłam w to, czułam wdzięczność i miałam ochotę facetowi głośno podziękować. Jeśli tu był, powinien usłyszeć moje słowa. Głośno i wyraźnie. Przed nami niknął w mroku chodnik wykuty w skale, drewniane stare stemple i wilgoć spływająca po ścianach. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle się objawił. — Jesteśmy na jego terenach. A skoro tak, to on nam pomoże. Szarleju, słyszysz mnie?

Rozległy się dwa chrząknięcia.

— Mówiłam, że masz symptomy — rzuciła Ilka.

Na szczęście nie powiedziała tego w osobie trzeciej, zwracając się do Wrednej. Wyminęłam je i ruszyłam pierwsza, ostrożnie stawiając stopy na nierównym gruncie, w miarę marszu jednak czułam się coraz pewniej. Ilka szła obok, wsunęła mi w dłoń latarkę, która mogła się rozbić, zgubić albo z dowolnego powodu przestać działać, a jednak świeciła i nawet nie tak blado. Stawiałam krok za krokiem jak automat, dlatego nie miałam pojęcia, po jakim czasie doszliśmy do skalnej komory, gdzie przestrzeń się poszerzyła. Znowu jak na obrazach Władka. To była ta sama podziemna komnata. Przesuwałam metodycznie światłem latarki po sklepieniu, stemplach, rusztowaniach, zaułkach i pozostawionych sprzętach górniczych. Boże drogi, jakbym ją znała na pamięć! Wiadro zawieszona pod niskim sufitem, warstwy skał o wyraźnych przekrojach, nacieki skalne, to nie była komora dla turystów. Mimo że ponuro i tajemniczo, było jednak tu również pięknie i najwyraźniej nie tylko ja tak uważałam, bo mojemu westchnieniu towarzyszył podwójny jęk.

Błądziłam światłem po ścianach, licząc dziury podstemplowane wewnątrz i zabarwione nasyconą czernią. Zaczynały się tu cztery chodniki, w których światło blisko wejścia opierało się na drewnianych belkach, a dalej ginęło w tajemniczej głębi.

— Dokąd każdy z nich prowadzi? — zapytałam retorycznie, ale Ilka mruknęła:

— Mówiłaś coś o stu pięćdziesięciu kilometrach niedostępnych dla turystów. Mamy wybór.

Obeszliśmy komorę, świecąc w różne miejsca na chybił trafił i wyczerpując baterie. Wstrząsnął mną nieprzyjemny dreszcz. Cztery drogi, jak w bajce. Która jest prawdziwa?

— Same decyzje — zrzuciłam na nie odpowiedzialność.

— O nie, jeśli to ciebie chroni ten skarbnik, to ty się z nim dogaduj. Ja z księgowymi się nie zadaję.

— To jest Szarlej. Bajki ci się pomyliły. Zatopił kopalnię, ponieważ górnicy nie dotrzymali umowy, a zobowiązali się do zachowania tajemnicy. Cud, że tutaj nie ma wody — szeptałam z przejęciem. — Powinno chyba być wszystko zalane.

— Sądzisz, że dotrzemy do jakiegoś akwenu?

— Nic nie sądzę. Jeszcze nie myślę. — Odwróciłam do góry dnem drewniane wiadro, które leżało porzucone, jakby ktoś go zapomniał, i usiadłam na nim. — Próbowaliście się do kogoś dodzwonić?

— Halina próbowała. Ja nie mam zasięgu, a Halinie w końcu się rozładował.

— Zasięg się rozładował? Po prostu wspaniale.

Ilka z troską położyła mi dłoń na czole.

— Wydaje mi się, że nic ci nie jest — odetchnęła z ulgą. — Czepiasz się słów, jak zwykle.

— Nigdy się nie czepiam. To raczej...

— Przestańcie się kłócić! — krzyknęła Wredna. — Trzeba było siedzieć na miejscu! Może ktoś by nas odszukał!

— Zrozum, idiotko, że nikt nas nie będzie szukał — odpowiedziała Ilka. — Same musimy się uratować. Chyba że potrafisz lewitować, bo na piramidę się nie piszę, musiałabym stać na dole.

— Halina, właściwie jakim sposobem znalazłaś się nagle pod ziemią? — zapytałam. — Miałaś nakryć stół.

Wredna dłubała kijem w szparze pomiędzy spękanyimi skałami.

— Władek do mnie zadzwonił. Powiedział, że mam iść do tego domu, który odkryłam z rana. Pewnie kombinował coś tutaj i mnie widział. Myślałam, że odda mi zdjęcia albo ma coś ważnego. Bez przyczyny nie ściągaby mnie na odludzie. Wydawało mi się to nawet logiczne, a w tamtym momencie wy obydwie co najmniej podejrzanę. Bo czemu nie chciał się ze mną spotkać w Sarnim Dworze? Dopiero potem przyszło mi do głowy, jak już tu siedziałam, że on chciał nas wszystkie stamtąd wywabić.

— Chyba żartujesz. Ot tak zadzwonił i powiedział, że masz iść do lasu, a ty poleciałaś. Już w to wierzę. I niby skąd wiedział, że odkryłaś jakiś dom?

— Jestem przekonana, że mnie śledził.

— Widziałaś go?

— Tak.

— I co? Normalny jest?

— Czemu się ukrywa? No, mów coś! Dobrze mu się przyjrzałaś?

— Niezbyt. Robiło się już ciemno. Kiedy tutaj przyszedłam, czekał na mnie. Świecił latarką w moją stronę i stał skryty w mroku. Był zdyszany, ale sprawiał wrażenie nadmiernie zadbanego. Nie umiem tego określić, ale wydało mi się to dziwaczne. Tkwił pod dachem szopki, która zaraz potem się zawaliła i przykryła wejście do szybu. Myślę, że specjalnie ją przewrócił. Kazał mi wejść do tego szybu. Tutaj była taka sznurowa drabinka. Powiedział, że coś mi pokaże.

— A ty posłusznie wlałaś, o nic nie pytając, nie żądając zdjęć ani wyjaśnień?

— Miał broń. Uznałam, że to jest argument.

— Nieodparty — zgodziła się Ilka.

— To wszystko coraz bardziej mi śmierdzi — oświadczyłam, nie umiając sobie wyobrazić Władka w akcji z bronią. Bardziej do niego pasowało wymachiwanie nożem w knajpach, zwykła męska nawalanka, ale nie broń palna. — Gdzie jest ta drabinka?

— Wciągnął ją i powiedział, że potem się mną zajmie.

— To akurat prawda. Drabinka teraz jest na dole — powiedziała Ilka. — Znalazłam ją i po niej zesłam. Cudem jakimś tylko, bo była przetarta. Miałam szczęście, że zerwała się, kiedy już byłam przy ziemi. Leży gdzieś na dnie szybu.

Wredna obgryzała paznokcie i pociągała nosem.

— Czekaście! — Poderwała głowę nagle ożywiona. — Mati, Ilka mówiła o loszku na zamku.

— To nie jest żaden loszek. Poza tym wszystko ci powiedziała? — zapytałam, wspominając manewry z jałówką.

— Powiedziałam tylko, że istnieje tunel — przyznała Ilka.

— To może powiedz jej, jak się do niego wchodzi i gdzie dokładnie.

— Sama to zrób. To twoje odkrycie.

Opowiedziałam Wrednej o wszystkim. Zaczęła śmiać się histerycznie. Spojrzałyśmy na nią jak na wariatkę w niknącym świetle latarki.

— No i czego rzysz?

— Ciekawa jestem, jak wyjdziemy, skoro tam krowa stoi.

— Coś wymyślimy.

Gapiliśmy się na pięć korytarzy. Pięć wejść albo wyjść — jednym z nich przyszłyśmy. Nie byłyśmy w stanie ocenić, które przejście prowadzi pod jałówkę. Jednak zdecydowanie gorsze było odkrycie, że żadna z nas nie miała pojęcia, którym korytarzem przyszłyśmy.

Ssałam kolejnego dropsa. Cukierki odświeżały jamę ustną, ale nic więcej.

Nie czułam się ożywiona. Bolały mnie wszystkie mięśnie, poza tym coś w tej cholernej kopalni było nie tak, gdyż ogarniała mnie coraz większa senność. Mogły co prawda być to objawy wstrząśnienia mózgu. Wolałam jednak nie skarżyć się i nie dokładać Ilce dodatkowego zmartwienia, może z mniej obciążonym mózgiem wymyśli zbawcze wyjście.

— Jasny gwint. — Ilka usiadła tam, gdzie stała, czyli na środku komory, wyjęła mi z ręki latarkę i zgasiła ją. — Oszczędzaj światło, do cholery.

— Sądysz, że nas oświeci w potrzebie? — zapytałam.

— Ty się lepiej módl do tego twojego Skarabeusza. Może wtedy nas stąd wyciągnie — wyraziła życzenie Wredna, spoglądając to na mnie, to na Ilkę.

Nie znałam Haliny w takich sytuacjach, ale zachowywała się nierówno. Raz się bała, raz wściekała, ale ogólnie nie wpadała w panikę. Akurat to mi się podobało.

— Jeśli już mojego, to Szarleja, pani hrabino. On się nazywa Szarlej i lepiej wyrażać się o nim z szacunkiem. Jesteśmy w jego królestwie.

— Odwal się! — odparła uprzejmie.

Zamilkłam z przyjemnością, rozejrzałam się jeszcze raz po czarnych ścianach i postanowiłam pomyśleć. W tym celu znalazłam w miarę równy kawałek gruntu, zdjęłam kurtkę, złożyłam podwójnie i podłożyłam pod plecy.

— Spadłam z czterech metrów — powtórzyłam ze zdziwieniem, bo przypomniało mi się, że Sztolnia Czarnego Pstrąga znajduje się czterdzieści metrów pod ziemią.

— Bardziej z pięciu — sprecyzowała Ilka. Zaczęła się wiercić, ale po chwili również się położyła. — Też upadłam i podobnie jak ty, poczytałam sobie o kopalni srebra. Jak to jest możliwe, że te korytarze idą tak nisko? Może one nie mają niczego wspólnego z kopalnią, może to inne wyrobisko?

— Sądysz, że rodzina Zbierackich kopała tunele? Nie wiem po co. Chociaż co my wiemy o Sarnim Dworze. Dlaczego Władek mówi o nim zamek? Zresztą miejscowi również tak go nazywają.

— Skąd wiesz?

— Anita mi mówiła. Myślałam, że to ma coś wspólnego z wojną, ale teraz nie jestem pewna.

— Nie sądzisz, że te tunele są jednak zbyt płytko jak na kopalnię?

— Nie są. Wczesne górnictwo tak właśnie wyglądało. Przecież to mogło być wykopane już w piętnastym wieku, taką wtedy mieli technologię. Szkoda, że nie ma zasięgu, to bym sprawdziła.

— I te wiadra też są z piętnastego wieku? Nie sądzę.

— Drewniane z klepek. Czy wyście zwariowały? — Wredna krążyła wokół nas. — Musimy stąd wiać, a nie deliberować. Najlepiej od razu.

— To wiej! Możesz zabłądzić i nikt cię nie znajdzie. Ja muszę odpocząć — wymruczała Ilka zamierającym głosem.

Po sekundzie rozległo się ciche pochrapywanie. To najlepsze, co można było zrobić, przynajmniej tak myślałam w tej chwili. Poza tym odgłos chrapania zawsze działał na mnie usypiająco. Dla zachowania ciepła przytuliłam się do Ilki.

Obudził nas wrzask, a właściwie pisk przerażonej kobiety. W pierwszej chwili myślałam, że kogoś mordują. Potem przypomniałam sobie, gdzie jestem. Poczułam, jak Ilka siada.

— Co? Co? — Musiała być równie zdezorientowana jak ja, gdyż włączyła latarkę i machała nią chaotycznie, świecąc we wszystkich kierunkach. Poczułam zawroty głowy jak na karuzeli. Jednak po chwili w tych błędzących kręgach jasności dostrzegłam Wredną. Ćwiczyła taniec świętego Wita. Wokół niej krążyły nietoperze.

— Uspokój się! — krzyknęła Ilka, jednocześnie wyciągając dłoń do małego wampira. — Zobacz, jaki to miły krwiopijca. I jaki mądry.

— Przestań — jęknęłam. — Też ich nie cierpię. Ale z pewnością to nie jest wampir. Słyszałam, że odżywiają się owocami.

— Zapomnij. Nie ten gatunek.

Włączyłam światło i spostrzegłam, że Ilka się uśmiecha, poddając twarz pieszczocie małych skrzydeł. Jeden z gacków muskał ją po policzkach, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć. A może w coś wczepić. Wzdrygnęłam się.

— Najlepiej zgasić światło i się nie ruszać. — Strach przyszłej hrabiny automatycznie ustawił mnie na pozycji przeciwnej. W cudowny sposób zapomniałam o własnym, który nieustannie zadawał mi pytanie: i co teraz? Wcale nie byłam pewna, czy ktokolwiek zacznie nas szukać.

— Jak długo szliśmy korytarzem? Czy któraś spojrzała na zegarek? — zapytałam. Mnie każdy krok rozbrzmiewał echem w głowie, poza tym chyba nie do końca byłam przytomna i nie wszystko pamiętałam. To był marsz w malignie, ale do tego nie miałam zamiaru przyznawać się przy Wrednej. — Czy któraś z was jest w stanie określić kierunek? Szliśmy na północ czy na południe? Cholera jasna, Halina, masz jeszcze te dropy?

Wredna nadal się rozglądała, oganiała i chowała głowę pod kapturem, ale przestała wrzeszczeć. Ze zniecierpliwieniem wyszarpnęła pudełko z kieszeni.

— Masz. Częstuj się.

Wzięłam trzy pastylki, dwie schowałam do kieszeni.

— Zajęło nam to jakieś dwadzieścia minut, nie więcej, kierunków ode mnie nie wymagaj. Na powierzchni mam z nimi problem — przyznała Ilka, częstując się również.

— To mogły być dwa kilometry albo półtora. Matyldo, może pamiętasz, szliśmy ślimaczym tempem. — Wredna zabrała mi latarkę i poświeciła po ścianach. Kamienny mur składający się z samych niemal załamań, zagnieceń i nierówności przypominałby kartonową dekorację teatralną, gdyby nie zimna, kamienna faktura lśniąca i migocząca w świetle latarki. To nie było teatralne tło. Ugrzęźliśmy pod ziemią, a Szarlej, który powinien nas stąd wydostać, wyraźnie się zdrzemnął. — Mam pomysł — rzekła nagle. — Siedźcie tutaj. Ja w sumie czuję się dobrze, a nie mogę tak siedzieć. To mnie

przeraża. Popędzę najbardziej prawdopodobnym korytarzem przed siebie. Czasem tylko przyświecę. Powiedzmy przez kwadrans szybko pójdę. Co wy na to? Jeśli to będzie dobry korytarz, to w niego wchodzicie. Okej? Zawołam. Tylko nie ruszajcie się z tego miejsca, bo znowu wszystko się pomiesza. Sądzę, że za godzinę powinniśmy wiedzieć co, gdzie i jak. Przecież do tego budynku w lesie też nie było więcej niż jakieś dwa, trzy kilometry. Wezmę twoją latarkę, Mati.

Pochwaliłam zamiar, tym bardziej że sama nie musiałam ruszać się z miejsca. Hrabinie dobrze robi, gdy się przebiegnie. Po chwili słyszałyśmy oddalające się truchtanie. Oparłyśmy się o siebie plecami. Nasunęłam na głowę kaptur, a Ilka włożyła chustkę, którą wyjęła z kieszeni kurtki.

— Ilka, co jej powiedziałaś o wydarzeniach na zamku, przyznałaś się, że spadałaś?

— Jeszcze nie zwariowałam. O Mlecze też nie mówiłam, ale nie jestem w stanie odtworzyć, w jaki sposób rozmawiałyśmy ze sobą i czego ona mogła się domyślić. Dziwne, że o nic nie pytała.

— A o co miała pytać? Kto nakrył stół? Miała ważniejsze sprawy na głowie.

— Uhm. Na przykład Władka. Wierzysz jej?

— Nie. Ale nie dlatego, że wymachiwanie bronią do Władka nie pasuje. Moim zdaniem, po przemyśleniu, pasuje jak najbardziej. Nie wierzę jej z zasady. Jest kłamczuchą. Kłamie, nawet jak nie musi. Przypuszczam, że sama nie wie, dlaczego to robi, może z przyzwyczajenia.

Wsparłyśmy się o siebie ponownie. Poczułam się groteskowo, jak po znieczuleniu. Ilka zamilkła. Z drzemki wyrwał mnie odległy nieokreślony dźwięk. Nie potrafiłam stwierdzić, co to było, ponieważ brzmiało, jakby daleko w kopalni trwał fedrunek. Wydawało mi się, że słyszę rozmowy. Górników idących na szychtę? Odgłosy poszukiwaczy skarbu? Po chwili wrażenie znikło i właściwie byłam pewna, że mi się śniło. Ilce chyba też, bo obudziła się podobnie jak ja. Poczułam, że usiadła, nasłuchując. W mroku

niczego nie widziałam. Przypomniałam sobie, że latarkę oddałam Wrednej. Po chwili znowu wydawało mi się, że coś słyszę i że głosy dochodzą z zupełnie innego miejsca niż to, w którym zniknęła Wredna.

— Słyszysz coś?

— Szarlej — wyszeptała.

Włączyła komórkę, żeby odczytać godzinę.

— Minęło sporo czasu. Zasnąłaś? Bo ja tak.

— Ja chyba też. To nasze zasypianie mi się nie podoba. Pamiętasz, o której ona poszła?

— Dwudziesta pierwsza siedem. Sprawdziłam.

— Jest kwadrans po dziesiątej. Jasna cholera!

Daleki szum się powtórzył, dało się odróżnić kroki i fragmenty rozmów.

— Męskie głosy — stwierdziła Ilka szeptem. — To policja. Hrabina wy dostała się na zewnątrz i wezwała ratunek. Morderca by nie pokrzykiwał.

Na wszelki wypadek położyłam palec na ustach. W świetle komórki widziałam, jak skinęła głową. Głosy błędziły. Raz się zbliżały, raz oddalały.

— Ciekawe, jak ona wyszła? — Wstałam, starając się to zrobić po cichu. Ilka również się uniosła.

— Zdrętwiała mi dupa. Chyba uszkodziłam kość ogonową.

Senność już mi przechodziła. Mało tego, obudziła się chęć działania, niespokojny umysł zaczął podpowiadać pośpiech, rozsądek zaś, że najlepszą strategią jest czekanie. Aby się uspokoić, zabrałam Ilce latarkę i zaczęłam się przechadzać. Niedaleko ukośnej ściany stała dębowa beczka zaklejona żywicą, może woskiem, kilka skrzyń ze zбитych szczelnie desek. Wszystko to obrane przez nietoperze lub inne stworzenia. Postukałam palcem w metalowy kanister z chlupoczącą zawartością. Obok niego ktoś porzucił kilof i dwie łopaty. Pod rusztowaniem leżało więcej narzędzi i stare styliska, a wszystko pokryte nalotem wielu lat.

— Ciekawe, co w tym jest? — Ilka stuknęła pięścią w drewnianą skrzynię. Odgłos był głuchy, ale skrzynia raczej nie była pusta. Próba przesunięcia, uniesienia albo w ogóle poruszenia tajemniczego pakunku nie przyniosła efektu. Skrzynia nie przypominała kufra ani podróżnego, ani marynarskiego. Była zwykłym, nawet niestarym, zbitym z desek pudłem chroniącym jakąś zawartość.

— Obsrane. Fuj! — Ilka obmacywała kufer z obrzydzeniem. — Wieko jest pozabijane gwoździami? Dziwne.

— To zdrowe deski. Nawet nie takie stare, tylko brudne. I ta beczka. Też zaklejona. Może to proch i materiały wybuchowe?

Schyliłam się po leżący obok ciężki kilof.

— Nawet o tym nie myśl — zakazała Ilka. — Znając nasze szczęście, wybuchnie, jak tylko podważysz wieko.

Gdy umilkłyśmy, głosy wróciły.

— Słyszysz? Znowu. Są raz bliżej, raz dalej.

— Nie ogłuchłam przecież. Tylko zmarzłam.

Wróciłyśmy na miejsce, w którym leżały nasze kurtki. Zarzuciłam swoją, żałując, że nie przebrałam się w spodnie, tylko w getry. Były zbyt cienkie i teraz marzł mi tyłek. Ilka roztarła ramiona i włożyła okrycie.

— Ktokolwiek tu idzie, jest już blisko. Całe szczęście, bo zaczyna mi być zimno.

— Idą, to więcej niż jedna osoba — szepnęłam.

— Nie bój się, to nie Władek. Mówię przecież, że to Wredna sprowadziła policję.

— Ilka, ktokolwiek to jest, panuje wystarczający mrok, by tego nie zauważyli, a jeśli tak, to lepiej nie wspominać o skrzyni. Mam ochotę wrócić — jęknęłam ciszej.

— Ale ze mną — odparła po kilkunastu sekundach szeptem.

Nasłuchiwałyśmy, nadal nie wiedząc: ujawnić się czy uciekać.

— Może myliłyśmy się we wszystkim, jeśli chodzi o Halinę — przypuściłam półgłosem. — Jak widać, nie jest taka zła. Może drobnostka sprzed lat, że pokazywała gołe dupsko do obiektywu, jeszcze jej nie skreśla?

— Uhm. Cicho. — Ilka ścisnęła moją dłoń. — Widać światła.

Niebieskobiałe kręgi sześciu mocnych lamp błędziły po ścianach, podskakiwały w rytm kroków, szukały niby chaotycznie, jednocześnie odsłaniając tajemnice starej kopalni, jakich nie potrafiłam sama dostrzec w nikłym świetle rozładowującej się latarki i nędznej komórki. Porzucony wózek, stare menażki. Wreszcie odkryły i nas. Osłoniłam oczy ręką.

Minutę później zostałyśmy otoczone przez sześciu facetów w kominiarkach, z dużymi latarkami i w specjalnych goglach. Mieli nawet maski przeciwgazowe, czekany, liny i jeden — ku mojej ogromnej radości — coś w rodzaju małej kuszy, która służyła zapewne do wystrzeliwania liny.

— No, no — szczęknęłam z uznaniem.

— Pani doktor? — Zza kominiarki usłyszałyśmy znajomy głos.

— Tomek? To pan? — zawołała Ilka.

— A gdzie Wredna? — zapytałam. — To znaczy Kwiatkowska? Nie przyszła z wami?

— Niczego nie wiem o pani Kwiatkowskiej ponad to, że dostała pani od niej esemesa i komisarz kazał nam tutaj jej szukać. Powiedział, że jeśli się nie myli, to panie będziecie razem z nią.

— Ale jakim cudem znaleźliście to miejsce?

Zamiast odpowiedzi usłyszałyśmy kilka chrząknięć.

— Już my mamy swoje metody — pochwalił się byczek, któremu nadmuchane mięśnie nie pozwalały przycisnąć łokci do tułowia. Obwieszony był sprzętem wspinaczkowym. Zdjął maskę przeciwgazową i wytarł pot z czoła.

— Chcesz? — zapytała Ilka, podając mi na otwartej brudnej dłoni wyłuskanego z kieszeni dropsa.

Podziękowałam.

Jej twarz, co teraz widziałam dokładnie, wyglądała, jakby brała udział w rozgrywkach paintballa. Odruchowo przetarłam rękawem własne policzki i obciągnęła golf na legginsach.

— Panie sierżancie — zwróciłam się do przejętego Tomka. — Halina ponad godzinę temu ruszyła stąd, żeby wezwać pomoc. Jeśli weszła w ten sam korytarz, którym przyszliśmy, to nie miała możliwości wydostania się na zewnątrz. Musiała wyjść inaczej. Ilka, ty wiesz, w który weszła?

— Nie mam pojęcia. Spać mi się chciało. Ale chyba trzeba jej poszukać.

Przez kwadrans tłumaczyliśmy policjantom, jakim cudem znalazłyśmy się w miejscu, gdzie nas znaleźli. Potem panowie dyskutowali w swoim gronie, oddalając się od nas na odległość uniemożliwiającą podsłuchiwanie. Ilka wzruszyła ramionami. Wzrok jej mętniał i zaczęłam się obawiać o jej zdrowie.

— Dajmy się chłopcom zabawić — powiedziała niewyraźnie. — Raz w życiu trafiła im się taka gratka. W końcu kiedyś stąd wyjdziemy, a ja zmęczona jestem. Obudź mnie, gdy się naradzą. Zapamiętaj tylko, którym korytarzem oni przyszli. Bo to dzieci, jak Bożę kocham, dzieci.

Tomek, który był czujniejszy niż reszta mężczyzn, zobaczył, że Ilka się kładzie.

— Gaz! Tu jest jakiś gaz! — Zerwał z twarzy maskę, nałożył ją Ilce i kazał jej natychmiast wstać. To samo zrobił ze mną. Tylko że mi podał maskę, żebym ją sobie sama założyła.

— Co z komisarzem? — zapytałam, kiedy nachylał się nade mną, by sprawdzić, jak założyłam to cholerstwo.

— Już po operacji. Dzwoniłem, zanim zeszliśmy pod ziemię — uspokoił mnie. — Zostanie w Piekarach.

— Nie spodziewałam się, że zapamięta esemesa.

— Komisarz jest twardy. Wydał rozkazy jeszcze przed operacją. — Tomek skinął na dwóch krzepkich policjantów. — Pójdziecie z paniami. — Przyjrzał nam się uważnie, oświetlając twarze i resztę ciała. — Panie mogą poruszać się samodzielnie?

— Możemy, możemy — mamrotała Ilka. — Muszę tylko się przespać. Nic mi nie jest. Poszukajcie Haliny.

— To ten gaz — powtórzył Tomek. — Na świeżym powietrzu powinno przejść. Sami poszukamy pani Kwiatkowskiej. A nie pomyślały panie o tym, że może ona was wciągnęła w zasadzkę?

Zatrzymałam się na chwilę.

— Nie. — Zupełnie mi to do głowy nie przyszło. — Ja, głupia bździągwa, jej uwierzyłam. Ty też — zwróciłam się ciszej do Ilki.

Ledwo przytomna wzruszyła tylko ramionami.

Szliśmy teraz innym chodnikiem. Poziom się zmieniał, a grunt falował raz w górę, raz w dół. Ściany lśniły w świetle latarek zimnym niebieskawym blaskiem. Korytarz nie tylko obniżał się i wznosił, ale jeszcze miejscami się zwężał. Trzeba było uważać, by nie uderzyć głową w odstające belki wzmocnień. Pojawiła się woda ściekająca po ścianach. Ciekawe, że w komorze było tak sucho. Marzłam. Maszerowałam znowu mechanicznie, krok za krokiem. Miałam ochotę uchwycić się kurtki policjanta, ale udało mi się powstrzymać. Ktoś nas prowadził, ktoś nam pomógł wydostać się na zewnątrz. Również byłam śpiąca, ale nie tak jak Ilka, którą trzeba było podtrzymywać.

Miałam nadzieję, że jutro pojedę do Katowic, zapomnę o wszystkim i wrócę za jakiś czas przygotowana, by eksplorować starą komorę ze skarbami. To jedno mnie w tej chwili naprawdę interesowało. Pułapka zastawiona przez Wredną? Całkiem możliwe. Kto widział Władka? Ona i Wolny. Coś w tej historii nie pasowało do całości.

Rozdział 12

Tomek zawiózł nas do hotelu. Nie zwracając sobie głowy recepcjonistą, wyraźnie zszokowanym naszym wyglądem, wzięliśmy wspólny pokój. Resztką świadomości zamówiłam butelkę wina i poprosiłam o jego otworzenie, czując, że będzie nam potrzebne. Torebkę miałam cały czas przy sobie, choć trudno zrozumieć, w jaki sposób jej nie zgubiłam. Było w niej to, co najważniejsze. Dokumenty, pieniądze, szminka i zdjęcia Wrednej. Już jej nie współczułam. Ziarno podejrzewania zostało zasiane i rosło na pożywce zmęczenia, złości i niewiedzy. Wypiłyśmy po dużej lampce wina. Ilka zasnęła w ubraniu na łóżku. Po namyśle zrobiłam podobnie. Położyłam się, zdejmując jedynie buty. Przykryłam nas kocami, które znalazłam w hotelowej szafie.

Obudziłam się o drugiej w nocy i usiadłam na łóżku. Wyobraźnia podsuwała mi obraz zamordowanej Wrednej, która leży w lesie, a dziki rozszarpują jej ciało, na które musiała wydać mnóstwo kasy. Podejrzewałam, że kwota przekraczała sto tysięcy euro. Ilka nie chrapała, zatem nie spała. Podzieliłam się z nią przemyśleniami. Wstała z jękiem, naląła nam wina i położyła się z powrotem.

— Potem się umyję. Założmy, że wyszła — powiedziała przytomnie.

— Jak?

— Nadal utrzymujemy, że Halina mówiła prawdę i Władek jej groził, tak?
— Ilka spojrzała na mnie znad kieliszka. Skinęłam głową. — Zatem kiedy zorientował się, że wszystkie jesteśmy w środku, wrzucił zapasową drabinę i sam wszedł. Chciał nas śledzić, a może zasypać?

— Tylko po co? Dobra, założmy, że miał jakiś tajemniczy motyw i chciał się nas pozbyć. Gdyby porzucił nas w kopalni, a w dodatku odciął możliwe wyjścia... z pewnością miałby nas z głowy.

— No właśnie, a drabinkę chciał zostawić jako dowód, że to wypadek, że nikt nikogo nie zamykał. Wszedł innym korytarzem. Może tam jest więcej odnóg, takich chodników, studni czy jak to się nazywa? Ty mi zdjęłaś buty? Bo nie pamiętam.

— Szyb albo lufcik. Ciekawe tylko, po cholere dawał mi klucze?

— Odczep się na razie od kluczy. Jesteśmy w kopalni. On wszedł innym szybem. Władek dla Haliny mógł być niewidoczny, wszedł w inny korytarz, ciemno było. Nie zauważyła go, ale drabina wisiała. Zatem Halina mogła nią wyjść. Zdjęłaś mi te gumowce?

— Nie pamiętam. Może same ci spadły. Odczep się od butów. Widziałam w internecie schemat takiej kopalni. Te chodniki często się schodzą. Czasami nawet dwa różne poziomy są połączone kominem doprowadzającym powietrze. Mógłby się z nami bawić w kotka i myszkę, tylko nadal nie rozumiem dlaczego. To, że rozumiem, jak coś mogło być zrobione, nie przekonuje mnie, że było.

— Wiesz, Mati, nie potrafię uwierzyć, że to Władek. Po prostu nie potrafię.

— Ja również, a ty znałaś go lepiej ode mnie.

— Tyle co ze szkoły. — Ilka odstawiła kieliszek, zdjęła dżinsy i cienkie podkolanówki, zrzuciła czerwony sweter i w koronkowej czarnej bluzce z dekoltem na plecach wsunęła się z powrotem pod koc. — Kurde, mam przerywniki. Jak mogę nie pamiętać tych butów? Dobrze, okej, ani słowa o obuwiu. — Uniosła ręce.

Zdecydowanie miałam zbyt ekspresyjną mimikę.

— A w ogóle zdziwiło mnie to — kontynuowała Ilka — że Władek zaprosił cię na zamek. Jakoś tak w samą porę. Tu niewypał ślubny, a krótko po tym samotnia, matecznik, miejsce do lizania ran, opuszczony dom o idiotycznej nazwie, który wymaga opieki i udaje coś, czym nie jest. Ledwo się wprowadziłaś, zaczęło się. Spójrz na to z dystansu. Być może jednak istnieje jakiś motyw. Może umówili się z Sewerynem, żeby cię zniszczyć

w taki wymyślny sposób.

Nie musiałam się wcale dystansować, od jakiegoś czasu patrzyłam trzeźwo i zgadzałam się z nią. To faktycznie wyglądało jak spisek przeciwko mnie, tylko jak na razie ja żyłam, a kilka osób już nie. Ilce cudem się upiekło.

— Umówili się i zgrali to w czasie! — Musiałam przyznać, że to wszystko zakrawało na grubszą aferę, i to zaplanowaną z wyprzedzeniem. — Razem fotografowali Wredną, a potem razem się jej pozbyli. Ale co ja mam do tego? Mnie nikt nie szantażował, bo nie miał czym, po co miałby mnie tam ściągać i narażać. Bo jeśli ktoś chciałby mnie zabić, to miał do tego tysiąc okazji. — Nie myślałam jasno i nadal byłam śpiąca. — Wszystko niby wskazuje na Władka. Wolny go widział, Wredna go widziała. Ciekawe, czy jeszcze ktoś.

— Dzwonił z Irlandii. — Ilka usiadła gwałtownie.

— E tam, jeśli to był komórkowy, to nawet gdyby dzwonił z podwórka, też wyświetliłby się jego numer. Masz komórkę, więc wiesz, jak działa roaming. Sama tak robiłaś, a ja myślałam, że jesteś w szpitalu.

— Ale on ze stacjonarnego też dzwonił.

— No to co? Możesz sobie wybrać dowolny numer na komórce. Może się zaczynać tak jak kierunkowy do Irlandii. Myśmy tylko spojrzały na początkowe cyfry. Ja ich nie liczyłam.

— Zatem kto zabił Seweryna? Ten dryblas od Wrednej? Może to żaden hrabia, tylko wspólnik morderca? Ty go widziałaś. Wyglądał jak hrabia? Zdjęłaś mi buty? Powiedz, bo naprawdę nie pamiętam.

Przytaknęłam podwójnie i spojrzałam na swoje nogi przykryte kocem.

— Och. Zdjęłam ci je, zdjęłam i ładnie odstawiłam, przecież widzisz, że są pod ścianą. Moje też zdjęłam. Muszę się wykapać. Nadal jest mi zimno, nie mówiąc o tym, że cała się lepnię.

— Po jaką cholere?

— Mam się umyć? — Spojrzałam na nią z niepokojem.

— Jaki motyw miał hrabia, żeby zabijać Seweryna?

— Mogła go napuścić Wredna — kombinowałam, nie bardzo wierząc, by arystokrata dał się wrobić w mokrą robotę, ale to rozumowanie wydawało mi się całkiem logiczne. — Wtedy to ma sens. Wredna zleciła zabicie Seweryna. Jeden szantażysta z głowy, a drugi, czyli Władek, się zorientował.

— Niby jak?

— Przecież sama mu wysłałam maila. — W tym momencie znowu usłyszałam w głowie pisk. Taki, jakim w filmach tuszują niecenzuralne słowa, tyle że cichy i bez treści.

— No dobrze. — Ilka oparła się o wezglowie, podciągając koc aż pod brodę. — Władek dowiedział się od ciebie, że Seweryn nie żyje, poczuł się zagrożony i siup! Wraca do Polski i załatwia Wredną. To znaczy zamyka ją w kopalni. Przynajmniej na razie. Obiecuje, że po nią przyjdzie.

— Że zajmie się nią, tak powiedziała Halina. Intuicja mi piszczy, tylko nie wiem do czego. I jeśli nie wyleciał do Irlandii, to nie musiał nawet wracać. Gdzie w tym czasie był i po co?

— Nie wiem. Zwariował. Bo nie widzę innego motywu. — Ilka usiłowała dyskretnie się obwąchać. Nie skomentowałam tego, ponieważ sama cuchnęłam ziemią, wilgocią i nietoperzami, a włosy miałam nie dość, że posklejane, to jeszcze z kawałkami słomy.

— Najpierw nie dochodzi do ślubu — rozważałam jeszcze raz, układając sobie w głowie wydarzenia. — Potem wprowadzam się na zamek i zostaje zamordowany Seweryn. Widzisz związek? Ja nie. Dlatego idę się kąpać.

Wzięłam prysznic. Przeparałam bieliznę i sukienkę, powiesiłam je na kaloryferze, umyłam zęby szczoteczką hotelową. Wyszłam świeża i pachnąca kosmetykami, które znalazłam w łazience. Wskoczyłam na łóżko w białym puchatym szlafroku i przykryłam się kołdrą.

— Opuściłaś śmierć parobka i napaść na mnie. — Ilka stała na jednej

nodze, drugą wsparła na brzegu łóżka i sprawdzała, w jakim stanie są jej paznokcie u nóg. Mimo wszystkich higienicznych zabiegów, które musiałam wykonać, by poczuć się jak człowiek, doskonale pamiętałam, na czym skończyliśmy rozmowę.

— To inny sprawca — zdecydowałam. — Uważam, że Arek Zaruba i ty to nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

— Dziękuję ci bardzo — prychnęła Ilka. — Bardzo ładnie to ujęłaś. Zobacz, Mati, te hybrydy są super, wytrzymały marsz w za dużych gumiakach i nie odpadł ani milimetr.

— Są niezdrowe. Paznokcie po nich robią się jak papier toaletowy, miękkie i łuszczące.

— Są ładne.

Kiedy zniknęła w łazience, położyłam się i zamknęłam oczy. Pościel była czysta, nawet nie miałam nieprzyjemnego wrażenia, jakie nigdy nie opuszcza mnie w hotelach, że w łóżku spał seryjny morderca, a poszewki po nim tylko przemaglowano. Po kąpieli umysł powinien pracować wydajniej, ale tak się nie stało. Nie myślałam jasno i stale coś mnie uwierało. W naszym rozumowaniu tkwił błąd albo przynajmniej poważna luka.

Ilka wyszła z łazienki zawinięta w olbrzymi biały ręcznik i podobnie jak ja rozsiewała zapach olejków.

— Ale wobec tego o co chodzi? — zapytała inteligentnie. — Przecież nie o zdjęcie. Za słaby motyw. Może kawał nam chciał zrobić?

— Z trzema trupami? — Leżałam z przymkniętymi oczyma. Znowu ogarniała mnie senność, ale normalniejsza. Tamta w kopalni była ciężka i przytłaczająca, jak po prochach. Teraz byłam zwyczajnie zmęczona i śpiąca.

— Mieszasz dwie sprawy — pouczyła Ilka. Łóżko skrzypnęło, gdy powoli się na nim położyła. — Tyłek mnie boli.

— A jeśli one nie są osobne? To tylko nasze przypuszczenia. Ty też zaliczyłaś cios w głowę, na tyle mocny, że dostałaś amnezji. Mogłaś umrzeć

i kto wie, czy nie żyjesz tylko dlatego, że morderca dowiedział się o tym, że nic nie pamiętasz. Pozostaje pytanie — od kogo.

— Zadzwoń do Władka. Masz ładowarkę? — Ilka sprawdziła telefon.

— Tak. W Trupim Dworze — odparłam.

— Ech... Nie mamy już wina? — Ilka wsparła się na łokciu.

Otuliła się ręcznikiem. O czwartej nad ranem, po drugiej butelce caberneta, który zamówiliśmy w recepcji i który nam przyniesiono do pokoju razem z ładowarką do telefonu, zaczęliśmy patriotycznie nucić *Rotę*.

Obudziłam się o dziesiątej przed południem. Gdyby nie komórka i jej powitalny ekran, to nie miałabym pojęcia, że jest czwartek dwudziestego szóstego października. Głowę mi chciało rozsadzić. Nie rozumiałam, co na drugim łóżku robi śpiąca Ilka. Mieszały mi się wydarzenia, w których brałam udział, i te wyobrażone. Śnił mi się wenecki karnawał, Wredna w koronie na głowie i Szarlej w postaci kulawego karła, który odganiał nas od skrzyni ze skarbami. Potem wszystko wybuchło przy wtórze fajerwerków i oklasków policji. Sen niczego mi nie wyjaśnił, więc obróciłam się na drugi bok i zasnęłam ponownie.

Po południu doszliśmy do siebie na tyle, by powtórnie się wykąpać, doczyścić dzinsy Ilki ręcznikiem, zjeść naleśniki z serem, które przyniesiono nam do pokoju razem z owocami i bitą śmietaną, i za pomocą kawy uruchomić swoje głowy.

Władek telefonu nie odbierał.

Zadzwołam do Staszka. Mógł być jeszcze w szpitalu z Anitą, jednak odebrał. Zapytałam, czy zadbał o gospodarstwo Zbierackiego, poinformowałam, że wyjechałyśmy i siedzimy w hotelu, nie wdając się w szczegóły. Dodałam tylko, że Wredna zaginęła. Wydawało się, że go to nie obeszło. Nie powiedziałam, że byliśmy w kopalni ani co nam się przydarzyło. Zawracanie mu głowy byłoby małostkowe.

Od niego dowiedziałam się, że Anita nie miała zawału, czuje się lepiej,

jednak lekarz dyżurny postanowił zatrzymać ją na obserwacji. Przekazałam informację Ilce.

— Wiesz, ciągle mi coś nie pasuje — westchnęłam. — Przedtem popiskiwało mi ostrzegawczo, ale przestało, kiedy włączyliśmy do tej cholernej kopalni.

— Ty nie wchodziłaś — zauważyła Ilka. — Chociaż po takim upadku miało prawo nie tylko popiskiwać, ale i huczeć ci w głowie. Jak się czujesz?

Wzruszyłam ramionami. Miałam zakwasy w mięśniach, obolałe pośladki i stłuczone kolano. Głowa pobolewała, ale można było wytrzymać.

— Dobrze. Zadzwońię do Anity — postanowiłam i wyszukałam w kontaktach Jezierską.

Potwierdziła, że czuje się lepiej, że Staszek był u niej przez cały czas, od momentu, gdy przywiozło ją pogotowie, ale teraz poszedł po coś do jedzenia, a ona ma przykaz leżeć. Obiecałam, że ją odwiedzę. O Wrednej oczywiście nie wspominałam.

— Pójdziemy na kawę i szarlotkę? — zapytała Ilka. — Może nikt nie zauważy, że jesteśmy po przejściach.

Założyłyśmy wczorajsze — wysuszone i odrobinę odświeżone — ubrania. Ilka strzepnęła bluzkę, z której jeszcze osypywał się pył z sufitu. Moja sukienka po przepierce wyglądała przyzwoicie, pomijając jej długość, ale czarne legginsy rozwiązały sprawę. Gorzej było z butami. Robocze kurtki też nie bardzo się nadawały. Postanowiłyśmy zejść w hotelowych kapciach i bez kurtek.

Na korytarzu minęły nas dwie pary w średnim wieku. Poza tym hotel wyglądał na wyludniony. Chciałam usiąść przy stoliku ustawionym obok marmurowego kominka, w którym palił się ogień, ale Ilka chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę dwóch dużych palm i przepierzenia z wielkiej drewnianej donicy ze sztucznymi roślinami. Posłusznie usadowiłam się za palmą, tyłem do sali. Miejsce chyba było specjalnie urządzone dla osób

pragnących intymności. Naliczyłam w sali siedem osób siedzących przy dwóch stolikach. Przy jednym trzej mężczyźni rozmawiali o interesach, sądząc po rozłożonych na stoliku papierach, przy drugim cztery kobiety opijały jakąś uroczystość albo po prostu przyszły się spotkać. Nikt nie zwrócił na nas uwagi. Mogłyśmy swobodnie rozmawiać.

Miałam w związku z zaginięciem Wrednej wyrzuty sumienia, które Ilka próbowała mi wyperswadować, ale domyślałam się, że sama również się gryzła.

— Zadzwoń do Marka i zapytam go, jak się czuje. Może wie więcej od nas. Jeśli policja odnalazła Wredną, to powinni mu coś powiedzieć. Jak myślisz? — dywagowałam, czekając na kelnerkę.

Ilka skinęła głową, wpatrując się w coś z rosnącym zdumieniem.

— Zastanawiam się, czy zostałam objęta zbiorową psychozą. — Kopnęła mnie pod stołem. — Mati, zobacz, ale dyskretnie.

Rozgarnęłam liście palmy. Przy stoliku pod oknem przysuwał sobie krzesło facet w granatowej kurtce z kapturem odrzuconym na plecy. Wysoki, przygarbiony, profil i włosy Władka Zbierackiego. Bardziej wyczesany, niż gdy widziałam go ostatnio, ale bez wątpienia to był on. Gdyby nie opowieść Wrednej i wcześniejsze słowa Wolnego, że widział Władka idącego w las, podeszłabym z przyjacielskim klepnięciem w plecy. Teraz starałam się być niewidoczna i z szybkością pędzącego w moim umyśle pendolino zastanawiałam się, co robić. Poczułam się głupio. Niezależnie od wszystkiego powinnam podejść, ale jeśli to jego sobowtór, brat bliźniak, nieświadoma bilokacja, świadoma bilokacja, to co wtedy? Zerknęłam na Ilkę, na szczęście nie mogła zajrzeć w mój umysł. Przyglądała mi się z wyczekiwaniem, poza tym myślała szybciej.

— Daj znać Markowi. Ja poobserwuję Władka i spróbuję zadzwonić na jego komórkę. Sprawdźmy, czy ma telefon — szepnęła. — Gdyby mnie zobaczył i rozpoznał, to udam, że mam kaca giganta i cały świat mnie nie interesuje, zresztą nie widziałam go kilka lat, mam prawo nie pamiętać jego

szlachetnego profilu.

Wstałam i wyszłam na korytarz, korzystając z tego, że Zbieracki był odwrócony do nas tyłem. Znalazłam odosobniony kąt i wystukałam numer, nie zastanawiając się, czy Marek śpi, czy jest w pokoju zabiegowym, czy też właśnie jest operowany. Odebrał po pierwszym sygnale.

— Hej! Co tam u ciebie? Możesz rozmawiać?

— Głowę mam w porządku. Usta też.

— Jak się czujesz? Można do ciebie przyjechać?

— Jasne, że można. Nie leżę na OIOM-ie.

— Bardzo cię boli? — zauważyłam, że sporo się zmieniło w moim stosunku do komisarza. Zagryzłam usta.

— Matylido, powiedz, o co chodzi. Prosto i jasno. Słyszę, że coś cię pogania.

— Jest tutaj Władek Zbieracki albo jego sobowtór. Nie wie, że go widziałyśmy.

— Tutaj to znaczy gdzie? — zupełnie się nie zdziwił. Z tonu, jakim wypowiedział te słowa, zrozumiałam, że Marek wie dużo więcej niż ja.

— W hotelu. Zapytaj twoich ludzi, dokąd nas przewieźli. Stoję w holu obok toalety. Czekaj, widzę na szybie napis „Opera”. Jesteśmy z Ilką w restauracji, a on przyszedł przed chwileczką. Czy coś mamy z tym zrobić? A może sprawę zostawić, niech przyschnie?

— Z pewnością nie wolno wam go śledzić ani robić żadnych innych głupstw. Najlepiej, żeby nadal was nie widział. Resztę zostaw mnie. Zaraz tam kogoś poślę. Powiedz dokładnie, gdzie on siedzi i jak wygląda.

Niemalże odmalowałam mu plan pomieszczenia i rozmieszczenie ludzi przy stolikach.

— Masz niezłe oko. To niemal artystyczny scenopis. — Usłyszałam ledwie tłumiony śmiech. — Zniknijcie, jakbyście go nie znały. Dziękuję tymczasem.

Odezwe się potem sam, dobrze? A przyjechać możesz w każdej chwili, będzie mi miło. I... Matyllda? Obiecuj, że niczego głupiego nie zrobisz! Matylldo! Macie zniknąć — ponaglił, bo milczałam.

— Dobrze, wyjdziemy na miasto — obiecałam i się wyłączyłam. W hotelowych kapciach?

Weszłam z powrotem do sali. Zapomniałam zapytać Marka o Wredną. Zapomniałam podziękować mu za przysłanie odsieczy. Trudno. Ilka piła kawę. Na stoliku stały dwa talerzyki z sernikiem i kawa dla mnie. Usiadłam.

— Ma wyłączony telefon — powiedziała Ilka.

— A my mamy zniknąć — odparłam z pełnymi ustami, przełykając kęs wyjątkowo smacznego ciasta. — Marek ma tu kogoś przysłać.

Ilka dopiła kawę, następnie zawięła swój kawałek sernika w serwetkę i skinęła na mnie głową. Jak zgrany zespół popędziłyśmy po gumowce i kurtki, zamówiłyśmy w recepcji taksówkę i kazałyśmy się zawieźć do Księżego Lasu. Korciło mnie, by pogadać sobie z Władkiem, ale obiecałam Markowi, że będę grzeczna. Poza tym miał rację, niech w końcu policjanci czymś się wykażą.

Przed bramą opuszczonego przez wszystkich Sarniego Dworu zapłaciłam taksówkarzowi i go odesłałam.

Mercedes stał tam, gdzie go zostawiłam. Był zamknięty, ale kluczyk miałam w torebce. Sięgając po niego, trafiłam na kopertę ze zdjęciami. Wiedziona impulsem, wręczyłam je Ilce. Wzięła fotografie i wsunęła je do swojej torby, komentując, że teraz nie ma czasu ich oglądać.

— Bierzemy potrzebne ciuchy i znikamy. Resztę rzeczy zabiorę innym razem. Obrazów nie chce mi się teraz znosić.

Drzwi były zatrzaśnięte, ale nadal miałam w kieszeni kurtki śrubokręt. Wnętrze, gdy je opuszczałyśmy, wyglądało jak po wojnie, teraz przedstawiało obraz zniszczeń wojennych po dodatkowej wizycie szabrowników. Wszystkie szuflady były wysunięte, serwantka w salonie kominkowym wybebeszona

i odsunięta od ściany.

— Ilka, patrz. Kto to mógł zrobić, jeśli nie Wredna? Ale nie rozumiem, że tak przeszukiwała zamek pod naszą obecność, nerwy ją poniosły?

— Jest zdesperowana. Zadzwoń do Marka, że się znalazła. Ucieszy się — parsknęła Ilka. — Swoją drogą mnóstwo w tym złości i nienawiści, a biorąc pod uwagę tych kilka zdjęć, które widziałam, raczej nieuzasadnionej. Tu chodzi o coś jeszcze. Mówię ci, dzwoń do Marka.

— Miałyśmy zniknąć. Z pewnością nie miał na myśli odwiedzania Trupiego Dworu.

— Dlaczego wywaliła mąkę z kredensu i opróżniła szafki kuchenne? — zastanawiała się Ilka, lawirując pomiędzy wyrzuconymi z szuflad ściereczkami. Schyliła się, podniosła puszkę z kawą, sprawdzając, czy jest dokładnie zamknięta, i postawiła ją na stole. — Jeszcze wczoraj zastanawiałam się nad wyjazdem definitywnym i ostatecznym, ale na swoje usprawiedliwienie powiem, że siedziałam w ciemności i w kopalnianym chłodzie. Teraz żadna siła mnie stąd nie ruszy. Muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

— Tyłek cię nie boli?

Ilka pomacała się po udach, pośladkach i ramionach.

— Boli. Wczoraj podczas kąpieli w hotelowej łazience obejrzałam siniaki. Są już dwukolorowe, posmarowałam je heparyną. Przypomnij mi, mam w torebce, to dam ci trochę.

Skrzywiłam się i napięłam bolące mięśnie. Mogłam się połamać, zabić, doprowadzić do paraliżu lub inwalidztwa, ale nic takiego się nie stało. Odsunęłam zatem możliwe scenariusze i skupiłam się na otoczeniu.

— Doprowadzimy się do ładu, odpowiednio ubierzemy i możemy tutaj wracać. Mam plan.

Zapakowałam wszystkie ubrania i kosmetyki. Nie miałam dużo roboty, gdyż w większej części byłam już spakowana, Marek zebrał ubrania Ilki, zanim tak pechowo poleciał i złamał nogę. Dopchałyśmy tylko do walizek przybory kosmetyczne i wróciłyśmy do miasta. Na hotelowym parkingu stały dwa czarne volva. Zaparkowałam za jednym z nich. Sierżant stał przy wejściu do hotelu i wyraźnie na nas czekał.

— I co, i co? — zapytała Ilka, kładąc dłoń na jego przedramieniu.

— Nie wiem. Zbierackiego nie znam, ale był tutaj taki sam osobnik, jakiego pani opisała. — Sierżant skinął mi głową na dzień dobry. — Spotkał się z kimś raczej małym, powiedzmy: bardzo małym.

— Z dzieckiem? — zapytałam.

— Nie, raczej z niskim mężczyzną. Mamy zdjęcia. Wyszli kwadrans temu.

— Zdjęcia? — Ilka wyciągnęła dłoń.

Sierżant cofnął się, a jego twarz zrobiła się purpurowa.

— Nie mogę — zerknął znacząco na volvo, w którym siedziało dwóch policjantów. — Naprawdę nie mogę.

— Ale może go poznam. On pana widział? — Ilka wyglądała, jakby chciała Tomkiem potrząsnąć.

— Pani doktor — w sierżancie zaszła zmiana, nie tylko na twarzy, ale w całej sylwetce — jestem zawodowcem. To była dyskretna obserwacja.

— Nie zatrzymaliście go?

— Komisarz kazał paniom zniknąć. Jak widzę, bezskutecznie. — Nawet nie starał się ukryć sarkazmu.

Ilka przyjrzała mu się uważniej.

— Teraz nie musimy już zniknąć. Ja idę spać — powiedziała i ruszyła w głąb hotelu. Sierżant powiódł za nią maślanym wzrokiem, lecz nie to było niezwykle, ale fakt, że Ilka wchodziła po schodach, kręcąc tyłkiem. Patrzyliśmy tak przez chwilę, on z zachwytem, ja oniemiała. Wreszcie się

ocknęłam.

— Zakładam, że nie znaleźliście Haliny?

Sierżant zaprzeczył, patrząc za swoją Dulcyneą.

— To tyle — podsumowałam, nie kryjąc uśmiechu. — Doprowadzę się do porządku i jadę do Piekar. Dzięki za wszystko.

Już miałam pójść śladem Ilki, gdy uprzytomniłam sobie, że nasze walizki są w samochodzie, a Tomkowi wyraźnie się nie spieszy.

— Pomoże mi pan wnieść walizki?

Sierżant wziął obydwie i wspiął się po schodach, w drzwiach do pokoju wycofał się jednak i zniknął. Wtedy przypomniałam sobie o przeszukaniu na zamku i że żadna z nas mu o tym nie wspomniała.

Rozdział 13

I lka została w hotelu.

Dojeżdżając do Piekar, syntetyzowałam oczywiste dane i intuicyjne podszepty. Ciekawa byłam, co powie Marek sam, a co trzeba będzie z niego wyduszać. W rejestracji zapytałam o numer sali. Z ogromnym trudem wydebiłam go od znudzonej baby siedzącej za kontuarem. Zanim doszłam na trzecie piętro, martwiąc się i układając w głowie listę pytań, które powinnam zadać komisarzowi, a które Markowi prywatnie, zdążyłam ów numer zapomnieć. W efekcie zaglądałam do każdego pomieszczenia i ogarniało mnie rosnące przerażenie.

Mężczyzna z ogoloną głową i obydwoma nogami na wyciągach jak na perskiej falace, gdzie indziej mumia gipsowa, a w kolejnej salce facet ze śrubami wystającymi z gołych ud. Spodziewałam się beczki tortur albo gąsiora, jednak szczytem mojej wytrzymałości okazał się widok mężczyzny z głową przyśrubowaną do zwisających jak na siłowni tuż za ramą jego łóżka odważników. Miał śruby wkręcone w czaszkę. Musiałam się oprzeć o ścianę, ponieważ nie było na korytarzu żadnego krzesła. Wreszcie spotkałam pielęgniarkę. Zapytała, czy jestem po wypadku i dlaczego pogotowie zostawiło mnie samą. Wytłumaczyłam jej, że szukam komisarza Mleczi.

— Rozumiem. I tak sobie pani zwiedza? — Uśmiechnęła się z radością. Zaprowadziła mnie do Marka i zatrzymała się grzecznie w drzwiach.

Zapakowali go w gips po pachwinę. Twarz zmęczona, worki pod oczyma. Póleżał, czytając coś na tablecie. Przyglądałam się z zainteresowaniem miejscu, w którym wysoko na udzie gips kończył się łagodnym zaokrągleniem.

— Ma pan gościa — powiedziała pielęgniarka, nie ruszając się od drzwi.

Twarz Marka się rozjaśniła. Weszłam i czekałam w milczeniu, aż siostra wyjdzie. Potem stanęłam w nogach łóżka i oparłam się z ulgą o ramę.

— Wyglądasz jak trup — powitał mnie, kiedy drzwi się zamknęły. — Usiądź.

Wzięłam krzesło stojące pod ścianą i ustawiłam je obok łóżka.

— Zaraz mi przejdzie.

— Słyszałem, że wpadłaś do szpitala. — Uśmiechnął się ironicznie, ale zaraz spoważniał. — Boli cię coś? Poruszasz się normalnie. Chciałem powiedzieć: ładnie.

— Nie, nic. To tylko — machnęłam ręką — te sale z chorymi. Tu jest strasznie.

Komisarz się roześmiał.

— Da się wytrzymać. Nie przywitasz się ze mną?

Cholera, spoglądał na mnie poważnie i bez ironii. Tak jak mężczyzna patrzy na kobietę, kiedy jej pragnie. Nie ruszałam się.

— Chciałam przeprosić.

— Niby za co?

— No wiesz, gdybym nie pokazała ci tego esemesa od Wrednej, to uważałbyś, gdzie stawiasz nogi... i teraz śmigałbyś jak zajac... chciałam powiedzieć, ścigałbyś przestępców.

— Chyba zwariowałaś! To nie twoja wina. W końcu mnie nie pchnęłaś. Chodź tutaj. Dzięki tej wiadomości od Kwiatkowskiej zostałyście uratowane, a wasze ruchy akurat łatwo przewidzieć.

— Coś wiecie o Wrednej?

Marek zagryzł dolną wargę i wolno pokręcił głową.

— Nigdzie jej nie ma. Pozostałe korytarze są zaślepione mniej więcej po kilkudziesięciu metrach od tamtej komory. Sprawdzili cały dostępny rejon.

Ani śladu. To znaczy jest mnóstwo śladów, ale innych. Musiała wydostać się na zewnątrz tym samym wyjściem, ale deszcz wszystko splukał.

— Jesteś doskonale poinformowany. Nawet nie zauważyłam, że w nocy padało. Coś się musiało jej stać. Przecież wróciłyby po nas.

Marek wyduł wargi i patrzył mi w oczy. Wreszcie to do mnie dotarło.

— Nie? — Po obejrzeniu bałaganu na zamku sama to już wiedziałam, ale miło było się upewnić. — Nie miała zamiaru nas stamtąd wyciągnąć? Po prostu sobie wyszła?

Marek skinął głową. Potem wziął mnie za rękę i oglądał moje palce. Robił to jednak bezmyślnie, raczej odruchowo.

— To była pułapka. Gdybyś mi nie pokazała tej wiadomości, gdybym cię wystarczająco nie poznał, to siedzielibyście tam nadal.

— Niby skąd wiedziałeś, że tam pójdziemy?

— Nietrudno się zorientować, że gdy każe ci się czegoś nie robić, to jakby wydać odwrotny rozkaz.

— Może rozkazy tak na mnie działają.

Marek się uśmiechnął.

— A, jest ciekawostka, żadnego gazu tam nie było.

Wstałam, bo nie mogłam tak usiedzieć i podeszłam do okna. Sama miałam wątpliwości.

— Wytrąbiłyśmy w nocy z Ilką dwie butelki wina. Nic nam nie dolegało poza zwykłym kacem. Gdybyśmy się nawdychały czegoś, to musiałyby wystąpić reakcja z alkoholem. Zatem od czego ta senność?

— Może was czymś napoiła? Piłyście coś?

— Dropsy. — Ilka jadła je jak cukierki, a nawet wzięła sobie na zapas. To dlatego była bardziej śpiąca! Opowiedziałam mu o tym. Potem zapytałam o Zbierackiego.

— Do tego się nie mieszaj. Opuśćcie hotel, nie zbliżajcie się do Sarniego Dworu i chociaż raz posłuchaj. Posłuchajcie, bo ta twoja przyjaciółka jest nie lepsza.

— Dobrze, panie komisarzu.

Pocałowałam go niezdarnie w policzek i uciekłam. Obiecałam wrócić za dwa dni. Coś chemicznego między nami grawitowało w kierunku mniej służbowym. Zapomniałam, co kryje się w mijanych salach, i szpital opuściłam z uśmiechem.

Żeby wykorzystać kilometry, skoro byłam w połowie drogi do Katowic, pojechałam do domu. Na stacji benzynowej kupiłam kilka gazet i zadzwoniłam do Ilki. Ucieszyła się, że zostanie na chwilę sama, chociaż z grzeczności proponowała, że do mnie dojedzie. Sprzeciwiłam się, a ona odetchnęła z ulgą, oznajmiając, że prześpi spokojnie noc i cały kolejny dzień.

Wieczór w domu. Widzieć wygodny kąt po tym, co ostatnio mi się przydarzyło, było niezapomnianym odczuciem. Naprawdę w tej chwili nie rozumiałam, dlaczego w ogóle zgodziłam się opuścić prywatny raj. Lubiłam przecież moje mieszkanie. Sama je urządziłam. Nic się tu nie sypało z sufitu, było ciepło, czysto i przytulnie. Wykąpałam się w ulubionej soli, namaściłam balsamem i przebrałam w jedwabie. Po pobieżnym przekartkowaniu gazet i magazynów umówiłam się z fryzjerką na następny dzień, a potem, mimo dość późnej pory, pojechałam do rodziców.

Kiedy zostałam już dopieszczona na wszelkie sposoby i skończyłam wymiatać kopiały talerz kopytek z twarogu, opowiedziałam wszystko mamie. Na początku słuchała z przejęciem, a potem z coraz większym zrozumieniem, jakby wiedziała więcej ode mnie.

— Co jest? — zapytałam, bo przyglądała mi się z uśmiechem niedowierzania.

Porzuciła mycie garnków i usiadła naprzeciwko mnie.

— Jakim cudem możesz tego nie wiedzieć? — zdziwiła się. — Przecież to jej życie, jej kariera. — Odruchowo włączyłam dyktafon. W ważnych chwilach nagrywałam namiętnie wszystko, zawsze z nadzieją, że przyda mi się do fabuły lub dialogu, teraz po prostu wcisnęłam bezmyślnie.

— Podam ci szczegóły za chwilę, bo Kwiatkowska chwaliła się tym w szerszym gronie. Gdzieś mam nawet prospekty z jej nazwiskiem, ale i bez tego pamiętam. Kiedy ty byłaś w Stanach, ona tuż po studiach pracowała w Teatrze Śląskim w Katowicach. Potem w Łodzi w filmie. Matka stale się nią chwaliła; jakie to jej córka robi doskonałe charakteryzacje, jak to z gwiazdki o sporym talencie, lecz bardzo miernej urodzie, jej Halinka potrafiła wykreować bóstwo, z dublera wyczarować identyczną kopię aktora. Mało tego, robiła to nie tylko na potrzeby sceny. Chcę powiedzieć, że poszerzała zasięg swych usług, wolę nie dociekać jakich. Szło jej bardzo dobrze, jednak za mało zarabiała. Możliwe, bo wiesz, jak to u nas jest. Narzekała, że nikt jej nie docenia, aż w końcu pojechała, może po trzech latach, do Szwajcarii i tam została. Podobno powiodło jej się doskonale. Wiem, że mniej więcej cztery lata temu jej matka zachorowała na raka. Halinka wzięła ją do siebie i próbowała leczyć u tamtejszych lekarzy. Nie mam pewności, ale w zeszłym roku bodajże starsza Kwiatkowska zmarła w szwajcarskim szpitalu.

— Co to ma wspólnego z naszym Władkiem? Sugerujesz, że to nie Zbieracki, tylko ktoś inny? Ale przecież nie lata facet za Halinką, żeby mu zrobiła charakteryzację. I jak się to ma do tego, że niby Władek ją zamknął w kopalni?

— Mogła kłamać, to raz, a dwa, do kopalni was zwabiła, by móc przeszukać zamek w spokoju. Zresztą, kto ją wie. Poza tym ona robiła maski, nie tylko charakteryzacje za pomocą make-upu. Takie idealne, nie do odróżnienia od normalnej twarzy, przynajmniej z pewnej odległości i bez dotykania. Ktoś niewtajemniczony mógł nie rozpoznać. Jeśli ktoś potrafi naśladować chód i zachowanie, to maskarada w pełni się uda.

— Póki nie trzeba się odezwać. A ja z nim rozmawiałam. —

Przypomniałam sobie mało wyraźne rozmowy, trzaski, zły odbiór i charakterystyczne „normalnie”.

Pojechałam do siebie. W nocy mało spałam, bo wszystko kotłowało mi się w głowie. Do rana ledwo wytrzymałam. W końcu o ósmej zarzuciłam fryzjera, planowane zakupy oraz relaks w spa i pognałam do Tarnowskich Gór. Padał śnieg z deszczem. Psa nie wygoń. Nie mogłam jednak rewelacji poniechać. Należało działać, a plan już mi się kłuł.

Zbliżała się dziewiąta. Ilka jeszcze spała. Weszłam na palcach do pokoju hotelowego i usiadłam na łóżku.

— Nie szlajałaś się w spa? — Usłyszałam spod poduszki zaspane pytanie.

— Niestety, tylko u mamusi byłam. Wstań.

— Dobra, za dwie godziny. Teraz spadaj. — Przykryła głowę poduszką.

— Opowiem ci historię.

— Potem.

Cukiernia była niedaleko, więc kupiłam sześć pączków, a w restauracji poprosiłam o dzbanek z kawą. Byłam zmarznięta i mokra, ponieważ przestało padać, a zaczęło lać, a ja nie wzięłam parasolki. Dzień zapowiadał się ponury. Marek pewnie spał podobnie jak Ilka. Postanowiłam, że do popołudnia będę prowadzić własne badania, a potem dopiero pojedę „na spowiedź”. Przy śniadaniu zdążyłam wszystko Ilce opowiedzieć. Wysłuchała. Pączków nie tknęła, za to wypila prawie całą kawę sama. Bez słowa weszła pod prysznic.

— Wiesz co? Wezwiemy Młodego — powiedziała wreszcie przez otwarte drzwi łazienki.

— Myślisz o nim pod prysznicem?

— Wariatko, myślę o tym bajzlu na zamku i o maskach Wrednej.

— Ten jej przydupas, dryblas, hrabia czy kto to jest, również ma blisko dwa metry jak Władek, tyle że sylwetka inna.

— Sylwetkę można zmienić. Musiałby go dobrze znać. Dlaczego jej

dokładnie nie wypytałyśmy o tego dryblasza? W żadnego hrabiego nie wierzę.

— Masz rację, o tego dresiarza, któremu dawała pieniądze, też nie zapytałam. Ona knuła dawno. Moja mama ma rację.

— Straszne zaniedbanie albo głupota z naszej strony. Wredna zniknęła dobrze przed południem, miała mnóstwo czasu, a potem sama zeszła do szybu i schowała drabinkę. Bez trudu wyszła.

— Ty zeszłaś po drabince sznurowej, która się zerwała.

— Może była druga. Nie, Mati, tu są dziury, choćby jeśli chodzi o motyw. Musimy porozmawiać z zawodowcami.

Pomysł poinformowania Tomka był dobry. Po namyśle stwierdziłam, że bardzo dobry. Pochwaliłam głośno, a nawet sama zadzwoniłam do sierżanta, korzystając z telefonu Ilki. Nie zastanawiałam się, skąd moja przyjaciółka ma jego numer. Nakreśliłam sierżantowi sytuację.

— Nie chcę zawracać głowy komisarzowi — powiedziałam na koniec — a mamy naprawdę interesujące szczegóły. Nie pożałuje pan.

Ilka, by nie uronić ani słowa, smarowała się balsamem przy uchylonych drzwiach.

— Co powiedział?

— Że oddzwoni. Mamy siedzieć w pokoju. Zaraził się tym od Marka. Poza tym on się w tobie kocha, Ilka.

— Tak mówisz?

— No.

— No i dobrze. Ale zjedź ze mnie. Nie masz nic do zrobienia, zanim przyjedzie?

Zrozumiałam. Zrobiłam porządek w ubraniach, drobiazgach i w kosmetyczce. Miałam wszystko, co potrzebne. Na zamku zostały tylko materiały do malowania i obrazy. Postanowiłam pojechać i zabrać je przy najbliższej okazji.

Kiedy Ilka wyszła, rozsiewając zapach kwiatów, drzewa sandałowego i cieplej pary, otoczona wielkim puchatym ręcznikiem, zadzwonił telefon.

— Mam coś ciekawego — powiedział Marek. Po głosie poznałam, że teraz nie był komisarzem Mleczką, zatem nadstawiłam uszu.

— Słucham bardzo uważnie.

— Wiem, kto tam się pęta.

— Tam?

— Na zamku i w jego okolicach, a także w waszym hotelu. Pogrzebałem trochę, może więcej niż trochę. To wszystko jest bardziej niebezpieczne, niż może się wydawać, zatem, proszę, wyjedźcie zaraz. Mati, ja nie żartuję. I nikomu ani słowa. Nikomu, rozumiesz? Nawet własnej matce, ojcu, Kwiatkowskiej, nawet Anicie, Staszce i wszystkim innym. Policja zadba o ich bezpieczeństwo. Na widok Zbierackiego macie wiać w podskokach.

— Wredna wróci na zamek, jestem tego pewna, a ja nie daruję jej kopalni. Poza tym ona tam czegoś nadal szuka.

— Tego, co schowałaś w torebce. Macie wyjechać. A te zdjęcia obejrzałbym. — Teraz mnie zatkało. Jednak zauważył. I nic nie powiedział? Cholera jasna! Ilka, spostrzegłszy moją minę, zbliżyła się do telefonu i nachyliła głowę. — Sądysz, że jestem idiotą? No cóż, pewnie jestem, ale nie aż takim. W głowę nic mi się nie stało.

— Powiesz, kto to?

— Na razie nie mam pewności, dlatego posłuchaj ten jeden raz mojej intuicji i nie przeginaj.

— Marku, siądziemy sobie cichutko w Trupim Dworze i na nią poczekamy. Nie będziemy wychodzić. Nikt nas nie zauważy.

— Gdzie?

— No... w Sarnim Dworze, czyli na zamku. Pomyliło mi się.

— Widzisz, sama użyłaś właściwego określenia, a pchasz się jak mucha do

miodu. Nie i jeszcze raz nie! Inaczej każę was aresztować. — Markowi puszczały nerwy. Zastanowiłam się, czy chodzi mu tylko o dobro śledztwa. — I nie oszukuj się. Facet z monopolowego nie ma nic wspólnego z tym, co się działo i dzieje na zamku. Zgadza się, to były jego zwłoki, ale śledztwo jest zamknięte i nie, to nie był wypadek. Więcej nie mogę powiedzieć — mówił podniesionym głosem. — Mam swoje podejrzenia i nie mogę pozwolić na jakiegokolwiek niebezpieczne wyskoki. Ty, Matylde, i pani Sierocińska wyjeżdżacie do Katowic albo dokądkolwiek indziej, nie mówiąc niczego nawet w recepcji. Pokój zachowajcie i zostawcie w nim jakieś rzeczy. Po prostu wyjdźcie i jazda do Katowic. Albo jeszcze lepiej w takie miejsce, gdzie nikt nie będzie się domyślać waszej obecności. Żadnych telefonów. Do nikogo. Ani matka, ani Anita nie mają wiedzieć, gdzie jesteście. Tylko ty i pani doktor, zrozumiałaś? Lećcie na Tajlandię, do Egiptu albo na Spitsbergen. Mnie wszystko jedno.

— Muszę na uczelnię — zdecydowała Ilka, która niemal na mnie wisiała, zupełnie niepotrzebnie, bo włączyłam głośnik. — Nie mogę na Spitsbergen, fruwać po kurortach też nie. Zresztą i tak miałam za trzy dni stąd ruszać.

Wyjęła paczkę papierosów i schowała ją z powrotem. Nabrałam ochoty, by zapalić, ale obawiałam się, że w hotelu zacznie wyć alarm.

Nie miałam zamiaru popuścić. Zezłościł mnie tą tajemniczością, ale milczałam. Przecież wiadomo, że nie dam się już nabrać Wrednej na żadne eskapady. A tutaj, środek miasta, co mi kto zrobi?

— Mati, natychmiast daj sobie spokój! Doskonale rozumiem twoje milczenie. Taka naiwna jesteś w rzeczywistości czy tylko udajesz? Mam nadzieję, że to drugie — powiedział to jak policjant i się rozłączył. Gdyby dzwonił ze stacjonarnego, pewnie by trzasnął słuchawką.

Padał deszcz, było mokro, ślisko i ponuro. Jechaliśmy zapchaną autostradą do Katowic. Lewy pas czasami się zwalniał i można było podgonić, ale od rana czułam, że to nie jest dobry dzień. Włączyłam tempomat na sto

dwadzieścia i trzymałam się środkowego pasa.

Postanowiłam posłuchać Marka, odciąć się od wszystkiego, przespać we własnym mieszkaniu i następnego dnia zgodnie z zaproszeniem wstąpić do mamy na śniadanie. Mogę pewne sprawy przemilczeć, ale nie zamierzałam odcinać się od rodziny. Następnie planowałam przeprosić fryzjerkę i na zakończenie miłego dnia wstąpić do Silesii i kupić sobie nowe szpilki. Działały jak tańsza wersja psychoterapii, co nie znaczy, bym przejmowała się zbytnio ceną. Porzucenie przed ołtarzem ukoiliam terapeutyczną sesją za dwa tysiące złotych na trzynastocentymetrowym obcasie. Podziałało. Działało też prowadzenie samochodu. Wcisnęłam mocniej pedał gazu. Ilka westchnęła. Już dawno odkryła, że wszelkie uwagi na temat mojego stylu jazdy tylko pogarszają sytuację. Wyjęła z torebki kopertę ze zdjęciami i w milczeniu zaczęła je przeglądać.

— Jasna dupa! — krzyknęła w pewnej chwili. — Ona spała i z Władkiem, i z Sewerynem. Jednocześnie.

— Jak to? Na zdjęciach to widać czy dedukujesz?

— Wyciągam wnioski. Obydwaj się z nią zabawiali. Możliwe więc, że razem. Właściwie to jestem pewna.

Zjechałam na pierwszym zjeździe, który się trafił.

— Dawaj.

Fotki faktycznie zapadały w pamięć, a Halinka Kwiatkowska robiła za gwiazdę porno, właściwie to nawet „porno i duszno”, jak zwykli mówić na Śląsku, bo była rozebrana jak do rosołu i robiła wygibasy godne zaawansowanego jogina.

— Nie wiedziałam, że jest tak utalentowana. W cyrku powinna się zatrudnić.

— Aha — mruknęła Ilka. Otworzyła szeroko drzwi i zapaliła papierosa. — Wiesz, co to oznacza?

— Nie jestem pewna. W każdym razie jeden z nich nie żyje.

— No właśnie.

Między półkulami jakby mi błysnęło. Nie była to burza z piorunami, ale taki niemrawy impuls pod ciemieniem. Wystarczył.

— Zamykaj drzwi — rzuciłam, zapalając na nowo silnik i włączając się do ruchu. Po kilku skomplikowanych manewrach jechałyśmy dokładnie w przeciwnym kierunku niż przed pięcioma minutami.

— Dokąd? — zapytała Ilka, trzymając się pasa, bo uchwyt już wcześniej urwała. — Do hotelu? Jestem pewna, że tam komisarz każe sprawdzić. Nie uwierzył nam, że zakotwiczymy w Katowicach. Słyszałam to w jego głosie.

— To źle, bo miałam szczerzy zamiar pojechać do domu, potem pójść do mamusi na naleśniki. No i... szpile chciałam kupić.

Ilka wychyliła się i spojrzała mi w twarz.

— Szpilki? Ejże, jeszcze cię nie porzucił. — Zaczęła chichotać, co mnie porządnie wkurzyło.

Wyprzedziłam mazdę, wskoczyłam z prawej, biorąc jakiegoś ambitnego rzecha sapiącego pod górkę i trzymającego się z uporem szybszego pasa, i niemalże pod rufą tira umocniłam swoją pozycję na lewym. Ilka nogi wparła w podłogę, aż dywanik przesunął się do przodu.

— Więcej z tobą nie jadę!

— On spodziewa się nas w Trupim Dworze. Przenocujemy w hotelu, a potem... A potem zdecydujemy, co dalej. Muszę pomyśleć tam na miejscu. Coś mnie ciągnie.

— Zgadzam się — powiedziała Ilka słabym głosem. Byłam pewna, że w tej chwili zgodziłaby się na wszystko.

Przez moment rozkoszowałam się uczuciem bycia terrorystką. Ciekawe, co Ilka wie o scenariuszach kontroli, ale podejrzewałam, że wszystko, mimo że to właściwie pogranicze jej nauk.

O piętnastej Tarnowskie Góry były tak zapchane, że na Zamkowej przed hotelem Opera nie można było w żaden sposób zaparkować. Wcisnęłam się pomiędzy srebrnego forda i granatowego daewoo pod kościołem.

Portier na nasz widok się uśmiechnął. Ciekawa byłam, ile wiedział, a co sobie w głębi duszy dośpiewywał. Widziałam, jak sierżant rozmawiał z nim, gdy nas tutaj instalował. Na szczęście nie wymeldowałyśmy się, zatem nasz powrót nie był powrotem, ale normalnym wejściem.

— Plotkują o nas — powiedziałam, wchodząc do pokoju i rzucając torebkę na łóżko.

— Zauważyłam. Czego oczekujesz? W tej dziurze jesteście rarytasem. — Ilka spojrzała w lustro, poczochnęła włosy i dodała niskim, ponurym głosem: — Dwie wariatki w gumowcach, wieczorowych strojach, mające konszachty z policją. W tym hotelu nigdy nas nie zapomną.

Zdjęłam kurtkę i cienkie beżowe botki za kostkę. Gumowce zostawiłam w samochodzie. Umyłam ręce i wskoczyłam na łóżko. Ilka grzebała w telefonie. Otworzyłam laptopa, zalogowałam się do hotelowej sieci wi-fi, a potem na pocztę. Usunęłam trzy oferty dotyczące usprawnienia mojego mężczyzny i zwiększenia jego mocy. Ciekawe, jaką moc ma Marek. Na chwilę się zawiesiłam, a gdy przestałam fantazjować, skasowałam kilka bankowych ofert kredytowych i przejrzałam resztę korespondencji. Nagle do mnie dotarło, że alarm i błyskawice odzywały się zawsze, gdy myślałam o poczcie. W ciągu kilku ostatnich dni kilkanaście razy pomyślałam o korespondencji z Władkiem. Przewinęłam wiadomości w skrzynce i odnalazłam pierwszego maila. Przeczytałam. Następnie kolejną wiadomość i wszystkie pozostałe.

— Ilka, czy człowiek, który w słowie mówionym używa jakiegoś przerywnika... Oj, dobrze, konkretnie chodzi mi o Władka. I to jego „normalnie”. Ale poszerzmy obraz, gdyż to może być nie tylko Władka „normalnie”, ale również „kurde” albo na przykład „ja cię”, „eee...”. Wiesz, chodzi mi o takie przerywniki. Przecinki, których używa się

w niekontrolowany sposób. Czy taki człowiek będzie go również używał w słowie pisanym?

— Bo co?

— To, że w pierwszym mailu od Władka i w drugim również — zerknęłam powtórnie — nie ma ani razu wyrazu „normalnie”. W pozostałych mailach jest. I to wielokrotnie, mimo że wiadomości są krótsze. Chcesz, to zobacz.

— Poproszę. — Usiadła na moim łóżku i wsadziła głowę w monitor. Przewijała, przelatując wzrokiem wiadomość z trzeciego października:

Matylde,

mam nadzieję, że już się wprowadziłaś i dobrze ci się maluje. Zamek jest w strasznym stanie, ale mam już projekt i wykonawcę remontu generalnego, środki, mam nadzieję, tutaj zdobędę, resztę dołoży Unia. Poza tym załatwiam inną ważną sprawę. Jak tylko się uda, to Ci napiszę, o co chodzi. Z telefonem może być różnie, bo mam również nowy irlandzki numer, ale lepiej pisz na maila. Baw się dobrze, pozdrawiam.

Władek

— Tego maila dostałam, jeszcze zanim się wprowadziłam. Trzynastego, czyli dziesięć dni później, napisałam do niego o Arku i tobie. Zaraz gdy wróciłam ze szpitala. Pytałam o jałówkę, ale nie wspominałam niczego o tryku i ucieczce baranów. Nie chciałam go denerwować. O odgłosach też nie pisałam. Tego dnia nie odpowiedział. Za to przyszedł mail od Wrednej, w którym chciała wyłudzić wasze dane osobowe. Ciągle nie wiem, jak ona zdobyła mój adres, i to akurat zastrzeżony, który masz tylko ty i Władek. Potem jest następny, zobacz, to z czternastego października. Tutaj mamy już „normalnie”.

Matylde,

jestem tu raczej na odludziu, normalnie. Z internetu korzystam w pubie codziennie wieczorem. Zatem moje odpowiedzi mogą się opóźniać. Zmartwiłaś mnie wiadomością o Arku. O ile policja mnie nie ściągnie,

to jednak nie wracam. Muszę trzepać kasę. Dasz sobie tam radę? Zatrudnij kogoś. Wolałbym stąd nie wyjeżdżać, bo stracę kontrakt. Zapowiada się na to, że wkrótce udam się na platformę wiertniczą na Morze Północne, wtedy, normalnie, stracimy kontakt na jakiś czas. W tym czasie możesz normalnie na zamku mieszkać. Do tego czasu postaram się służyć Ci radą i pomocą.

Wspominasz o jałówce. Owszem, czasem kopie, bo źle reaguje na alkohol. Jeśli uważasz, że ryzykujesz lub, normalnie, denerwuje Cię, to możesz zrezygnować.

Zniszczyłem telefon, bo wczoraj wpadł mi do sedesu. Straciłem numery. Zatem na razie kontaktuj się ze mną tylko tą drogą. Możesz się przerzucić na Skype'a? Nie mam kamerki i mikrofonu, ale możemy pisać. To też jakaś rozmowa.

— Mam tę rozmowę, czekaj, tylko otworzę.

— *Jak Ildefonsa? Wiesz cokolwiek?*

— *Nie mam pojęcia. Żyje, ale nie wpuszczają mnie do niej, a nawet utajnili, dokąd ją przewieźli.*

— *Rozpoznała kogoś?*

Przeczytałyśmy na głos całą wymianę listów. Przypomniałam sobie, że pisał o starych korytarzach i kopalni srebra, o tym, że mieszkał na zamku od urodzenia, więc oczywiście zajrzał do lochów, a skarby przebalował. W tej korespondencji pojawiło się „normalnie”.

Potem był mail z datą dwudziestego października:

Zapomniałem Ci wcześniej napisać, że rozmawiałem z Haliną Kwiatkowską. Gdyby wpadła, to pozwól jej się na kilka dni zatrzymać. Mam nadzieję, że to nie problem!

Pozdrawiam!

Władek

W tym „normalnie” nie ma. A potem już nie ma w ogóle nic. Kiedy do

niego pisałam, żeby zadzwonił ze stacjonarnego, to oddzwonił, ale nie pisał.

Ilka się zastanawiała.

— Masz cholerną rację. Wiesz, ja bym napisała tę „cholerną”.

— Ponieważ to nie jest twój przerywnik, tylko wzmocnienie wypowiedzi. A tamto działa trochę jak jąkanie. W piśmie się nie jąkasz. Eliminujesz to.

— Masz rację. — Ilka wpatrywała się w telefon. — Jedziemy dzisiaj dokądś? — zapytała.

— Czemu pytasz? Ja nie. Już się najeździłam.

Wybrała jakiś numer.

— Proszę o dwie butelki pinot noir. Tak, pokój numer... o, to miło, że pan wie. Tak, będę wdzięczna. Oczywiście... dziękuję.

— Masz znajomości?

— Urok osobisty.

Po drugiej lampce zadała niewypowiedziane dotąd głośno pytanie:

— Kto podszywa się pod Władka?

— Jak to kto? Ten podobny, a właściwie identyczny. Skoro mówi albo pisze „normalnie”, musi znać Zbierackiego, ale niekoniecznie jego znajomych. Zatem nie jest to żaden przypadkowy sobowtór. A biorąc pod uwagę rewelacje mojej mamy, możemy mieć tylko nadzieję, że ludzie Marka mają go na oku.

— To nadal nie jest odpowiedź na pytanie. Jaki podobny? Wysoki? Tu wszyscy są wysocy. Marek też. Ten Zaruba był mały, ale może się tak skurczył, za życia go nie widziałam. Jeśli zaś brać pod uwagę talenty Wrednej, jeśli założyć, że je wykorzystuje i nadal jest tak dobra, to śmierdzi mi to większą aferą.

— Ja bym mimo wszystko zadzwoniła do Władka.

Wyciągnęłam rękę, a Ilka podała mi mój aparat leżący na szafce nocnej.

Nie odebrał. Numer był aktywny, ale wyłączony lub poza zasięgiem.

Wreszcie połączyłam się z Markiem.

— Mam coś ważnego — powiedziałam bez czułych i troskliwych wstępów, bo jeszcze byłam na niego zła. — Ktoś podszywa się pod maile Władka.

— Matyldo, wybacz moje niedowierzanie, ale niby jak mogłaś to stwierdzić?

— Zrobiłam analizę pisma.

Po drugiej stronie przedłużała się cisza. Już myślałam, że się rozłączył, ale nie. Westchnął tak, że aż dmuchnęło mi do ucha.

— Nie wiem, co powiedzieć. Zrobiłaś grafologiczną analizę pisma w elektronicznej wiadomości? Czy ja dobrze rozumiem?

— Doskonale.

— Mogłabyś do mnie przyjechać?

— Do Piekar? Mogę. Z Katowic to pryszcz. Za pół godziny będę.

— Nie, do Zbrosławic. Jestem już w domu. Możesz być za dziesięć minut.

Podśluchująca nas Ilka szturchnęła mnie w ramię.

— Raczej nie da rady. Nie potrafię latać, ale postaram się pospieszyć. Płacisz za paliwo.

— Przywieź ze sobą laptopa.

— Dobrze, panie komisarzu. Ale, o kurczę! Jestem po winie.

— To pošlę po ciebie.

— Do Katowic?

— Siedz na pupie i się nie ruszaj. Doskonale wiem, gdzie jesteś, kłamczucho. I pozdrów panią doktor. Jesteście siebie warte.

— Dziękuję, panie komisarzu — powiedziała Ilka tuż przy mojej twarzy.

Wstałam z łóżka, ociągając się.

— Niech nie myśli, że się pospieszę — wolno przeciągnęłam zgłoski, ale gdy Ilka spojrzała na mnie tym swoim profesjonalnym wzrokiem, przestałam udawać i pognałam do łazienki.

Byłam gotowa w rekordowym czasie. Pysznic, świeża bielizna, błyskawiczny makijaż. Z walizki wyjęłam niegniotącą się bluzkę. Obwąchałam i stwierdziłam, że nie trąci ani potem, ani trupem ludzkim czy zwierzęcym. Ilka podała mi swoje perfumy, które już trzymała w garści.

— Oczywiście, nie jadę z tobą. Możesz sobie darować usilne prośby.

— Jesteś tego pewna?

Pukanie do drzwi rozległo się, gdy wkładałam buty. Ilka poszła otworzyć. W drzwiach stał sierżant. Jeszcze go nie widziałam, ale wyraz twarzy przyjaciółki mówił mi tyle co lustro, gdybym do niego spojrzała. Była napalona. Odsunęła się od drzwi, zapraszając go do środka. Sierżant, mimo że był uśmiechnięty, wszedł z niepewną miną. W ogóle wyglądał, jakby było mu głupio. Gdy spojrzał na mnie, na jego urocze policzki wypełzł zdradliwy rumieniec. Dlaczego na mój widok? Do tej pory czerwienił się, gdy widział Ilkę.

— Komisarz kazał tego nie mówić, ale sądzę, że lepiej byłoby, gdyby pani przyjechała jednak rano. — Młody niemal się jękał. Wreszcie się przełamał i wypalił: — Źle się poczuł. Wiadomo, dzisiaj go wypuścili, a on już był w komendzie i akta pozbierał do domu. Naćpał się jakichś prochów. Chyba wziął zbyt wiele, bo teraz tam jest lekarz. On mnie zabije, że to powiedziałem. Przyjechać rano po panią, czy sama pani pojedzie?

— Sama — bąknęłam, starając się ukryć rozczarowanie. — Jasne, że sama. Może jednak teraz w czymś pomogę? — Zauważyłam, że moje nieposłuszne serce drgnęło, ale raczej delikatnie, bez nachalności typowej dla zadurzeń lub innych wielkich uczuć.

— Pani Matyldo, on pewnie już śpi jak dziecko. Uważam, że powinien odpocząć. Pani weźmie to na siebie, że była śpiąca albo... Coś panie wymyślicie. — Spojrzał z nadzieją na Ilkę. — A jakby co, to ja nic nie

mówiłem. Sam nie wymyśliłem jeszcze wiarygodnego łgarstwa.

— No dobrze — wtrąciła się Ilka. — Biorę to na siebie. To ja poczułam się źle i Matylda mnie pielęgnuje. Jakieś perturbacje po wypadku u jałówki.

Twarz Tomka z dwudniowym zarostem się rozpogodziła. Nigdy wcześniej nie chodził zarośnięty. Znowu nam czegoś nie mówią. Jakieś problemy w śledztwie? Ilka była nie mniej spostrzegawcza, a sierżant wgapił się w nią z zachwytem. Po raz pierwszy mogłam go sobie wyobrazić w akcji romansowej. Do tej pory raczej mi się to nie udawało. Tomek zwykle był zbyt uległy, nader grzeczny i usłużny. Teraz zagrały w nim hormony, a może skrzętnie skrywany charakter, patrzył bowiem na Ilkę tak, jakby chciał ją przy mnie rozebrać. W tym jednym spojrzeniu ich potencjalny związek nabrał kinetycznego wyrazu. Z wielką przyjemnością obserwowałam, jak przełknął ślinę i powrócił do image'u przerośniętego chłopca. Ilka tę maskę musiała zauważyć już na początku, gdyż w tej chwili pomiędzy nimi zachodziła tak gwałtowna reakcja chemiczno-fizyczna, że aż czułam ją własnym ciałem. Zastanawiałam się, czy nie wyjść z pokoju, jednak Tomek chwycił drzwi.

— Muszę jechać. Powiem, że panie były w Katowicach — odrzekł i wyszedł tyłem.

— No... niezłe z tymi Katowicami. — Ucieszyłam się. — Wyjdzie na moje.

— Genialne — przytaknęła Ilka.

Rozdział 14

Moja przyjaciółka jeszcze spała. Pstryknęłam w komórkę. Była szósta dwadzieścia trzy dwudziestego dziewiątego października. Gdyby nie telefon, pewnie bym tego nie wiedziała. Co stanie się ze światem, kiedy zabraknie elektroniki, komputerów, gadżetów i elektrycznych szczoteczek do zębów? Szczeźniemy. Łazienkowe lustro pokazywało mi twarz zmęczonej kobiety, a może to tylko ta ledowa żarówka rzucała niekorzystną poświatę? Nienawidziłam zimnego światła, podobnie jak zimy, niskich temperatur i uczuciowego chłodu. Po wernisażu pojedę gdzieś, gdzie jest trzydzieści sześć stopni, świeci słońce i chodzi się w sandałach. Wyobraziłam sobie kilka scenek i w każdej z nich towarzyszył mi Marek. To ciekawe, bo niespełna kilka tygodni temu miałam wyjść za mąż za faceta, który okazał się perwersyjnym szantażystą, kłamcą, włamywaczem i tchórzem, a w końcu trupem z nożem w piersi. Marka też nie znałam. Wiedziałam o nim jeszcze mniej niż o Sewerynie, ale istniała płaszczyzna, na której się porozumiewaliśmy. Och, zawsze istnieje jakaś płaszczyzna, chociażby na materacu. Nie zawsze zdrowa. Przypomniałam sobie zdjęcia Haliny z Sewerynem. Umyłam się, ubrałam, zrobiłam delikatny makijaż i po cichutku wyszłam z pokoju.

Po kwadransie parkowałam pod domem komisarza. Zanim weszłam na górę, wstąpiłam do niewielkiego przytulnego sklepiku i piekarni naprzeciwko. Kupiłam pięć pachnących ciepłym pieca bułek, irlandzkie masło, dżem porzeczkowy i kielbasę wiejską mocno wędzoną. Pomyślałam, że mogłabym polubić taką małą miejscowość. Cofnęłam rękę od dzwonka. A jeśli go obudzę? Nacisnęłam klamkę.

Marek siedział w fotelu na kółkach przy kuchennym stole i popijał z kubka. W lewej dłoni ścisnął stertę papierów formatu A4, na blacie stał włączony laptop. Na mój widok uniósł głowę. Może i uśmiechał się z jakąś ukrytą

satysfakcją, ale dostrzegłam przede wszystkim zwykłą szczerą radość. Wyciągnął dłoń w taki sposób, jak robią to między sobą mężczyźni. Kiedy jednak nieco zdziwiona podałam mu swoją, Marek uniósł ją odrobinę, pochylił się i pocałował jej wnętrze. Poczułam łaskotki nie tylko na dłoni. Przyjrzałam mu się dokładniej. Był niewyspany, białka oczu w kącikach szpeciły popękane naczynka krwionośne. Nie miał worów pod oczami. Przyglądał mi się z tym swoim wyrazem twarzy, który mnie nie tylko onieśmielał, ale i wkurzał, bo nie wiedziałam, co myśli, co czuje, i co gorsza, odkryłam, że ten jego nieprzenikniony wzrok mnie cholernie pociąga. W obecności komisarza doznawałam huśtawki nastrojów. Hormony buzowały i wystrzeliwały niczym gejzery na Islandii, co chwila zmieniając skład chemiczny. Jeśli od tego nie zwariuję, co pewnie bardzo ucieszyłoby Ilkę, gdyż w końcu miałyby co ze mną robić, to zahartuję się jak weteran wojenny.

— Dziękuję, że przyjechałaś. Miałem nadzieję... No dobrze — opanował się, a jego głos przybrał typowy dla niego ironiczny ton. — Nalej sobie kawy i posłuchaj.

Usiadłam bez słowa i spojrzałam bykiem, przygotowana na kazanie.

— Ten ktoś, kto pętał się przy starym budynku w lesie, to nie był Władek Zbieracki. Chłopcy zebrali jego odciski i sprawdzili obuwie. Ślady zostawione w lesie nie były śladami Władka, który ma większe stopy. Poza tym sama mówiłaś, że jest w Irlandii. Sprawdzamy to.

— To kto? Dryblas? — Tknęło mnie.

— Możliwe.

— Marek, nie obraź się, ale ja tego nie kupuję. Mieliście faceta na wyciągnięcie ręki. Czemu, na Boga, nikt nie sprawdził mu gęby?

Spojrzał na mnie, wyraźnie nie rozumiejąc.

— Byłem w szpitalu, pamiętasz? To ty do mnie zadzwoniłaś.

— No, ale te twoje niezguły...

Uniósł dłoń.

— Gdyby mieli najmniejsze podejrzenia, z pewnością zajrzeliby mu w zęby. Mata, to nie są durni chłopcy. Mogę tak do ciebie mówić, Mata?

— Już mówisz. — Zaczerwieniłam się. To było zdrobnienie, którego używała tylko moja mama i tylko w wyjątkowych okolicznościach.

— Od jak dawna znasz Władka?

— Od szkoły średniej. Bo co?

— Rodzice, koledzy... Co o nim wiesz z tego najwcześniejszego okresu?

— Nic szczególnego. Chodziliśmy do jednej klasy, ale nie byliśmy blisko. On miał swoją paczkę, ja obracałam się w innym towarzystwie, głównie dziewczęcym. Denerwowali mnie ci chłopcy, zawsze niedojrzali. Mnie wtedy podobali się starsi panowie, to znaczy tacy po dwudziestce.

— A, to faktycznie starsi. Miał brata? Kuzyna? Co wiesz o jego rodzinie?

Zastanowiłam się, ale nic rewelacyjnego sobie nie przypominałam.

— Czy ja wiem... Rodzina raczej normalna, a brata nie, chyba nie miał. W każdym razie ja takiego nie poznałam. Zresztą pamiętasz siebie ze szkoły średniej? Kojarzyłeś takie rzeczy? Chyba tylko wtedy, gdy ktoś nieustannie o tym mówił. Władek tego nie robił. Był raczej milczący.

— Moi ludzie — spojrział na mnie z ukosa — znaleźli informację, że istnieje w sieci ktoś, kogo interesują skarby Rzeszy. Interesuje się również kopalnią srebra, właśnie tarnogórką, i jeszcze jedną starą kopalnią węgla na Dolnym Śląsku. Skupuje różne artefakty. Druga sprawa: wspominałaś, że Zbieracki znalazł jakiś skarb. — Marek niemal wypluł to słowo. — To nieprawda. Owszem, coś znalazł, ale to drobiazgi. Myślę, że żartował, kiedy mówił ci o tym. Tutaj chodzi o coś innego. Młody dokopał się do pewnych rewelacji. Nie mam jeszcze pewności, ale paskudne podejrzenia, dlatego bądź ostrożna.

— Czemu mówisz na sierżanta Młody? Ile on ma lat?

— Trzydzieści osiem. Dlaczego pytasz? Nie zauważyłaś, jak wygląda?

— Jasne. Ale Marek, dlaczego nie kontaktujecie się z Władkiem? Nie pytaliście go o to? Nie powinno się go tutaj ściągnąć?

Milczał, patrząc mi w oczy, ale stał się jakiś nieobecny. Zaczynał mi podnosić ciśnienie. Mówi, co chce, milczy, kiedy chce. Miałam ochotę nim potrząsnąć.

— Uspokój się. Nie wszystkie tajemnice mogę ci zdradzić. I tak za dużo mówię.

Poniekąd mnie to już zastanowiło. Dlatego tylko mruknęłam coś niewyraźnie, wyjęłam z torby bułki i pozostałe artykuły spożywcze, żeby czymś zająć ręce. Poza tym lepiej mi się myślało, gdy byłam zajęta fizycznie.

— Jadłeś coś?

— Z przyjemnością zjem świeżą bułkę — powiedział, wodząc za mną wzrokiem. — Pokaż te maile. — Marek podał mi swojego laptopa z włączoną przeglądarką. Zalogowałam się na pocztę i otwierałam pierwszą wiadomość.

— Proszę. Gdybym nie miała wprawy w ocenach tekstu pisanego, w analizie stylu i wyłapywaniu niuansów, nie zorientowałabym się nigdy — powiedziałam, częstując się jedną z drożdżówek.

Marek jadł w milczeniu i czytał pocztę. W końcu odstawił komputer na stolik i upił łyk mocnej kawy z ekspresu.

— Staszek Wolny twierdzi, że widział Władka — przypomniałam. — Wredna też go widziała. Poza tym Halina mówiła, że spotkała go w Verbier, a on jej nie poznał. Nie wiem, czy jej wierzyć, ale zostawmy moje uprzedzenia i załóżmy chociaż na chwilę, że mówi prawdę. Kto zatem był w Verbier? Zbieracki czy ktoś, kto się pod niego podszywa? A może Władek ma rozdwojenie jaźni?

Marek wydał wargi. Przez chwilę w milczeniu jedliśmy bułki, z posypką na wierzchu i budyniem w środku. W końcu nie wytrzymałam:

— Marek, to nieuczciwe! Ja mówię ci wszystko!

Pokręcił głową.

— Jeszcze nie mam pewności. Ale Władek nie ma rozdwojenia jaźni i się nie bilokuje. Bądź ostrożna, Mato, i proszę, wyjedź chociaż na Wszystkich Świętych.

Wyciągnął dłoń. Podałam mu swoją przygotowaną na motylki, ale on podstępnie i mocno przyciągnął mnie, aż się potknęłam i upadłam mu na kolana. Motyle wyfrunęły, bo walnęłam z rozpędu kolaniem w gips. Jęknął, ale mnie nie puścił. Przymknął na chwilę oczy, a potem mnie pocałował. Kiedy skończył, ubrałam się, wzięłam torebkę i wyszłam oszołomiona. Dopiero gdy dojeżdżałam na parking hotelowy, doszłam do siebie i przypomniałam sobie, że nie powiedziałam mu ani słowa o tym, że Wredna robi maski.

W pokoju hotelowym czekała na mnie kartka od Ilki:

Jadę z sierżantem do Katowic, to znaczy on jedzie do Wojewódzkiej, a ja zabieram się przy okazji. Mam kilka spraw w klinice. Rano dzwonił profesor Bielecki, bo jak zwykle nie potrafią się beze mnie obejść. Opowiem, gdy wrócę. Dam Ci znać, nie prędzej jednak jak za kilka dni. Nie daj się w tym czasie zabić i nie daj odsapnąć komisarzowi, bo młoda nie jesteś. Tik-tak... zegar bije. I nie kupuj żadnych butów!!!

Jakby ona była młodsza! Obydwu nam zegar tykał.

Przez kilka minut z rozrzewnieniem myślałam o Katowicach, zapchanych ulicach, o Francuskiej, o rodzicach i o swoim mieszkaniu. Wcale nie dlatego, że Marek kazał mi wyjechać. Zatęskniłam za własnym łóżkiem. Uśmiechnęłam się na myśl, że po drodze jest Silesia, a w niej kilka całkiem sensownych sklepów obuwniczych. Opuściłam hotel i wsiadłam do auta.

Dziesięciocentymetrowe złote szpilki od Blahnika w stylu cudownie przypominającym BB kupiłam za jedyne tysiąc osiemset złotych. Nie zrobiłabym tego przy Ilce. Może i miałam obsesję, ale szpilki załatwiały

wszystko. Nigdy się na nich nie zawiodłam, więc nie miałam zamiaru tego zmieniać. Związany z pobytem na zamku stres, morderstwa, sarkastyczny kościelny i wstyd, którego najadłam się w kaplicy, nieszczęśliwe wypadki, rozdwojenie się Władka i utajnione, a odkryte przez moją mamę zdolności Wrednej sprawiły, że łopatki miałam napięte, mięśnie na karku sztywne, nawet skóra na łydkach zaczynała mi się łuszczyć. Drugim lekarstwem po szpilkach była trzydniówka w spa. Musiałam tylko zatelefonować w kilka miejsc i sprawdzić wolne terminy.

W końcu przekręciłam klucz i westchnęłam. Rozebrałam się, zajrzałam do każdego kąta, rozkoszowałam się komfortem i tym, że ktoś inny dba o ciepło w mieszkaniu, że nie muszę nasłuchiwać, czy coś gdzieś się nie zawaliło, kogoś nie ubili, czy nie straszą zamkowe duchy.

Wreszcie zamknęłam się w pracowni z dużym kubkiem mocnej herbaty.

Przez trzy dni, drugiego dnia już na bosaka, bo szpilki dały mi nieźle w kość, słuchałam muzyki klasycznej i malowałam. Trzeciego wieczoru w tylnej kieszeni spodni zabrzączał mi telefon. Nie miałam ochoty sprawdzać, kto dzwoni, gdyż ręce miałam brudne, zatem przygotowana na każdego, łącznie z serwisantem od odkurzacza i zaproszeniem na pokaz gotowania, przytknęłam w przełącznik na kabelku minisłuchawki. Obiecywałam sobie od dawna, że kupię słuchawkę bezprzewodową, ale stale o tym zapomniałam. Zestaw z kabelkiem leżał na stoliku z farbami i od czasu, gdy ubabrałam komórkę farbą olejną, stanowił jego integralną część. Wszystko się doskonale sprawdzało, prócz tego, że nie wiedziałam, kto dzwoni.

— Taaa — odebrałam, czekając, czyj głos usłyszę. Odkryłam, że gdzieś pod tym niemrawym „tak” kryła się nadzieja, iż dzwoni Marek.

— Malujesz — zgadła Ilka.

Potwierdziłam mruknięciem, uśmiechając się z pędzlem między zębami, bo w drugiej ręce trzymałam paletę. Nie widziałam Ilki od trzech dni.

— Chcesz newsa?

Znów mruknęłam pod nosem, nabierając cienkim pędzlem kroplę czerwonej farby, którą ostrożnie dołożyłam w miejscu, w którym wydawało mi się, że jest zbyt wiele szarości. Akt nabierał wyrazu, a ja już nie mogłam się doczekać, aż zobaczę minę Kariny.

— Ale to tajemnica. Utrzymasz?

— To zależy.

— Nie „zależy”. To ważne! Chodzi o to, by nie wkopać Młodego. Był w Irlandii. Tam i z powrotem.

— Każdy może pojechać do Irlandii. — Nagle dotarło do mnie. — Co?

— Przywiózł Zbierackiego. Będziesz przeproszać Marka za głupie uwagi, bo jak się okazuje, prowadzili śledztwo porządnie i sprawdzili różne tropy.

Pędzel mi upadł i karmin rozbryztał się na jesionowej podłodze. Podniosłam go i szybko starłam plamę mokrą szmatą. Jednocześnie słuchawka wypadła mi z ucha. Wcisnęłam ją, mocząc twarz ścierką.

— Jeśli mówiłaś coś, to powtórz.

— Nic nie mówiłam. Czekam, aż zareagujesz.

— Kurczę blade! Ale popatrz, jaki ten Marek jest. Mieli z nim kontakt, a nawet słowem się nie odezwał.

— Władek został zamordowany. To znaczy nie do końca, bo uszedł z życiem, ale morderca ma powody myśleć, że mu się udało. Termin zgadza się z podmianą maili. Ktoś miał nadzieję, że zabił Władka i aby utrzymać to w tajemnicy jak najdłużej, prowadził jego korespondencję. Dlatego nie wolno ci o tym nikomu mówić! Bo nadal nie wiemy, kto to.

— Czekaj, czekaj! Rozmawiałam przecież z Władkiem przez telefon. — Usiadłam z mokrym pędzlem w dłoni.

— To nie był Władek. Sama słyszałaś, że na wzmiankę o Napoleonie zapytał, czy rozwiązujesz krzyżówkę.

— A te inne rozmowy? W następnych odpowiadał sensownie.

— Może miał już więcej danych? Morderca czytał twoje maile, czegoś zatem się dowiedział. Poza tym Wredna kręciła się stale obok nas i wszystko słyszała. Mogła komuś powtarzać.

Na chwilę zamilkłyśmy. Stale obok nas? Odłożyłam pędzel i wytarłam ręce.

— Czyli kto to jest? — zapytałam. — Bo rozumiem, że Władek w tym czasie, kiedy z nim rozmawiałam, był już zabity, tak?

— Obudź się. Mówię przecież, że Władek był w szpitalu i nie miał pojęcia, co tutaj się dzieje — przeliterowała Ilka. — Wiesz, trzeba by tę pocztę przeanalizować jeszcze raz, a i rozmowy wypadałoby sobie przypomnieć.

— A nie mogłybyśmy zostawić tego policji? — Spojrzałam na obraz, żegnając się z pracą na bliżej nieokreślony czas.

— Policja zajęta jest pilnowaniem Władka. Dali mu ochronę w szpitalu, a może w hotelu... Nie wiem, Tomek nie powiedział, gdzie go trzymają.

— Cała policja go pilnuje? — burknęłam. — No dobrze, możemy analizować te maile. Nie wpadłabyś do mnie?

— Mam wykład. Wróciłam do pracy, gdybyś tego jeszcze nie zdążyła zauważyć. Potem muszę podjechać na Ochojec do kliniki. Zadzwonię, gdy będę miała wolną chwilę. Okej, więcej niż chwilę. Dobrze?

— Oczywiście, nie każdy ma tak dobrze jak ja. Jestem tylko marnym malarzem.

Ilka nie skomentowała. Rozłączyła się. Rzadko doceniałam swoją sytuację. Postanowiłam zatem pozbyć się stresów do końca i zrobić coś, przy czym moje myślenie nabierało cech geniuszu, mianowicie posprzątać mieszkanie.

Od czasu gdy pani Marcysia przychodziła robić mi większe porządki, zaczęłam się czuć w prywatnym apartamencie jak w hotelu. Z tego powodu ograniczałam jej wizyty do minimum. Teraz odczułam nie tylko potrzebę przemyślenia kryminalnych wydarzeń, ale i nasza mnie rzadka chętką przyjrzenia się własnemu gniazdku pod lupą. Włączyłam głośną, energiczną

muzykę, założyłam białą opaskę i stare powyciągane dresowe spodnie, których nie potrafiłam się pozbyć. Dlaczego Marek nie zadzwonił, żeby powiedzieć o Władku? Dlaczego Ilka pierwsza dowiedziała się o nim od Tomka? Podgłosiłam radio, czując narastającą frustrację. Sarta wyrzucanych z garderoby pudeł rosła wprost proporcjonalnie. Uświadomiłam sobie, że oto rozpoczął się stary rytuał, a przede mną w przezroczystych pudełkach z Ikei leżały rekwizyty.

Nigdy nie kupiłam szpilek z tak prozaicznego powodu, że były mi po prostu potrzebne. Mimo to w moim życiu stały się absolutnie niezbędne. Teraz, trzymając w dłoniach pierwsze pudło, powoli zaczęłam się uspokajać. Otworzyłam i wyjęłam z niego włoskie buty z wężowej skóry. Nigdy w dziejach nie wymyślono lepszej ozdoby damskiej stopy. Założyłam je, podciągnęłam spodnie dresowe i stanęłam przed lustrem. Miały sprężystą bransoletę nad kostkę imitującą węża wspinającego się po łydce i były równie piękne, co kiczowate. Mogłabym je włożyć tylko na rozpasany bal przebierańców. Z czułością umieściłam je w plastikowej skrzyneczce i ustawiłam na regale. Fakt, że kupiłam je we Florencji, zatrzymałam w pamięci, jednak powód w osobie aroganckiego bruneta skrzętnie ze wspomnień usunęłam. Zabawa polegała na tym, by pamiętać lekarstwo, a nie chorobę. Miałam nadzieję, że równie skutecznie utkwia mi w głowie czerwone, spychając w głąb niepamięci jękającego się przed ołtarzem Seweryna.

Srebrne na gwoździu z kryształami Swarovskiego oznaczały stłuczony kabriolet i bajkowe niebo w Palermo. Niebieskie z imitacji skóry krokodyla to ostra kłótnia z ojcem. Missoni z odsłoniętymi palcami. Z radością dołożyłam do nich nowe — złote. Uwierały jak cholera, ale przecież nie musiałam w nich chodzić. Telefon zadzwonił, gdy wyczołgiwałam się spod wieszaków w garderobie. Wytarłam pot z czoła, który spływał mimo opaski, i spojrzałam na ekranik.

Marek? Po tylu dniach?!

— Przeszkodziłem w czymś ważnym? Długo nie odbierałaś — odezwał

się, gdy w końcu udało mi się uruchomić dotykowy ekranik telefonu, który nie lubił spoconych dłoni, zbyt suchych dłoni, dłoni w rękawiczkach, dłoni bez rękawiczek, w ogóle chyba mnie nie lubił.

— Nienawidzę go. Maziam i maziam, a on nic. Jak tam noga? — warknęłam niezamierzenie. Usiadłam na podłodze, zdjęłam opaskę i wytarłam koszulką pot z szyi.

— Nie skarżę się. Co tak sapiesz?

— Ja nie sapię. No, może odrobinę szybciej oddycham.

— Dlatego, że usłyszałaś mój telefon?

— Trzymajcie mnie! Dlatego, że wyczołgałam się z szafy.

— Interesujące. Zatem siedzisz w domu. W cudzej szafie byś się nie chowała, chociaż w sumie...

— Może powinnam zadzwonić ze stacjonarnego, żebyś mógł sprawdzić?
— prychnęłam tym razem zamierzenie. Nie miałam stacjonarnego.

Marek się roześmiał.

— Nie masz stacjonarnego. Ale wiem, gdzie jesteś.

Zamilkłam. Nie dlatego, że nie miałam nic do powiedzenia ani że pozostawanie pod czujną obserwacją policji powiewało mi jak chorągiewka w połowie masztu. Trochę mnie to mierziło. Zamilkłam, gdyż to, co mogłabym powiedzieć, uważano za groźbę karalną i naruszenie dóbr osobistych, tym bardziej jeśli chodzi o policjanta.

— Mata, jesteście tam?

— Uhm.

— Kojarzysz znajomych Seweryna ze studiów? Możesz wymienić nazwiska? — Po tonie głosu rozpoznałam, że teraz pyta pan komisarz.

— Chcesz mnie wezwać na przesłuchanie?

— Daruj sobie na chwilę — odparł spokojnie. — Możesz udzielić

informacji przez telefon.

— Seweryn studiował razem z Władkiem, nie ze mną. W tamtym czasie byłam w Stanach.

— To wiem. Ale przypomnij sobie, czy kiedy byliście narzeczeństwem, przedstawiał ci ludzi z tamtych czasów? Nie spotykaliście się ze znajomymi? Każdy się spotyka, a przyjaźnie z okresu studiów trwają latami. Sam mam wiele kontaktów z akademii. Przecież nie żyliście na pustyni. Wspólne dyskoteki, zabawy, wieczorki, gry w kręgle i inne duperele.

— Pomyślę. Teraz nie kojarzę żadnych dupereli, paraleli i innych równoległych rozrywek. Dlaczego pytasz? — wyrwało mi się mimo solennego przyrzeczenia, że nie zapytam, że nie interesuje mnie, do czego potrzebne mu są dane personalne znajomych mojego niedoszęłego. Ostatecznie kilka dni nie dzwonił i chciałam go ukarać obojętnością. Silna wola to jednak nie była moja najmocniejsza strona. W ogóle miałam mało mocnych stron. Spojrzałam na stertę butów, miernik moich słabości, napiłam się wody i westchnęłam.

— Nie, nic, zwykła procedura. — Marek się zawahał, co należało do rzadkości. — Ale... No dobrze, mogę powiedzieć tyle, że ktoś włamał się do mieszkania Seweryna Kruczyńskiego. Mata, ja naprawdę nie mogę o tym rozmawiać. To ten sam, który włamywał się do ciebie. To inna sprawa. Proszę cię teraz, pomyśl, bo może ktoś ci się przypomni. I zachowaj to w tajemnicy.

Milczałam.

— Matyldo, foch do ciebie nie pasuje, a ja sprawdzam różne tropy. Opowiem ci wszystko, tyle że nieco później.

— Pomyślę — powiedziałam i się rozłączyłam.

Wstałam z podłogi i poszukałam papierosa w kieszeni. Tam nie znalazłam, ale odkryłam dwa ostatnie rzucone luzem w torebce. Cholera, jak u menela! Wyjęłam jednego i poszłam na taras. Po chwili wróciłam po puszkę piwa. Pytanie Marka mnie zaintrygowało, podobnie jak to, o czym mi nie

powiedział. Władka szukali, znaleźli i teraz ukrywają. Czy to aż taka tajemnica? Skoro Ilka wie, to dlaczego ja nie mogę? Może Tomek zagrywa razem z Markiem i założyli, że ja też wiem, bo Ilka mi wyklepie. Poniekąd trafnie, ale to by stawiało ich na równi. Nie, to dziecinne i głupie. Włamanie do Seweryna było bez sensu. To, że do mnie włamywał się Seweryn albo ktoś, komu to zlecił, stało pod znakiem zapytania. Nie, Seweryn wiedział o alarmie. No i nie włamywałby się do siebie po śmierci. Zwizualizowałam sobie dokładnie scenę, którą zapamiętałam ze stadniny. Ostatecznie zdobyć czyjś adres nie jest tak trudno. Czego Wredna mogła szukać u mnie? W końcu płaciła oprychowi. Myślałam, że za narkotyki.

I najważniejsze, raniące moją dumę pytanie: co wiedział Marek o Wrednej, czego ja nie wiedziałam? Bo wyraźnie miał sporo informacji. Ostatnie dokonania policji wskazywały z coraz większym prawdopodobieństwem, że znajdzie nie tylko mordercę Seweryna. Już dawno bowiem przestałam wierzyć, że morderca narzeczonej zaatakował Ilkę u jałówki, a dał jej i mnie spokój w domu. Może dlatego, że nigdy nie spotkałyśmy go twarzą w twarz? Wydało mi się to bez sensu. W końcu kręcił się w wieży, czyli niemal pod nosem. Tylko się ukrywał czy czegoś szukał? Mogłam tak dywagować w nieskończoność. Sytuacja, że nie wiem, a Marek mi nie mówi, doprowadzała mnie do szału. Jednocześnie skromniejsza częśćka mnie wierzyła, że Marek nie jest głupi i ma świadomość tego, co robi. Stłumiłam dumę i postanowiłam zastanowić się nad znajomymi Seweryna.

Pijąc piwo, przypominałam sobie nieliczne przedślubne spotkania ze znajomymi. Dwa obiady z moją i Seweryna rodziną. Nie było tego wiele. Bez problemu, pomijając grono rodzinne, przypomniałam sobie trzy osoby nieznanne mi przedtem. Nie miałam pojęcia, czy poznali się na uczelni, ale z zachowania i relacji z Sewerynem wynikało, że nie. Był to redaktor naczelny miesięcznika, dla którego mój niedoszły mąż czasami pisał. Tego odrzuciłam, bo Seweryn zwracał się do niego z szacunkiem i nie byli na ty. Drugi to lekarz pediatra, zabawny człowiek, wydawał się miły, ale Seweryn nie studiował medycyny, zatem uczelnia odpadała. Trzecią osobą była dość

zaczepna pani psycholog. Tę polubiłam natychmiast, ale więcej się nie spotkałyśmy, ponieważ Seweryn nieustannie na nią warczał. Po godzinie stwierdziłam, że nic z tego. Mój narzeczony, przynajmniej przy mnie, nie kontaktował się z nikim ze swej przeszłości. W ogóle dziwnie mało o tym okresie jego życia wiedziałam. Zastanowiło mnie, że mimo tak mizernej wiedzy chciałam za niego wyjść.

Miałam dość czołgania się pod wieszakami pełnymi ubrań. Postanowiłam zmienić poziom i spojrzałam do góry. Zdziwienie było naturalne, ale nie szokowało. Dawno nie było mnie w domu. Poszukałam drabinki, zupełnie bowiem nie kojarzyłam faktu, bym ustawiała na szafie jakiegokolwiek kartony. Nie miałam takiego zwyczaju. Przypomniałam sobie, że upadłam, ale przecież nie miałam amnezji.

A może to włamanie jednak się udało i miało na celu wzbogacenie, a nie uszczuplenie mojego dobytku? Weszłam na drabinkę i zdjęłam tekturowe pudło. Karton okazał się dość ciężki, ale nie na tyle, bym nie potrafiła go zdjąć. Może Marcysia go tam wcisnęła? Jakies szpilki? Ubrania? Książki do oddania w bibliotece? Tak, to możliwe, bo czasem pakowałam je do kartonu. Ale żeby zapomniała oddać? Takie roztargnienie wskazywało na to, że byłam w większym stresie, niż sądziłam. O czym jeszcze mogłam zapomnieć?

Ciężar sugerował książki. Wysiliłam się i postawiłam znalezisko na stoliku przed telewizorem. Podwójne zaklejenie brązową pakową taśmą i brak podpisu sprawiły, że serce zabiło mi szybciej. Zdławiłam w zarodku chęć natychmiastowego zatelefonowania do sprzątaczk. Jeszcze raz zastanowiłam się nad częściową amnezją. Po cholere bym to zaklejała i nie opisała? Niepodobne to do mnie. Gdzieś czytałam, że uraz kości ogonowej może spowodować chorobę mózgu. Ale od czasu mojego upadku w kopalni byłam w Katowicach tylko raz, i to krótko. Przypomniałam sobie wieczór u rodziców, powrót nocą do własnego mieszkania i wyjazd wczesnym rankiem do Tarnowskich Gór. Nie mogłam robić w tym czasie porządków, nawet gdybym tego nie pamiętała. Z niepokojem dotknęłam kartonu.

Wyobraźnię miałam kryminalną. A co, jeśli to bomba? Mnóstwo zielonych, niebieskich i czerwonych drucików, a może powinny być żółte? Nie znałam się na bombach. Nachyliłam się. Nie tykało, nie brzęczało. Ujęłam w dłoń telefon i ściszałam go przez chwilę. Wahałam się całe dziesięć sekund, po czym odłożyłam aparat, wzięłam nożyczki i rozciąłam taśmę. Ostrożnie, zaciskając powieki, rozchyliłam poszarpane kawałki kartonu. Jeśli walnie, to teraz, pomyślałam.

Nic nie gruchnęło i nadal żyłam. Wciągnęłam głęboko powietrze. Przekonana, że już nie wybuchnie, śmieiej zajrzałam do środka. Na samym wierzchu leżała zwykła mała, amatorska i nawet dość przestarzała kamera wideo, pod nią kilka płytek DVD i jakieś książki. Nie dotknęłam jeszcze niczego prócz zagiętych kawałków opakowania. Przyniosłam z kuchni gumowe rękawiczki, założyłam je, a potem wyłożyłam wszystko na stolik. Książki tematyką wskazywały na okres studiów, ale nie moich: fotografia, film... Płytki opisane niezrozumiałymi symbolami, kamera firmy Sony z bocznym odchylanym ekranem LCD. Pstryknęłam. Nie zareagowała. W kartonie znalazłam kabelek, który pasował zarówno do kamery, jak i do gniazdka w ścianie. Zwróciłam na to uwagę, ponieważ w mieszkaniu Seweryna natykałam się na mnóstwo angielskich wtyczek. Tę można było podłączyć bez ceregieli i adapterów, co uczyniłam. Kiedy kamerka zaczęła odpowiadać, ustawiłam odtwarzanie.

Najpierw nie działo się nic, potem na małym ekraniku ukazała się ciemna plama. Przewinęłam do początku, puściłam jeszcze raz i usiadłam. O kurczę, z monitora uśmiechała się do mnie Halinka Kwiatkowska, dokładnie taka, jaką pamiętałam z ostatniej klasy szkoły średniej. Na studiach jej już nie spotykałam. Chuda, z krzywymi zębami, jeszcze niezrobiona na podstarzałą trzydziestoczteroletnią seksbombę, jak obecnie, miała jednak coś wspólnego z seksem, gdyż nie kto inny jak Włodek zaczął ją rozbierać. Moje zainteresowanie wzrosło. Niewygodnie było oglądać na tak małym ekranie, zatem podłączyłam kamerę do stacjonarnego komputera, który służył mi za bazę danych i bezpieczną przechowalnię plików, nigdy niepodłączany do

sieci, ale wyposażony w urządzenie do odczytywania filmów analogowych. Zabytek, ale jakże przydatny w tym momencie. Poczekiałam, aż się włączył i usiadłam wygodnie przed monitorem.

Akcja toczyła się prawdopodobnie na stoku górskim, w każdym razie w naturze, pod gołym niebem. Kamera musiała stać na statywie, ponieważ mimo ekscytującej sceny nawet nie drgnęła. Głos był wyłączony albo kamera go nie przekazywała. Sądziłam, że aby coś usłyszeć, należało włączyć pełny tryb odtwarzania albo podłączyć głośniki. Na razie jednak wrażeń miałam aż nadto.

Wredna chyba nie wiedziała, że ją nagrywają. A może godziła się na to? Po zenującym akcie seksualnym dołączył do imprezy Seweryn. Zatrzymałam odtwarzanie, wydłubałam z torebki papierosa i wyszłam na balkon. Dwadzieścia minut później uznałam, że jestem gotowa na wszystko. Teraz zabawiali się we trójkę. Halina sprawiała wrażenie nieco dezorientowanej. Albo coś jej podali, albo była genialną aktorką. Kiedy skończyli, czyjaś ręka podała jej plastikową butelkę. Drgnęłam. Kto prócz nich jeszcze tam był? Halina pociągnęła kilka długich łyków. Miejsce Seweryna zajął facet z łysiną i tatuażem na karku. Wytarłam pot z czoła. Następnie pojawił się chudy gość przypominający koguta. Z kimś mi się nawet kojarzył, ale nie potrafiłam go umiejscowić. Zatrzymałam nagranie. Nie powiem, że nie widziałam w życiu gorszych filmów, ale teraz znałam aż trójkę aktorów, a jeden z nich miał być moim mężem. Nie miałam ochoty na ciąg dalszy. W pierwszej chwili pomyślałam, że podrzuciła mi to Wredna, jednak teraz zmieniłam zdanie. Zadzwońłam do Ilki.

— Wiem, jakie płyty chciał ode mnie zabrać Seweryn. — Opowiedziałam jej pierwsze kadry.

— Będę za dwie godziny.

Kiedy kończyłyśmy seans, mdliło mnie nie tyle od alkoholu, ile z powodu fabuły — monotonnej i prawdopodobnie uciążliwej, gdyż Halina była

nieprzytomna już w połowie filmu, który w większości starałyśmy się przewijać na podglądzie.

— Oni jej coś dali. Widziałaś? Piła z butelki.

— Wykastrowałabym skurwysynów.

— I ona potem z nimi studiowała? Rozmawiała, jakby nic się nie stało?

— Może nie wiedziała?

— Odniosłam wrażenie, że na początku mieli pełne przyzwolenie.

Ilka wstała i otworzyła drzwi na taras. Poszłam za nią. Wdychałyśmy powietrze śląskiego miasta. Było gęste, ciężkie od ołowiu, kilkunastu innych interesujących pierwiastków i cudownie trzeźwiące.

— A widzisz! — Przyjaciółka poczęstowała mnie papierosem. — Mówiłam ci, że ona to robiła z obydwoma. Już na zdjęciach widać. Może tak lubi?

— Przestań, Ilka. To był wyjątkowo brutalny gwałt.

— To zobacz sobie jeszcze raz ten kawałek, czekaj... Daj to, przewinę. O, tutaj. Widzisz? Tu udaje. Poza tym zobacz, teraz ma makijaż, a tutaj nie. I znowu. To film. Zwykły pornos, ale zrobiony na real.

Paliłyśmy w milczeniu. Nagle poczułam, jak wzbierają we mnie emocje. Coś zaczynało się gotować.

— Miałam za niego wyjść, ale mnie nie chciał. Rozumiesz? — wykrzyczałam. Kobieta idąca ulicą zadarła głowę.

Ilka przygarnęła mnie jak matka i przez chwilę stałyśmy, patrząc na światła miejskie.

— Ilu ich było? Policzyłaś? — zapytałam piskliwym głosem.

— Chyba siedmiu, nie licząc Władka i Seweryna.

Zastanowiłam się, w myślach przewijając film.

— Tak, siedmiu. Ciekawe, kiedy to się działo. Można to sprawdzić?

— W kamerze datownik był wyłączony, to zauważyłam. Mati, policja powinna to obejrzeć.

— Wiem, ale co z Haliną?

— Nie z Wredną? Nie jesteś już na nią wściekła?

— Kurczę, Ilka, czy ja jestem potworem?

— Ja bym ich wykastrowała po kolei, gdyby to była prawda, ale jak mówię, to jest wyreżyserowane. Nawet pogoda nie była taka sama ani pora dnia. Jakim cudem nie zwróciłaś uwagi na takie rzeczy?

— Marek pytał, czy znam kolegów albo znajomych Seweryna z uczelni. Dzisiaj dzwonił.

— O! Jednak się odezwał? Mężczyźni to dranie. Wiesz, Mati, nie zadawaj się z nim.

— Iluś, czy ty zwariowałaś? On na wózku jeździ — odparłam, odrzucając natrętne obrazy.

Ilka spojrzała na mnie, jakby nie rozumiała. Wreszcie się otrząsnęła.

— Zastanawiam się — machnęła głową w stronę stolika z kamerą — czy to stało się jeszcze na uczelni, czy potem.

Nie miałam pojęcia, ale nie odpowiedziałam, bo w mieszkaniu zaczęła skakać po stole komórka. Moja.

— Przyjedź do mnie. To prywatna prośba. — Głos Marka brzmiał łagodnie. Przy odrobinie dobrej woli można było dosłuchać się w nim tonów romantycznych.

Zatkało mnie. Spojrzałam na taras. Ilka trzymała palec wskazujący na ustach. Nie wiem, czemu kazała mi milczeć, ale wołałam posłuchać. Nie powiedziałam Markowi ani słowa i się rozłączyłam.

Dopiero po chwili zorientowałam się, że nawet się z nim nie pożegnałam. Oj tam, najpierw pomyślę.

- Czego chciał?
- Żebym przyjechała. Czemu kazałaś mi być cicho?
- Musimy znaleźć Halinę.
- Myślałaś, że mu wypaple, co sobie tutaj oglądamy? Puknij się. Halina jest w pobliżu zamku. Dam sobie odciąć palec. Ona tam nadal szuka. Przynajmniej w tej chwili wiemy czego.
- Dam sobie odciąć rękę.
- Ty też?
- Nie. Tak się mówi: dam sobie odciąć rękę.
- Ilka, ty normalna jesteś?
- Sama już nie wiem. — Zapadła się w fotelu i przygarbiła.
- Mówiła, że szuka zdjęć. Może nie wie o filmie?
- Doskonale wie — powiedziała Ilka bez cienia współczucia. — Ściągnęła nas do kopalni, podtruwała cukierkami. Z powodu kilku zdjęć?
- Mówisz, że nikt jej nie zamykał? Nie było żadnego Władka?
- Władek jest, ale w szpitalu. — Ilka ziewnęła. — Wiemy doskonale, że na ten temat kłamała.
- Więc kogo widział Staszek?
- Może tego jej dryblasa? Może to jemu Wredna zrobiła maskę i kazała paradować koło zamku? Ma w tym jakiś cel. Niczego już nie rozumiem — powiedziała Ilka, szeroko ziewając.
- Wiesz co, jedź do domu i się wyśpij. Masz jutro zajęcia?
- Jutro idę do kliniki. Sądzisz, że będę spała po tym seansie?
- Jako psychiatra powinnaś umieć to przerobić. Nie uczono was, jak radzić sobie z emocjami?
- Westchnęła i nalala wina do kieliszków. Posiedziałyśmy jeszcze godzinę,

sącząc caberneta. W końcu uznaliśmy, że Marek powinien obejrzeć film. Ilka odjechała taksówką. A ja, żeby wymazać z głowy natrętne obrazy, z ogromną niechęcią zabrałam się do porządkowania tego, co wyrzuciłam na środek mieszkania. Szpilki ułożyłam chronologicznie. Pudło po Sewerynie zapakowałam, ale już nie oklejałam go taśmą.

Rozdział 15

O dziewiątej czterdzieści pięć rano stałam przed domem komisarza. W sklepiku naprzeciwko kupiłam prowiant i kulturalnie wcisnęłam przycisk domofonu.

— Drzwi są otwarte. — Usłyszałam głos kompletnie pozbawiony energii.

Zdjęłam mokre i zabłocone buty, z przyjemnością zauważając, że miał włączone ogrzewanie podłogowe. Marek siedział w gabinecie przy biurku, na którym obok globusa stał niewielki monitor wideofonu. Podeszłam boso. Obok, na dużym ekranie komputera stacjonarnego, wyświetlały się pliki ze zdjęciami. Twarze wydawały mi się znajome. Wciągnęłam głośno powietrze. O cholera! Nagle zdjęcia zniknęły, a ekran wypełniła błękitna laguna z palmami.

— Cześć! — przywitałam się.

Marek objął mnie jednym ramieniem, a ponieważ siedział, zrobił to na wysokości talii i wymruczał do mojego brzucha:

— Cześć. Nie spieszyłaś się i bardzo niegrzecznie rozłączyłaś się wczoraj.

Czułam się jak na kolejce górskiej, a moje hormony buzowały jak u nastolatki.

— Zrobiłam małe zakupy. Jak się czujesz? Jakies newsy?

— Nic ponadnormatywnego. Dlaczego pytasz?

Uśmiechnęłam się krzywo.

— Wydarzenia na zamku traktujesz jako normę?

— Poniekąd. Swoją drogą to dziwne, bo zanim tam przyjechałaś, był spokój.

— Prosiłeś, żebym przyjechała do ciebie. To lekkomyślność czy umierasz z nudów? Chcesz się rozerwać? Nie ma sprawy.

— Mam drobny problem z poruszaniem się i okropnie mnie to nudzi, dlatego wykorzystuję sytuację. Jeśli uważasz to za mało subtelne, to proszę o wybaczenie.

— Dobrze, dobrze. Skoro jestem, to korzystaj z okazji. Zrobię nam kawę. Chcesz? — Oderwałam się od niego i poszłam do kuchni. Co te twarze robiły na jego komputerze? Dlaczego zaraz zrzucił obraz do paska zadań? Przedtem wypytywał o znajomych Seweryna. Rozumiałam, że służbowych tajemnic nie może mi powierzyć, ale czułam się z tym źle.

Nie miałam pojęcia, jak się zachować, tym bardziej że w środku pielęgnowałam urazę. Obiecałam sobie, że nie zapytam go o nic.

Marek przytoczył się na wózku, gdy napełniałam filiżanki. Zatrzymał się przy kuchennym stole, obok którego stało tylko jedno krzesło. Wyłożyłam bułeczki na talerz, nalałam mleka do dzbanuszka i usiadłam naprzeciw niego. Miał sine kręgi pod oczyma, wczorajszy zarost i wyglądał na udręczonego.

— Kto to był? — zapytałam.

— Czekałem na to pytanie. — Uśmiechnął się jak do dziecka, któremu nie wyszedł rysunek i trzeba je zmotywować.

— Nienawidzę cię.

— Przypomniałaś sobie znajomych Kruczyńskiego? — Mieszał kawę bez cukru i mleka. — Poznajesz te twarze?

— Miałam je przed oczyma przez sporą część nocy. Wprawdzie inne części ciała były bardziej wyeksponowane, jednak twarzom poświęciłam większą uwagę.

— Interesujące.

— W domu znalazłam pudło z kamerą, płyty i książki. Przypuszczam, że Seweryna, bo kto inny mógłby je u mnie schować? Tylko on mógł wejść.

Obejrzałam film. Są na nim ci mężczyźni. Cała siódemka, którą miałeś na monitorze.

— Znajomi twojego narzeczonego.

— Zlituj się! Prawda, że był moim niedoszłym mężem, ale kiedy tak to podkreślasz, czuję, jakbym w całej tej aferze miała jakiś udział. Mam się czuć winna, że omal za niego nie wyszłam? Możesz mi wierzyć, żałuję, że go w ogóle poznałam. Przynajmniej ty mi oszczędź wstydu.

— Spokojnie. O zmarłych nie mówi się źle, a on nie żyje, pamiętasz? Został ofiarą. Co jest na filmie?

— Być może motyw. Wyraźnie sobie zasłużył na to, co go spotkało.

— Mata, facet nie żyje, a ty jesteś nadal na niego wściekła.

— To nie ma nic wspólnego ze mną. Jak zobaczysz to dzieło, zrozumiesz.

— Aż tak źle?

Wstałam z krzesła i poszukałam papierosów.

— Owszem, przyniosę ci cały karton, mam w samochodzie. Sam sobie obejrzysz, a ja idę zapalić.

— Jestem na zwolnieniu lekarskim, a to znaczy, że nikt mnie nie rozlicza. Kwadrans nikogo nie zbawi, a z tego, co już wiem, to... Chodźmy na taras. Też chętnie się przewietrzę. Jeśli ten film jest choć trochę podobny do tego, który sam oglądałem, to nie ma pośpiechu.

— Oglądałeś... Co to znaczy?

— Mówiłem ci, że znamy powód włamania, to znaczy, że mamy w rękach to, po co ktoś włamał się do Seweryna.

Trochę mnie zaskoczył. Mieli podobny film? To się nie składało. A może przeciwnie, wszystko zgrano w szczegółach. Tyle że na razie ich nie ogarniałam logicznie. Intuicyjnie nie byłam zdziwiona.

— Widziałam w Zbrosławicach Halinę. — Przypomniałam sobie, że do tej

pory mu o tym nie powiedziałam. — W stadninie. Stała przy wybiegu dla arabów. Widziałam, jak dawała zakapturzonemu dresowi pieniądze. Młody, niski, nierzucający się w oczy. Wyglądał na blokera.

— Dlaczego dopiero teraz mi mówisz?

— Zapomniałam — powiedziałam cicho, a on spojrzał na mnie jak komisarz, potem potarł twarz dłońmi, przejechał nimi po krótkich włosach i westchnął naprawdę ciężko.

— Rozpoznasz go?

— Tak.

— No dobrze. — Marek bawił się długopisem, który wziął z biurka, chyba tylko po to, by zająć czymś dłonie, kartki go nie interesowały, a miał ich spory stos leżący obok terminarza, kubka na długopisy, kilku zaadresowanych i nieotwartych kopert oraz grubej szarej teczki z aktami, teraz zamkniętej i ściągniętej gumką. — Czy coś przyszło ci do głowy w związku z tym... dziełem sztuki filmowej? — Sięgnął w końcu po kartkę i zaczął rysować szlaczek. — Jakies nowe pytania, olśnienia?

— Ilka twierdzi, że to sfabrykowane. Ja nie potrafię się zdecydować.

— Oglądałyście razem. — Nie był zaskoczony. — Stanowicie niezły tandem. Oczywiście wiem, że chodziłyście razem do szkoły, ciekawi mnie tylko, co was tak związało. Charaktery czy awantury, w aktach nie ma śladów żadnych ekscesów. Może prócz...

— Chyba nie chcesz powiedzieć, że sprawdzałeś naszą przeszłość aż do podstawówki. Mam nadzieję, że żartujesz.

— Kiedy prowadzę śledztwo, nigdy nie żartuję.

— A jakim cudem prowadzisz śledztwo na zwolnieniu lekarskim? To nie jest zabronione?

— Mało wiesz o policji.

Zignorowałam tę uwagę, zastanawiając się, czy powinnam się obrazić.

W końcu machnęłam ręką.

— Wracajmy do rzeczy, czyli do filmu. Ilka może mieć rację. Wredna raz miała makijaż, raz nie, poza tym zmieniała uczesanie. Takie drobiazgi, no wiesz, jak zegarek i słupy telefoniczne w *Krzyżakach*. Ja się nie zorientowałam. Sam sobie to sprawdź, nie mam zamiaru oglądać tego ponownie. Nie wiem, jest w tym filmie coś okrutnego. Takie ukryte zło. Nieistotne, że udawane, ja je wyczuwam, jakby siedziało tam fizycznie i się czało. Na samą myśl robi mi się niedobrze. To nie jest zwykły film pornograficzny.

— A ile ich widziałaś, żeby to ocenić? Chodź do ogródka, tam mamy świeże powietrze.

Zatrzymałam się w wejściu na taras. Treść przeczyła tonowi wypowiedzi. Nie wyczuwałam złośliwości, raczej zaciekawienie. Marek wstał z wózka, chwycił kule i ruszył na jednej nodze, postukując. Rozsunęłam podwójne drzwi szerzej.

— Możesz chodzić? Nie zabronili ci?

— Do cholery, to moja noga, co mi będzie jakiś konował mówił, co mam robić.

— Fatalnie się połamaleś, Ilce nic nie jest.

— Zawsze łatwo łamały mi się kości. Koniec tematu.

Przesunął się obok mnie i pokuśtykał do ławki, na której osiadła wilgoć.

Jesienna aura pachniała wiatrem, wilgocią i bagnem. Zmienna pogoda sprawiła, że większość drzew straciła liście, ale w ogrodzie jeszcze sporo ich wisiało na drzewach. Nie wyglądały ani ładnie, ani malowniczo, po prostu nieporządnie. Nawet południowe słońce nie dodało im czaru.

— Ostatnie podrygi jesieni — podsumował Marek, który w tej wędnącej przyrodzie widział więcej ode mnie.

Nie dostrzegałam żadnego piękna. On, mimo bolącej nogi,

unieruchomienia i mnóstwa spraw, od których nie chciał się odzepić, pomimo że śledztwo prowadzili już jego koledzy, wydawał się zrelaksowany. Gwizdnął cicho przez zęby. Nagle pomiędzy nami zjawił się wielki czarny owczarek niemiecki. Spojrzał na mnie z uwagą, ale podszedł do Marka, by szturchnąć go nosem. Ten czułym gestem poczochnął go po grzbiecie.

— Rino, przedstawiam ci Matyldę, Mati, Matę. Możesz się do niej zwracać dowolnie. To przyjaciółka. — Marek ujął moją dłoń i pocałował. — Matyldo, przedstawiam ci weterana policyjnego, emerytowanego sierżanta Rino.

— Bardzo mi miło. — Podsunęłam psu rękę do powąchania.

Rino podszedł do mnie bliżej i zamachał grubym ogonem, uderzając mnie po udach. Potem szturchnął mnie całym ciałem i szczeknął. Zachwiałam się i niewiele brakowało, bym upadła na Marka, a przynajmniej siadła mu na kolanach.

— Lubi cię — jęknął, przytrzymując mnie, żeby tego jednak nie zrobiła.

Podeszłam do przekwitniętego krzewu hortensji i zaczęłam obrywać zeschnięte kwiatostany.

— Marek, wy macie jakiś kontakt z Władkiem Zbierackim? Czy tylko bazujecie na tych podrobionych mailach?

Milczał, patrzył gdzieś poza mnie, potem przesunął drzwi, wsiadł na fotel i wjechał do mieszkania. Miałam ochotę wrzasnąć, żeby mnie tak nie traktował. O tym, że Tomek był w Irlandii i przywiózł Władka, nawet się nie zająknął. Kopnęłam w doniczkę, aż zabolął mnie palec. Pies przyglądał mi się, przechylając śmiesznie łeb. Opanowałam się.

— Masz rację, Rino.

Owczarek szturchnął mnie nosem i ruszył w głąb ogrodu, oglądając się na mnie. Przez okno widziałam, że Marek zasiadł przy komputerze. Nie wołał mnie, po prostu mnie ignorował. Do tego faceta potrzebna jest instrukcja obsługi. Ruszyłam za psem. Nie mądrzył się i nie zadawał pytań. Niestety na zadane pytania również nie odpowiadał, w czym nie różnił się od swojego

pana.

— Wiesz, Rino, lubię cię. — Pogłaskałam lśniąca sierść i dodałam po cichu, zerkając w stronę okna i szklanych drzwi. — Twojego pana też lubię, ale mnie okropnie wkurza.

Owczarek radośnie szczeknął.

— Widzisz, jak się zgadzamy?

Kwadrans później wyglądało na to, że Marek nad czymś pracuje, a może ogląda film. Wspólne oglądanie pornosa z Halinką w roli głównej było ostatnią rzeczą, jaką mogłabym robić w jego towarzystwie. Czułam się dziwnie, weszłam jednak do środka. Rino potruchtał do kuchni i ułożył się pod stołem. Marek tkwił przed komputerem i nawet nie odwrócił głowy. Zajrzałam mu przez ramię. Z monitora patrzyło na mnie siedmiu mężczyzn.

— Wszyscy są kolegami z jednego roku — powiedział. — Razem z nimi studiowali zarówno Zbieracki, jak i Kruczyński. Ten sam wydział, ten sam kierunek studiów. Seweryn w twojej obecności nie spotykał się może z którymś z nich?

Usiłowałam sobie przypomnieć. Przywoływałam różne sceny, sytuacje, ale twarze na monitorze kojarzyły mi się tylko z filmem. Nie wykluczało to, że w podświadomości coś tkwiło. Czasem się spotka kogoś i nie zwróci na to uwagi. Nasza pamięć zapisuje podobno wszystko, co widzi, nawet kątem oka.

— Mata?

— Nie sądzisz, że oglądając te gęby na filmie, zaskoczyłabym, gdybym znała któregoś z nich wcześniej? Nie, zdecydowanie po raz pierwszy widziałam ich dzisiaj w nocy.

— No dobrze. Co teraz zamierzasz? Zostajesz w Katowicach?

— Owszem. Mam dość tej historii. Przyniosę ci to pudło i jadę do domu. Bawcie się z tym sami. — Byłam zła, że nie powiedział ani słowa o Władku, stwierdziłam jednak, że nie będę się poniżać, pytając. Nie chce mówić,

w porządku. To, że na jego widok miękną mi nogi, nie znaczy, że zgłupiałam całkiem. *Arrivederci*, komisarzu. Musiałam wyjść natychmiast, żeby nie kopnąć go w ten cholerny gips i nie wkopać Młodego, że wygadał się Ilce.

Zadzwoiłam do Sierocińskiej, streściłam rozmowę z Markiem i powiedziałam, co planuję.

Umówiliśmy się na Ochojcu, żeby nie musiała się przedzierać przez miasto. Następnie wysłałam wiadomość na skrzynkę pocztową Kwiatkowskiej: „Mam coś, co należy do Ciebie, jeśli chcesz to odzyskać, przyjdź na zamek dzisiaj wieczorem”. Potem wpadłam do siebie i przebrałam się w czarne spodnie, czarny golf i traperki na miękkiej podeszwie. Na to wrzuciłam kurtkę z kapturem, przed wyjazdem jeszcze zajrzałam do skrzynki na listy, której nie opróżniałam od ślubu. Była zapchana kopertami z banku, kilkoma sztywnymi przesyłkami od znajomych, zapewne z wyrazami współczucia albo z życzeniami. Wszystko mało mnie w tej chwili interesowało. Za to szeptane na jednym kółku trzy klucze od mieszkania były jak przesłanie z tamtego świata. Wrzucił je przed epizodem w kościele czy po nim? Czy to planował? Nie wiedziałam, co myśleć i czy w ogóle powinnam. Jego ciało leżące na zamkowym dziedzińcu śniło mi się kilka razy, nie były to przyjemne sny, ale klucze mną wstrząsnęły. Usiadłam przy biurku i bezmyślnie przekładałam pęk z ręki do ręki.

Na dziedziniec wjechałyśmy o szarówce. Przed domem nie zauważyłam żadnego samochodu, również nikt nie leżał, ani na plecach, ani na brzuchu z nożem między łopatkami. Na środku dziedzińca świeciła lampa, której światło zlewało się z łuną padającą z okien na parterze.

— Już jest — powiedziała Ilka. — Chyba że sobowtór się wprowadził.

Zamiast postawić samochód tuż przy wejściu, przejechałam do części gospodarczej i wstawiłam mercedesa do garażu. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, ale teraz wydawało mi się, że powinnam ukryć auto. Kiedy zgasila silnik, stwierdziłam, że to głupie, bo w końcu Wredna na nas czeka i mój mercedes jej nie zdziwi, a jeśli to sobowtór, co okaże się dopiero, gdy

wejdziemy do środka, to i tak nie będzie miało znaczenia. Ale już wjechałam, a znacznie większą głupotą byłoby wycofywanie się z garażu. Przemierzyłyśmy plac, omijając kałuże. W drzwiach zamiast klamki tkwił śrubokręt. Na kominku płonął ogień. Halina zamiatała podłogę w salonie.

— Jak miło — rzuciła krótko Ilka.

— To ty tak nabałaganiłaś, że sprzątasz? — zapytałam.

Wredna wsparła się na miotle. Była zakurzona, z rozmazanym makijażem i włosami w strąkach.

— Masz zdjęcia? — zapytała, pociągając nosem.

— Owszem, ale najpierw porozmawiamy.

— Dlaczego nas tam zostawiłaś?

— Widziałam, jak policja po was jedzie. Pomyślałam, że...

— ...masz czas, by przeszukać zamek.

— Masz zdjęcia?

— Mamy bonus — powiedziałam.

Wredna patrzyła wyczekująco. Była zdenerwowana, to nie ulegało wątpliwości.

— Sama tutaj przyszałaś? — warknęła Ilka i wskazała fotele przed kominkiem. — Siadaj. Ty, Mati, też, bo czuję, że to potrwa.

— No jasne, że sama. A kto jeszcze miał być? Andrew wyjechał do rodziny, mówiłam wam. A może spodziewacie się Władka? Na szczęście więcej go nie widziałam. Przepraszam. — Wredna usiadła i westchnęła tak ciężko, że z obawą spojrzałam na sufit. — Tam, w kopalni, to samo wyszło — dodała jeszcze ciężiej. — Znalazłam w tym tunelu, którym dostałyśmy się do kopalni, takie dwie deski z poprzecznymi listewkami. Jak drabinka. Musiały leżeć od dawna, bo były zbutwiałe, przysypane słomą i liśćmi. Nie wiem, dlaczego nie spostrzegłyśmy ich od razu. Pewnie przez ten twój upadek. Wyszłam po nich. Nie jestem idiotką. Pognałam do zamku, bo

pomyślałam, że to jest jedyna okazja. Raz jeden Sarni Dwór był pusty i mogłam go porządnie przeszukać. Potem, już tutaj, po naładowaniu komórki, zamierzałam zadzwonić po pomoc, ale widziałam, jak jadą pod las dwa samochody. Jasne było, że po was. Stwierdziłam, że jakimś cudem udało wam się dodzwonić. Sama byś tak zrobiła. — Spojrzała na mnie z nadzieją nie tylko w oczach, bo cała jej sylwetka wychyliła się do mnie. — O jakim bonusie mówisz?

— Dlaczego otumaniaś nas cukierkami nafaszerowanymi nie wiadomo czym? Mam jeszcze kilka w kieszeni. Łatwo się je zbada.

— To zwykłe cukierki. — Wredna opadła na fotel.

— Kłamiesz! — Ilka wstała i nachyliła się nad nią. — Gdybyś nie miała pokrętnych zamiarów, tobyś nas nie próbowała usypiać. W co i z kim ty grasz? I mów zaraz, bo normalnie czuję, jak mnie szlag trafia! — Powiedziała to po cichu, ale z taką stanowczością, że Halina się cofnęła. — Trułaś nas jakimś świństwem, a to oznacza, że planowałaś intrygę! To mocno nadwyręża historyjkę o przypadkowo znalezionych deskach, po których wyszłaś. — Stanęła mi przed oczyma czuła scena w Dworku Myśliwskim i to, że będąc pierwszy raz na zamku, kogoś w swoim aucie wywoziła. Historia o szlachetnie urodzonym narzeczonym mogła być nawet prawdziwa, ale może też Halina miała innego pomagiera. Jak się okazało, Ilka myślała podobnie. — Kto ci pomaga, jeśli to nie ten twój, pozał się Boże, hrabia? — Nachyliła się nad Wredną jeszcze bardziej.

— Odwalcie się w końcu. Nikt mi nie pomaga. A to były, no dobra, zwykłe pastylki na uspokojenie. Zdenerwowane byłyście. Zresztą nikt wam nie kazał ich żreć garściami. I z nikim się nie umawiałam! Policję widziałam, jak do was jedzie. Szlag by trafił! Mówiłam wam, że zdjęć szukam!

— O tym potem. — Pomachałam kopertą i schowałam ją do torebki.

Halina odtrąciła Ilkę, wyskoczyła z fotela jak z katapulty i rzuciła się na mnie, łapiąc za torebkę. Cała drżała, a na policzkach dostała wypieków. Wyrwałam torebkę i na niej usiadłam.

— Należało wcześniej pomyśleć, w którym towarzystwie pokazujesz zadek. Z bólem przypominam, że jednym z członków owego towarzystwa był mój niedoszły małżonek.

Ilka oparła się o kominek, ostentacyjnie zaciągnęła papierosem i zaczęła puszczać kółka.

— Wtedy nie był twój, a tamto było przed wiekami — zauważyła Wredna i opadła na fotel.

— Może tak, a może nie, skoro Seweryn o nich pamiętał. Jednak Seweryn już nie żyje. A nawiasem mówiąc, gdybyś wzięła się do nakrywania stołu, jak cię prosiła Ilka, to teraz te zdjęcia miałybyś ty, a nie ja.

— Czego jeszcze szukasz? — zapytała Ilka, przeciągając słowa.

— Ilka ma rację. Seweryn już nie żyje i nie ma cię kto szantażować. Władek siedzi w Irlandii. To nie on się tutaj pęta i ty o tym doskonale wiesz.

— Jejku, mówiłam wam, że chodzi o hrabiego. — Halina znowu wstała, oparła się o kuchenne drzwi i odchyliła głowę, przymykając oczy. Cała energia z niej uszła. Mimo ogromnych starań szwajcarskiej kliniki przypominała moją starą oponę, kiedy złapałam gumę pod Ikeą. Sflaczała, bez widoków na przyszłość.

— Ktoś był z tobą w lesie — nie odpuszczała Ilka. — Pomagał ci zwabić nas do kopalni, żebyś mogła przeszukać dom. Dobrze mówię? Sama to potwierdzasz, ale to niekonsekwencja, przy nas też szukałaś, a myśmy ci w tym nie przeszkadzały. Obawiałaś się, że zobaczymy, co znalazłaś? Nie daj Boże, dowiemy się, jakich skarbów szukasz? To przyjmij do wiadomości, że już wiemy. Nie wiemy tylko, kto ci pomaga. Kto był w lesie?

Wrednej na chwilę błysnęły oczy, ale zaraz się przygarbiła, wróciła na fotel i schowała twarz w dłoniach.

— Nie wiem! — Uniosła głowę. — Przysięgam, że nie wiem. Może to cała szajka. Ja widziałam tylko Władka Zbierackiego. Wiedział o morderstwach na zamku, znał szczegóły. Machał mi bronią przed nosem. Dlatego wlażłam

do tej dziury, cholera. Każda z was by wlaźła. Nie potraficie zrozumieć? I odczepcie się od Andrew. Wychodzę za niego za mąż!

Już chwilę wcześniej włączyłam w komórcie nagrywanie, teraz położyłam ją na stole wyświetlaczem do dołu i na wszelki wypadek zastawiłam brudną, zakurzoną filiżanką, jedną z trzech, które tu stały, od czasu gdy Ilka zleciała z sufitu.

— No dobrze, załóżmy na chwilę, że ci wierzę. Władek nie wydawał ci się dziwny? Uważamy, że ktoś się pod niego podszywa. Może tylko był podobny do niego. Poza tym broń wymierzona w koleżankę, ba, kochankę?

Halina się wyprostowała, wykazując czujność.

— Oglądałaś zdjęcia! No tak, mogłam się tego spodziewać. Nie potrafiłaś się powstrzymać. — Przymknęła oczy na dłuższą chwilę. — Ciemno było. A tam w lesie wyglądał jak Władek, nie widziałam szczegółów. Stał w cieniu i świecił mi w oczy latarką. To widziałam przede wszystkim! Czy ktoś do ciebie mierzył z broni palnej? Nie sądzę, bo wtedy nie zadawałabyś głupich pytań. Ktoś go udaje? Podszywa się? To chciałaś powiedzieć? Hm... możliwe. — Podrapała się po głowie. Nad jej włosami zawirowała chmura pyłu. Nic dziwnego, zdążyła posprzątać niemal cały salon. — Nie widziałam go wyraźnie. Głos był chyba jego. Dawno go nie słyszałam, ale ani przez sekundę nie pomyślałam wtedy, że to może być ktoś inny. Poza tym za wiele nie mówił. Nie ucieliśmy sobie pogawędki o plusach i minusach zwiedzania kopalni srebra. Powiedział: „Właź, bo dołączysz do kolekcji ofiar, normalnie”.

Wymieniłyśmy z Ilką spojrzenia.

— A maska? Może miał maskę? Znasz się na tym, powinnaś rozpoznać.

Wredna spojrzała na mnie zaskoczona, jakby niczego nie rozumiała. W końcu pewne kłapki w mózgu musiały jej się otworzyć, bo otwarła usta i tak jej zostało.

— Podobno jesteś świetną charakteryzatorką. Mogłaś zrobić sobowtóra.

Tylko od ciebie wiemy, że groził ci bronią i kazał zejść pod ziemię.

Halina uśmiechnęła się niepewnie. Na chwilę twarz jej się wygładziła.

— Staszek też go widział — powiedziała i jakby się ocknęła. — Czy wyście obydwie zwariowały? Ja miałabym zrobić maskę? Dziękuję za uznanie, bo to duży komplement. Zrobić Władka tak, żeby nabrać ludzi, którzy go znali? No, duża sprawa. I wyście tak całkiem poważnie chciały mi przypisać zasługi? — Zaczęła się śmiać, coraz głośniej i głośniej. W końcu wycierała łzy ze śmiechu, podczas gdy ja gapiłam się na nią prawdopodobnie z głupią miną, Ilka zaś z zawodowym zainteresowaniem. Nagle Halinę poderwało, jakby zorientowała się, że stoi na żabie. — To naprawdę nie był Władek?! — Przetarła oczy, pociągnęła nosem i spojrzała, jakby widziała nas pierwszy raz w życiu.

— Nie — powiedziała Ilka.

— Okej. — Halina podciągnęła nogi na fotel i objęła kolana. — Napiałabym się. A maski to przeszłość! Od dawna się tym nie zajmuję. Co za koszmara! Jedna rzecz, która w życiu mi wyszła, i wy to obracacie przeciwko mnie! Mówię wam po raz któryś z rzędu, że w grudniu wychodzę za męża. To dla mnie ważne. Mam szansę w końcu wydostać się z tego gówna. Nie wiem, czy wy jakieś tępe jesteście? To zacna rodzina z tytułem nadanym jeszcze w siedemnastym wieku. Nie chcę być w najmniejszym stopniu podejrzana, nie chcę też siedzieć na tykającej bombie, która może wybuchnąć. A może się tak stać, jak Władek wróci, skoro mówicie, że to nie on i że siedzi w Irlandii. W co nie wierzę. A jak i jemu odbije i będzie mnie nimi szantażował? — W oczach Wrednej zalśniły łzy. Zamilkła.

Milczałam również. Układałam klocki w głowie i zaczynałam jej wierzyć. Ktoś i ją nabrał? Mistrzynię charakteryzacji?

Ilka wstała, zeszła do piwnicy i przyniosła zakurzoną butelkę. Odkorkowała w kuchni i nalała odrobinę do kieliszka, takiego zwykłego, który stał w kuchennym kredensie. Powąchała, upiła łyk.

— Merlot. Może być? — Postawiła na stoliku trzy uratowane przez Anitę

kieliszki.

— Poproszę — powiedziała Halina cichutko.

Wymieniłyśmy z Ilką spojrzenia. Wiedziałam, że Ilka myśli o filmie to samo jak ja. Halina musiała coś przeczuwać, bo w jej oczach błysnęła panika. Przesunęłam telefon. Nagle przyszło mi do głowy, by zamiast nagrywać, od razu przekazać rozmowę do Marka, poprzedzoną wiadomością tekstową. Zainicjowałam połączenie i położyłam komórkę na stole, jak poprzednio.

— Rozumiem, że Seweryn tego dnia, gdy zginął, umówił się z tobą na zamku?

— Bzdura. No właściwie to wiedział, że tam jestem, ale miałam się z nim spotkać dwa dni później w Katowicach. Dlatego byłam taka zdziwiona. Wtedy pomyślałam, że przyjechał do ciebie. Boże, nawet przykro mi się zrobiło, gdy tak leżał z tym nożem w piersi. Ulgę, związaną z tym, że mnie nie będzie szantażował, poczułam dopiero później. Ale nie chciałam, by zginął, naprawdę nie chciałam. Mimo że był szuja. — Urwała i wysiąkała nos w zieloną zakurzoną serwetkę.

W sprawie szui miała rację. Prawdopodobnie miała ją również, uważając, że przyjechał do mnie po klucz. Odkrycie kartonu i nagrania tłumaczyło jego determinację, żeby odzyskać pudło z kamerą, tak samo jak zdecydowanie w poszukiwaniach Haliny. Do dzisiaj nie brałam tego pod uwagę, ale klucze, które zostawił w skrzynce na listy, wyjaśniały, dlaczego sam nie wszedł i ich nie zabrał, tylko musiał mnie o to poprosić. Mimo że miałam mieszane uczucia w związku z jego śmiercią, w tym momencie poczułam coś w rodzaju satysfakcji. Za pierwszym razem spławił go Marek. Za drugim ktoś go zabił. Gdybym to ja była na filmie, sama bym siebie podejrzewała o morderstwo. Przyjrzałam się Halinie, która wycierała łzy równie sugestywnie, jak pociągała nosem.

— Taaak — powiedziałam. — Mógł przyjechać do mnie.

— Naprawdę nie chciałam — odezwała się Ilka matowym głosem. — Halina, takich słów używa każdy kłamca. Naprawdę. Klnę się. Brakuje tylko,

byś przysięgała. A ja twierdę, że to ty szantażowałaś Kruczyńskiego i Zbierackiego. — Ilka wstała i zaczęła przechadzać się po salonie. — To na twoje wezwanie Kruczyński przyjechał do Sarniego Dworu. Zbieracki wrócił i się ukrywa, a ty mordujesz ich wszystkich po kolei. Zostało ci jeszcze siedmiu. Najprostszy i najczęstszy motyw zbrodni na świecie od czasu, jak ludzkość istnieje.

— Co? Co ty... — Wredna wciągnęła powietrze... i wypuściła.

— Marek też tak sądzi. Na filmie motyw widać wystarczająco wyraźnie — dodałam od siebie.

Nie miałam pojęcia, co Marek sądzi na temat Wrednej, ale nie o to przecież chodziło. Wredna miała nam opowiedzieć sama o swojej roli w filmach. Chciałam wiedzieć, czy to było reżyserowane i czy miała z tego korzyść, czy raczej była ofiarą. Na wzmiankę o Marku poderwała głowę. Tym razem ja zrobiłam się czujna.

— Macie filmy?

Skinęłyśmy głowami.

— Skąd?

— Nieważne skąd, ważne, że teraz ma je policja, a na nich jest motyw. Przynajmniej tak twierdzi Marek, ja chcę tylko wiedzieć, co ty z tego miałaś. A może zostałam zgwałcona?

— Chyba ci na mózg padło! Jakby mnie zgwałcili, tobym ich...

— ...pozabijała?

— Ten cały komisarz manipuluje tobą, Matyldo, jak dzieckiem. I jak dziecko jesteś naiwna. — Wredna uśmiechnęła się smutno.

Częściowo mogła mieć rację. Zdążyłam zauważyć, że Marek ma na mnie pewien wpływ, ale co do sprawy w pewnym sensie przyznała się, że nie była ofiarą, ale aktorką. To mi wystarczyło, by przestać się nad nią użalać, tym bardziej że Halina w tej chwili nie wyglądała jak ofiara.

— Ty z nim sypiasz? — zapytała.

Ilka zakrztusiła się winem. Odstawiła kieliszek i otrzepała bluzkę, kaszląc. A ja sobie przypomniałam, że Marek słucha rozmowy.

— Nie musisz odpowiadać. Jeśli jeszcze cię nie przeleciał, to wkrótce to się stanie. Możesz mi wierzyć.

Poczułam, jak zalewa mnie rumieniec. Sięgnęłam ręką do telefonu, by go wyłączyć, ale Ilka była szybsza, zwinęła go ze stołu, a mnie kazała zrobić kawę.

Nagle otworzyły się drzwi frontowe i do środka wtargnęło zimne, wilgotne powietrze.

Od chwili, gdy Anitę zabrało pogotowie, nie widziałyśmy się, głównie z powodu zakazu i niemal przysięgi, jaką musiałam złożyć Markowi, że nie skontaktuję się nawet z matką. Anitę obejmował zakaz, co wydawało mi się idiotyczne. A może podejrzewał, że ktoś nas podsłuchuje? Skąd miałam wiedzieć. Nie przedstawił mi argumentów. Wymieniłyśmy z Ilką spojrzenia. Halina milczała.

— Wy tutaj? — Anita nie kryła zdziwienia. Stała w progu w starej, znoszonej kurtce mokrej od deszczu i przybrudzonej na mankietach. Miała na twarzy wypisaną niepewność i zaskoczenie. — Co robicie? Myślałam, że jesteście w Katowicach. — Weszła, ale zatrzymała się tuż za drzwiami.

— Ej, to samo pytanie mogłabym zadać i ja. Co tutaj robisz, i to niemal nocą? Coś się stało? — dodałam, gdyż nie chciałam, by wypadło to niegrzecznie.

— Szukam Staszka. Nie wrócił do domu. Komórka nie odpowiada. Normalnie bym nie reagowała, ale biorąc pod uwagę to, co tutaj ostatnio się dzieje, boję się. Dzwonię i nic. Jak po południu pojechał na zamek, tak nie wrócił.

— Sprawdzałaś u jałówki?

— Mam nadzieję, że żartujesz. Zobaczyłam światło na zamku, więc weszłam. Myślałam, że to on zaświecił.

— Pomogę ci go szukać. Chodź i nie strasz, że i jemu coś się stało — powiedziałam, jednocześnie muskając wzrokiem komórkę. Ilka przymknęła delikatnie powieki.

— Na kredensie leży twoja latarka — poinformowała.

Zastanawiałam się, ile Marek usłyszał.

— W knajpie sprawdzałaś?

— On nie pije. Czasem chodzi na brydża, nie spowiada mi się, ale po tym zabójstwie Arka Zaruby i twojego narzeczonego zawsze czekam na niego, a gdy się spóźnia, to dzwonię. Dzisiaj spóźnia się już ponad cztery godziny. To nie jest normalne.

No tak, Anita nigdy nie mówiła, że się martwi, a mnie nie przyszło to do głowy. Zawstydzona, szybkim krokiem ruszyłam za nią do obórki. Drzwi były przymknięte. Pchnęłam je z duszą na ramieniu. Otworzyły się bez oporu. Poświeciłam. W środku było pusto, pewnie również dlatego, że brakowało krowy. Klepisko wysprzątane, obornik wywieziony. Najwidoczniej zrobiono to już kilka dni temu, gdyż podłoga była sucha, a kłapa wiodąca do podziemi zarzucona niedbale plandeką, czystą i suchą.

— A gdzie krowa? — zapytałam.

Coś tu się działo.

Anita wsadziła za mną głowę i przytrzymała mnie za ramię.

— Staszek wczoraj mówił, że przeprowadzi ją do stodoły, bo kuc się do niej dobierał, a te drzwi się nie zamykają. Przynajmniej od zewnątrz.

— Matko kochana, to już przesada, żeby trzeba było chronić krowę przed kucem.

Anity kuc nie interesował. Pognała do stajni.

— Dałby Bóg, żeby pił — powiedziała, dysząc. — Mati, a jeśli jemu coś

się stało? Ten Sarni Dwór to nie jest bezpieczne miejsce.

— Mówisz, że nie pije? Tak wcale?

— Właściwie tylko okazjonalnie. Nie jest pijakiem, jeśli o to ci chodzi.

Sprawdziłyśmy boks po boksie, po kolei świecąc latarką w każdy zakamarek i pod każdy z dziewięciu końskich brzuchów.

— Zadzwoń na jego komórkę. Jeśli gdzieś jest, to ją usłyszymy.

Anita, posapując, wybrała numer, ale sygnał rozlegał się tylko w małym głośniczku komórki. Nikt nie odbierał.

— Zawiadomiłaś policję?

— Po czterech godzinach? Wyśmieją mnie.

— Marek nie wyśmiej.

— Marek ma dość problemów.

Świecąc sobie pod nogi i omijając kałuże, zmierzałyśmy do stodoły, z której dochodziło niespokojne meczenie. Nie podobało mi się.

— Jeśli Staszek leży gdzieś wśród tej wełnianej hałustry... Będziemy musiały je wygonić — powiedziałam, wzdrygając się przed każdym innym rozwiązaniem.

— No co ty. Przejdźmy się pomiędzy nimi.

— Zwariowałaś? Lepiej sprawdź w wieży.

Wyszłam na deszcz i wciągnęłam leśne wilgotne powietrze.

— Masz rację — powiedziała, rozchlapując kałuże. W tym momencie usłyszałam sygnał komórki. Odruchowo klepnęłam się po kieszeni i przypomniałam sobie, że mój telefon został na stole. Anita się zatrzymała, wyjęła komórkę.

— Stachu — powiedziała, zerkając na ekran. Odeszła kilka kroków. Po dwóch minutach skinęła głową z uśmiechem. — Nic mu się nie stało i potem się wytłumaczy. — Twarz jej się rozjaśniła, oczy rozbłyły. — Oj, będzie go

to kosztować Karaiby albo Kanary. Idiota, wie, że się martwię, że codziennie czekam na niego niepewna, czy wróci, a ten kretyn nie jest łaskaw zadzwonić, że skończył na zamku i wróci później. Niech robi, co chce, Matyldo, czy ja go rozliczam, źle ma? — Potarła twarz, nagle postarzała. — Wyjechałabym gdzieś. Zmęczona jestem, i to serce, znowu się odezwało. Nie wiem. Z tym Władkiem też nie wiadomo co. Jak sądzisz, jak długo to potrwa? — Wskazała zamaszystym gestem gospodarstwo Zbierackiego, a w tym ruchu ramieniem udało jej się zawrzeć zarówno niechęć, jak i strach. — Wiesz, często myślę o Kostaryce. *All inclusive* i mnóstwo zwiedzania. On tego nienawidzi. Ale ja bym odpoczęła. Z daleka od Sarniego Dworu. Ech, nie ma co mówić! Muszę się czegoś napić.

Kilka razy zastanawiałam się nad ich związkiem: on wysoki, szczupły i przystojny kowboj, ona matka Polka o wadze zawodnika sumo i intelekcie szachisty. Lubiłam ją, mimo to bardzo chciałam, by pojechała już do domu. Przecież nie będę jej wtajemniczać w sprawy Wrednej. Ale Anita gnała już do zamku. Wyprzedziłam ją w drzwiach.

— Anita — zaczęłam, jak tylko weszliśmy do środka. Ilka i Halina spojrzały na nas wyczekująco. — Co ty na to, gdybyśmy wszystkie wpadły do ciebie? Tutaj zrobiło się mało przyjemnie.

Anita się ożywiła.

— Świetnie! Przynajmniej przestanę się wściekać.

— Jedź pierwsza, a my pojedziemy za tobą.

— Może któraś z was pojedzie ze mną?

— Ja chętnie! — Ilka poderwała się z fotela. — Ciasto też masz? Wraca mi apetyt!

Rozdział 16

Z łapałam Wredną w drzwiach i powstrzymałam przed wyjściem. Anita z Ilką odjeżdżały, rozpryskując kałuże w alei akacjowej.

Podeszłam do stołu i zabrałam komórkę. Połączenie trwało. Rozłączyłam się. Na wszelki wypadek podgłośniłam wyciszony dotąd dzwonek. Jeśli Marek czegoś chce, to niech zadzwoni.

— Halina, załóżmy, że wierzę, iż nie masz nic wspólnego ze śmiercią Seweryna ani z szantażem. Wierzę, że szukałaś tylko zdjęć i filmów. Nie wiem, na ile moja wiara jest słuszna, ale ufam mojej intuicji.

Halina się zachnęła, otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale jej przerwałam:

— Poczekaj. Filmy w tej chwili ma policja. Przez czysty przypadek znalazłam je u mnie w mieszkaniu. W życiu nie wpadłabym na to, by ich tam szukać. To ty zleciłaś włamanie, ale zatrudniłaś nieudacznika. Skąd wiedziałaś, że tam są? Seweryn ci powiedział? U niego w mieszkaniu powiodło się temu gówniarzowi, ale tylko do pewnego stopnia. W tej chwili dres siedzi w areszcie.

— Ale...

— Ale, ale... nie wiedziałaś, że go mają? Widziałam was w stadninie w Zbrosławicach. To wtedy go wynajęłaś, prawda?

Do Haliny wreszcie dotarła całość informacji, a także fakt, że sama jest na wolności. Zaczęła myśleć, co bez trudu dostrzegłam w zmieniającej się mimice. Schowała twarz w dłoniach.

— Owszem, jesteś w czarnej dupie. Martwiłam się o ciebie, miałam cię za ofiarę gwałtu, a ty zleciłaś włamanie do mojego mieszkania. Powiedziałam Markowi, że was widziałam. Kiedy go znajdą, chłopak cię wsypie.

— Nie byłam ofiarą, a przynajmniej nie ofiarą gwałtu. To był montaż i dostałam za ten film kupę kasy. Uwierz, że była mi wtedy bardzo potrzebna. Nie wracajmy do tego, proszę cię. A w sprawie włamania zrobisz, jak uważasz. Błagać cię nie będę.

— Opowiedz o Verbier. Co Zbieracki tam robił? Ja kompletnie tego nie rozumiem. — Zrozumienie utrudniał mi fakt, że Zbieracki w tym czasie prawdopodobnie już był w szpitalu, ale Halina o tym nie wiedziała. A może to stało się później, nie znałam daty nieudanej próby zamordowania Władka, a dziwne mi się wydawało, że Halina nie rozpoznała sobowtóra.

— To był przypadek i on mnie raczej nie widział albo nie rozpoznał. Stał z facetem wyglądającym na Żyda. Takim niskim w czarnym garniturze, z teczuszką. Mężczyzna miał wprawdzie na sobie kurtkę i odpowiednie obuwie, ale kompletnie nie pasował do górskiej scenerii. Mieszkałam kilka lat w Izraelu. Napatrzyłam się na nich. Podeszłam z ciekawości. Nie było trudno, bo stali w kolejce do kasy biletowej na wyciąg. Władek popatrzył na mnie jak na obcą osobę. Zdziwiłam się, ale wzięłam pod uwagę możliwość, że nie chciał mnie spotkać. Nie na rękę mu było. Może moment był nieodpowiedni. Daleka jestem od tego, by komuś się narzucać. Poza tym powinien się zdziwić chociaż przez moment, a on nic. Stałam za nimi. Rozmawiali po angielsku. Mati, możesz mnie pokrajać, ale Władek, wierz mi, znam go z tej strony, to kompletny antytalent językowy. Gdyby nie rodzice, którzy go wysyłali regularnie na wakacje do ciotki do Irlandii, to i tego by się nie nauczył. Niby mówi poprawnie, ale akcent ma straszny. A oni, Mati, rozmawiali płynną angielszczyzną. Ja akurat dobrze mówię również w tym języku.

— O czym rozmawiali?

— Niezbyt długo słuchałam, nie chciałam się zdemaskować, ale chodziło o jakiś interes z obrazami. Nie znałam kontekstu. Wycofałam się.

— Stałaś na tyle blisko, by rozpoznać maskę?

— Stałam kilka kroków za nimi, ale gdyby to była moja maska, to nie, nie

rozpoznałabym jej. Trzeba by dotknąć. To misterna robota, cała charakteryzacja. Można w niej mówić, istnieje normalna mimika, ruszasz brwiami, nawet wąsem, gdyby taki był potrzebny. Laik nie rozpozna, tym bardziej obcy człowiek. Jeśli jego rozmówcą był ktoś, kto znał Zbierackiego z jednego lub dwóch spotkań, mógł się nie zorientować.

— Jak to się robi?

— Potrzebny jest odlew, ale są specjaliści, którzy robią go na podstawie zdjęć. Trzeba mieć talent, chociaż słyszałam, że jest już możliwość wykorzystania drukarki 3D.

— A głos? Poznasz przecież Zbierackiego po głosie.

— Jakby on... Nie zwróciłam uwagi, zatem musiał być jak jego, tyle że za dobrze mówił i to mnie zdziwiło.

— Dobrze, że się nie ujawniłaś. Kto wie, czy mu tym życia nie uratowałaś.

— Żartujesz?

— Daleka jestem od żartów w tej chwili. Wkurza mnie to wszystko i intryguje. — Wyjęłam z torebki kopertę i podałam Halinie. — Nie rozumiem całej tej afery — powiedziałam, patrząc w jej szkliste oczy. — Fałszywe maile, objawienia w okolicy zamku, zwariowane bilokacje Zbierackiego. Musisz wiedzieć więcej. Może nie zdajesz sobie z tego sprawy. Skąd wiedziałaś, że Władka nie ma? Skąd znałaś mój adres mailowy? Nie pasują mi maile. Oddałam ci zdjęcia, ale proszę, bądź szczerą — powiedziałam, a ona się zaczerwieniła.

— Jakie maile?

— Ktoś włamał się na skrzynkę Władka i odpowiadał zamiast niego. Niektóre odpowiedzi były jego, ale nie wszystkie. — Nie spuszczałam z niej wzroku.

— I Władek tego nie wyłapał?

Milczałam. Halina patrzyła na mnie z rozchyłonymi ustami, wyglądała jak

ryba. Wreszcie nie wytrzymała i spuściła głowę.

— Okej, okej. Ale napisałam tylko jeden. Musiałam jakoś się tutaj dostać. Władek raczej by mnie nie zaprosił, bo się nie kontaktowaliśmy. Włamałam się na jego pocztę. Nie było trudno. Zresztą to nawet nie było włamanie. On nigdy nie zmieniał loginów i haseł. Po prostu się zalogowałam. To z poczty wiedziałam, że tutaj jesteś. Mati, ja musiałam tu zamieszkać! Jak inaczej miałam znaleźć te filmy? A teraz, kurwa, ma je policja...

— Nieźle namieszałaś — mruknęłam, jednak nie miałam zamiaru jej oświecać, że pocztę Władka obsługują wszyscy, tylko nie on.

Zatrzasnęłam drzwi, a śrubokręt schowałam do kieszeni.

Jasiona wydawała się wymarła, zjawisko normalne o dwudziestej drugiej czterdzieści trzy na wsi, w której drogi pilnowało kilkanaście domów. Trzy czwarte z nich wybudowano w epoce Peerelu dla pracowników pegeeru i o tej porze pogrążone były w niemal zupełnej ciemności. U Anity świeciło się we wszystkich oknach. Nie uznawała zasłon. W świetle padającym ze środka widać było precyzyjnie upięte firanki i mnóstwo kwiatów na parapetach. Przed domem parkował tylko jeden samochód. Gospodyni. Wysiadłyśmy.

— Nie wydaje ci się dziwne, że Anita tak się przejęła? — zapytała Halina. Nie zamknęła jeszcze drzwi i patrzyła na mnie ponad dachem.

— Czy ja wiem, pomyśl. Staszek jest na zamku codziennie z racji wykonywanych obowiązków, ale on chyba robi nam grzeczność. Tylko nie wiem, czy Markowi, czy mnie, bo mnie przecież ledwie poznał. Ale biorąc pod uwagę wszystko, co do tej pory wydarzyło się na zamku, to na miejscu Anity nie byłabym szczęśliwa. Facet nie wrócił do domu, nawet nie zadzwonił. Może i nie latałabym jeszcze jak kot z pęcherzem, ale wściekłabym się, to pewne.

— Ty tam siedzisz z własnej woli, ba, wracasz jak bumerang, już nawet nie komentuję, jak trudno się ciebie pozbyć. — Halina zachichotała. — Ale

Wolny tam pracuje, a ona rozlicza go z godzin? Sądysz, że nomen omen nie jest wolny? Spowiada się jej z każdej godziny? Nie sprawia wrażenia pantoflarza.

— Anita się boi, że jego też zabiją. Szukałyśmy u jałówki i już miałyśmy iść do wieży.

— I niepotrzebnie. Flame ma — oznajmiła Wredna z ironicznym uśmiechem. — Widziałam go z taką jedną.

— Żartujesz?

— Ani trochę. — Halina wyjęła komórkę, obeszła samochód i pokazała mi zdjęcie. Młoda, mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia siedem, osiem lat, szczupła i zgrabna kobieta, ubrana zgodnie z najnowszymi trendami, dotykała ramienia Wolnego w sposób raczej poufały. On patrzył na nią z uśmiechem. Sprawiali wrażenie, jakby znali się więcej niż dobrze.

— Znasz ją?

— Ja tu nie mieszkam, zapomniałaś? Zdjęcie przez przypadek zrobiłam parę dni temu w Katowicach.

— Nie mów Anicie. Zmartwi się. Przynajmniej póki się nie upewnimy.

— Co cię obchodzi, czy się zmartwi?

To była cała Wredna.

— Polubiłam Anitę, dlatego ani słowa.

— Przecież mówię tylko tobie. Za kogo mnie masz?

Nie skomentowałam, bo Jezierska otworzyła drzwi, zanim nacisnęłam dzwonek.

Ilka siedziała w białej kuchni nad talerzykiem z ogromnym kawałkiem tortu. Anita mieszała w garnku stojącym na płycie indukcyjnej nowoczesnego pieca. Usiadłam obok przyjaciółki i przesunęłam jej talerz, stawiając go przed Wredną.

— Halina, jedz, bo chuda jesteś. A ty — powiedziałam do Ilki — straciłaś apetyt. Chodź na papierosa. Nie będziemy palić w mieszkaniu. Tu są białe firanki i pachnie Prowansją.

Anita obejrzała się z wdzięcznością.

— Dziękuję ci, Matylde. Przedwczoraj je prałam. Ale zaraz wracajcie!

Ilka spojrzała tęsknym wzrokiem na ciasto, ale ponaglona dyskretnym kopniakiem posłusznie wyszła. Zastanawiałam się, czy należy ponowić uderzenie w klatkę piersiową, czy w głowę i które z nich spowodowało u Ilki wstręt do jedzenia. Zapaliłyśmy, osłaniając się przed wiatrem. Streściłam jej rozmowę z Haliną i poinformowałam o doniesieniach Wrednej na temat drugiego, bardziej atrakcyjnego życia kowboja. Słuchała w milczeniu.

— Niby nie nasza sprawa — przyznałam, wciskając niedopałek pod krzak hibiskusa — ale lubię Anitę. I przestań się dąsać. Mało, że zaczynasz podzerać, to zachowujesz się jak dziecko.

— Ale to był tort.

— Właśnie: tłuszcz, pszenica i cukier. Wszystko białe.

— On nie był biały — jęknęła Ilka.

— Walnąć cię? Farbki obciążają wątrobę. Lepiej słuchaj. Jesteś fachowcem, a Anitę trzeba przepytąć i zorientować się, jak bardzo jej na tym Staszku zależy. Wtedy zdecydujemy: mówić jej czy nie mówić. Jednak uświadomienie jej byłoby podłe. Tak sędzę.

— Matylde, posłuchaj siebie: „jak bardzo jej na tym Staszku zależy”. Gadasz jak o butach albo o nowej torebce. Poza tym może Wolny prowadzi jakieś interesy. Nie znamy go. Przyczepiłaś się do gościa, lecz sędzę, że tym razem nie trafiłaś. Chyba że na tym zdjęciu była scena erotyczna.

— Nie. Ale stali zbyt blisko siebie jak na zwykłe interesy, a ona dotykała go tak, jakby spędzili razem noc. Poza tym, co my o nim wiemy? Czy Wolny prowadzi jakąś firmę? Może pracuje gdzieś? U nas na zamku spędza beztrąsko czas, jakby nic go nie ograniczało. Nigdy nie słyszałam, że praca

go wzywa. Może ma ukryte dochody? Może ma drugą rodzinę?

— Weź się puknij. Bigamista? Nie Staszek. Poznałabym się na tym. Ale interesy może mieć. Jest inteligentny i w głowie ma więcej niż układ limbiczny. Zresztą to się rzuca w oczy, sama dostrzegłaś.

— Owszem, od początku ciekawiło mnie, z czego oni żyją. Z pensji Anity? Przecież gospodarstwa nie mają. Dlaczego on taki chętny jest do prac gospodarskich i udawania małorolnego chłopca? Dla Marka to robi? A może Marek zatrudnił go jako ochroniarza?

— Przecież to ty mu płacisz, prawda? Że też nigdy nie zapytałyśmy go tak normalnie, z czego żyje. Może nie ma pracy i potrzebuje tych pieniędzy?

— Nie potrafię nikogo pytać o takie rzeczy. To w moim pojęciu moralności jest strefa intymna. Już o seksie nieskończenie łatwiej jest rozmawiać — uznałam, zastanawiając się, czy miałyśmy w ogóle czas i możliwość na zadawanie takich pytań. Przecież nieustannie spotykałyśmy się z Wolnym w momentach zagrożenia albo tuż po nich. Czy wtedy kogoś interesuje, jakie kto ma dochody i znajomości?

— Wiesz, Mati, ja stale myślę o nich jak o małżeństwie, a przecież Anita o nim mówi jakoś tak okrężnie, jakby mieszkali ze sobą bez ślubu. O to też niezbyt zręcznie zapytać.

— Mi wspomniała, że ślubu nie mają.

— Nie mamy, bo co? — odezwała się stojąca w drzwiach Anita. Podskoczyłam i nadepnęłam jej na nogę.

— Oj, to za co?! — krzyknęła i zaczęła rozcierać sobie stopę.

— Przepraszam. Nie wiem, co się ostatnio ze mną dzieje. Nie chciałam na ciebie tak naskakiwać.

Jezierska masowała podbicie stopy. Ilka udawała, że kicha. Pchnęłam ją w ramię. Zgasła papierosa butem:

— No, to masz z głowy podchody — powiedziała, krztusząc się ze

śmiechu. — I całe szczęście, bo czułam, że mnie chcesz w to zrobić.

Gospodyni wodziła po nas wzrokiem jak na meczu hokeja.

Wyszłam na idiotkę, więc nagle zrobiło mi się wszystko jedno.

— Bo wiesz — wypaliłam Anicie prosto w oczy — jeśli nie jest twoim mężem, z papierami, przysięgą i ewentualnym rozwodem, to jednak może to być baba. I Kostaryka wtedy nie wystarczy.

Anita otwarła usta, jakby niczego nie rozumiała. Ilka skinęła głową. Uczyniła to na tyle wolno, by gest był nasycony odpowiednią powagą i poparty autorytetem. Anicie to jedno kiwnięcie musiało z zawrotną szybkością poprzestawiać wartości moralne i wynikające z nich układy partnerskie, gdyż zamknęła usta. Mało tego, ściągnęła je w ciup i wystawiła dłoń w naszą stronę, jakby czekała na obiecany prezent.

— Dowody — powiedziała, ruszając palcami. Z tonu głosu i całej jej postawy przebijał chłód. Czułam, że nasza znajomość się kończy. Skoro jednak powiedziałam A, to powinnam dokończyć dzieło. Wyjęłam komórkę i pokazałam jej zdjęcie, które Halina przesłała na mój telefon.

— To oczywiście nic nie znaczy, to mogą być zwykłe interesy — zaczęłam, aby ją uspokoić, lecz sama gorączkowo się zastanawiałam, jakie Staszek prowadzi interesy z wysoką, przystojną blondynką.

Anita patrzyła, póki ekran się nie wyłączył.

— Marion Delois, jego marszandka — powiedziała, tracąc zainteresowanie. — Chodźcie jeść, bo stygnie.

— Co?

— Słyszałaś. — Ilka włożyła w uśmiech entuzjazm pokonanego.

— O matko! — jęknęłam. — Marszandka?

Postanowiłam nic więcej nie mówić. Zamknąć usta i więcej ich nie otwierać. Najchętniej wsiadłabym do auta i wróciła do Katowic. Miałam dość niedopowiedzeń, kręcącego się w pobliżu mordercy i opieszałości policji.

Dlaczego, do cholery, wtykam nos w nie swoje sprawy? Co mnie to wszystko obchodzi?!

— Chodźcie. — Anita otworzyła wysokie wąskie drzwi pomalowane na pomarańczowo. — Pokażę wam, czym Staszek się zajmuje.

Chciałam zapytać, dlaczego karmi krowy, skoro czymś się zajmuje, ale udało mi się trzymać buzię zamkniętą. Jak się okazało, bardzo słusznie.

Anita wpuściła nas z powrotem do domu, przeprowadziła przez sypialnię z olbrzymim łóżem zarzuconym poduszkami w kolorze burgunda i błyszczącej pomarańczy, otworzyła drzwi obite, podobnie jak ściany, wzorzystą aksamitną tkaniną, jaka była też w saloniku, i zaprosiła do niedużej pracowni rzeźbiarskiej. Nie prezentowała się okazale, jeśli chodzi o ilość miejsca do pracy, ale wyposażenie świadczyło o profesjonalizmie.

— W wolnym czasie rzeźbi. Jest naprawdę dobry. Sprzedaje wiele z tego za granicę. To właśnie Marion Delois załatwia mu klientów. — Popatrzyła na mnie z rozbawieniem. — Zatem, Matyldo, Kostaryka musi wystarczyć. Miał dzwonić za pół godziny i znowu milczy, więc mu się nie upiecz.

— Dlaczego sama do niego nie zadzwonisz? — zapytała Ilka, dla której asertywność była ważniejsza niż damsko-męska polityka. Być może dlatego nie wyszła za mąż. Ilka nie rozumiała kobiecych podchodów, nieustannych gier i dyplomacji.

Anita popatrzyła na nią z politowaniem.

— Mati, wytłumacz pani doktor.

— Nie warto. Ona do tego podchodzi naukowo.

— No tak, a dyplomacja to twoja działka — zakpiła Ilka, odkładając na miejsce niedokończone popiersie młodego mężczyzny. — Ludzie mu pozują? — Zwróciła się do Anity.

— Robi zdjęcia. Gdy rzeźbi, zamyka się i nie wolno mu przeszkadzać. Ale jak widzisz, jest w tym dobry. Mówi, że to czuje, tylko musi mieć spokój.

Rzeźby, które oglądałyśmy, wyglądały jak w Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, tyle że nie były kolorowe. Poczułam nieodpartą potrzebę zapalenia papierosa. Wyszłam sama, bez Ilki i bez słowa. Najpierw się zaciągnęłam raz, drugi, wypaliłam do końca i wyjęłam drugiego. Potem, nie patrząc na późną godzinę, wybrałam numer i powiedziałam, że zaraz będę.

Ledwo dotknęłam dzwonka, zabrzączał elektroniczny brzęczyk zwalniający zamek. Marek siedział w swoim chłopięcym gabinecie na foteliku biurowym na kółkach. Obok stały kule. Był bez spodni. Gapiłam się na jego nogi. Cały entuzjazm nagle gdzieś się ulotnił i pojawiło się napięcie, bardzo przyjemne i zupełnie innego rodzaju.

— Mam wieści. — Odchrząknęłam, z trudem wracając do rzeczywistości.

Marek odepchnął fotel od biurka i, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie, jakby to robił co najmniej od kilku miesięcy, a ja bym mu na to pozwalała, przyciągnął mnie między swoje uda. Serce osunęło mi się niebezpiecznie do brzucha i poczułam tykanie zegara biologicznego, który dostał hysterii. Nie miałam pojęcia, dlaczego niektóre kobiety opisują ten moment jako motyle w brzuchu. Ja tam miałam elektrownię atomową. Powinnam natychmiast usiąść po przeciwnej stronie biurka, a nie sterczeć jak powolna sekretarka, ale stać mnie było tylko na piskliwe:

— Hej, musimy porozmawiać.

— Uhm, zgadzam się. Chodź tutaj. Przyjechałaś od Anity. Bardzo dobrze. Sierocińska tam została?

— Tak, ale nie o to chodzi, zostaw... Marek, próbuję coś powiedzieć. — Racjonalna część mnie usiłowała się uwolnić, jakbym doznała rozdwojenia jaźni. — Mam coś nowego o Wolnym. To ważne, poza tym nie mam pewności, czy czegoś nie interpretuję fałszywie — jęknęłam.

Marek mi się przyjrzał.

— Nie — powiedział. Wyjął telefon, domyśliłam się, że wysłał

wiadomość. Poczekał na odpowiedź, z zadowoleniem mruknął i go odłożył. — Przez dwie minuty wszyscy się nie wymordują. Chodź tutaj. To, że przyjechałaś, to najmądrzejsza rzecz, jaką mogłaś zrobić — powiedział oktawę niżej. Musiał wiedzieć, że gdy przechodził na baryton, działa się ze mną coś niespotykanego. W tej chwili sama to wiedziałam. Chłodzenie stosu atomowego wyraźnie szwankowało. Co gorsza, jego temperatura wzrastała. — Usiądź, Mato.

— Przestań... nie mogę myśleć — jęknęłam.

— Właśnie o to chodzi. — Jedną ręką przesunął mi po łuku biodra, drugą przyciągnął mnie bliżej. Usta miał gorące. Musiał mieć cholernie dużo kobiet albo przechodził jakieś szkolenie. Wyłączyłam walczący umysł. Świat nie przestanie istnieć bez względu na to, co zrobimy, pomyślałam. Ostrożnie, bardzo ostrożnie, by nie przerwać pocałunku, przełożyłam prawą nogę przez gips i podłokietnik fotela. Przejechałam dłonią po krótkich włosach na męskim karku. Marek jęknął, przyciągając mnie bliżej, a w moim wnętrzu zaczynała się katastrofa czarnobylska. I jak na początku chciałam go ukarać za zatajanie informacji, za krzyczenie na mnie, za to, że na mnie działał, a nawet za to, że i ja go chciałam, tak teraz, siedząc mu na kolanach, stać mnie było jedynie na nikłą konstatację, że robi coś z ubraniem, że gdzieś się przemieszczamy, mało tego, że sama z zaangażowaniem mu pomagam. Dopiero ciche popiskiwanie Rina mnie otrzeźwiło. Oderwałam się od Marka i głośno zaczerpnęłam powietrza. Jak mogłam?! Spojrzałam na owczarka z wdzięcznością.

— Kto go tu wpuścił? — Marek, nie kryjąc żalu, przyglądał się, jak usiłuję wstać. Przyciągnął mnie z powrotem, ale pies znowu zaczął piszczeć. — Uśpię drania — mruknął w moją szyję. — Słyszysz? — zwrócił się do psa.

Rino zawarczał. Też miałam ochotę, ale byliśmy już w sypialni, Marek odepchnął fotel i kopnął drzwi zdrową nogą. Za drzwiami usłyszałam jedno szczeknięcie, dwa piski i nastąpiła cisza. Marek nie tracił czasu.

Rozebrał się tak błyskawicznie, że raz na zawsze rozwiązał moje wątpliwości

na temat swojej sprawności. Poczułam nad sobą ciało, które do tej pory tylko sobie wyobrażałam. Nie liczę tego razu, gdy przemykał bosy do łazienki cały w kiszonce. Wtedy jego wymowa kształtowała się w rejestrach dolnej skali testosteronu. W tej chwili wciskał mój kark w skotłowaną poduszkę, jego zapach zaś sprawiał, że zapomniałam o tym, iż jest policjantem i nie tak dawno podejrzewał mnie o morderstwo. Wiedział, że mu się przyglądam. Przez chwilę pozwalał na to, aż w końcu położył się na boku i zajął się tym, czego jeszcze sama nie zdjęłam.

— Pospiesz się — wyrwało mi się.

Nie uśmiechnął się jak zdobywca ani nie skomentował mojej niecierpliwości, tylko łapiąc za nogawki, zerwał ze mnie spodnie. Wtedy usłyszałam brzęczenie jego komórki. Klamka się poruszyła i do sypialni wszedł Rino z telefonem w pysku. Marek z głośnym jękiem opadł na plecy.

Rino położył mu aparat na owłosionej — w sam raz jak dla mnie — piersi i szczerknął. Dzwonił Tomek. Wyszłam z łóżka, by dać im odrobinę przestrzeni. Marek nie zareagował, a mi rozum przypomniał o tym, że od czasu do czasu zdarzyło mi się go używać. Pozbierałam z podłogi ubrania i w łazience doprowadziłam się do porządku. Gdy poprawiałam makijaż, usłyszałam z sypialni:

— Mati, nie uciekaj! Musimy porozmawiać.

Dokładnie od tych słów zaczęłam i proszę, czym kończy się brak stanowczości. Miałam jeszcze wypieki na twarzy, opuchnięte usta i rozmarzenie w oczach. Niestety nie to mnie niepokoiło, tylko kretyński uśmiech, który trwał mimo zmieszania i chęci natychmiastowego odwrotu. Stałam w drzwiach. Marek leżał na plecach, opierając się o poduszkę. Był nagi. Jedynie przez uda i gips przerzucił róg wełnianej narzuty w szkocką kratę. Ujrzałam górskie szczyty, poczułam wiatr w przełęczach, a moja malarska dusza zauważyła, że materiał przyjemnie kontrastuje z opalenizną. Zapisałam w pamięci obraz, który postanowiłam niezwłocznie przenieść na płótno.

— Wracasz do Katowic — powiedział, sięgając po spodnie od dresu. — Natychmiast. Nie jedziesz po Sierocińską, nie wracasz na zamek, wsiadasz do tego wypasionego merca i udajesz się na Francuską, a jeszcze lepiej do mamusi.

— Nie powiedziałam ci o Wolnym.

— Wiem o tym, że rzeźbi. Żadne odkrycie. Mato, nie mam czasu, Tomek dzwonił, wiem, że to brzmi trochę chamsko — z uroczym zakłopotaniem podrapał się po brodzie — mam nadzieję, że dokończymy to, co zaczęliśmy, nic nie mów, przepraszam, ale posłuchaj mnie choć raz.

— Nic z tego. Jadę do hotelu, ale najpierw...

Markowi zabłyśły oczy. Widziałam, jak rodzi się w nim nie tyle upór, ile dobrze już mi znana policyjna ostrożność.

— Jesteś nieobliczalna, a tym samym niebezpieczna. Mało tego... bardzo niebezpieczna. Przyciągasz do siebie... a zresztą, możesz mi podać...

— Nie mogę. Doskonale sobie radzisz... razem z psem.

Rino zapiszczał i przechylił głowę, robiąc maślane oczy. Nie odwzajemniłam się, bo znowu zadzwonił telefon. Marek zerknął na wyświetlacz i uniósł dłoń w przeproszającym geście.

W przedpokoju narzuciłam kurtkę i hamując odruch trzaśnięcia drzwiami, wyszłam. Nieobliczalna? Niebezpieczna? To się pan jeszcze zdziwi, komisarzu.

Ilka zadzwoniła, gdy siedziałam za kierownicą i próbowałam się uspokoić. Ustawiłam na głośne mówienie i wcisnęłam komórkę w uchwyt na pulpicie. Było około pierwszej w nocy. Pogoda panowała tak wstrętna, jak to możliwe w październiku. Jakieś cholerstwo przywierało do szyb, ograniczało widoczność i wydawało się, że przedzieram się przez kleiste bagno.

— Gdzie jesteś?

— W mokrej dziurze. A konkretnie wyjechałam od Marka. A ty? Jeszcze u Anity?

— Wyszłam na papierosa. Przenocuję u niej, chyba że po mnie przyjedziesz i zostaniemy w hotelu. Rozmawiałś z panem komisarzem i jesteś zła — stwierdziła.

— Tak, to znaczy nie. — Wyłączyłam wycieraczki i ustawiłam światła przeciwmgielne, gdyż przestało padać, a warunki zmieniły się na „mgliście i niewyraźnie”.

— Nie mów tylko, że wlażłaś mu do łóżka. On kontuzjowany jest.

— Dobrze, niczego więcej ci nie powiem. — Rozłączyłam się, bo usłyszałam piknięcie. Ktoś się dobijał. Spojrzałam, zwalniając. Marek.

— Co się stało?

— Gdzie jesteś? — Głos miał poważny i służbowy.

— W aucie.

— Bogu dzięki. Pamiętaj, co ci mówiłem? Nie wracaj do Anity po Ilkę. Poślę kogoś, kto ją odwiezie. I pod żadnym pozorem nie jedź do zamku. Nie pytaj i nie zbliżaj się tam. Zrozumiano?!

— Ale...

— Matyldo, czy ty mi możesz chociaż raz zaufać? Mam powody, by podejrzewać podłożenie materiałów wybuchowych. Mati, to jest informacja ściśle tajna. Nie wolno ci pisać słowa pani doktor. O twoje życie mi chodzi. Obiecuj, że znikniesz. Nie dzwoń do niej. Wyślę po nią ludzi. Przysięgam, już ktoś tam jedzie. Ani słowa nikomu i do domu. To rozkaz!

— Ale czemu...

— Do jasnej cholery, wykonać!

— Tak jest! — powiedziała zaskoczona i się rozłączyłam.

Dopiero między akcjami zorientowałam się, dokąd jadę. Moja

podświadomość działała na własną rękę. Cztery skończone płótna. A jeśli wybuchnie, kiedy wejdę? Ale przecież dopiero co siedziałyśmy tam z Ilką i Wredną. Minęło raptem kilka godzin. Czy on nie przesadza? Mogłam go zapytać przynajmniej, gdzie je podłożono... Nie mogłam. Nagle przypomniała mi się beczka w podziemnej komorze. Przecież już wtedy przyszedł mi do głowy proch i nitrogliceryna. Nie miałam pojęcia, czy teraz się coś wysadza, ale przecież nie szczegóły mnie interesowały, lecz idea. Tylko w jakim celu ktoś chciałby wysadzać w powietrze kopalnię? A zamek? Jeszcze tego wieczoru siedziałam tam i żyję. Gdyby Marek i jego koledzy podejrzewali, że bombę podłożono na zamku, to już bym siedziała w areszcie prewencyjnie. Nie wypuściłby mnie na słowo honoru, którego mu zresztą nie dałam. Ośmielił się na mnie krzyknąć. Kolejny cholerny macho. Czyżbym miała w sobie magnes, który ich ściąga jak opiłki żelaza? Czy to jakiś wirus, zły program, a może wada genetyczna? Dlaczego nie gustuję w zwyczajnych grzecznych i ułożonych panach pod krawatem i z teczuszką? Spróbowałam sobie takiego wyobrazić. Mili, sympatyczni, układni, nudni. No tak, zdecydowanie wolałam alfonsa, którym okazał się Seweryn, i policjanta z pipidówki. Może Ilka i Marek mają rację, mówiąc, że coś ze mną jest nie tak? Przyciągałam również wszelkie możliwe katastrofy. Nagle pomyślałam o Władku, o tym, że leży w szpitalu i jako niemal zamordowany ma najlepsze z możliwych alibi, a ja zamiast bronić jego zamku, doprowadziłam go do ruiny samą swoją obecnością.

Szlag go trafi jak nic. Ale jeśli Marek ma rację, to sama wiele nie zdziałam. Postanowiłam zabrać obrazy i zniknąć. Może gdy wyjadę, wszystko się uspokoi. Karina się ucieszy, bo wystawa się odbędzie i życie wróci do normalności. Obrazy były dobre. Uśmiechnęłam się. Podobnie jak Wolny, miałam fotograficzną pamięć. Został mi tylko jeden, ale nie zajmie mi wiele czasu.

Z niepokojącym obrazem szkockiej kraty na męskim ciele dojechałam do bramy i zwolniłam.

Rozdział 17

Lampa, która zwykle oblewała dziedziniec żółtą poświatą, znikła w mroku i mgle. Nie dało się dostrzec ani isierki życia, nawet gdyby tu jakieś było. Powinnam podejść pod same drzwi, żeby zbyt daleko nie dźwigać niewygodnych płócien, poza tym padała mżawka, nasączając wszystko kleistą zimną wilgocią. Skręciłam nieznacznie. Mgła zgęstniała. Nachyliłam się nad kierownicą, by lepiej widzieć, jak się okazało, słusznie, gdyż przede mną błysnęły reflektory. Natychmiast zgasiałam światła i zatrzymałam samochód. Już byli na miejscu? No to mi się oberwie. Powinnam zawrócić, zamiast tego wyjęłam ze schowka latarkę i wysiadłam. Drzwi nie zamykałam, zabrałam jednak kluczyk ze stacyjki. Nieosłonięta samochodową szybą widziałam odrobinę lepiej. Ciemność paradoksalnie mi sprzyjała, gdyż światło tylko rozpraszało się we mgle i raczej oślepiało niż pomagało. Chwilę stałam przy drzwiczkach, gotowa do odwrotu. Nasłuchiwałam i czekałam, aż oczy przyzwyczają się do ciemności.

W części gospodarczej, w okolicy obórki, dostrzegłam leciutką poświatę, która zaraz zniknęła. Przy świetle latarki nigdy bym tego nie zauważyła. Znałam podwórko i cały teren. Ruszyłam najciszej, jak potrafiłam. Ciemny kształt majaczył coraz bliżej. Policzyłam czas. Mogła być za dziesięć druga. Samochód miał otwartą klapę bagażnika. Licząc, że kawał blachy mnie osłoni, błysnęłam światłem. To nie była policja. BMW, obce rejestracje. Austriackie? Szwajcarskie? Zgasiałam latarkę i przyświecając sobie wyświetlaczem komórki, niemożliwym do dojrzenia z dalszej odległości, zajrzałam do środka. Pusto. Otwarłam po cichu prawe przednie drzwi. Wyczuliłam zmysły, spodziewając się uderzenia w głowę czy zimnej lufy przy skroni. Poczekałam. Nic. Cisza. Martwa. Wizja Arka Zaruby i Ilki leżących bez życia, Seweryn z nożem wystającym z kaszmirowego swetra, trup w wieży. Przetoczyła się przeze mnie fala zimnej grozy. Kolej na mnie.

Zaryzykowałam głęboki oddech. Jeszcze jeden. Nadal nic. Żyłam. Sięgnęłam po omacku i otworzyłam schowek w konsoli. Zapaliła się wewnętrzna lampka. Znalazłam dowód rejestracyjny. Zrobiłam komórką zdjęcie. Domknęłam po cichu drzwi i ruszyłam w stronę obórki. To tam widziałam poświatę.

Jałówki nie było już wieczorem. Teraz jednak kłapa do szybu wsparta o ścianę odsłaniała czarną dziurę. Nachyliłam się. Coś szurnęło za mną. Zacisnęłam oczy. Zamiast uderzenia w głowę usłyszałam ciche chrząknięcie.

— Ciii!

Odwrociłam głowę i błysnęłam latarką. Za mną stał Władek Zbieracki. Wciągnęłam gwałtownie powietrze.

— Spokojnie. Co ty tu robisz, normalnie? — powiedział szeptem. Był wymizerowany, miał sine wory pod oczyma i świeży zarost. Maska? Gestem kazałam mu się nachylić. Zdziwił się, ale posłuchał. Sprawdziłam za uchem i namacałam bliznę.

— Co tutaj robisz? Na dole ktoś jest.

— To interesujące. A co ty robisz?

— Podobno mieszkam. Sam mi dałeś klucze.

— To skorzystaj z nich, a ja się rozejrzę. — W sumie miał rację, mylił się tylko co do kluczy, w kieszeni wyraźnie czułam szpikulec śrubokrętu.

— Rozejrzemy się razem — zaproponowałam niespodzianie dla siebie samej. Nagle poczułam się rażniej. — Widziano cię kilka razy koło zamku.

— Wiem. Cicho, bo usłyszą.

— Liczba mnoga? Idę pierwsza.

— Nic z tego, jestem gospodarzem.

Odsunęłam się i gościnnie wpuściłam go na wąskie schodki. Przyświecał sobie sam. Zatrzymaliśmy się na dole. Z głębi korytarza dobiegała nas niewyraźna rozmowa. Władek ruszył dalej. Zauważyłam, że kuleje.

Przykleiłam się niemal do jego pleców. Zatrzymaliśmy się na zakręcie, gdzie zaczęło prześwitywać liche światło.

Głosy dwóch mężczyzn docierały spod ziemi. Rozmawiali po angielsku. Władek zaklął. Ruszyłam pierwsza, przyświecając komórką, bo bałam się włączyć latarkę. Coś mnie jednak tknęło w Katowicach, że zdecydowałam się na buty na płaskim obcasie i miękkiej podeszwie.

— Nie pędź tak — warknął Władek i złapał mnie za ramię.

Wyrwałam mu się i wyhamowałam dopiero przed bezładnie odrzuconymi deskami, które ostatnio przybite były do stempli. Z oddali sączyło się światło. Zajrzałam do środka, przytulając się do zimnego kamienia. W głębi podziemnej komory stały trzy niewielkie górnicze lampy. Była to dokładnie ta sama komora, w której byliśmy z Ilką. Skrzynię otwarto. Władek odsunął mnie zdecydowanym gestem, osunął się na ziemię i położył, jednocześnie dając mi znak, bym zrobiła to samo.

— No proszę, jednak coś w niej było — mruknęłam półgłosem.

Nie słyszał mnie, czołgał się już wzdłuż nisko schodzącego sufitu przy brzegu wyrobiska. Biorąc pod uwagę, że dopiero co wyszedł ze szpitala, a prawdopodobnie uciekł z niego bez wiedzy policji, szło mu to całkiem sprawnie. Niknął w cieniu, ale i tak widziałam, jak niepokojąco zbliżał się do dwóch czarnych sylwetek.

Kłócącym się mężczyznom nie wystarczały górnicze lampy. Strzelali w siebie snopami stroboskopowego światła masywnych latarek, a echo ich inwektyw niosło się i odbijało od ścian, od srebra i judaszowych srebrników, bo byłam już pewna, że pachnie tu zdradą. Władek nie był tak zaskoczony, jak powinien. Domyśliłam się, że coś ukrywał w skrzyni, a tamci to odkryli. W skaczącym świetle latarki trzymanej przez bardzo niskiego mężczyznę dostrzegłam, że drugim człowiekiem jest dużo wyższy od niego... Władek Zbieracki. Gdyby nie to, że widziałam sylwetkę prawdziwego Władka pod ścianą, i gdyby nie odkrycie w domu Anity, uwierzyłabym bardziej niż w hotelu: teraz nie był już tak wyczesany. Ruszyłam w półsiadzie, trzymając

się ściany, i miałam nadzieję, że żadnemu z nich nie przyjdzie do głowy poświęcić w moim kierunku. Dotarłam do Władka i przysunęłam twarz do jego ucha.

— Bliźniak sprzedaje ci bonanzę?

— Zabiję skurwysyna! — sarknęła. — Tylko on wiedział o obrazach. — Zaczął się podnosić. Złapałam go za kurtkę i przyciągnęłam do ziemi.

— O jakich obrazach? O tych w pracowni czy na ścianach w zamku? — Usiłowałam mu się przyjrzeć, ale twarz Zbierackiego zatopiona była w mroku. — Idioto — syknęłam — może najpierw posłuchajmy, co mówią. I uspokój się, nerwusie.

Spodziewałam się skarbów. Ale obrazy? Nie złoto, nie srebro i nie klejnoty? Jakie obrazy? Władka? Co tutaj, kurczę, jest grane? Przypomniało mi się, że Marek wspominał o jakiejś wielkiej sprawie, rewelacji, tak się nawet wyraził. Należało go przepytąć konkretnie. Szybko zrobiłam *résumé*, na razie w głowie.

Wredna mogła widzieć w Verbier Staszka Wolnego. Zrozumiałam, że już wtedy kręcił interesy, podszywając się pod Zbierackiego. A ta cała marszandka? Czyżby Zbieracki kopiował dzieła mistrzów? W jakim celu jednak przechowywałyby je w kopalni? Żeby je ukryć? Ukrywa się przestępstwo, chyba że chodzi o coś zupełnie innego.

Władek przestał się wyrywać i na chwilę zastygł w półsiadzie, nasłuchując. Moje starania nie zdały się na nic. Znałam francuski i hiszpański, ale angielski tylko w piśmie. Mowa do mnie nie trafiała. No może prócz wyrwanych z kontekstu słów. Rozumiałam tylko tyle, że Wolny nawiązywał do jakiejś transakcji, teraz jednak zmienił zdanie co do ustaleń. Kurdupel wyraźnie był zły. Szturchnęłam Władka, pokazując na nich i że nie rozumiem ani słowa.

— W skrzyni są obrazy zrabowane Żydom podczas wojny. Nie słyszałaś nigdy o zaginionym konwoju?

— A skąd ty to wiesz?

Nawet w mroku widziałam sarkastyczny uśmiech.

— Bo je właśnie tutaj odkryłem. Zamknij się, do cholery.

Tak zrobiłam.

Komora położona była wyżej i zabezpieczona przed zalaniem. Nawet wilgoć specjalnie się tu nie trzymała. Może była wentylacja?

— Miałem zamiar oddać to do muzeum za symboliczną kwotę znaleźnego. No, jakieś parę tysiaków bym dostał. Może więcej.

Gdyby nie zdjęcia i filmy z Halinką, uwierzyłabym mu.

— I tak je trzymałeś w kopalni?

— Ten mały to Klondicke. Miał znaleźć źródła pochodzenia i namierzyć właścicieli, ale potem zmieniłem zdanie na korzyść muzeum i zrezygnowałem z jego usług. Nie wiem, jak ten chuj go znalazł.

Cuchnęło mi kłamstwem. Wyjęłam komórkę. Osłaniając ją kurtką, odnalazłam zdjęcie i pokazałam Władkowi. Wyraźnie się zachnął. Nie powiedział jednak słowa. Zaczęliśmy słuchać.

Sobowtór, notabene udający Władka doskonale, łącznie z głosem, wyraził się brzydko o matce Klondicke'a, na co ten odparł, że nie splami się wzywaniem policji, ale ma swoje metody i nagle w jego dłoni znalazła się broń. Znowu nie rozumiałam, co mówią. Pomyślałam jednak, że broń to wymowny argument, tyle że w świetle ostatnich wydarzeń Klondicke mógł się przeliczyć. Domyślałam się, że sobowtór prawdopodobnie miał kilka trupów na sumieniu, a wiadomo, każde kolejne morderstwo przychodzi łatwiej. Władek prawdopodobnie o tym nie myślał, strząsnął moją dłoń, wstał i kulejąc w ciemności, ruszył w ich kierunku.

Zbliżył się do mężczyzn wtopiony w czarną ścianę. Dostrzegłam go dopiero, gdy zatrzymało się na nim światło latarki sobowtóra. Zrobiło się milczące zamieszanie.

— *Fuck!* — podsumował Klondicke.

Jasny strumień krążył pomiędzy sobowtórem i kurduplem z bronią, podczas gdy ten ostatni świecił latarką na obydwu Władków. Poczułam się jak na dyskotecce, gdy snopy światła padają raz na jedną, raz na drugą osobę i przecinają się, kreśląc wzory. Z trudem udało mi się skoncentrować.

— *Fuck!* — powtórzył niezbyt twórczo zupełnie już skołowany mężczyzna.

Zaczęłam się obawiać, że się postrzeli. O tym, że może przez przypadek trafić mnie, nie myślałam. Czułam się niewidzialna i bezpieczna. Tym dotkliwiej przestraszył mnie zimny dotyk na łydce pod nogawką spodni. Szarpnęłam nogą i gwałtownie wciągnęłam powietrze. Nie wrzasnęłam tylko dlatego, że czyjaś zimna dłoń zatkała mi otwarte usta. Ugryzłam ją i zaczęłam wierzcąc nogami. Napastnik miał dobre trzydzieści kilogramów więcej ode mnie.

— Ciii! — syknął mi do ucha i przycisnął mnie do twardego podłoża. Poczułam znajomy zapach. — Uspokój się.

— Marek? — Westchnęłam tak głośno, że przydusił mnie ponownie.

— Zabiję cię. Kazałem ci... Ani słowa! — szepnął ze złością.

Nie miałam zamiaru się tłumaczyć, tym bardziej że w tym momencie głos zabrał Władek.

— Klondicke. Miło widzieć — rozpoczął, świecąc jednak w oczy sobowtórowi. — Postanowiliście się uwinąć z interesem beze mnie?

Światło latarki obcokrajowca poruszało się zrywami, oświetlając dwie białe głowy, jednakowe fryzury, do złudzenia podobny głos. Wcale się nie dziwiłam, że Klondicke był w szoku. Jąkał się i szarpał bronią, nie mogąc się zdecydować, w kogo ma mierzyć.

— Jest pan nienasycony, Klondicke — ocenił Władek, co było mi o tyle łatwiej zrozumieć, że miał polski akcent i szkolne słownictwo. — Zapłaciłem panu za informacje i tylko za to. Cała reszta została unieważniona. Co pan

tutaj robi?

— Nic nie rozumiem! A ten pan? To przecież pan! Czy ja widzę podwójnie? To może jest pański brat? Ja mu zapłaciłem już dwieście tysięcy dolarów, a w walizce są jeszcze dwa miliony. — Pistolet nadal latał, jakby Klondicke odpędzał nim muchy. Słowa padały wyraźnie, więc wreszcie coś z tego wiedziałam.

— I zamierzał mu je pan dać? Tak po prostu? — Władek wyraźnie nie przejmował się bronią, bo sięgnął szybko do kieszeni.

— Nie ruszaj się! — powiedział sobowtór i wymierzył w niego pistolet z lufą zakończoną tłumikiem. — Ty też, Klondicke. — Podszedł do walizki, która leżała metr od niego. W tym momencie obcokrajowiec strzelił, ale żaden z mężczyzn nie upadł. Zatrzęszczała tylko część ściany, w którą trafiła kula, i jeden ze słupów podtrzymujących konstrukcję. Zamigotały latarki, padł strzał, potem kolejny i zgasty lampy górnicze. Nie dało się ocenić, kto strzelał, gdyż trzech mężczyzn zniknęli w mroku.

W tym samym momencie na przeciwległym krańcu komory rozbłysły światła.

Zacisnęłam powieki.

— Policja! Ręce do góry!

— Policja! Rzucić broń!

— Policja! Nie ruszać się!

Pomyślałam, że mogliby się jednak zdecydować.

— To nie w porządku — powiedział Klondicke i uniósł puste dłonie.

— Sierzancie, aresztujcie ich. Zbierackiego też — powiedział Marek zmęczonym głosem.

Tomek? Obejrzałam się. Stał za nami wraz z dwoma innymi policjantami w czarnych ubraniach. Zrobiło się zamieszanie. Po chwili trzech mężczyzn leżeli na ziemi ze skutymi rękoma, a kilkunastu policjantów mierzyło do nich

z broni.

— Wiedziałaś o wszystkim? — Złapałam Marka za rękaw. — Jak tutaj w ogóle zszedłeś?

Marek wziął moją dłoń i dotknął nią swego tułowia. Miał na sobie uprząż do wspinaczki wysokogórskiej i kamizelkę kuloodporną.

— Święta Tereso! — Usiłowałam sobie tego nie wyobrazić, ale wiedziałam, że to usiłowania daremne. Napięcie kumulujące się od dłuższego czasu eksplodowało w histerycznym napadzie śmiechu. Poczułam, jak ktoś mną potrząsa.

Nagle oprzytomniałam i uznałam, że muszę się upewnić.

Wyrwałam się Markowi, podeszłam do leżących na ziemi skutych mężczyzn i nie zważając na krzyki i mierzące we mnie lufy, pochyliłam się nad sobowtórem, którego rozpoznałam po kurtce. Dotknęłam twarzy. Maską była doskonała i on sam byłby nie do odróżnienia, gdyby nie kurtka i to, że prawdziwy Władek za lewym uchem miał bliznę. Ponieważ nikt mnie nie zastrzelił i nie aresztował, więc poszperałam palcami pod brodą mężczyzny i najpierw ostrożnie, potem, w miarę jak maska się odklejała, zerwałam ją gwałtownym ruchem. Odpadła razem z peruką.

Staszek Wolny, rozczochrany i z zaczerwienioną twarzą, szarpnął głową, zacisnął zęby i spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Wydawało mi się, że zdążyłam pana polubić — powiedziałam.

— Mnie też się tak wydawało — dodał Marek.

Stał obok mnie. Jego twarz wyrażała mieszaninę żalu i pogardy, a sierżant, który w przeciwieństwie do Marka był tu oficjalnie, recytował Wolnemu jego prawa. Mógł zapomnieć o wolności.

Przez jakiś czas staliśmy w ciszy i patrzyliśmy na prowadzonych w kajdankach mężczyzn. Spojrzałam na Marka. Błada i smutna twarz komisarza była ostatnim obrazem, jaki został w mojej pamięci, gdyż ułamek sekundy później rozpętało się piekło.

Ogłuszającego trzasku pękającego świata i osypujących się ścian już nie zarejestrowałam.

Rozdział 18

S wędział mnie nos. Z ogromnym wysiłkiem uniosłam ramię, pokonałam odrętwienie, w końcu zgięłam rękę i sięgnęłam do twarzy... Rurki? Nie, tylko nie to. Ostrożnie, by nie zrobić sobie krzywdy i nie uszkodzić przewodów, podniosłam rękę i pokonując zarówno ciężar własnej głowy, jak i ból spowodowany tak ekstremalnym wysiłkiem, wcisnęłam palce pod kark. Nie miałam dziury na potylicy. Żadnej wtyczki. Poczułam ulgę. Z trudem otworzyłam oczy, które — wydawało mi się — ktoś zakleił jajkiem. Światło mnie oślepiło.

Białe ściany, biały sufit, niebieska lampa nad drzwiami. Opuściłam powieki. Dużo później usłyszałam skrzypienie i otwieranie drzwi. Zerknęłam spod rzęs. Dwa metry przed łóżkiem, w progu, stała szara mysz w czepku pielęgniarki. Spojrzała na mnie jak na ciało w prosektorium, całą swoją uwagę skupiając na tykającej za mną aparaturze. Małe oczy gryzonia, bladoszare tęczówki z niewidoczną źrenicą. Poczułam strach.

— Co pani wyprawia? — Głos wydobywał się z wąskich ust umieszczonych tuż nad cofniętym podbródkiem.

Domyśliłam się, że mówiła do mnie. Nie miałam jednak odwagi, by się odezwać. Moje ciało też nie, gdyż sufit zawirował, ściany zbladły i otoczyła mnie błoga ciemność.

— Mati, obudź się. — Coś brutalnie szarpało mnie za rękę. Ktoś wymawiał moje imię przyjaznym głosem. Ilka!

— To Matrix? — zapytałam.

Była w białym fartuchu. Nachylała się nade mną. Oczy jej lśniły. Płakała?

— Nie, najdroższa, to jawa. Zobacz, jestem twoim lekarzem. — Pokazała na biały fartuch i przypięty do kieszonki identyfikator.

— Boże drogi! Zwariowałam? — wyszeptałam. Poruszyłam skrzydełkami nosa. Był już pusty i mogłam nim normalnie oddychać.

— Skoro o to pytasz, to raczej nie.

— Mówić nie mogę.

— Jak to nie, przecież słyszę, a chrypa minie, zanim z tobą skończę.

— Co to znaczy?

Ilka uśmiechnęła się promiennie.

— Pamiętasz cokolwiek?

Chwilę to trwało, ale nagle ujrzałam fruujące skały, twarz Marka, wyprowadzanego z kopalni Staszka Wolnego i Władka. Obydwu w kajdankach. Po co on wracał z tej Irlandii? Nie, on nie wracał, jego przywieźli.

— Marek żyje? — Poczułam strach i potworny, skręcający jelita żal.

Drzwi się otworzyły i zajrzała Mysz.

— Pani doktor długo tutaj będzie? Bo ona musi odpoczywać.

— Będę tyle, ile trzeba, a tak nawiasem mówiąc, to jaka „ona”? W najgorszym razie pacjentka. Proszę przestudiować kartę, siostrzo, a teraz niech nas pani zostawi. Wezwę siostrę, jeśli będzie trzeba.

— To pielęgniarka? — spytałam. Jeszcze nie byłam pewna, czy aby nie śnię.

— Okej. — Ilka poderwała się, wzięła spod okna metalowe krzesło i ustawiła je pod drzwiami. — Załatwię ci kogoś innego.

— Marek żyje?

— Spokojnie, żyje.

Węzeł strachu, który miałam w brzuchu, puszczał. Skupiona na nim, zorientowałam się, że mam włożony cewnik. Głowa opadła mi na poduszkę.

— Masakra — powiedziała do sufitu. — Szarlej! Mówiłam, że on się mści.

— Idiotka — mruknęła czule Ilka i pogłaskała mnie po czole. Miała zimną dłoń albo ja miałam gorączkę. — To nie Szarlej. Chyba. Tomek jeszcze sprawdza.

— Marek żyje? Ilka, Marek żyje? — Poczułam potworny ból głowy i znowu wszystko zrobiło się czarne.

— Oddychaj, oddychaj! — Ktoś klepał mnie po twarzy. — Mati, kurde, nie mdlej, bo ją zawołam, bo zawołam tę cholerną pielęgniarkę!

Otwarłam oczy.

— Marek żyje?

— Jasne, że żyje. Mówiłam ci już. — Ilka nie patrzyła na mnie. Szukała czegoś na szafce obok łóżka.

— To gdzie on jest? — zapytałam, bo skoro wtedy był ze mną, to dlaczego teraz jest gdzie indziej? — Wściekł się. To pamiętałam.

— No, właściwie — usiadła i spojrzała w okno — jest w podobnym stanie jak ty. Ale żyje, uspokój się. Wyjdzie z tego.

— A w jakim ja jestem stanie?

— Masz pękniętą czaszkę, stąd ta długa śpiączka, i połamane nogi. Minie bez śladu... mam nadzieję.

— Będę mogła pisać — odetchnęłam z ulgą — i malować, chociaż tyle. — To było pierwsze, co zrozumiałam. — A obrazy?

— Twoje dzieła wywiozłam osobiście. Jeden policjant zginął w kopalni przysypany ziemią. Ktoś obcy prowadzi śledztwo, ale Tomek jest na bieżąco. Nie martw się, wiem wszystko to, co sierżant. — Ilka miała bardzo tajemniczą minę.

Przytomność mi chyba wróciła, bo zaczęłam myśleć. Zrozumiałam nawet, co oznaczają słowa Ilki. Byli blisko, nawet bardzo blisko, skoro ona wie to,

co Tomek, a sierżant łamał tajemnicę zawodową. Mój mózg pracował bez zarzutu. Zadowolona zamknęłam oczy.

Czas był dla mnie czymś nieskończenie abstrakcyjnym. Nie miałam pojęcia, ile go upłynęło. Może dzień, a może kilka godzin? Nie wiedziałam zatem, kiedy, otulona wdzierającymi się przez okno promieniami słońca, przyszła Ilka. Wyglądała na ożywioną i szczęśliwą. Przyniosła soki, czekoladki. Wyjęła jedną i siadając na krześle obok łóżka, wsadziła sobie do ust. — Tobie jeszcze nie wolno. Sobie przyniosłam.

Nie miałam ochoty ani na czekoladki, ani na soczki dla dzieci, ani na nic, co wkłada się do ust. Spragniona byłam informacji. Nie miałam również pojęcia, ile dni czy nocy minęło, a chciałam wiedzieć wszystko.

— Opowiadaj — zachrypiałam. — Najlepiej jakoś chronologicznie.

— Chronologicznie to sobie poczytasz. — Wyjęła z torby plik kartek. — Skserowałam niektóre strony z akt. To oczywiście przestępstwo, ale mam to gdzieś. Schowaj to tylko i nie wkop Tomka. Pod poduszkę wsadź albo pod kołdrę. O tak, dobrze. Dasz radę wyjąć?

Spróbowałam uchwycić kawałek kartki.

— Okej.

— Powiem ci w skrócie. Oprócz was zostało rannych jeszcze kilku policjantów, jeden zginął. W sumie obecnie najbardziej poszkodowana jesteś ty.

— Co z Haliną?

— Zniknęła. Podobno była u Anity, gdy tam przyszli, ale potem zniknęła.

— Nie rozumiem. Jak to przyszli? Kto?

— Dobrze. Chwilę po telefonie od ciebie, wiesz, gdy wyszłaś od Marka, przyjechała po mnie policjantka. Pamiętasz, ty pojechałaś wcześniej do komisarza, a ja zostałam u Anity.

— O dziwo, pamiętam. Dopiero w kopalni straciłam przytomność.

— No więc policjantka zadzwoniła na mój telefon, kazała mi wyjść i tyle. Niczego nie tłumaczyła. Wsadziła mnie do cywilnego auta i odjechałyśmy. Zaraz potem wpadła do Jezierskiej policja. Marek domyślił się dużo wcześniej, że to Staszek, i cała akcja w kopalni była ustawiona. Ty wplątałaś się tam nadprogramowo.

— I co?

— Domyślałam się, że zabezpieczyli dowody. Znaleźli komputer Zbierackiego, z którego Staszek wysyłał maile.

— Dlatego miał łatwy dostęp do poczty. — Przypomniałam sobie, co mówiła o Zbierackim Wredna. — Ten idiota miał zapamiętane hasła. I był na stałe zalogowany na Skypie.

— Dokładnie tak. Poza tym zabezpieczyli telefon Władka, ten z irlandzkim numerem. To dlatego, kiedy do ciebie dzwonił, wyświetlił się numer irlandzki. Pamiętasz, jak Staszek Wolny pojechał po papierosy?

Pamiętałam.

— To właśnie jest przewaga komórki nad telefonem stacjonarnym. Mógł kłamać, gdy tylko chciał, póki był razem z nami na zamku, nie mogłam się dodzwonić do Władka, ale jak pojechał po fajki, nagle zniknął nam z oczu i proszę, niby Władek odebrał telefon.

— Sprytne — przyznałam. Patrzyłam na Ilkę z czułością i wdzięcznością, że tutaj jest. — Podobnie jak ty, kiedy myślałam, że dzwonisz ze szpitala, a po chwili miałam cię w kuchni.

Wszystko mi się przypominało, wszystkie szufladki się otwierały i pokazywały swą bogatą zawartość. Zatem moja głowa nie ucierpiała w przeciwieństwie do twarzy, która mnie piekła i bolała, a miejscami coś ją ścierało. W ustach miałam dziwnie pusto jakby brakowało mi połowy zębów.

— Masz lusterko? — zapytałam. Ilka wystraszyła się, potem zmieszała, aż w końcu zaczęła szukać w torebce.

— Niestety — skłamała, co nawet ja rozpoznałam.

Nie dziwiłam się wcale. Musiałam wyglądać strasznie. Kilka dni mnie nie zbawi. Najwyżej poproszę pielęgniarkę. Mysz poda mi lusterko z przyjemnością. Ilka za to wyglądała kwitnąco, odchudzona o dobre dziesięć kilogramów, promieniała jak... Zaczęłam się jej przyglądać.

— No co? — zapytała, a na policzkach pojawił się jej rumieniec.

— No nic. Seks uprawiasz. — Uśmiech mnie zabołał fizycznie, psychicznie bowiem cieszyłam się jej szczęściem. — Okej, o tym pogadamy przy winie. Teraz opowiedz mi o Staszku Wolnym. Intryguje mnie, że go nie rozgryżłam wcześniej, dopiero jak te jego rzeźby zobaczyłam.

— Masz wszystko w raporcie.

Jęknęłam.

— Oj, dobrze. Stanisław Wolny, takie nazwisko przybrał dla tutejszego otoczenia, jest Żydem, a wszystko zaczęło się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku w marcu, gdy Nathan Rosenberg, zapamiętaj, to jego prawdziwe nazwisko, przyjechał do Polski razem z komisją Żydów żądającą usunięcia krzyża papieskiego z obozu w Oświęcimiu.

— Ilka, zlituj się, nie jesteś na uczelni.

— Pamiętasz tę historię? Mieli usunąć krzyż z obozu.

— Jasne — rzuciłam z przekąsem — miałam wtedy szesnaście lat, jasne, że pamiętam. Bardzo mnie takie sprawy interesowały.

— Oj dobrze, ja też wtedy myślałam o czym innym. Ale chciałaś wiedzieć, to słuchaj. Nathan Rosenberg z samą komisją nie miał nic wspólnego, tyle że przyjemniej podróżowało mu się samolotem z kilkoma rodakami. I nie krzyż go interesował, tylko sztuka bardziej uznana. Toteż gdy rabini pojechali do Krakowa, on wybrał Katowice, a ponieważ był przygotowany do takiej podróży merytorycznie, bo studiował temat od dawna, wiedział, że prócz węgla kamiennego na Górnym Śląsku istnieje jeszcze kopalnictwo innego

rodzaju.

— Srebra — uzupełniłam, by wiedziała, że nadążam.

— Nie. Nathan poszukiwał prawdziwych skarbów. Nie żadnych świecidełek Szarleja, ale prawdziwych dzieł sztuki, które hitlerowcy ukryli w czasie drugiej wojny światowej.

— Zaginiony niemiecki konwój.

— Nie przerywaj. A skoro wiesz, to nie pytaj.

— Przepraszam. Coś chyba Władek wspominał.

Ilka łaskawie się uśmiechnęła i skinęła głową.

— Wolny vel Rosenberg przygotowywał się od dawna i w ten oto sposób znalazł się w miasteczku górniczym, w znanych ci już Tarnowskich Górach. Oczywiście nie szukał na ślepo. Pilnie przestudiował drogi, którymi transportowano zrabowane obrazy. Sprawdził wcześniej rejon Dolnego Śląska. W domu Anity miał kolekcję filmów...

— Wołoszańskiego — parsknęłam niemal z rozbawieniem. — Że też takie rzeczy naprawdę się zdarzają.

— Właśnie! — Ilka zachichotała. — Jednak wyciągnął wnioski i mądrze uznał, że tamten rejon jest wyeksploatowany i przebadany, a kopalnia w Tarnowskich Górach ma ponad setkę kilometrów niezbadanych korytarzy i temu właśnie oddał się całym sercem. Wykorzystał Anitę, zarówno jej zainteresowania, jak i znajomości. Co tam, tylko po to ją poderwał. Nie będę się wdawała w szczegóły, bo zmęczona jesteś i doczytasz sobie potem. Powiem tylko, że Rosenberg doskonale orientował się w rozkładzie tutejszej kopalni srebra, mimo że prawie do końca nie wiedział, gdzie są ukryte obrazy. Ale kopalnię znał lepiej od Anity. Nawiasem mówiąc, trochę mu ułatwiłaś. — Ilka napiła się wody z mojej szklanki i poczęstowała się czekoladką.

— Zatem Staszek musiał mieć coś wspólnego z wypadkiem Władka w Irlandii — wychrypiałam domyślnie — bo skoro miał jego komputer i telefon... Od początku był przekonany, że Władek nie żyje, a przebijając

się, pisząc maile i naśladowując jego głos w czasie rozmów telefonicznych, opóźniał odkrycie zbrodni.

— Głowę masz faktycznie sprawną. Prawdopodobnie to on sfingował wypadek. Sprawa jest w toku. Irlandczycy ją badają. Kurde, byłam z nim na ty. A teraz nie potrafię myśleć o nim po imieniu.

— Sama mówisz, że nazywa się Nathan Rosenberg, zatem nie jego znałaś. Jak poznał Władka?

— Nie wiem, ale jakoś się zaprzyjaźnili. Władek zwierzył mi się, że szuka kontaktów. Podobno najpierw faktycznie chciał te obrazy sprzedać, potem jednak się rozmyślił i miał je oddać do jakiegoś muzeum.

— Wierzysz w to?

— Wiesz co, Mati, nie zastanawiam się ani nad motywami Zbierackiego, ani nad tym, co z nim będzie. No, może trochę. Wolalabym, żeby to, co mówi, było prawdą.

— Rosenberg miał kontakty, niekoniecznie właściwe, ale dobrze zagrał.

— Wystarczyło pozbyć się Zbierackiego. Masz, napij się. Możesz już bez ograniczeń. — Ilka poczekała, aż sterowany elektrycznie zagłówek się uniósł, poprawiła mi koszulę, przejechała palcami po włosach i podała szklanekę.

Upiłam łyk i chwilę potrzymałam wodę w ustach. Marzyłam o tym, by umyć zęby.

— Zatem zlikwidował Władka, a przynajmniej tak sądził — wróciłam do głównego wątku — a potem odgrywał przedstawienie, by uwiarygodnić, że zamordowany żyje, że ma się dobrze, najwyżej trochę sfiksował i pęta się wokół swego domu. — Oddałam Ilce szklanekę. — Kręci mi się w głowie. Opuść mnie trochę. — Włączyła pilota. Opadłam, ale nie na wznak, tylko na tyle, by wygodnie mi się mówiło. — Dziękuję. Oczywiście przy okazji zrzucił na Władka zabójstwo Arka Zaruby i Seweryna.

— W pracowni Rosenberga znaleziono walizkę z maskami, nie tylko Władka.

— Mogło się udać. Zgarnąłby dwa melony.

— Chodziło o dużo większe pieniądze. Rosenberg zgarnąłby kasę, a potem rozpląnąłby się w powietrzu. W Irlandii znaleziono by rozkładające się czyjeś zwłoki, a Staszek Wolny wyjechałby na Kostarykę albo w inne ładne miejsce i zniknąłby na zawsze.

— Biedna Anita. — Naprawdę było mi jej żal. — Wtedy musiałaby już zgłosić zaginięcie na policję. Ale że też niczego się nie domyślała! A kurdupel przeżył? — zapytałam.

— Owszem — rozległo się od drzwi. Serce mi podskoczyło. Marek siedział na wózku z obydwoma nogami w gipsie. Ręce miał założone w pękaty opatrunek na klatce piersiowej, a za nim stał uśmiechnięty sierżant i próbował wepchnąć pojazd do środka. — Kurdupel przeżył. Został aresztowany, podobnie jak Rosenberg. Zawalenie nastąpiło zaraz po tym, jak wyszli. Tylko my mieliśmy pecha.

Usiłowałam się poderwać, ale jedynie drgnął mi tułów. Nie dostrzegłam, jak Ilka z Młodym zniknęli. Patrzyliśmy na siebie bez słów.

Marek wyglądał okropnie.

— Jesteś cały? — wychrypiałam po jakimś czasie.

— Owszem. Odrobinę poturbowany, ale niczego mi nie brakuje.

Dotknęłam swojego policzka, nie mogąc powstrzymać łez, ale nie miałam odwagi zapytać, jak wyglądam. Marek nie odwracał wzroku, co dobrze o nim świadczyło. Na szczęście stać mnie na operację plastyczną.

— To był wybuch?

— Samo się zawaliło. Myliliśmy się co do tych materiałów pirotechnicznych. Nikt niczego nie podkładał. To ta belka. Ale ostrzegałem cię, cholera.

— Jak to belka? Zawaliło się samo?

— Nie widziałaś, jak kurdupel, jak nazywasz pana Klondicke'a, strzelił?

Trafił w belkę.

— Czyli Szarlej — mruknęłam.

— To naruszyło starą konstrukcję, a może huk strzałów wstrząsnął ścianami — dodał. Zastanowiło mnie, że nie skomentował wzmianki o Szarleju. Traktował mnie jak psychicznie chorą albo nie zrównoważoną. — Pamiętasz, gdy pierwszy raz weszliśmy do tego tunelu pod jałówką? Tam było zamknięcie z desek. One nie tylko odcinały wejście do komory, ale i wzmacniały korytarz. Gdy Rosenberg je usunął, osłabił konstrukcję zabezpieczającą, likwidując dwa stemple. Kurdupel odstrzelił dodatkową z podpór, więc gruchnęło. Dajmy sobie spokój z tym na chwilę. Mogłabyś wezwać pielęgniarkę? Masz sprawne ręce.

— Muszę?

— Potrzebuję jej na chwilę.

Wcisnęłam guzik.

Przyszła Mysz. Spojrzała na mnie złym wzrokiem.

— Co jest?

Marek uśmiechnął się do niej.

— Mogłaby siostra to cholerstwo odwiązać?

— Absolutnie nie. Nie wolno panu jej nadwyręzać.

— Nie będę jej nadwyręzał. — Oczy mu błysnęły. — Tylko że założyła pani na nią jakiś kretyński okład. Potem może go pani założyć na nowo, jeśli to sprawia pani przyjemność. Po prostu nie chcę tego nieelegancko rozwalić o ramę łóżka.

— Powiedziałam: nie. Poza tym uderzenie o ramę łóżka pana zaboli. — Mysz uśmiechnęła się złośliwie i ruszyła w stronę drzwi.

— Widziałem, jak pani brała bombonierkę z łóżka pacjentki!

Zatrzymała się. Powoli odwróciła usztywnioną sylwetkę.

— Jak pan śmie?!

— A jak pani myśli, komu uwierzą?

Podeszła do niego bez słowa, odwinęła chusty i uwolniła prawe ramię.

— Jak się będzie źle goić, to pańska wina.

— Dziękuję. Teraz może już siostra iść. Doskonale radzę sobie z poczuciem winy.

Kiedy wyszła, Marek jedną ręką powoli zakręcił kółkiem od wózka i ustawił się blisko mnie, potem wziął moją dłoń i długo ją trzymał, milcząc.

— Straciłbym cię. Wiele nie brakowało. Jak już wydobrzejesz, to ci wleję. Miało cię tam nie być.

— Nigdy nie przestaniez? Nawet mój tata tak nie truje.

W tym momencie znowu otwarły się drzwi i wszedł Tomek z dużym bukietem chryzantem. Podał je Markowi i wyszedł bez słowa. Marek wziął je, położył na łóżku i ponownie ujął moją dłoń.

— Wyjdiesz za mnie?

Zamrugałam, sprawdzając, czy nie śnię. I chryzantemy... Skąd wiedział? Nagle dotarło do mnie, o co naprawdę zapytał. Wszystko wróciło: ołtarz, Seweryn. To koszmar? Żegnając gości weselnych na lotnisku, przysięgłam sobie, że nigdy więcej za mąż nie wyjdę. Jakim prawem on mi się oświadcza? Dopiero co się poznaliśmy, niemal go nie zabiłam, i to dwa razy, lusterka nikt nie chce mi pokazać... Operacja plastyczna to nie jest kwestia tygodnia, to cholerstwo trwa dłużej. A jeśli będziemy do końca życia obydwójce jeździli na wózkach? Wtedy będzie nam potrzebne strasznie duże mieszkanie. Stać mnie na służbę, ale nie o to chodzi. Mam zostać żoną policjanta?!

— Mato, odpowiedz. Nie mówię, że zaraz, jutro, ale w niedalekiej przyszłości, kiedy już to wszystko... — Zakreślił koło obejmujące zarówno jego wózek, jak i łóżko, do którego byłam przykuta.

— Ty chyba masz coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego, Marek.

Rozum ci odebrało? Ilka powinna cię przebadać. Czy ty mnie nie widzisz? Co mam na twarzy?

— Potłuczenia, kilka strupów, bo co?

— Nic więcej?

— A co masz mieć? — odparł zdziwiony. Zatem nie było tak źle. — To jak? — powtórzył. Z tymi oczyma przypominał spaniela. Na myśl przyszedł mi Rino, chociaż on był owczarkiem.

— Nie — rzuciłam szybko, żeby się nie rozmyślić. — Nie wyjdę. Będiesz mnie tyranizował. A poza tym w ogóle nie zamierzam wychodzić za mąż.

Marek niezrażony podciągnął wózek bliżej.

— Może jednak to przemyślisz? — Zbliżył twarz.

Oblizalam suche usta. W tym momencie wszedł Tomek, a za nim przytruchtała Ilka.

— Szefie, są wieści z Irlandii — powiedział sierżant.

Marek przeistoczył się w sekundę.

— Mów! — Mimo że wrócił do roli komisarza, rozpoznałam, że kipiał wściekłością. Nie byłam tylko pewna: na mnie czy na Tomka.

Funkcjonariusz nie zwracał na to uwagi. Ustawił dwa krzesła obok łóżka. Jedno z nich kurtuazyjnie podstawił Ilce, na drugim sam usiadł. Wydawało mi się, że znowu widzę u niego tę dawną rozkoszną nieśmiałość.

— Ich policja znalazła świadka.

— Mów, nie cedź, skoro już tu wlałeś.

— Sorry, ale to ważne. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem. — Tomek spojrział na mnie. Wzruszyłam ramionami. — To myśliwy, który polował na tamtym terenie. — Tomek się nie spieszył. — Facet stał ukryty w lesie niedaleko drogi i filmował. To on uratował Zbierackiego.

— I dopiero teraz go przesłuchali?

— Szefie, nie wiem, jak oni działają. Może dopiero teraz nam o tym powiedzieli. Też myślę, że musieli wiedzieć wcześniej, ale może opowiem od początku. Pani Matylda nic nie wie.

— I tak jest lepiej — odburknął Marek.

— Niech pan nie zwraca na niego uwagi, jest zły, no ale nie każdemu smakują arbuzy.

Tomek, niczego nie rozumiejąc, czekał na wyjaśnienie, Ilka uniosła brwi, a Marek udawał, że niczego nie powiedziałam.

— Myśliwy polował na jelenie — pospieszył wyjaśniać Tomek, by przerwać kłopotliwą ciszę, która nagle zaległa w sali szpitalnej. — Widział, jak drogą prowadzącą wzdłuż stromego uskoku skalnego jedzie ciężarówka, a naprzeciwko niej samochód osobowy. Auto próbowało hamować, ale nie mogło się zatrzymać.

— Ten myśliwy widział, że samochód nie mógł hamować? — zapytałam.

— Nie, o tym powiedzieli nam policjanci. Streszczam. Ciężarówka stała w poprzek na czołówkę. Zbieracki usiłował zjechać z drogi, ale niestety tam było wąsko, a z jego strony była skarpa. Samochód ze Zbierackim spadł w przepaść. To się zgadza z jego zeznaniami. Hamulce też się zgadzają. Były podcięte. Wypadek wyglądał na przygotowany, ostry zakręt, samochód pilotujący. No i najważniejsze, ustawiona we właściwym, to znaczy w najbardziej niewłaściwym miejscu ciężarówka MAN blokująca drogę. Irlandzka policja to sprawdziła.

— Zbieracki miał uszkodzone hamulce w samochodzie? — dopytał Marek.

— No przecież powiedziałem.

Faktycznie powiedział. Marek go po prostu nie słuchał. Ja też byłam zmęczona i zaczynałam odpływać. Wszystko, co mówił Tomek, się nawarstwiało. Czułam, jak na czoło występują mi duże krople potu i znowu robiło mi się niedobrze.

— Musieli wiedzieć, że pojedzie dokładnie tędy. Zbieracki wynajął sobie

w małym pensjonacie pokój i właśnie wracał do domu. To świadczy o tym, że zrobili research. — Tomek spojrzał na mnie z troską. — Pani Matylda zaraz nam odleci. — Wstał, podszedł do okna i lekko je uchylił. Poczułam świeże powietrze i głęboko je wciągnęłam, ale ociężałość nie ustępowała.

— Czy w tym manie był kierowca? — precyzował Marek, ściskając moją dłoń, jakby chciał ją zmiażdżyć. To przywróciło mi krążenie, poczułam się bardziej przytomna.

— Kierowca wyskoczył w ostatnim momencie, był przygotowany na zderzenie czołowe i doskonale wiedział, że Zbieracki nadjeżdża.

— Niby skąd to wiedział?

— Jak to? — wtrąciła Ilka. — Ten pilot w osobówce go informował.

Tomek uśmiechnął się do niej.

— To była pilotka. Zaraz po tym, kiedy auto Zbierackiego poleciało w przepaść, z bmw wyszła kobieta. Obydwoje stanęli na krawędzi klifu i trzymając się za ręce, patrzyli, jak auto wybucha i staje w ogniu. Wyglądali na zadowolonych. Potem każde wsiadło do swojego pojazdu i odjechali w przeciwnych kierunkach.

— Marion De-coś-tam — uściśliła Ilka.

Tomek pokręcił głową.

— Po kolei. Sprawcy najpierw upewnili się, że ze Zbierackim koniec, a potem przetrząsnęli jego mieszkanie.

— Tego to myśliwy raczej nie mógł wiedzieć — wpadła mu w słowo Ilka.

— To nam powiedzieli koledzy z policji, to znaczy Irlandczycy. Myśliwy zszedł w dół z czystej ciekawości. Znalazł Zbierackiego dwadzieścia metrów od samochodu, poranionego, ale żywego. Wezwał pogotowie, poczekał, aż przyjechało i rozpląnął się w lesie. Prawdopodobnie kłusował, dlatego dopiero teraz się zgłosił.

— Trudno mi w to uwierzyć — ożywił się Marek. Tomek rozłożył ręce

w geście bezradności. — Pokazałeś im zdjęcia?

— Tak, zgadzają się.

— To kto to jest, do cholery? — wychrypiałam. — Faktycznie Wolny z tą swoją flamą?

— Nie Wolny, tylko Rosenberg z Anitą Jezierską.

Poderwałam głowę tak nagle, aż mnie zabolalo w karku.

— Jaja sobie robicie! Anita była w Irlandii i pomagała zabić Władka? — Poczułam się jak na karuzeli. W tle słyszałam głosy, ale nie rozróżniałam słów. Marek coś tłumaczył, a Ilka mu przerywała. W tym wszystkim spokojnie płynął głos Tomka i kołysał mnie do snu. Zасыpiając, przewijałam w głowie film, w którym nikt nie wiedział, dlaczego zamek nazywa się Sarni Dwór.

Obudziłam się w promieniach słońca. Byłam sama. Wydawało mi się, że to rano, bo pamiętałam rozmowę, która trwała do wieczora. Przespałam całą noc. Nagle się wystraszyłam, bo może minęło kilka nocy! Czas nadal był dla mnie pojęciem abstrakcyjnym, podobnie jak stan mojego zdrowia. Nie było jednak aż tak źle, gdyż nagle jakbym doznała olśnienia. Wszystko, co usłyszałam wczoraj i co podejrzewałam wcześniej, zaczęło się układać w logiczny wzór, mimo że wcale nie chciałam, żeby tak było. Spinaczem okazała się Anita.

Wszystkie chwile spędzone z Jezierską przelatywały przez mój umysł jak kolejne klatki. Jej śmiech, jej pierogi, to jak wyrzuciła garnek ze szpinakiem i wszystko z lodówki, jak nas karmiła i oszukiwała. A czego Rosenberg sam nie usłyszał, to powiedziała mu ona, podczas gdy ja, naiwna, martwiłam się, że Staszek vel Nathan ją zdradza. To nie było w porządku.

Wyjęłam spod poduszki plik kartek i czytałam fragmentami. Zaczęłam od mojego narzeczonego. Ciągłe nie dostrzegałam motywu jego śmierci. No jasne, znali się. Seweryn znał go jako Rosenberga i jako takiego go rozpoznał.

Nie widzieli się od piętnastu lat. Rosenberg nie spodziewał się zagrożenia z tej strony. Nikt z ludzi, z którymi ostatnio przestawał w Polsce, nie wiedział, kim jest. Seweryn mógł go wydać.

W ustach czułam gorycz i chciało mi się pić. Sięgnęłam po szklanę, którą ktoś nappełnił wodą. Miałam nadzieję, że Mysz niczego do niej nie dodała. Poza tym wydało mi się dziwne, że Rosenberg tak o wszystkim opowiadał. Może liczył na łagodniejszy wymiar kary? Nathan. Przypomniałam sobie tamten wieczór, gdy wróciliśmy z Markiem z kolacji, a Seweryn czekał na mnie i wtedy mruknął pod nosem „Nathan”. Myślałam, że coś mu się przywidziało, ale z niczym tego nie powiązałam. Byli kuzynami. Ich drogi się rozjechały, tak dosłownie. Rosenberg wyjechał do Izraela, Kruczyński został w Polsce. Kuzyni. Zatem Seweryn był Żydem. Święta Tereso! Czy ja czegoś nie zauważyłam? Przełożyłam kolejną kartkę.

Klondicke. Naprawdę nazywał się Artur Goodman i był Żydem z Tarnowskich Gór, który wyjechał... opuściłam kilka fragmentów, bo życiorys Goodmana mnie nie interesował. O, jest! Trzynastego października Stanisław Wolny *vel* Rosenberg miał z nim umówione spotkanie, przed którym zamierzał pokręcić się w okolicy zamku. Nie wiedział, gdzie Zbieracki ukrył obrazy. Szukał ich, domyślał się, ale wejścia do lochu nie odkrył. Wtedy natknął się na Ilkę. Sukinsyn myślał, że ją zabił. A potem, kiedy Marek ściągnął go na zamek, był w centrum wydarzeń i zyskał praktycznie nieograniczony dostęp do zabudowań i do wiedzy, którą posiadałam. Loszek podałam mu jak na tacy. Dowiedział się od Anity, albo od samej Ilki, że go nie rozpoznała, więc nie musiał jej dobijać. Nie zagrażała mu. Mało tego, wierzyła, że napadł na nią Zbieracki, a o to Rosenbergowi chodziło. Przełożyłam kolejne dwie kartki pod spód i skanowałam pozostałe wzrokiem. Nie czułam się na siłach wczytywać się dokładnie i analizować szczegóły. Ogólny obraz na razie mi wystarczał.

Ilka przyniosła mi chyba większość akt, bo były tutaj notatki z przesłuchania Zbierackiego i Rosenberga. Ciągle nie mogłam się przyzwyczaić do tego nazwiska. Cholera, piwo z nim piłam. Też mógł mnie

stuknąć. Swoją drogą, nikt do tej pory nie znalazł krowiego kopyta. Moją uwagę przyciągnął fragment zakreślony czerwonym mazakiem. Był to spis dwudziestu trzech dzieł sztuki, które Rosenberg miał w swoim komputerze, i informacja, że to zaginione obrazy z katowickiego i bytomskiego *landesmuseum*, które Niemcy od tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku mieli wywozić w celu ratowania przed zniszczeniem.

Czyli Władek nie kłamał. Przynajmniej nie we wszystkim. W jego wersji były to obrazy skradzione Żydom. Moją uwagę zwrócił wymieniony zaraz na początku malunek Brandta *Wyjazd na polowanie*, *Miasto włoskie z cyprysami* Friedricha Oliviera i *Golf von Amalfi* Oswalda Achenbacha. Tomek wkleił do raportu kilka reprodukcji. A może to Ilka je wydrukowała?

Nagle zdrętwiałam. Serce zaczęło mi walić, jakbym szykowałam się do skoku na bungee. Przypomniałam sobie wysokie drzewa, geometrycznie rozświetlone słońcem bryły z dziurami okien, fragment muru i pojedynczą palmę. Jak mogłam nie skojarzyć? Okej, nie byłam ekspertką, nie studiowałam historii sztuki, ale pamięć wzrokową miałam! Od czego jest internet? Sięgnęłam po smartfona i wklepałam w wyszukiwarkę „Golf von Amalfi”. Czarno-białe fotografie. Nie znalazłam żadnego kolorowego zdjęcia, a wtedy nie miałam pojęcia, na co patrzę. Obraz był barwny. Mało tego, przed moimi oczyma stanął wyraźnie piękny, kolorowy pejzaż z ciężkim błękitem nieba odbijającym się w morskich wodach zatoki. Jakby czarno-białemu zdjęciu artysta nadał drugie życie. A może to było pierwsze? Kopia czy oryginał? A może luźna interpretacja kolorystyczna? Czy ktoś prócz mnie w ogóle zwrócił uwagę na obraz wiszący w ciemnym zabałaganionym gabinecie Władka, w którym na plan pierwszy wysuwało się zarzucone śmieciami biurko? Bardzo w to wątpiłam. Czy Wolny tam nie wchodził? Raczej nie. Po zamku snuł się tylko morderca narzeczonej, który w końcu i tak nędznie zginął. Zrobiło mi się go żal.

Odłożyłam nielegalnie skopiowane strony na kołdrę. Musiałam odpocząć. Zamknęłam oczy, ale umysł pracował. Przypomniałam sobie, że ta ruina Zbierackich kiedyś nie nazywała się Sarni Dwór, tylko z niemiecka Rehnhof,

a dziadek Władka Zbierackiego miał na nazwisko Sammler, co było prostą transkrypcją jego polskiego nazwiska. A może odwrotnie? Pozostało pytanie, czy to u nich Niemcy złożyli część skarbów, tak jak zrobili to w Miedarach w pałacu Fürstenberga czy w Rybnej. Obydwie miejscowości znajdowały się blisko Bytomia, a obrazy złożono na przechowanie u Niemców. Wydało się to logiczne. Nie chodziło o żadne dzieła sztuki skradzione Żydom czy Polakom. To był skarb muzealny. Władek musiał o tym wiedzieć i ten jego altruistyczny gest z oddawaniem do muzeum był zwykłą ściemą. Sięgnęłam po kartki. Odwróciłam ostatnio czytaną stronę. Na najwyższym poziomie w wieży była ukryta druga skrzynia z obrazami. Zatem to nie duchy mnie straszyły, tylko Rosenberg ganiał po schodach i je wnosił, wynosił, oglądał. Że też sam nie spadł. Cokolwiek robił, musiał natknąć się na schodach na mordercę narzeczonej. Prawdopodobnie go zepchnął. Najważniejsze, że mogłam wybić sobie z głowy duchy. Nie najlepiej czułam się z koniecznością wiary w ich istnienie.

Kroki rozlegające się na korytarzu wyrwały mnie z rozmyślań. Brzęk talerzy na metalowym wózku szpitalnym, ciche rozmowy, szuranie kapci, zapach chloru i odległy terkot telefonu w dyżurce pielęgniarek przybrały na sile. W otwartych drzwiach pojawiła się Mysz. Miała tackę z lekami i strzykawką oraz plastikowy worek do kroplówki.

— Dzień dobry — powiedziała matowym, obojętnym głosem. Czułam w nim niechęć i pogardę.

Bąknęłam pod nosem coś, co miało być uprzejmą odpowiedzią, a w rzeczywistości znaczyło „spadaj”.

— Jak się czuje komisarz Mleczko? — Ośmieliłam się jednak zapytać.

Spojrzała na mnie tak, jakbym zadała jej filozoficzne pytanie w rodzaju „ile aniołów siedzi na główce od szpilki”, i najwyraźniej nie miała zamiaru odpowiedzieć.

— Siostro? — ponagliłam.

— Jego stan jest stabilny — warknęła do kroplówki.

Zastanawiałam się, jak zapytać o Ilkę, żeby uzyskać bardziej szczegółową odpowiedź. Na szczęście zobaczyłam ją w drzwiach, uśmiechniętą i rozpromienioną.

— Pani leki — wycodziła Mysz i postawiła na mojej szafce kieliszek. Następnie skinęła głową Ilce i wyszła. Odczekałam, aż przyjaciółka zamknie drzwi. Denerwowało mnie, że ciągle ktoś je otwiera.

— Dlaczego nikt jej nie zabije?

Ilka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

— Życie nie jest takie łatwe. Jak spałaś?

Nie powiedziałam, że długo i z koszmarami, gdyż w tym samym momencie usłyszałyśmy pukanie. Zdziwione wymieniłyśmy spojrzenia. Ilka zrobiła krok w tył i ostrożnie uchyliła drzwi.

— Minutkę — uspokoiła kogoś. Zamknęła drzwi z powrotem. Własnym grzebieniem uczesała mnie, wyklepała mi twarz tonikiem, a usta pociągnęła błyszczkiem. — Ostatecznie może być.

Wiedziałam, kogo się spodziewać. Nie Myszy, to było pewne, ona wchodziła bez pukania.

Marek miał wilgotne włosy. Był ogolony i niepewnie się uśmiechał. Wyglądał jak po wypadku, poobijany, z siniakami, ale świeżo. W jego spojrzeniu widziałam zarówno kpinę, jak i nadzieję. Czy on faktycznie mi się oświadczył? Ślub? Spłoszona odwróciłam twarz. Może zapomniał.

Musiał coś wyczuć w moim wzroku albo zobaczyć na twarzy. Nigdy nie panowałam nad mimiką.

— Pani Ilko, czy mogłaby pani coś zrobić z tą pielęgniarką?

— Mati się zastanawia, czy nie można by jej zabić — wydała mnie spokojnie przyjaciółka.

— Myślę, że to może nastreczyć trudności. Nie mam przy sobie broni — odparł równie spokojnie.

— Marek oskarżył ją o kradzież — powiedziała z dumą, zadowolona, że uczepił się pielęgniarki, a nie ślubu.

— Poważnie? — Ilka nie była zaskoczona.

— Wkrótce oskarżę ją o morderstwo, a potem aresztuję, chyba że pani jakoś dyplomatycznie ją usunie.

Na twarzy Ilki pojawił się uśmiech. Znałam go. Nie wróżył dobrze.

— Spokojnie. Załatwiłam wam prywatną opiekę całodobową. Musicie tylko wybrać, u kogo się zatrzymacie — powiedziała i wzięła się do zmieniania wody w wazonie z chryzantemami.

Zwariowała?

Nie patrzyliśmy na siebie z Markiem. Paliły mnie policzki, a on poprawiał opatrunek.

Ilka parsknęła śmiechem.

— Byłabym zapomniała. — Sięgnęła do torebki. — To dla ciebie, Mati. Miałaś to w poczcie.

Ujrzałam herb w rogu złożonej kartki.

— Powiadomienie o ślubie? Wredna nie kłamała. Ale kiedy to zrobiła? I jak długo wobec tego ja spałam? — Uniosłam się gwałtownie. — Mój wernisaż!